

Nail Gaiman

Dym i lustra



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Neil Gaiman
dym i lustra

Opowiadania i złudzenia

przełożyła Paulina Braiter

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Wróżąc z wnętrzości: Rondo](#)

[Wstęp](#)

[Rycerskość](#)

[Mikołaj był...](#)

[Cena](#)

[Trollowy most](#)

[Nie pytaj diabła](#)

[Złote rybki i inne historie](#)

[Pozarty \(Sceny z filmu\)](#)

[Biała droga](#)

[Królowa noży](#)

[Fakty w sprawie zniknięcia panny Finch](#)

[Zmiany](#)

[Córka sów](#)

[Kufelek Starego Shoggotha](#)

[Wirus](#)

[Szukając dziewczyny](#)

[Tylko kolejny koniec świata, nic więcej](#)

[Bay Wolf](#)

[Piętnaście malowanych kart z wampirzego tarota](#)

[Załatwimy ich panu hurtowo](#)

[Jedno życie, urządzone w stylu wczesnego Moorcocka...](#)

[Zimne barwy](#)

[Zamiatacz Snów](#)

[Poczucie obcości](#)

[Wampirza sestyna](#)

[Mysz](#)

[Zmienne morze](#)

[Jak myślisz, jakie to uczucie?](#)

[O tym, jak pojechaliśmy obejrzeć koniec świata, autorstwa Dawnie Morningside, lat 11 i 1/4](#)

[Pustynny wiatr](#)

[Uczta](#)

[Gdy nastał koniec](#)

[Dziedzina](#)

[Morderstwa i tajemnice](#)

[Szkło, śnieg i jabłka](#)

[Metryczka książki](#)

Dla Ellen Datlow i Steve'a Jonesa

Gdzie jednak jest potwór, znajdzie się i cud.
– Ogden Nash, *Dragons Are Too Seldom*

Wróżąc z wnętrzości: Rondo

- *Chcę przez to powiedzieć – powiedziała – że jedno jest nie do uniknięcia: to, że się rośnie.*
- *Jedno jest nie do uniknięcia, ale dwoje może tego uniknąć – powiedział Humpty Dumpty. – Przy odpowiedniej współpracy z kimś mogłabyś poprzestać na siódmym roku życia.*
- *Lewis Carroll: O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra, przeł. Maciej Słomczyński.*

Nazwą to szczęściem, przypadkiem bądź Losem,
Karty i gwiazdy, co wieszczą do woli.
Jutrzejszy dzień nastaje, co swawoli
Dzisiejszych grzeszków cenę nam przynosi.
Chcesz poznać przyszłość, miła? Czekaj, proszę,
Odpowiem na pytania twe, powoli,
Nazwą to szczęściem, przypadkiem bądź Losem,
Karty i gwiazdy, co wieszczą do woli.

Przyjdę do ciebie nocą, miła, bosy,
Ty mnie nie dojrzysz, choć chłód cię zaboli,
Zaśniesz, a ja się nasycę do woli,
I na talerzu przyszłość ci przyniosę,
Nazwą to szczęściem, przypadkiem bądź Losem.

Wstęp

Pisanie to latanie we śnie.

Kiedy je sobie przypomnisz. Kiedy to potrafisz. Kiedy się udaje.

To takie łatwe.

– Notatnik pisarza, luty 1992.

Wszystko to dzięki lustrum. Rzecz jasna, to utarty banał, ale też i prawda. Iluzjoniści wykorzystują lusterka, zwykle ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni, od czasów epoki wiktoriańskiej, gdy ponad sto lat temu rozpoczęto masową produkcję wiernych, czystych zwierciadeł. Zaczęło się od Johna Nevila Maskelyne w 1862 r. i od szafy, która dzięki przemyślnie umieszczonemu lustru skrywała więcej, niż ujawniała.

Lustra to rzecz cudowna. Wydaje nam się, że mówią prawdę, ukazują nasze życie. Jeśli jednak ustawi się je właściwie, zaczną kłamać tak przekonująco, iż uwierzemy, że coś rozplynęło się w powietrzu. Pudełko pełne gołębi, chorągiewek i pajaków staje się puste, a ludzie ukryci w bocznych kulisach bądź budce suflera przemieniają się w płynące w powietrzu zjawy. Wystarczy odpowiedni kąt, by lustro zmieniło się w magiczną ramę, ukazującą wszystko, co umiemy sobie wyobrazić, a nawet kilka rzeczy, których nie potrafimy.

(Dym zaciera ostre kontury).

Opowiadania w pewnym sensie także są lustrami. Dzięki nim wyjaśniamy sobie, jak działa nasz świat, albo też, jak nie działa. Niczym lustra, opowiadania przygotowują nas na następne dni, odwodzą naszą uwagę od istot ukrytych w ciemności.

Fantastyka – a cała literatura pod takim czy innym względem jest właśnie fantastyką – to lustro. Krzywe, owszem, czasem skrywające prawdę, ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni wobec rzeczywistości, niemniej jednak lustro, dzięki któremu możemy opowiadać sobie rzeczy niewidoczne w inny sposób. (Bajki, jak powiedział kiedyś G.K. Chesterton, są bardziej niż prawdziwe. Nie dlatego, że twierdzą, iż smoki istnieją, ale ponieważ mówią, że smoka da się pokonać).

Dziś właśnie zaczęła się zima. Niebo poszarzało. Zaczął padać śnieg i ustał dopiero po zmroku. Siedziałem w ciemności, patrząc na spadające płatki, migoczące i połyskujące w smugach światła, i zastanawiałem się, skąd się biorą historie.

Człowiek często zastanawia się nad takimi sprawami, jeśli zarabia na życie, wymyślając różne opowieści. Nie jestem do końca przekonany, czy to właściwe zajęcie dla dorosłego, ale już za późno: całkiem nieźle z tego żyję, świetnie się bawię i nie muszę zbyt wcześnie wstawać rano. (Kiedy byłem mały, dorośli ostrzegali mnie, bym nie wymyślał niestworzonych historii, bo w przeciwnym razie spotka mnie coś okropnego. Jak dotąd, okropieństwa te polegają na częstych wyjazdach za granicę i późnym wstawaniu).

Większość historii zebranych w tej książce powstała na zamówienie przeróżnych redaktorów, proszących o teksty do antologii („To antologia opowiadań o świętym Graalu”, „...o seksie”,

„...bajek w wersjach dla dorosłych”, „...o seksie i grozie”, „...o zemście”, „...o przesądach”, „...i znów o seksie”). Kilka z nich napisałem wyłącznie dla siebie, po to, by pozbyć się pomysłu bądź obrazu, który utkwił w mej głowie, i przelać go bezpiecznie na papier – prawdę mówiąc, to świetny powód do pisania: uwalnianie demonów, wypuszczanie ich na swobodę – inne to zwykłe kaprysy, ciekawostki, które wymknęły się spod kontroli.

Kiedyś wymyśliłem historię, która miała stać się prezentem ślubnym dla przyjaciół. Traktowała o parze, która w prezencie ślubnym otrzymała opowiadanie. Sama historia nie była zbyt pocieszająca, i kiedy już ją wymyśliłem, uznałem, że raczej woleliby toster. Kupiłem im więc toster i do dziś dnia nie zapisałem swojej opowieści. Wciąż tkwi w mojej głowie, czekając na kolejną parę, która by ją doceniła.

W tej chwili (piszę ten wstęp ciemnogrnatowym atramentem, wiecznym piórem, w notatniku w czarnej oprawie; mówię to na wypadek, gdyby interesowały was takie szczegóły) przyszło mi do głowy, że choć większość zebranych tu historii traktuje o miłości pod różną postacią, nie ma wśród nich zbyt wielu radosnych tekstów, opowiadających o miłości odwzajemnionej, i nie równoważą one innych opowieści, które tu znajdziecie. Poza tym istnieją też ludzie, którzy nie czytają wstępów, a zresztą, kto wie, może część z was któregoś dnia także stanie na ślubnym kobiercu? Zatem dla wszystkich, którzy czytają wstępy, oto historia, której nie napisałem (a jeśli nie spodoba mi się po zapisaniu, zawsze mogę skreślić ten akapit i nigdy się nie dowiecie, że przerwałem pisanie wstępu, by zająć się opowiadaniem).

Prezent ślubny

Gdy mieli już za sobą radości i kłopoty, związane ze ślubem, otaczające go szaleństwo i magię (oraz zdrową dawkę wstydu, z jakim przyjęli przemówienie weselne ojca Belindy, uzupełnione pokazem rodzinnych slajdów), gdy ich miesiąc miodowy dobiegł końca (dosłownie, choć nie w przenośni), a nowa opalenizna jeszcze nie zaczęła blaknąć w deszczach angielskiej jesieni, Belinda i Gordon zabrali się do odpakowywania ślubnych prezentów i pisania listów z podziękowaniami za każdy ręcznik i toster, sokowirówkę i maszynkę do robienia chleba, sztucce i talerze, łyżeczkę do parzenia herbaty, a także zasłony.

– W porządku – rzekł Gordon. – Duże prezenty załatwione. Co zostało?

– Te w kopertach – odparła Belinda. – Mam nadzieję, że to czeki.

Rzeczywiście, znaleźli kilka czeków, sporo bonów towarowych, a nawet bon książkowy za dziesięć funtów od ciotki Gordona, Marie, biednej jak mysz kościelna, lecz kochanej staruszki; Gordon wyjaśnił, że odkąd pamięta, na każde urodziny dostawał od niej bon książkowy. I wreszcie, na samym dole stosu natknęli się na dużą, brązową kopertę.

– Co to? – spytała Belinda.

Gordon otworzył kopertę i wyjął kartkę papieru barwy dwudniowej śmietanki, poszarpaną u góry i dołu i zapisaną z jednej strony na maszynie. Była to wyraźnie zwykła, maszyna do pisania, coś, czego Gordon nie oglądał od kilku lat. Powoli odczytał tekst.

– Co to jest? – dopytywała się Belinda. – Od kogo?

– Nie wiem – odparł Gordon. – Od kogoś, kto wciąż ma u siebie maszynę do pisania. Nie jest podpisany.

– To list?

– Niezupełnie – rzekł, po czym podrapał się po nosie i ponownie przeczytał maszynopis.

– I co? – spytała z irytacją. (Tak naprawdę nie była zirytowana, lecz szczęśliwa. Budziła się rankiem i sprawdzała, czy nadal jest tak szczęśliwa jak wówczas, gdy zasypiała poprzedniej nocy, albo gdy Gordon ją obudził, ocierając się o nią, czy też kiedy ona obudziła jego. I była). – Co to jest?

– Najwyraźniej opis naszego ślubu – powiedział. – Bardzo ładny. Proszę. – Wręczył jej przesyłkę.

Przebiegła po niej wzrokiem.

Był piękny wczesnopóździennikowy dzień, gdy Gordon Robert Johnson i Belinda Karen Abingdon przysięgli sobie, że będą się kochać, wspierać i szanować, aż do końca życia. Panna młoda była urocza i promienna, pan młody zdenerwowany, lecz niewątpliwie dumny i rozradowany.

Tak wyglądał początek. Dalej nieznamy nadawca opisywał mszę i przyjęcie weselne, prostym, jasnym, zabawnym językiem.

– Urocze – westchnęła. – Co jest napisane na kopercie?

– „Ślub Gordona i Belindy” – odczytał Gordon.

– Nie ma nazwiska? Niczego, co wskazywałoby, od kogo to dostaliśmy?

– Mhm.

– Cóż, to bardzo urocze. Bardzo piękny gest – uznała. – Niezależnie od nadawcy.

Zajrzała do koperty, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyli, czy może nie kryje się tam liścik od jednego z jej przyjaciół (albo jego, czy wspólnych). Ale nie. Toteż z lekką ulgą na myśl, że nie musi pisać kolejnego listu z podziękowaniem, wsunęła kremową kartkę z powrotem na miejsce i schowała do pudełka wraz z kopią weselnego jadłospisu, zaproszeniami, stykówkami zdjęć weselnych i jedną białą różą z bukietu panny młodej.

Gordon był architektem, Belinda weterynarzem. Przy wyborze zawodu kierowali się nie rozsądkiem, lecz powołaniem. Oboje niedawno skończyli dwadzieścia lat. Żadne nie było nigdy wcześniej poważnie związane z kimś innym. Poznali się, gdy Gordon przyprowadził do gabinetu Belindy swego trzynastoletniego złotego retrievera, Goldiego – na wpół sparaliżowanego, o posiwiałym pysku – prosząc, by go uściła. Miał tego psa od czasów dzieciństwa, toteż nalegał, że będzie mu towarzyszył aż do końca. Gdy się rozplakał, Belinda ujęła go za rękę, a potem, nagle i nieprofesjonalnie, uściśnęła go mocno, jakby w ten sposób mogła uwolnić go od bólu, poczucia straty i żalu. Jedno z nich spytało drugie, czy mogliby spotkać się tego wieczoru w miejscowym pubie na drinku. Później nie byli pewni, kto pierwszy zaproponował randkę.

O pierwszych latach ich małżeństwa trzeba wiedzieć tylko jedno: byli szczęśliwi. Od czasu do czasu sprzeczała się. Kilka razy doszło do ognistej kłótni o zupełnie nieważne sprawy. Potem jednak zawsze godzili się we łzach, kochali, całowali i szeptali sobie do ucha szczerze słowa przeprosin. Pod koniec drugiego roku, sześć miesięcy po tym, jak przestała zażywać pigułki, Belinda odkryła, że jest w ciąży.

Gordon kupił jej bransoletkę, wysadzaną maleńkimi rubinami, i przerobił gościnną sypialnię na pokój dziecienny. Sam go wytapetował. Na tapecie widniały postaci z wierszyków dla dzieci: mała Bo Peep, Humpty Dumpty i Talerz uciekający z Łyżką. Ich podobizny powtarzały się raz po raz na całym ścianach.

Belinda wróciła ze szpitala z małą Melanie w nosidełku. Przez pierwszy tydzień mieszkała u nich matka Belindy, sypiając na kanapie w salonie.

Trzeciego dnia po powrocie Belinda wyjęła pudełko ze ślubnymi pamiątkami, by pokazać je

matce i powspominać. Ślub wydawał się bardzo odległy. Uśmiechnęły się na widok brązowego badyla, niegdyś będącego białą różą. Cmokały głośno nad jadłospisem i zaproszeniami. Na samym dnie pudełka leżała duża, brązowa koperta.

– „Małżeństwo Gordona i Belindy” – przeczytała matka Belindy.

– To opis naszego ślubu – wyjaśniła Belinda. – Bardzo uroczy. Wspomina nawet o slajdach taty.

Otworzyła kopertę i wyciągnęła kartkę kremowego papieru. Odczytała wypisany na maszynie tekst, po czym skrzywiła się i schowała go bez słowa.

– Mogę to obejrzeć, kochanie? – spytała matka.

– Gordon zrobił mi chyba dowcip – odparła Belinda. – I to niesmaczny, naprawdę.

Tej nocy Belinda, siedząc na łóżku i karmiąc piersią Melanie, powiedziała do Gordona, obserwującego z uśmiechem żonę i maleńką córeczkę:

– Kochanie, czemu napisałeś coś takiego?

– Ale co?

– W liście. Tym o ślubie. No wiesz.

– Nie wiem.

– To nie było zabawne.

Westchnął.

– O czym ty mówisz?

Belinda wskazała przyniesione z góry pudełko, które ustawiła na toalecie. Gordon otworzył je i wyjął kopertę.

– Czy napis na kopercie zawsze tak wyglądał? – spytał. – Sądziłem, że wspominał o naszym ślubie. – Wyjął poszarpaną kartkę i odczytał tekst. Zmarszczył czoło.

– Ja tego nie napisałem.

Odwrócił w rękach kartkę, spoglądając na pusty papier na odwrocie, jakby oczekiwał, że zobaczy tam coś, co pomoże wyjaśnić tajemnicę.

– Nie napisałeś tego? – spytała. – Naprawdę?

Gordon potrząsnął głową. Belinda wytarła umazaną mlekiem bródkę dziecka.

– Wierzę ci – rzekła. – Myślałam, że to ty. Ale nie.

– Nie.

– Pokaż mi to – poprosiła. Podał jej kartkę. – To takie dziwaczne. Wcale nie jest zabawne i na pewno nieprawdziwe.

Na kartce znajdował się krótki opis ostatnich dwóch lat życia Gordona i Belindy. Według opisu nie były to najlepsze lata. W sześć miesięcy po ślubie badany przez Belindę pekińczyk ugryzł ją w policzek tak mocno, że trzeba było szyć ranę, po której pozostała blizna. Co gorsza, zęby uszkodziły także nerw i Belinda zaczęła pić, być może po to, by stłumić ból. Podejrzewała, że jej twarz budzi w Gordonie wstręt. Dziecko stanowiło rozpaczliwą próbę ponownego zbliżenia pary.

– Czemu mieliby pisać takie rzeczy? – spytała.

– Oni?

– Ktokolwiek jest autorem tego okropieństwa.

Przesunęła palcem po policzku, gładkim i nietkniętym. Była piękną młodą kobietą, choć w tej chwili sprawiała wrażenie kruchej i zmęczonej.

– Skąd wiesz, że to oni?

– Nie wiem. – Przełożyła dziecko do lewej piersi. – Po prostu takie mam wrażenie. Że ktoś to

napisał, podmienił stary tekst i czekał, żeby ktoś z nas go przeczytało... No już, maleńka. Bier się do roboty. Brawo, grzeczna dziewczynka...

– Mam to wyrzucić?

– Tak. Nie. Nie wiem. Może... – Pogładziła czoło dziecka. – Zatrzymaj to – zdecydowała w końcu. – Może będziemy potrzebowali dowodu. Zastanawiam się, czy nie zorganizował tego przypadkiem Al. – Al był młodszym bratem Gordona.

Gordon schował kartkę do koperty, umieścił kopertę z powrotem w pudełku, a te następnie wsunął pod łóżko. Tkwiło tam, w zasadzie zapomniane.

Przez następne kilka miesięcy mocno nie dosypiali z powodu nocnych karmień i ciągłego płaczu dziecka, bo Melanie miała skłonności do kolek. Pudełko wciąż stało pod łóżkiem. A potem Gordonowi zaproponowano posadę w Preston, kilkaset mil na północ. Ponieważ zaś Belinda była na urlopie macierzyńskim i nie zamierzała natychmiast wracać do pracy, spodobał jej się ten pomysł. Toteż się przeprowadzili.

Czekał na nich piętrowy dom na brukowanej ulicy – wysoki, stary i przestronny. Belinda od czasu do czasu brała dyżury w miejscowej klinice weterynaryjnej. Zajmowała się małymi zwierzętami. Gdy Melanie skończyła półtora roku, Belinda urodziła syna. Nazwali go Kevin, na pamiątkę nieżyjącego dziadka Gordona.

Gordon został pełnoprawnym współnikiem w firmie architektonicznej. Kiedy Kevin poszedł do przedszkola, Belinda wróciła do pracy.

Pudełko nie zniknęło. Stało w jednym z wolnych pokojów na górze, pod chwiejnym stosem *Magazynu Architektów* i *Przeglądu Architektonicznego*. Od czasu do czasu Belinda myślała o nim i jego zawartości. Pewnego wieczoru, gdy Gordon wyjechał do Szkocji na konsultację w sprawie przebudowy starego dworu, zrobiła coś więcej.

Dzieci już spały. Wspięła się po schodach do nie odnowionej części domu. Przełożyła pisma i otworzyła pudełko, które (w miejscach gdzie nie sięgały pisma) pokrywał nietknięty dwuletni kurz. Napis na kopercie nadal głosił: „Małżeństwo Gordona i Belindy”. Nie potrafiła orzec, czy kiedykolwiek brzmiał inaczej.

Wyjęła kartkę z koperty i przeczytała ją. Potem schowała tekst i usiadła na ziemi, wstrząśnięta, oszołomiona.

Według starannie wypisanej na maszynie historii związku Kevin, młodsze dziecko, w ogóle się nie urodził. Poroniła w piątym miesiącu ciąży. Od tego czasu Belinda cierpiała na częste ataki głębokiej, mrocznej depresji. Gordon rzadko przebywał w domu, ponieważ miał romans z drugą współpracownicą w firmie, uderzająco piękną, lecz nerwową kobietą, starszą od niego o dziesięć lat. Belinda coraz więcej piła. Nosiła wysokie kołnierze i apaszki, aby ukryć pajęczą bliznę na policzku. Prawie nie odzywali się do siebie z mężem. Od czasu do czasu sprzecali się tylko, tak jak czynią to ludzie, którzy lękają się poważniejszych kłótni, wiedząc, że mogą w nich powiedzieć coś, co nieodwracalnie zniszczy im życie.

Belinda nie wspomniała Gordonowi ani słowem o najnowszej wersji „Małżeństwa Gordona i Belindy”. On jednak także ją przeczytał, czy też wersję bliższą poprzedniej, kilka miesięcy później, gdy matka Belindy zachorowała i jego żona wyjechała na tydzień na południe, by się nią zaopiekować. Na kartce papieru, którą Gordon wyjął z koperty, widniał portret małżeństwa, podobny do znajdującego przez Belindę, tyle że jego romans z szefową zakończył się źle i groziła mu utrata pracy.

Gordon lubił nawet swoją szefową, nie wyobrażał sobie jednak, że mógłby się z nią związać. Przepadał za swą pracą, czasem jednak pragnął czegoś, co stanowiłoby większe wyzwanie.

Stan matki Belindy poprawił się. Po tygodniu Belinda wróciła do domu. Jej widok niezmiernie ucieszył męża i dzieci.

Dopiero w Wigilię Gordon wspomniał jej o kopercie.

– Też to czytałaś?

Wcześniej tego wieczoru zakradli się do sypialni dzieci, napełniając wiszące na łóżkach gwiazdkowe pończochy. Krążąc po domu, stojąc przy łóżkach dzieci, Gordon czuł się doskonale szczęśliwy, lecz jego euforię zabarwiały głęboki smutek, świadomość, iż podobne chwile absolutnego szczęścia nie mogą trwać wiecznie, że nie da się zatrzymać czasu.

Belinda natychmiast zgađła o co chodzi.

– Tak – odparła. – Czytałam.

– I co o tym sądzisz?

– Cóż – rzekła. – Nie uważam już, że to dowcip. Nawet złośliwy.

– Mhm – przytaknął. – A zatem co?

Siedzieli w salonie, przyciągnęli światło. Na kominku wśród rozżarzonych węgli płonął kłoda drewna. Ogień rozświetlał pokój migotliwym pomarańczowożółtym blaskiem.

– Myślę, że to naprawdę ślubny prezent – oświadczyła. – To małżeństwo, którego uniknęliśmy. Złe rzeczy spotykają nas tam, na papierze, nie tu, w naszym życiu. Zamiast to przeżywać, czytam o tym, wiedząc, że wszystko mogło się tak ułożyć i że tego uniknęliśmy.

– Twierdzisz zatem, że to magia? – Normalnie nie powiedziałaby czegoś takiego głośno, ale w końcu była Wigilia i siedzieli przy zgaszonym świetle.

– Nie wierzę w magię – odparła stanowczo. – To prezent ślubny. I uważam, że powinniśmy go schować w bezpiecznym miejscu.

W drugi dzień świąt zabrała kopertę z pudła i ukryła w zamkniętej na kluczyk szufladzie z biżuterią. Koperta spoczęła pod naszyjnikami i pierścionkami Belindy, jej bransoletkami i broszkami.

Wiosna zamieniła się w lato. Zima w wiosnę.

Gordon był wykończony. Dniami pracował dla klientów, projektując i współpracując z firmami budowlanymi. Nocami siedział do późna, pracując dla siebie, projektując na konkursy muzea, galerie i budynki publiczne. Czasami jego projekty otrzymywały honorowe wyróżnienia i trafiały do pism architektonicznych.

Belinda zajmowała się teraz dużymi zwierzętami. Uwielbiała to. Odwiedzała rolników, badała i leczyła konie, owce i krowy. Czasami zabierała ze sobą dzieci.

Pewnego dnia, gdy stała właśnie na ogrodzonym pastwisku, próbując zbadać ciężarną kozę, która, jak się jednak okazało, nie przejawiała najmniejszej ochoty do współpracy, zadzwoniła jej komórka. Belinda wycofała się z walki, pozostawiając kozę, patrząc na nią zwycięsko z drugiej strony łąki, i odebrała telefonu.

– Halo?

– Zgadnij, co się stało?

– Witaj, kochany. Hmm. Wygrałeś na loterii?

– Nie, ale blisko. Mój projekt Muzeum Dziedzictwa Brytyjskiego przeszedł do drugiego etapu. Mam groźnych konkurentów, ale jestem w drugim etapie.

– To cudowne.

– Rozmawiałem już z panią Fullbright. Przyśle dziś Sonję, żeby zajęła się dziećmi.

– Cudownie. Kocham cię – rzekła. – A teraz muszę już wracać do kozy.

Podczas uroczystego obiadu wypili stanowczo za wiele szampana. Tej nocy w sypialni,

zdejmując kolczyki, Belinda spytała:

– Sprawdźmy, co jest napisane w ślubnym prezencie?

Spojrzał na nią z powagą z łóżka. Miał na sobie tylko skarpetki.

– Raczej nie. To wyjątkowa noc. Po co ją sobie psuć?

Schowała kolczyki w szufladzie i zamknęła ją na kluczyk. Potem zdjęła pończochy.

– Chyba masz rację. Zresztą i tak już to sobie wyobrażam. Jestem pijana, cierpię na depresję, a ty stałeś się nieszczęśliwym nieudacznikiem, gdy tymczasem... No, prawdę mówiąc, jestem nieco wstawiona, ale nie o to chodzi. Ten tekst tkwi w szufladzie, niczym obraz na strychu w *Portrecie Doriana Graya*.

– „I poznali go tylko dzięki pierścieniom”? Tak, pamiętam. Czytaliśmy to w szkole.

– Tak naprawdę tego właśnie się boję – oznajmiła, naciągając bawełnianą nocną koszulę. – Ze historia na papierze to prawdziwy portret naszego małżeństwa, a to, co widzimy, to tylko upiększona wersja. Tamta jest prawdą. My nie istniejemy. To znaczy... – mówiła teraz z przejściem właściwym ludziom, którzy nadużyli alkoholu. – Nie myślisz sobie czasami, że wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe?

Skinął głową.

– Czasami. Na przykład dzisiaj.

Zadrzała.

– Może rzeczywiście jestem pijaczką z blizną na policzku, ty dupczysz wszystko, co się rusza, a Kevin się nigdy nie urodził. Może wszystkie te okropieństwa są prawdziwe.

Wstał, podszedł do niej i objął ją mocno.

– Ale tak nie jest – przypomniał. – Ty jesteś prawdziwa. Ja jestem prawdziwy. Ten ślubny list to tylko zwykła historia. Jedynie słowa.

Ucałował ją i przytulił. Tej nocy niewiele już mówili.

Minęło sześć długich miesięcy, nim projekt Muzeum Dziedzictwa Brytyjskiego autorstwa Gordona został ogłoszony zwycięzcą, choć w *The Timesie* zmieszano go z błotem jako „agresywnie nowoczesnego”, w różnych pismach architektonicznych uznano za zbyt staroświeckiego, a jeden z jurorów w wywiadzie w *Sunday Telegraph* określił go jako „kandydata kompromisowego – u wszystkich zajmującego drugie miejsce”.

Przeprowadzili się do Londynu. Dom w Preston wynajęli malarzowi z rodziną; Belinda nie zgodziła się, by Gordon go sprzedał. Gordon z radością całkowicie poświęcił się pracy nad projektem muzeum. Kevin miał sześć lat, Melanie osiem. Londyn przytłoczył Melanie, Kevin natomiast od razu pokochał miasto. Dzieci niechętnie rozstały się z przyjaciółmi i szkołami. Belinda znalazła sobie pracę na pół etatu w maleńkiej klinice weterynaryjnej w Camden. Dyżurowała trzy popołudnia w tygodniu. Tęskniła za swymi krowami.

Dni w Londynie zamieniały się w miesiące i lata. Mimo pojawiających się od czasu do czasu problemów budżetowych Gordon był coraz bardziej podekscytowany. Zbliżał się dzień rozpoczęcia budowy muzeum.

Pewnej nocy Belinda ocknęła się nad ranem. W żółtym blasku latarni za oknem sypialni spojrzała na śpiącego męża. Miał coraz wyższe czoło. Włosy z tyłu głowy wyraźnie się przerzedziły. Zastanowiła się, jak to będzie być żoną łysego mężczyzny, i uznała, że tak samo jak dotąd. Dalej będzie dobrze, w miarę dobrze. Będą szczęśliwi, w miarę szczęśliwi.

Zastanawiała się, co się dzieje z nimi w kopercie. Czowała jej obecność. Ciężką, przytłaczającą. Przyczajoną w kącie sypialni, bezpiecznie zamkniętą. Nagle zrobiło się jej żal Belindy i Gordona, uwięzionych w kopercie na kartce papieru, nienawidzących siebie nawzajem i całej

reszty świata.

Gordon zaczął chrapać. Ucałowała go czule w policzek, mówiąc: Ciii. Poruszył się i umilkł, ale się nie obudził. Przytuliła się do niego i wkrótce znów zasnęła.

Następnego dnia po lunchu, podczas rozmowy z importerem toskańskich marmurów, Gordon spojrział nagle ze zdumieniem przed siebie i uniośł dłoń do piersi.

– Okropnie mi przykro – powiedział. A potem ugięły się pod nim kolana i runął na podłogę. Wezwali karetkę, ale gdy przyjechała, Gordon już nie żył. Miał trzydzieści sześć lat.

Podczas sekcji stwierdzono, że cierpiał na wrodzoną wadę serca. Śmierć mogła nastąpić w każdej chwili.

Przez pierwsze trzy dni po jego śmierci Belinda nic nie czuła. Jedynie pustkę. Absolutną pustkę. Pocieszała dzieci. Rozmawiała z przyjaciółmi, swoimi i Gordona, ze swoją i jego rodziną, przyjmując kondolencje z wdzięcznością i taktem, jak ktoś przyjmujący niechciane prezenty. Słuchała, jak ludzie oplakują Gordona. Sama jeszcze tego nie zrobiła. Mówiła to, co należało, i zupełnie nic nie czuła.

Melanie, która skończyła jedenaście lat, znosiła to całkiem dobrze. Kevin porzucił swe książki i gry komputerowe i siedział w sypialni, patrząc w okno. Nie miał ochoty rozmawiać.

W dzień po pogrzebie jej rodzice wrócili na wieś, zabierając ze sobą dzieci. Belinda odmówiła wyjazdu. Oznajmiła, że ma zbyt wiele spraw do załatwienia.

Czwartego dnia po pogrzebie słała właśnie podwójne łóżko, w którym sypiali we dwoje z Gordonem, gdy nagle zaczęła płakać. Szlochaniem wstrząsnęło jej ciałem w gwałtownych spazmach. Łzy popłynęły z oczu na kapę, z nosa ściekał śluz. Gwałtownie usiadła na podłodze, niczym marionetka, której przecięto sznurki, i płakała prawie godzinę. Pojęła bowiem, że nigdy więcej już go nie zobaczy.

W końcu otarła twarz. Potem otworzyła szufladę z biżuterią, wyjęła kopertę i ją otworzyła. Wyciągnęła kremową kartkę papieru, przebiegając wzrokiem po starannie wypisanych na maszynie słowach. Belinda na papierze rozbiła po pijanemu samochód. Miała właśnie stracić prawo jazdy. Od wielu dni nie odzywali się do siebie z Gordonem, który półtora roku wcześniej stracił pracę i obecnie większość czasu spędzał, tkwiąc beczynnym w ich domu w Salford. Utrzymywali się wyłącznie z pensji Belindy. Rodzice zupełnie nie panowali nad Melanie. Kiedyś, sprząając w pokoju córki, Belinda natknęła się na plik pięcio- i dziesięciofuntowych banknotów. Melanie nie wyjaśniła, skąd jedenastoletnia dziewczynka wzięła pieniądze. Po prostu uciekła do pokoju, patrząc na nich gniewnie i zaciskając usta. Gordon i Belinda nie dopytywali się więcej, przerażeni tym, co mogliby odkryć. Dom w Salford był brudny i wilgotny. Z sufitu wielkimi płatami spadał tynk. Cała trójka nieustannie głośno kaszłała.

Belindzie było ich żal.

Schowała kartkę do koperty. Zastanawiała się, jak by to było nienawidzić Gordona, jak by się czuła, gdyby on nienawidził jej. Jak wyglądałoby jej życie bez Kevina, bez jego rysunków samolotów i cudownie fałszujących wersji popularnych piosenek. Zastanawiała się, skąd Melanie – tamta Melanie, nie jej Melanie, lecz zbuntowana, nieposkromiona Melanie – wzięła pieniądze. Z ulgą pomyślała, że jej córkę interesuje głównie balet oraz książki dla dziewczynek.

Tak bardzo brakowało jej Gordona. Miała wrażenie, że ktoś wbija jej w pierś coś ostrego, potężny gwóźdź albo sopel lodu, powstały z chłodu, samotności i świadomości, że na tym świecie już go nie ujrzy.

Zabrała kopertę na dół, do salonu. Na kominku płonęły węgle. Gordon uwielbiał ogień. Twierdził, że tchnie on życie w całe pomieszczenie. Belinda nie przepadała za ogniem

na kominku. Tego wieczoru jednak rozpałała go z przyzwyczajenia, a także dlatego, że w przeciwnym razie przyznałaby przed samą sobą, na pewnym niezaprzeczalnym poziomie, że mąż już nigdy nie wróci do domu.

Jakiś czas wpatrywała się w płomienie, rozmyślając o tym, co zdobyła w życiu i z czego zrezygnowała. Czy gorzej jest kochać kogoś, kogo już nie ma, czy też nie kochać kogoś, kto jest.

A potem, niemal od niechcienia, cisnęła kopertę w głąb paleniska. Patrzyła, jak papier zwija się, czernieje i zajmuje ogniem, wśród roztańczonych płomieni, żółtych i niebieskich.

Wkrótce prezent ślubny zamienił się w czarne płatki popiołu, które pofrunęły w górę i uleciały kominem w noc, niczym dziecięcy list do świętego Mikołaja.

Belinda usiadła w fotelu i zamknęła oczy, czekając, aż na jej policzku rozkwitnie blizna.

* *
*

Oto opowiadanie, którego nie napisałem na ślub przyjaciół, choć oczywiście nie jest to samo opowiadanie, nie jest to też opowiadanie, do którego pisania się zabrałem kilka stron wcześniej. Tamto było znacznie krótsze, bardziej przypominało przypowieść i kończyło się inaczej (nie wiem już sam, jak kończyło się w wersji pierwotnej. Wymyśliłem jakieś zakończenie, ale gdy zabrałem się do pracy, prawdziwe zakończenie objawiło mi się nagle i wydało nieuniknione).

Większość historii zawartych w tym tomie ma jedną wspólną cechę: ich ostateczny kształt nie przypomina wcale tego, którego oczekiwałem, gdy siadałem do pisania. Czasami orientowałem się, że historia dobiegła końca, tylko dzięki temu, że brakowało mi już słów, które mogłem przelać na papier.

Wróżąc z wnętrzości: Rondo

Redaktorzy, którzy proszą o historie „o czymkolwiek zechcesz. Słowo daję, jest mi absolutnie wszystko jedno. Po prostu napisz coś, co zawsze chciałeś napisać”, rzadko cokolwiek dostają.

W tym przypadku Lawrence Schmel napisał do mnie, prosząc o wiersz, który otwierałby antologię opowieści o przepowiadaniu przyszłości. Zażyczył sobie wiersza o powtarzających się wersach, czegoś w stylu vilanelli albo pantumu. Miało to obrazować nieuniknione nadejście przyszłości.

Napisałem mu zatem rondo, traktujące o radościach i niebezpieczeństwach związanych z przepowiadaniem przyszłości, i zamiast motta opatrzyłem najbardziej ponurym żartem z *O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra*. Uznałem, że to niezły początek dla książki.

Rycerskość

Miałem bardzo ciężki dzień. Scenariusz, nad którym powinienem pracować, zupełnie mi nie szedł. Całymi dniami wpatrywałem się w pusty ekran, od czasu do czasu pisząc nieważne słówko, patrząc na nie przez godzinę, a potem powoli, literka po literce, kasując i pisząc zamiast tego „i” albo „lub”. Potem wychodziłem z programu bez zapisywania. Zadzwonił Ed Kramer i przypomniał mi, że jestem mu winien opowiadanie do antologii historii o świętym Graalu;

przygotowywał ją wraz ze wszechobecnym Martym Greenbergiem. A ponieważ nic innego mi nie wychodziło, a historia ta żyła już gdzieś w moim umyśle, odparłem: Jasne.

Napisałem ją w ciągu weekendu. To prawdziwy dar bogów. Szło mi naprawdę świetnie, zupełnie jakbym narodził się na nowo. Śmiałem się w obliczu niebezpieczeństwa i plułem na buty blokady twórczej. A potem, przez następny tydzień, siedziałem i wpatrywałem się ponuro w pusty ekran, bo bogowie mają złośliwe poczucie humoru.

Kilka lat temu, podczas serii spotkań autorskich, ktoś wręczył mi odbitkę rozprawy akademickiej z dziedziny feministycznej teorii języka, porównującą i kontrastującą „Rycerskość”, „Damę z Shalott” Tennysona i piosenkę Madonny. Mam nadzieję pewnego dnia napisać opowiadanie zatytułowane „Wilkołak pani Whitaker”. Zastanawiam się, jakie prace mogą powstać na jego podstawie.

Kiedy czytam swoje teksty przed publicznością, zwykle zaczynam od właśnie tego opowiadania. Jest bardzo przyjazne. Lubię czytać je głośno.

Mikołaj był...

W każde święta dostaję kartki od malarzy i rysowników. Tworzą je sami. To prawdziwe arcydzieła, pomniki twórczego talentu.

W każde święta czuję się nieważny, zawstydzony, pozbawiony wszelkich zdolności.

Toteż pewnego roku napisałem tę historyjkę. Dave McKean wykaligrafował ją elegancko, a ja rozesłałem wszystkim, którzy przyszli mi na myśl. Oto moja kartka.

Liczy sobie dokładnie dziewięćdziesiąt słów (dziewięćdziesiąt dwa, jeśli brać pod uwagę tytuł). Po raz pierwszy ukazała się drukiem w *Drabble II*, zbiorze najwyżej stuwyrzowych opowiadań. Wciąż zamierzam napisać kolejne opowiadanie na kartkę świąteczną, ale zwykle przypominam o tym sobie około piętnastego grudnia i odkładam na następny rok.

Cena

Moja agentka, Merrilee Heifetz z Nowego Jorku, to jedna z najlepszych osób, jakie znam. Za mojej pamięci tylko raz zasugerowała mi, żebym napisał coś na z góry ustalony temat. Działo się to jakiś czas temu.

– Posłuchaj – rzekła. – W dzisiejszych czasach w modzie są anioły, a ludzie lubią książki o kotach. Pomyślałam zatem, że byłoby fajnie, gdyby ktoś napisał książkę o kocie, który jest aniołem, albo aniele, który jest kotem, albo coś w tym stylu.

Ja zaś zgodziłem się, że to rzeczywiście świetny pomysł handlowy i że się nad nim zastanowię. Niestety, kiedy skończyłem się zastanawiać, książki o aniołach akurat wyszły z mody. Jednakże załazek pomysłu tkwił w mojej głowie i któregoś dnia napisałem to opowiadanie.

(Dla zainteresowanych: po jakimś czasie pewna młoda dama zakochała się w Czarnym Kocie, który z nią zamieszkał. Gdy widziałem go po raz ostatni, wielkością przypominał małą pumę, i z tego, co wiem, wciąż rośnie. Dwa tygodnie po odejściu Czarnego Kota na werandę wprowadził się pasiasty rudzielec. W chwili, gdy to piszę, śpi na oparciu kanapy parę metrów ode mnie).

A skoro już przy tym jesteśmy, to chciałbym skorzystać ze sposobności i podziękować mojej

rodzinie za to, że pozwoliła mi wykorzystać się w opowiadaniu i, co ważniejsze, zarówno dawała mi spokój, pozwalając, bym pisał bez przeszkód, jak i czasami upierała się, bym zostawił pracę i wyszedł na świat.

Trolowy most

Opowiadanie to zostało nominowane do Światowej Nagrody Fantasy za rok 1994. Nie wygrało. Napisałem je do książki *Snow White, Blood Red*, pod redakcją Ellen Daltow i Terri Windling, antologii bajek dla dorosłych. Wybrałem bajkę o trzech koziołkach. Gdyby Gene Wolfe, jeden z moich ulubionych autorów (i, co uświadamiam sobie w tej chwili, kolejny pisarz, który ukrył we wstępie opowiadanie) nie zajął tego tytułu wiele lat wcześniej, nazwałbym je „Trip Trap”.

Nie pytaj diabła

Lisa Snellings to niezwykła rzeźbiarka. Napisałem to opowiadanie dzięki jej rzeźbie, z którą się zetknąłem i którą natychmiast pokochałem: demonicznemu diabłu w pudełku. Dostałem od niej kopię rzeźby; obiecała, że w testamencie zapisze mi oryginał. Każda z jej rzeźb jest niczym opowieść utrwalona w drewnie bądź gipsie. (Na moim kominku stoi jedna z nich, przedstawiająca skrzydlatą dziewczynę w klatce, podającą przechodniowi pióro ze skrzydeł, podczas gdy jej strażnik smacznie śpi. Podejrzewam, że kryje się w niej cała powieść. Zobaczymy).

Złote rybki i inne opowiadania

Fascynuje mnie mechanika pisania. Opowiadanie to zacząłem w 1991 roku. Napisałem trzy strony, a potem, czując się zbyt osobiście związany z tematem, porzuciłem je. W końcu w 1994 postanowiłem skończyć tekst, z przeznaczeniem do antologii pod redakcją Janet Berliner i Davida Copperfielda. Pisałem chaotycznie na wysłużonym palmtopie Atari Portfolio, w samochodach, samolotach i pokojach hotelowych, kawałkami, bez ładu i składu, zapisując dialogi i wymyślone spotkania. W końcu uznałem, że napisałem dosyć. Wówczas uporządkowałem materiał, którym dysponowałem, i ze zdumieniem i radością odkryłem, że to działa.

Część tego opowiadania opiera się na faktach.

Trytyk, Pożarty (sceny z filmu), Biała droga, Królowa noży

Kilka lat temu w ciągu kilkunastu miesięcy napisałem trzy poematy narracyjne. Pierwszy: „Pożarty (sceny z filmu)” zrodził się w mej głowie w maju 1993 roku jako seria luźnych przemyśleń o tym, jak ludzie traktują innych ludzi, o filmie, granicach i języku filmu, o pornografii i niskim poziomie pornografii, o języku scenopisów i scenariuszy, a także o związku pomiędzy jedzeniem i seksem. A może tak naprawdę narodził się pewnej nocy w 1984 roku, gdy nawiedził mnie koszmar, w którym stara czarownica pożerała mnie żywcem?

Zatrzymała mnie, by móc się pożywiać, a ja niczym zombi wędrowałem w ślad za nią. Z lewej ręki i dłoni pozostały mi tylko kości i niedojedzone skrawki poszarpanego mięsa. Wówczas napisałem o tym opowiadanie, lecz fragmenty snu pozostały we mnie i zaczęły powoli gromadzić wokół siebie inną historię. Narastała, warstwa po warstwie, niczym macica perłowa, układająca się wokół czegoś, czego wolałbym w sobie nie przechowywać.

Gdy czytuję scenariusze i gdy sam je pisuję, zawsze wymawiam w myślach Int i Ext, tak jak je napisano, nie Interior (wnętrze) i Exterior (plener). Kiedy pokazałem ten wiersz pierwszym czytelnikom, ze zdumieniem odkryłem, iż inni ludzie tego nie robią. „Pożarty” to jednak bardzo dosłowny utwór i skróty te należy wymawiać tak, jak ja to czynię.

Drugi wiersz stanowił przeróbkę kilku starych ludowych baśni i nosił tytuł „Biała droga”. Był równie drastyczny jak historie, na których go oparłem. Trzeci opowiadał o moich dziadkach ze strony matki i o sztuczkach iluzji. Był mniej drastyczny, lecz, mam nadzieję, równie niepokojący jak dwa poprzednie z serii. Jestem z nich wszystkich bardzo dumny. Specyfika świata wydawniczego sprawiła, że ukazały się w ciągu kilku lat, toteż każdy z nich trafił do antologii najlepszych tekstów roku (wszystkie trzy zostały wybrane do amerykańskiego *Year's Best Fantasy And Horror*, jeden do brytyjskiego *Year's Best Horror*, a jeden, ku memu zdumieniu, do międzynarodowego zbioru najlepszych tekstów erotycznych).

Biała droga

Istnieją dwie historie, które od lat mnie prześladowają i budzą mój niepokój, pociągają i odpychają, już od czasów dzieciństwa, gdy zetknąłem się z nimi po raz pierwszy. Jedna z nich to dzieje Sweeneya Todda „upiornego fryzjera z Fleet Street”, druga to opowieść o Panu Lisie, angielska wersja legendy o Sinobrodym.

Wersje wykorzystane w tym wierszu zostały zainspirowane przez historie, które znalazłem w *The Penguin Book of English Folktales* pod redakcją Neila Philipa: „Opowieść o Panu Lisie” oraz następujące po niej przypisy, a także inną wersję, zatytułowaną „Pan Foster”, w której znalazłem wizję białej drogi i tego, jak zalotnik zaznaczał szlak wiodący do swego potwornego domu.

W „Opowieści o Panu Lisie” refren – *Nie tak to było, nie tak było, i niech Bóg broni, by tak się zdarzyło* – powtarza się niczym litania podczas kolejnych opisów straszliwych rzeczy, które, jak twierdzi narzeczona pana Lisa, oglądała we śnie. Pod koniec dziewczyna ciska na podłogę zakrwawiony palec albo dłoń, zabraną z domu, udowadniając, że wszystko, co opisała, jest prawdą. Tak właśnie kończy się ta historia.

Wiersz ten został zainspirowany także przez niesamowite opowieści z Chin i Japonii, w których w ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się do lisów.

Królowa noży

Ta opowieść, podobnie jak moja powieść obrazkowa *Mr Punch*, tak bardzo zbliża się do prawdy, że od czasu do czasu musiałem wyjaśniać krewnym, iż coś takiego nigdy się nie wydarzyło, a przynajmniej nie do końca w ten sposób.

Fakty w sprawie zniknięcia panny Finch

Kiedyś pokazano mi obraz Franka Frazetty i poproszono, bym napisał towarzyszące mu opowiadanie. Nie potrafiłem wymyślić żadnej historii, zamiast tego więc opowiedziałem o tym, co się zdarzyło pannie Finch.

Zmiany

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie Lisa Tuttle, prosząc o opowiadanie do przygotowywanej przez nią antologii o płci. Zawsze uwielbiałem SF. Gdy byłem młody, święcie wierzyłem, że zostanę pisarzem science fiction. Nigdy do tego nie doszło. Kiedy pierwszy raz wpadł mi do głowy pomysł na to opowiadanie (niemal dziesięć lat temu), ujrzałem w myślach serię połączonych króciutkich tekstów, tworzących powieść, zgłębiającą świat relacji i problemów płciowych. Nigdy jednak nie napisałem żadnego z tych opowiadań. Kiedy Lisa zadzwoniła, przyszło mi nagle do głowy, że mógłbym wykorzystać wymyślony przeze mnie świat i opowiedzieć jego historię w ten sam sposób, w jaki Eduardo Galeano opowiedział historię Ameryki w swojej trylogii *Memory of Fire*.

Po skończeniu opowiadania pokazałem je przyjaciółce, która oznajmiła, że ma wrażenie, jakby czytała plan powieści. Mogłem jedynie pogratulować jej przenikliwości, lecz Lisie Tuttle spodobało się to opowiadanie. Podobnie mnie.

Córka sów

John Aubrey, siedemnastowieczny kolekcjoner legend i historyk, to jeden z moich ulubionych pisarzy. W jego dziełach znajduję niezwykłą mieszankę wiarygodności i erudycji, gawęd, wspomnień i wymysłów. Podczas lektury tekstów Aubreya czytelnik ma wrażenie, że autor przemawia do niego z przeszłości poprzez granice stuleci: niezwykle czarujący, interesujący rozmówca. Poza tym podoba mi się jego pisownia. Próbowałem napisać tę historię na kilka różnych sposobów, ale żaden mi nie odpowiadał. I wtedy przyszło mi do głowy, by napisać ją w stylu Aubreya.

Kufelek starego Shoggota

Nocny pociąg z Londynu do Glasgow przyjeżdża na miejsce o piątej rano. Gdy z niego wysiadłem, ruszyłem do hotelu. Wszedłem do środka. Zamierzałem udać się do recepcji, wynająć pokój, przespać się, a kiedy wszyscy wstaną, następnym kilka dni spędzić na organizowanym w hotelu konwencie science fiction. Oficjalnie miałem napisać z niego relację dla ogólnokrajowej gazety.

Kiedy zmierzałem holem w stronę recepcji, minąłem bar. Był prawie pusty. Pozostał w nim tylko rozbawiony barman i angielski fan, John Jarrold, który, jako gość honorowy konwentu, miał w barze otwarty rachunek i wykorzystywał go, podczas gdy inni spali.

Przystanąłem zatem, by pogadać z Johnem, i w ogóle nie dotarłem do recepcji. Przez następnych czterdzieści osiem godzin gawędziliśmy, wymieniając się historyjkami i dowcipami.

Następnego dnia nad ranem, gdy bar znów zaczynał pustoszeć, z entuzjazmem zabraliśmy się do masakrowania zapamiętanych przez nas fragmentów *Guys and Dolls*. W pewnym momencie w tym samym barze odbyłem rozmowę z nieżyjącym już Richardem Evansem, angielskim redaktorem SF. Sześć lat później rozmowa ta stała się załączkiem *Nigdziebądź*.

Nie pamiętam już, dlaczego zaczęliśmy rozmawiać o Cthulhu głosami Petera Cooka i Dudleya Moore, ani dlaczego zacząłem wybrzydzać na styl pisania H.P. Lovecrafta. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z niewyspaniem.

Obecnie John Jarrold to szanowany redaktor i ostoja brytyjskiego przemysłu wydawniczego. Niektóre fragmenty ze środka tego opowiadania zrodziły się właśnie w tamtym barze, gdy John i ja odgrywaliśmy stwory z książek Lovecrafta głosami Pete'a i Duda. Mike Ashley to redaktor, który namówił mnie do przerobienia owych kawałków na opowiadanie.

Wirus

Wiersz ten powstał do zbioru *Digital Dreams* Davida Barreta, antologii opowiadań komputerowych. Nie grywam już w gry komputerowe. Kiedy to robiłem, zauważyłem, że zajmują one zbyt wiele miejsca w moim umyśle. Kładłem się spać i widziałem pod powiekami spadające klocki albo małych ludzików, podskakujących i biegnących naprzód. Nawet grając w umyśle, zwykle przegrywałem. Stąd ten tekst.

Szukając dziewczyny

Opowiadanie to zamówiła redakcja *Penthouse'a* do styczniowego numeru w 1985, w dwudziestą rocznicę pisma. Kilka lat wcześniej ledwo wiązałem koniec z końcem jako młody dziennikarz na ulicach Londynu, przeprowadzając wywiady ze znanymi ludźmi dla *Penthouse'a* i *Knave'a*, dwóch angielskich pism z panienkami, znacznie łagodniejszych niż ich amerykańskie odpowiedniki. Była to niezła szkoła życia.

Spytałem kiedyś pewną modelką, czy czuje się wykorzystywana.

– Ja? – spytała. Miała na imię Marie. – Świetnie mi za to płacą, mój drogi. To lepsze niż harówka na nocnej zmianie w zakładach cukierniczych w Bradford. Powiem ci, kto jest naprawdę wykorzystywany. Faceci, którzy kupują te pisma i co miesiąc walą konia na mój widok. To oni są wykorzystywani.

Myślę, że z tej właśnie rozmowy zrodziło się opowiadanie.

Kiedy je napisałem, byłem naprawdę zadowolony – oto pierwszy kawałek prozy, który wydawał się naprawdę moim dziełem, nie naśladownictwem kogoś innego. Zbliżałem się do osiągnięcia własnego stylu. Przygotowując się do pisania, odwiedziłem redakcję *Penthouse'a* w dokach londyńskich, przerzucając dwadzieścia roczników oprawionych pism. W pierwszym *Penthouse* znalazłem zdjęcie mojej przyjaciółki, Dean Smith. Dean zajmowała się makijażem dla *Knave'a*. Okazało się, że w sześćdziesiątym piątym roku była pierwszym Kociakiem Roku *Penthouse'a*. Podpis pod zdjęciem Charlotte podwędziłem wprost spod podpisu pod Dean – nowo narodzona indywidualistka itd. Później słyszałem, że *Penthouse* poszukiwał Dean, pragnąc, by wzięła udział w obchodach dwudziestopięciolecia pisma, ona jednak jakby zapadła się pod ziemię. Pisali o tym we wszystkich gazetach.

I kiedy tak przeglądałem dwadzieścia roczników magazynu *Penthouse*, przyszło mi do głowy,

że tego typu pisma nie mają nic wspólnego z kobietami, za to absolutnie wszystko ze zdjęciami kobiet. To było drugie ziarno, z którego zrodziło się to opowiadanie.

Tylko kolejny koniec świata, nic więcej

Ze Steve'em Jonesem przyjaźnimy się od piętnastu lat. Przygotowaliśmy nawet razem zbiór niegrzecznych wierszyków dla dzieci. To oznacza, że Steve może do mnie zadzwonić i oznajmić: „Przygotowuję antologię opowiadań dziejących się w fikcyjnym mieście H.P. Lovecrafta, Innsmouth. Napisz mi tekst”.

Opowiadanie to powstało dzięki połączeniu kilku różnych rzeczy (oto, skąd my, pisarze, Bierzemy Swoje Pomysły, na wypadek gdybyście się zastanawiali). Jedną z nich była książka nieżyjącego już Rogera Zelazny'ego *A Night in the Lonesome October*, cudownie i zabawnie wykorzystująca liczne sztampowe postacie grozy i fantasy. Roger podarował mi egzemplarz kilka miesięcy przed napisaniem tego opowiadania i świetnie bawiłem się podczas lektury. Mniej więcej w tym samym czasie czytałem pochodzącą sprzed trzystu lat relację z procesu francuskiego wilkołaka. Czytając zeznania jednego ze świadków, uświadomiłem sobie, że stała się ona natchnieniem dla cudownego opowiadania Sakiiego, „Gabriel Ernest”, a także dla krótkiej powieści Jamesa Brancha Cabella „The White Robe”. Lecz zarówno Saki, jak i Cabell okazali się za dobrze wychowani, by wykorzystać motyw z wymiotowaniem palców, kluczowy dowód w procesie. Co oznaczało, że ja muszę to zrobić.

Larry Talbot to imię i nazwisko pierwszego wilkołaka, tego który spotyka Abbota i Costello.

Bay Wolf

I znów wracamy do Steve'a Jonesa. „Chcę, żebyś napisał dla mnie jedno ze swoich wierszowanych opowiadań. To musi być historia detektywistyczna, dziejąca się w niedalekiej przyszłości. Może mógłbyś wykorzystać postać Larry'ego Talbota z *Tylko kolejny koniec świata, nic więcej*”.

Tuż przedtem skończyłem współpracę nad ekranową adaptacją *Beowulfa*, staroangielskiego poematu. Nieco zdumiało mnie, jak wielu ludzi nie dosłyszało tytułu i uznało, że napisałem właśnie odcinek serialu *Baywatch – Słoneczny Patrol*. Zacząłem zatem opowiadać od nowa *Beowulfa* jako futurystyczny odcinek *Baywatcha*, z przeznaczeniem do antologii opowieści detektywistycznych. Było to jedyne rozsądne wyjście. Posłuchajcie, ja nie naśmiewam się z waszych pomysłów.

Piętnaście malowanych kart z wampirzego tarota

Pewnego dnia być może dokończę wielkie arkana. Zostało jeszcze siedem kart i siedem krótkich opowieści. A potem czas na mniejsze arkana. Sami możecie nakreślić własne obrazy.

Załatwimy ich panu hurtowo

Gdyby historie w tej książce zostały ułożone chronologicznie, a nie w osobliwy, chaotyczny

sposób, wedle mojego widzimisię, to opowiadanie byłoby pierwsze. Pewnego wieczoru w 1983 roku przysnąłem, słuchając radia. Gdy zasypiałem, rozmawiano w nim o kupowaniu w ilościach hurtowych, kiedy się obudziłem – o mordercach do wynajęcia. Stąd wzięło się to opowiadanie.

Tuż przed jego napisaniem czytałem mnóstwo opowiadań Johna Colliera. Przy ponownej lekturze kilka lat temu uświadomiłem sobie, że to historia w stylu Johna Colliera. Nie tak dobra, jak jego teksty, znacznie gorzej napisana, wciąż jednak pozostaje opowieścią collierowską. Nie zauważyłem tego, gdy ją pisałem.

Jedno życie, urządzone w stylu wczesnego Moorcocka

Gdy poproszono mnie o napisania tekstu do zbioru opowiadań o Elryku Michaela Moorcocka, zdecydowałem się na opowieść o chłopcu, bardzo podobnym do tego, jakim byłem w dzieciństwie, i jego związkach ze światem literatury. Wątpiłem, bym zdołał powiedzieć o Elryku cokolwiek, co nie byłoby pastiszem. Jednak gdy miałem dwanaście lat, postaci Moorcocka wydawały mi się równie rzeczywiste, jak moje codzienne życie, i znacznie bardziej rzeczywiste niż na przykład lekcje geografii.

– Ze wszystkich tekstów antologii najbardziej spodobał mi się twój i Tada Williamsa – oznajmił Michael Moorcock, gdy natknąłem się na niego w Nowym Orleanie kilka miesięcy po skończeniu opowiadania. – Ale jego tekst podobał mi się bardziej, bo występował w nim Jimi Hendrix.

Tytuł ukradłem z opowiadania Harlana Ellisona.

Zimne barwy

W swoim czasie pracowałem dla różnych mediów. Czasami ludzie pytają, skąd wiem, do którego z nich pasuje dany pomysł. Zwykle z pomysłów rodzą się różne rzeczy – komiksy, filmy, wiersze, proza, powieści, opowiadania. Od razu wiem, co piszę.

To natomiast był wyłącznie pomysł. Chciałem powiedzieć coś o komputerach, owych piekielnych maszynach, o czarnej magii i Londynie, który oglądałem pod koniec lat osiemdziesiątych, w okresie szaleństw finansowych i upadku moralnego. Nie wydawało mi się, by pomysł ten pasował do opowiadania bądź powieści, toteż spróbowałem wykorzystać go w wierszu, co udało się doskonale.

Do zbioru *The Time Out Book of London Short Stories* przerobiłem tekst na prozę. Wielu czytelników przyjęło to ze zdumieniem.

Zamiatacz snów

To opowiadanie zaczęło się od rzeźby Lisy Snellings, przedstawiającej mężczyznę opartego na szczotce, sprzątacza bądź dozorcę. Zastanawiałem się, jaki to sprzątacze? Stąd ta historia.

Poczucie obcości

To kolejne wczesne opowiadanie. Napisałem je w 1984 roku. Ostateczna wersja (pospieszna

warstwa farby, wyrównanie najgorszych pęknięć) pochodzi z roku 1989. W osiemdziesiątym czwartym roku nie mogłem sprzedać tego tekstu. Pismom SF nie spodobał się seks, pismom o seksie nie spodobała się choroba. W osiemdziesiątym siódmym spytano mnie, czy sprzedam go do antologii seksualnych opowiadań SF. Odmówiłem. W osiemdziesiątym czwartym pisałem o chorobie wenerycznej; w osiemdziesiątym siódmym to samo opowiadanie zdawało się nabierać zupełnie innego znaczenia. Sama historia nie uległa zmianie, zmienił się jednak otaczający ją krajobraz. Mówię tu o AIDS. Podobnie jak, czy chciałem tego, czy nie, moje opowiadanie. Jeśli miałem przerobić tekst, musiałem wziąć w nim pod uwagę AIDS, a nie mogłem. Był to temat zbyt rozległy, zbyt obcy, zbyt trudny do ogarnięcia. Lecz w roku 1989 krajobraz kulturalny ponownie uległ zmianie, do tego stopnia, że choć nadal nie czułem się do końca pewnie, to jednak mogłem już wydobyć moją opowieść na światło dzienne, wyszykować, zetrzeć brud z jej twarzy i posłać na spotkanie miłych ludzi. Kiedy zatem redaktor Steve Niles spytał, czy nie mam czegoś nie opublikowanego do jego antologii *Words Without Pictures*, dałem mu ten tekst.

Mógłbym powiedzieć, że to nie jest opowiadanie o AIDS. Ale skłamałbym, przynajmniej częściowo. W dzisiejszych czasach AIDS stało się, na dobre czy na złe, jeszcze jedną chorobą w arsenale Wenery.

Tak naprawdę sądzę, że głównym tematem opowiadania jest samotność i tożsamość, a także być może radość, jaką niesie samodzielne radzenie sobie ze światem.

Wampirza sestyna

Moja jedyna udana sestyna (wiersz, w którym ostatnie słowa pierwszych sześciu wersów powtarzają się w stale zmiennej sekwencji w następnych zwrotkach i trzywersowym zakończeniu), po raz pierwszy opublikowana w *Fantasy Tales*, przedrukowana w *Mammoth Book of Vampires* Steve'a Jonesa. Przez lata był to jedyny tekst, jaki napisałem o wampirach.

Mysz

Napisałem to opowiadanie do *Touch Wood*, pod redakcją Pete'a Crowthera, antologii dotyczącej przesądów. Zawsze chciałem napisać opowiadanie w stylu Raymonda Carvera. Jego teksty wydawały się takie proste i łatwe. Pisanie tej historii nauczyło mnie, że tak nie jest.

To straszne, ale rzeczywiście słuchałem audycji radiowej opisaną w opowiadaniu.

Zmienne morze

Napisałem ten wiersz w mieszkaniu na ostatnim piętrze małego domku na Earl's Court. Natchnieniem stała się rzeźba Lisy Snellings i wspomnienie plaży w Portsmouth, gdy byłem małym chłopcem: nieustannego łoskotu fal rozbijających się o zasypany niezliczonymi kamykami brzeg. W owym czasie pisałem ostatnią część *Sandmana*, zatytułowaną „Burza”. W moim umyśle nieustannie rozbłyskały cytaty ze sztuki Szekspira. Pojawiają się one także w tym wierszu.

Jak myślisz, jakie to uczucie?

Zgodziłem się napisać tekst do antologii opowiadań o gargulcach. Choć termin zbliżał się szybkimi krokami, wciąż nie miałem pomysłu.

W końcu przyszło mi do głowy, że gargulce umieszczano na kościołach i katedrach, by ich strzegły. Zastanawiałem się, czy gargulec mógłby strzec czegoś innego. Na przykład serca...

„O tym, jak pojechaliśmy obejrzeć koniec świata, autorstwa Dawnie Morningside, lat 11 i 1/4”

Alan Moore (jeden z najlepszych pisarzy i najlepszych ludzi, jakich znam) podszedł do mnie kiedyś w Northampton i zaczęliśmy rozmawiać o tym, że warto by stworzyć miejsce, w którym chcielibyśmy umieścić akcję naszych opowiadań. W tym kawałku pojawia się właśnie to miejsce. Pewnego dnia szacowni mieszczenie i uczciwi kupcy z Northampton spalą Alana na stosie. Będzie to wielka strata dla całego świata.

Pustynny wiatr

Dostałem kiedyś kasetę od Robina Andersa, najbardziej znanego jako perkusista Boiled in Lead. Do kasety dołączono liścik z informacją, że Robin chciałby, bym napisał coś o jednym z utworów na taśmie. Nosił tytuł „Pustynny wiatr”. Oto, co napisałem.

Uczta

To opowiadanie pisałem przez cztery lata. Nie dlatego że starannie szlifowałem każdy przymiotnik, ale dlatego że się wstydziłem. Pisałem akapit, potem zostawiałem opowiadanie w spokoju, póki z policzków nie zniknął mi rumieniec. Po czterech, pięciu miesiącach wracałem do tekstu i pisałem kolejny akapit. Pierwotnie zacząłem pisać ten tekst z przeznaczeniem do *Off Limits: Tales of Alien Sex* Ellen Datlow, antologii erotycznych opowiadań SF. Przekroczyłem jednak termin i pisałem dalej, z przeznaczeniem do części drugiej. Nim upłynął kolejny termin, zdołałem napisać całą stronę. Gdzieś w trakcie pisania zadzwoniłem do Ellen Datlow i ostrzegłem ją, że w razie mojej przedwczesnej śmierci, na moim twardym dysku, w katalogu zatytułowanym Datlow, tkwi na wpół skończone opowiadanie pornograficzne. Dodałem, że to nic osobistego. Minęły dwa kolejne terminy antologii. Cztery lata od pierwszego akapitu skończyłem w końcu tekst. Ellen Datlow i jej współpracowniczka zbrodni, Terri Windling, zakupiły go do *Sirens*, zbioru erotycznych opowiadań fantasy.

Historia ta w większości wzięła się z tego, że zastanawiałem się, czemu w książkach ludzie nigdy ze sobą nie rozmawiają, gdy uprawiają miłość albo nawet seks. Nie uważam, by to było erotyczne opowiadanie. Ale kiedy wreszcie je skończyłem, przestałem czuć wstyd.

Gdy nastał koniec

Próbowałem sobie wyobrazić ostatnią księgę Biblii.

A jeśli chodzi o nazywanie zwierząt, przyznam, że z głębokim zachwytem odkryłem niedawno, iż słowo *yeti* znaczy w dosłownym tłumaczeniu „to coś, o tam”.

(„– Szybko, dzielny himalajski przewodniku. Co to jest to coś, o tam?

– Yeti.

– O rany, naprawdę?”).

Dziedzina

Przypowieść napisana do książki, z której dochód miał zasilić Organizację Na Rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt (PETA). Uważam, że zdołałem w niej przekazać wszystko, co zamierzałem. To jedyny mój tekst, który wzbudził we mnie niepokój. W zeszłym roku zszedłem na dół i znalazłem mojego syna, Michaela, słuchającego płyty *Warning: Contains Language*, którą sam nagrałem. W tym momencie zaczęła się „Dziedzina” i niezmiernie zaskoczył mnie dźwięk głosu, ledwie przypominającego mój własny, czytającego moje opowiadanie.

Dla większej jasności: noszę skórzaną kurtkę, jem mięso, ale dobrze sobie radzę z dziećmi.

Morderstwa i tajemnice

Kiedy pierwszy raz wpadłem na pomysł tej historii, nosiła ona tytuł „Miasto aniołów”, lecz gdy zacząłem przelewać pomysły na papier, pojawiło się nowe przedstawienie broadwayowskie o tym samym tytule. Musiałem zatem przechrzcić moją historię.

„Morderstwa i tajemnice” napisałem dla Jessie Horsting z pisma *Midnight Graffiti* z przeznaczeniem do antologii, cóż za przypadek, także noszącej tytuł *Midnight Graffiti*. Pete Atkins, któremu przesyłałem faksem kolejne wersje tekstu, okazał się niezrównanym komentatorem, okazem cierpliwości i dobrego humoru.

Starąłem się uczciwie podejść do detektywistycznej warstwy opowieści. Wszędzie rozsiane są wskazówki. Jedna z nich zakradła się nawet do tytułu.

Szkło, śnieg i jabłka

Oto kolejna historia, która rozpoczęła życie w *The Penguin Book of English Folktales* Neila Philipa. Czytałem tę książkę w łazience i natrafiłem na bajkę, którą z pewnością czytałem już co najmniej tysiąc razy (wciąż mam jej ilustrowaną edycję; należała do mnie, gdy miałem trzy latka), lecz tysiąc i pierwsza lektura okazała się prawdziwym objawieniem. Zacząłem o niej rozmyślać, przedstawiając wszystkie elementy, sprawdzając, jak się zazębiają. Historia tkwiła mi w głowie kilka tygodni, a potem, w samolocie, zacząłem zapisywać ją ręcznie. Gdy wylądowaliśmy, opowiadanie było skończone w trzech czwartych, toteż zameldowałem się w hotelu, usiadłem na krześle w kącie pokoju i pisałem dalej, póki nie dobrnąłem do końca.

Gotowy tekst opublikował Dream Haven Press, w książeczce o limitowanym nakładzie, z której zyski miał czerpać Fundusz Obrony Prawnej Komiksów (organizacja broniąca wynikających z Pierwszej Poprawki praw twórców, wydawców i dystrybutorów komiksów). Poppy Z. Brite przedrukowała go w antologii *Love in Vein II*.

Często myślę o tym opowiadaniu jak o wirusie. Gdy już raz się je przeczyta, nigdy się nie zdoła odczytać pierwotnej wersji opowieści w ten sam sposób.

* *
* *

Chciałem podziękować Gregowi Ketterowi, którego Dream Haven Press opublikował kilka przedrukowanych tu tekstów w *Angels and Visitations*, niskonakładowym zbiorze tekstów literackich, recenzji książkowych, dziennikarstwa i głupot, które napisałem, a także dwie popularne broszurki, z których dochód miał być przeznaczony na Fundusz Obrony Prawnej Komiksów.

Chciałbym podziękować istnemu rojowi redaktorów, którzy zamawiali, przyjmowali i przedrukowywali najróżniejsze opowiadania z tej książki, a także moim królikom doświadczalnym (wiecie, o kim mowa), znoszącym cierpliwie to, że ich maltretowałem, zajmowałem im czas, przysyłałem faksem bądź e-mailem opowiadania, za to, że zgadzali się czytać moje teksty i nie znoszącym sprzeciwu tonem wskazywali, co powinienem w nich zmienić. Chcę podziękować im wszystkim. Jennifer Hershey doglądała tej książki od stadium pomysłu, aż do rzeczywistości. Czyniła to z cierpliwością, urokiem i wieczną mądrością. Z pewnością nie zdołam się jej odwdzińczyć.

Każdy z tych tekstów stanowi odzwierciedlenie czegoś; nie jest bardziej rzeczywisty niż wypuszczony z ust kłęb dymu. To przekazy z krainy Po Drugiej Stronie Lustra, obrazy w żeglujących po morzu chmurach. Dym i lusterka – oto, czym są. Ale ja świetnie się bawiłem przy ich pisaniu. Przypuszczam, że dla odmiany one ucieszyłyby się z odkrycia, że są prawdziwe.

Miłej lektury.

Neil Gaiman Grudzień 1997

Rycerskość

Pani Whitaker znalazła świętego Graala; leżał pod starym futrem.

Każdego czwartkowego popołudnia, choć jej nogi nie były już tak sprawne jak kiedyś, pani Whitaker wybierała się na spacer na pocztę. Tam odbierała emeryturę. W drodze powrotnej wpadała do sklepu Oxfam.

W sklepie Oxfam sprzedawano stare ubrania, drobiazgi, bibeloty, najróżniejsze różności oraz mnóstwo starych książek. Wszystkie zostały oddane za darmo; śmieci z drugiej ręki, często pochodzące z domów zmarłych. Wszelkie zyski przekazywano na cele dobroczynne.

W sklepie pracowali wyłącznie ochotnicy. Tego dnia za ladą stała Marie, siedemnastolatka z lekką nadwagą, ubrana w workowatą liliową bluzę, wyglądającą, jakby także pochodziła ze sklepowych półek.

Marie siedziała przy kasie; przed sobą rozłożyła pismo *Nowoczesna kobieta*. Wypełniała właśnie test „Odkryj swoją ukrytą osobowość”. Od czasu do czasu zaglądała na koniec i sprawdzała punktację przypisaną do odpowiedzi A, B lub C, dopiero potem podejmując decyzję, którą z nich wybrać.

Pani Whitaker dreptała po sklepie.

Zauważyła, że wciąż nie sprzedali wypchanej kobry. Czekala tu już pół roku, obrastając kurzem. Jej szklane oczy spoglądały gniewnie na wieszaki z ubraniami, a także szafę pełną obtłuczonej porcelany i pogryzionych zabawek.

Pani Whitaker pogłaskała ją w przelocie po głowie.

Z półki z książkami wybrała dwie powieści wydawnictwa Mills & Boon – *Jej wzburzoną duszę* i *Jej drżące serce*, każdą po szylingu. Z namysłem przyjrzała się pustej butelce po Mateus Rose nakrytej ozdobnym abażurem, w końcu jednak uznała, że nie miałaby jej gdzie postawić.

Przysunęła wyleniałe futro, ostro śmierdzące naftaliną. Pod futrem leżała laska i poplamiony wodą egzemplarz książki *Romanse i legendy rycerskie* A.R. Hope Moncrieffa, wyceniony na pięć pensów. Obok książki spoczywał na boku święty Graal. Na spodzie podstawki umieszczono okrągłą nalepkę, na której flamastrem wypisano cenę: 30 pensów.

Pani Whitaker podniosła zakurzony srebrny kielich i przyjrzała mu się uważnie przez grube szkła okularów.

– Ładny – zawołała do Marie.

Marie wzruszyła ramionami.

– Wyglądałby ładnie na kominku.

Ponowne wzruszenie ramion.

Pani Whitaker podała Marie pięćdziesiąt pensów i otrzymała dziesięć pensów reszty oraz brązową papierową torbę, do której schowała książki i świętego Graala. Ruszyła do rzeźnika, gdzie kupiła ładny kawałek wątróbki. Potem wróciła do domu.

Wnętrze kielicha pokrywała gruba warstwa czerwonobrązowego kurzu. Pani Whitaker umyła

go ostrożnie, po czym na godzinę pozostawiła w zlewie, w ciepłej wodzie z odrobiną octu.

Następnie wypolerowała kielich pastą do metalu, a gdy zaczął lśnić, postawiła go na kominku w salonie, pomiędzy małym melancholijnym bassetem z porcelany i zdjęciem nieżyjącego męża, Henry'ego, na plaży we Frinton w 1953 roku.

Miała rację: wyglądał ładnie.

Tego dnia na obiad zjadła panierowaną wątróbkę z cebulką. Była pyszna.

Następnego dnia wypadła piątek. W co drugi piątek panie Whitaker i Greenberg odwiedzały się nawzajem. Dziś przypadała kolej pani Greenberg. Usiadły w salonie, sącząc herbatę i chrupiąc makaroniki. Pani Whitaker wrzuciła do herbaty kostkę cukru. Pani Greenberg używała słodzika. Zawsze nosiła go w torebce w małym plastikowym pudełku.

– Ładny – zauważyła pani Greenberg, wskazując Graala. – Co to?

– Święty Graal – odparła pani Whitaker. – To kielich, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczerzy. Później, przy ukrzyżowaniu, zebrano weń Jego cudowną krew, gdy centurion przebił Mu bok.

Pani Greenberg pociągnęła pogardliwie nosem. Była Żydówką; nie znosiła wszystkiego, co niehigieniczne.

– No nie wiem – rzekła. – Ale kielich jest naprawdę bardzo ładny. Nasz Myron dostał podobny, kiedy wygrał zawody pływackie, tyle że na tamtym wygrawerowano jego nazwisko.

– Wciąż spotyka się z tą miłą dziewczyną? Fryzjerką?

– Bernice? O, tak. Planują nawet zaręczyny – oznajmiła pani Greenberg.

– To miłe – odparła pani Whitaker, sięgając po makaronik.

Pani Greenberg sama piekła makaroniki i przynosiła je co drugi piątek: małe, słodkie, jasnobrązowe ciasteczka posypane migdałami.

Rozmawiały o Myronie i Bernice, a także siostrzeńcu pani Whitaker, Rolandzie (pani Whitaker nie miała dzieci), oraz o przyjaciółce, pani Perkins, która złamała biodro i leżała w szpitalu, biedactwo.

W południe pani Greenberg pożegnała się. Pani Whitaker przyrządziła sobie na lunch grzanekę z serem, a potem zażyła pigułki – białą, czerwoną i dwie małe, pomarańczowe.

Zadzwiećwał dzwonek.

Pani Whitaker otworzyła drzwi. Za progiem stał młody mężczyzna z sięgającymi ramion włosami, tak jasnymi, że zdawały się niemal białe. Miał na sobie lśniącą srebrną zbroję i biały płaszcz.

– Witam – rzekł.

– Witam – odparła pani Whitaker.

– Jestem w trakcie wyprawy.

– To miło – mruknęła nonszalancko pani Whitaker.

– Mogę wejść? – spytał.

Pani Whitaker pokręciła głową.

– Przykro mi, ale raczej nie.

– Poszukuję świętego Graala – powiedział młodzieniec. – Jest może tutaj?

– Ma pan przy sobie jakiś dokument? – Pani Whitaker wiedziała, że nie należy wpuszczać do domu obcych, gdy jest się starszą osobą i mieszka samotnie. Mogło to się skończyć opróżnieniem torebki albo czymś znacznie gorszym.

Młodzieniec cofnął się parę kroków ogrodową ścieżką. Jego wierzchowiec, potężny szary ogier, wielki jak perszeron, z wysoko uniesioną głową i lśniącymi, bystrymi oczami, stał

przywiązany do furtki pani Whitaker. Rycerz pogrzebał w torbie przy siodle i powrócił, niosąc w dłoni zwój.

Podpisał go Artur, król Brytanii. Pismo informowało wszelkie osobistości, niezależnie od ich tytułu i rangi, że ten oto Galaad to Rycerz Okrągłego Stołu, który wyruszył na Prawą, Szlachetną Wyprawę. Poniżej widniał rysunek przedstawiający młodego mężczyznę. Był całkiem podobny.

Pani Whitaker skinęła głową. Oczekiwała raczej małej karty ze zdjęciem, ale to było znacznie bardziej imponujące.

– Chyba może pan wejść – rzekła.

Przeszli do kuchni. Nalała Galaadowi filiżankę herbaty, po czym zaprowadziła go do salonu.

Galaad ujrzał Graala, stojącego na kominku, i natychmiast ukląkł na jedno kolano. Starannie odstawił filiżankę na rdzawy dywan. Przenikający przez firanki promień słońca zalał jego twarz złotym blaskiem. Jasne włosy lśniły niczym srebrzysta aureola.

– Zaprawdę, to on, Sangraal – rzekł cicho. Trzykrotnie zamrugnął, bardzo szybko, jakby chciał zdusić łzy zbierające się w jego jasnoniebieskich oczach.

Pochylił głowę w milczącej modlitwie.

Potem wstał i odwrócił się do pani Whitaker.

– Szlachetna pani, powierniczko Najświętszej Świętości, pozwól mi odejść stąd z błogosławionym kielichem, bym mógł zakończyć poszukiwania i wypełnić me zadanie.

– Słucham? – zdziwiła się pani Whitaker.

Galaad podszedł do kobiety i ujął jej stare dłonie.

– Moja wyprawa zakończona – rzekł. – W końcu odnalazłem Sangraala.

Pani Whitaker ściągnęła wargi.

– Zechcesz podnieść filiżankę i spodeczek?

Galaad z przepraszającą miną posłuchał.

– Nie. Raczej nie – oznajmiła pani Whitaker. – Podoba mi się tam, gdzie jest. Idealnie pasuje pomiędzy psem i zdjęciem mojego Henry’ego.

– Azaliż pragniesz złota? Czy tak? Pani, mogę ci przynieść złoto...

– Nie – rzekła pani Whitaker. – Dziękuję, nie chcę żadnego złota. To mnie nie interesuje.

Odprowadziła Galaada do frontowych drzwi.

– Miło cię było poznać.

Koń przechylał głowę nad ogrodzeniem, skubiąc płatki gladioli. Tuż obok na chodniku stała grupka dzieci z sąsiedztwa.

Galaad wyjął z torby kilka bryłek cukru i zademonstrował najodważniejszym dzieciom, jak się karmi konia. Dzieci zachichotały, kolejno unosząc wyprostowane dłonie. Jedna z dziewczynek pogładziła końskie chrapy.

Galaad jednym płynnym ruchem wskoczył na siodło. Obaj – koń i rycerz – odjechali uliczką Hawthorne Crescent.

Pani Whitaker odprowadziła ich wzrokiem. Potem westchnęła i wróciła do domu.

Weekend upłynął jej spokojnie.

W sobotę pojechała autobusem do Maresfield, by odwiedzić swego siostrzeńca Ronalda, jego żonę Euphonię i ich córki, Clarissę i Dillian. Zawiozła im ciasto z porzeczkami, domowej roboty.

W niedzielę rano pani Whitaker poszła do kościoła. Kościół parafialny Świętego Jakuba Młodszego był jak na jej gust nieco zanadto w stylu: „nie myśl o tym budynku jak o kościele, lecz jak o miejscu, w którym możesz spotykać się z podobnymi sobie przyjaciółmi”. Lubiła

jednak proboszcza, wielbego Bartholomew, jeśli tylko nie grał akurat na gitarze. Po mszy przez chwilę miała ochotę wspomnieć, że w jej salonie stoi Święty Graal, ale po namyśle zrezygnowała.

W poniedziałek rano pani Whitaker pracowała właśnie w ogrodzie na tyłach domu, na grządce z ziołami. Była z niej niezmiernie dumna: koperek, werbena, mięta, rozmaryn, tymianek i cały zagon pietruszki. Klęczała właśnie na ziemi i plewiła w grubych, zielonych ogrodowych rękawicach. Zbierała też pomrowy i wkładała do plastikowego worka. Jeśli chodzi o pomrowy, pani Whitaker miała niezmiernie miękkie serce. Zanosila je na sam tył ogrodu, graniczący z linią kolejową, i przrzucala przez siatkę.

Ścięła nieco pietruszki na sałatkę. W tym momencie usłyszała czyjeś kasznięcie. Tuż za nią stał Galaad: wysoki i piękny. Jego zbroja lśniła w porannym słońcu. W dłoniach trzymał długą paczkę, owiniętą w natłuszczoną skórę.

– Wróciłem – rzekł.

– Witaj – odparła pani Whitaker. Wstała powoli i zdjęła rękawice. – Cóż – dodała – skoro już tu jesteś, mógłbyś mi pomóc.

Wręczyła mu worek pełen pomrowów i poleciła przrzucić je przez ogrodzenie.

Posłuchał.

Potem ruszyli do kuchni.

– Herbaty czy lemoniady?

– To samo co pani – odparł Galaad.

Pani Whitaker wyjęła z lodówki dzbanek domowej lemoniady i wysłała Galaada, by zerwał gałązkę mięty. Wybrała dwie wysokie szklanki. Starannie umyła miętę, włożyła kilka liści do każdej szklanki i nalała lemoniady.

– Czy twój koń czeka na zewnątrz?

– O, tak. Nazywa się Grizzel.

– I przypuszczam, że przybywasz z daleka?

– Z bardzo daleka.

– Rozumiem – mruknęła pani Whitaker. Wyjęła spod zlewu błękitną plastikową miskę.

Do połowy napełniła ją wodą. Galaad wyniósł miskę Grizzelowi. Odczekał, aż koń się napije, i oddał pani Whitaker pustą miskę.

– A zatem – rzekła – przypuszczam, że wciąż szukasz Graala?

– Zaprawdę, nadal szukam Sangraala. – Galaad wziął z podłogi skórzany pakunek, położył go na stoliku deserowym i rozwinął. – W zamian oferuję ci, pani, to.

To był miecz. Jego klinga liczyła sobie niemal cztery stopy długości. Wryto na niej słowa i eleganckie symbole. Rękojeść miał srebrno-złotą, zwieńczoną wielkim szlachetnym kamieniem.

– Bardzo ładny – powiedziała z powątpiewaniem pani Whitaker.

– Oto miecz Balmung – oznajmił Galaad – wykuty przez kowala Waylanda u zarania dziejów. Jego bliźniaczy brat to Flamberge. Ten, kto go nosi, jest niepokonany w bitwie, niewyciężony, niezdolny do czynów tchórzliwych i nikczemnych. W rękojeści osadzono sardonyks Bircone, chroniący właściciela przed trucizną, wrzuconą do wina bądź piwa, i przed zdradą przyjaciół.

Pani Whitaker zerknęła na miecz.

– Musi być bardzo ostry – mruknęła po chwili.

– Może przeciąć na pół spadający włos. Więcej, nawet promień słońca – oznajmił z dumą Galaad.

– Może zatem lepiej by było, gdybyś go odłożył – zaproponowała pani Whitaker.
– Nie chcesz go, pani? – Galaad był wyraźnie zawiedziony.
– Nie, dziękuję – odparła pani Whitaker. Nagle pomyślała, że jej nieżyjącemu mężowi, Henry’emu, miecz mógłby się spodobać. Powiesiłby go na ścianie w gabinecie obok wypchanego karpia, którego złapał w Szkocji, i pokazywałby gościom.

Galaad ponownie okrył ostrze Balmunga natłuszczoną skórą i obwiązał białym sznurem. Siedział bez ruchu, niepokieszony.

Pani Whitaker zrobiła mu na drogę kanapki z serem topionym i ogórkiem. Zawinęła je w pergamin. Dorzuciła jabłko dla Grizzela. Galaad sprawiał wrażenie zadowolonego z prezentu. Pomachała im na do widzenia.

Tego popołudnia wsiadła do autobusu i pojechała do szpitala spotkać się z panią Perkins, która wciąż leżała w łóżku z chorym biodrem. Biedactwo. Pani Whitaker przyniosła jej domowy keks, choć wyeliminowała z przepisu orzechy. Zęby pani Perkins nie były już tak mocne, jak kiedyś.

Wieczorem pooglądała przez krótką chwilę telewizję. Wcześniej położyła się spać.

We wtorek zadzwonił listonosz. Pani Whitaker sprzątała właśnie w składziku na strychu. I choć zeszła na dół, jej powolne, ostrożne kroki sprawiły, że nie zdążyła. Listonosz zostawił wiadomość, głoszącą, iż próbował dostarczyć paczkę, ale nikogo nie zastał.

Pani Whitaker westchnęła.

Włożyła awizo do torebki i ruszyła na pocztę.

Paczkę nadała jej siostrzenica, Shirelle, mieszkająca w Sydney w Australii. W środku były zdjęcia jej męża Wallace’a i dwóch córek, Dixie i Violet, oraz owinięta w watę muszla.

Pani Whitaker miała w sypialni kilka ozdobnych muszel. Na jej ulubionej wymalowano emalią widoczek z Bahamów. Dostała ją w prezencie od siostry Ethel, która zmarła w 1983 roku.

Schowała muszlę i zdjęcia do torby na zakupy, a że była już w okolicy, po drodze do domu zajrzała do sklepu Oxfam.

– Dzień dobry, pani W. – powitała ją Marie.

Pani Whitaker przyjrzała się jej. Marie miała usta pomalowane szminką (co prawda odcień niezupełnie jej pasował, a sama szminka nie została zbyt fachowo nałożona, ale – pomyślała pani Whitaker – to już jakiś początek) i elegancką spódnicę. Efekt był powalający.

– Witaj, moja droga – powiedziała pani Whitaker.

– W zeszłym tygodniu był u nas mężczyzna i pytał o ten drobiazg, który pani kupiła. Tamten metalowy kielich. Powiedziałaś, gdzie mógłby panią znaleźć. Nie ma pani nic przeciw temu, prawda?

– Nie, moja droga – odparła pani Whitaker. – Już mnie znalazł.

– Był super. Naprawdę super – westchnęła z żalem Marie. – Strasznie mi się podobał. Miał też wielkiego, siwego konia i w ogóle – dokończyła. Pani Whitaker zauważyła z aprobatą, że dziewczyna trzyma się bardziej prosto.

Na półce znalazła nowy romans wydawnictwa Mills & Boon – *Jej porywająca namiętność*. Zabrała go, choć nie skończyła jeszcze dwóch poprzednich.

Podniosła też *Romanse i legendy rycerskie* i otworzyła. Książka pachniała pleśnią. Na pierwszej stronie czerwonym atramentem wypisano starannie: EX LIBRIS RYBAK.

Pani Whitaker odłożyła książkę.

Gdy wróciła do domu, Galaad już na nią czekał. Woził kolejno dzieci z sąsiedztwa na grzbiecie Grizzela.

– Cieszę się, że cię widzę – oznajmiła. – Mam kilka pudeł, które trzeba przesunąć.

Zaprowadziła go do schowka na poddaszu. Galaad posłusznie przesunął stare walizki, aby mogła dostać się do stojącej z tyłu szafy.

Wszystko wokół pokrywała gruba warstwa kurzu.

Pani Whitaker zatrzymała go tam przez większość popołudnia. Przesuwał rzeczy, podczas gdy ona ścierała kurz.

Na jednym policzku miał ranę. Nieco sztywno poruszał ręką.

Podczas porządków rozmawiali. Pani Whitaker opowiedziała mu o swym nieżyjącym mężu, Henrym. O tym, że spłaciła dom z ubezpieczenia i że ma mnóstwo rzeczy, ale nikogo, komu mogłaby je zostawić, chyba że Ronaldowi i jego żonie, ale oni lubią wyłącznie nowoczesne przedmioty. Opowiedziała, jak poznała męża podczas wojny, gdy Henry służył w ochotniczej służbie przeciwlotniczej, a ona nie dość szczelnie zaciągnęła zasłony w kuchni podczas zaciemnienia. Mówiła o potańcówkach za sześć pensów, o tym, jak wybrali się razem do Londynu, gdy skończyła się wojna, i jak pierwszy raz skosztowała wina.

Galaad opowiedział pani Whitaker o swej matce Elaine, niestałej i szalonej, a do tego czarownicy. O dziadku, królu Pellesie, dobrym, lecz nieco rozkojarzonym, i o młodości spędzonej w zamku Bliant na Wyspie Radości. A także o ojcu, w owym czasie kompletnie szalonym, którego znał pod przydomkiem „Le Chevalier Mal Fet”. W rzeczywistości był to Lancelot z Jeziora, największy z rycerzy, przebrany i pozbawiony rozumu. Mówił też o czasach, które spędził jako giermek w Camelocie.

O piątej po południu pani Whitaker rozejrzała się po schowku i uznała, iż panujący w nim porządek zasługuje na jej aprobatę. Otworzyła okno, by przewietrzyć pomieszczenie, po czym razem zeszli na dół do kuchni, gdzie nastawiła wodę.

Galaad usiadł za stołem.

Rozwiązał wiszącą u pasa skórzaną sakwę i wyjął z niej okrągły, biały kamień wielkości kuli do krykieta.

– Pani – rzekł. – To dla ciebie, jeśli oddasz mi Sangraala.

Pani Whitaker podniosła kamień. Był cięższy, niż na to wyglądał. Uniosła go do światła. W mlecznobiałym, półprzezroczystym wnętrzu połyskiwały srebrne iskierki, odbijające promienie popołudniowego słońca. Kamień wydawał się ciepły w dotyku.

Gdy go tak trzymała, ogarnęło ją dziwne uczucie. W głębi ducha poczuła wszechogarniający spokój. Pokój ducha – oto właściwe określenie. Czowała ukojenie.

Niechętnie odłożyła kamień na stół.

– Bardzo ładny – mruknęła.

– To Kamień Filozoficzny, który nasz praojciec Noe zawiesił na Arce, by rzucał światło w chwilach najgłębszego mroku. Kamień ów potrafi przemieniać zwykłe metale w złoto. Ma też inne cechy – oświadczył z dumą Galaad. – A to nie wszystko. Mam jeszcze coś. Proszę. – Wyjął z sakwy jajko i wręczył jej.

Jajko było wielkości jaja gęsiego: lśnił czarne, pokryte szkarłatnymi i białymi cętkami. Gdy pani Whitaker go dotknęła, włoski na jej karku zjeżyły się nagle. Natychmiast poczuła ogarniające ją ciepło i poczucie wolności. Usłyszała trzask odległych płomieni. Przez ułamek sekundy wydało się jej, że szybuje nad światem, wznosi się i opada na ognistych skrzydłach.

Odłożyła jajko na stół obok Kamienia Filozoficznego.

– To Jajo Feniksa – rzekł Galaad. – Pochodzi z odległej Arabii. Pewnego dnia wykluje się z niego Feniks. A gdy nadejdzie czas, ptak zbuduje sobie płomienne gniazdo, złoży jajko i umrze, by odrodzić się w ogniu w późniejszej erze świata.

– Tak mi się właśnie zdawało – powiedziała pani Whitaker.

– I wreszcie, o pani – dodał Galaad – przyniosłem ci to.

Wyjął coś z sakwy i wręczył jej. To było jabłko, najwyraźniej wyrzeźbione z jednego wielkiego rubinu, z bursztynowym ogonkiem.

Nieco nerwowo ujęła je w dłoń. Zdawało się miękkie, zładnie delikatne. Jej palce naruszyły rubinową powierzchnię. Krwistoczerwony sok spłynął po dłoni pani Whitaker.

W kuchni rozszedł się niemal niedostrzegalny, magiczny zapach letnich owoców: malin, brzoskwiń, truskawek i czerwonych porzeczek. Jakby z daleka doszły ją głosy nucące pieśń do wtóru odległej muzyki.

– To jedno z jabłek Hesperyd – powiedział cicho Galaad. – Jeden kęs uleczy każdą chorobę bądź ranę, nieważne jak głęboką. Drugi przywraca młodość i urodę. Trzeci daje życie wieczne.

Pani Whitaker oblizała lepki sok z palców. Smakował niczym najlepsze wino.

W jednym momencie powróciła do niej przeszłość. Przypomniała sobie, jak to jest być młodą, mieć jędrne, szczupłe ciało, słuchające wszelkich poleceń. Biec wiejską dróżką z radością niegodną damy. Dostrzegać uśmiechy mężczyzn pozdrawiających ją, bo jest szczęśliwa, jest sobą.

Pani Whitaker spojrzała na sir Galaada, najszanowniejszego z rycerzy, siedzącego w jej kuchni w całym swym splendorze.

Westchnęła.

– To wszystko, co ci przyniosłem, pani – oznajmił Galaad. – Niełatwo było mi to zdobyć.

Pani Whitaker odłożyła rubinowy owoc na stół. Przyjrzała się uważnie Kamieniowi Filozoficznemu, Jaju Feniksa i Jabłku Życia.

Potem podreptała do salonu i spojrzała na kominek, na małego porcelanowego basseta, świętego Graala i zdjęcie nieżyjącego męża Henry’ego, z nagim torsem, uśmiechniętego, pałaszującego lody w czerni i bieli, niemal czterdzieści lat wcześniej.

Wróciła do kuchni. Czajnik zaczął już gwizdać. Nalała do imbryka odrobinę parującej wody, przepłukała go i wylała wrzątek. Następnie wsypała dwie łyżeczki herbaty i dodatkowo jedną do imbryka. Wlała resztkę wody. Wszystko to robiła w milczeniu.

W końcu odwróciła się do Galaada i spojrzała na niego.

– Schowaj to jabłko – poleciła stanowczo. – Nie powinieneś przynosić podobnych rzeczy starszym paniom. To niestosowne. – Na moment zawiesiła głos. – Resztę wezmę – dodała po chwili namysłu. – Będą ładnie wyglądały na kominku. Dwa za jeden, to uczciwa wymiana, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Galaad rozpromienił się. Schował rubinowe jabłko do sakwy, ukląkł na podłodze i ucałował dłoń pani Whitaker.

– Przestań – poleciła. Rozlała herbatę do filiżanek. Na tę okazję wyjęła swą najlepszą, odświętną porcelanę.

Siedzieli w milczeniu, pijąc herbatę.

Gdy skończyli, przeszli do salonu. Galaad przeżegnał się i podniósł Graala.

Pani Whitaker ustawiła na jego miejscu Jajko i Kamień. Jajko cały czas przewracało się na bok. W końcu podparła je małym, porcelanowym pieskiem.

– Wyglądają bardzo ładnie – rzekła.

– O, tak – zgodził się Galaad – bardzo ładnie.

– Czy mogłabym dać ci coś do jedzenia? – spytała.

Pokręcił głową.

– Kawałek keksu – zdecydowała. – W tej chwili możesz myśleć, że ci się nie przyda, ale za kilka godzin podziękujesz mi za niego. Powinieneś też chyba skorzystać z toalety. Daj mi go, zapakuję ci.

Pokazała mu drogę do niewielkiej łazienki na końcu korytarza i pomaszerowała do kuchni, trzymając w ręku Graala. W spiżarni przechowywała świąteczny papier. Zapakowała weń Graala i przewiązała paczkę sznurkiem. Potem odcięła gruby kawał keksu i schowała do brązowej, papierowej torby wraz z bananem i kawałkiem topionego sera.

Galaad wrócił do niej. Wręczyła mu torbę i świętego Graala. Potem stanęła na palcach i ucałowała go w policzek.

– Miły z ciebie chłopiec – rzekła. – Uważaj na siebie.

Uścisnęła ją, a ona wyprowadziła go z kuchni i zatrzasnęła za nim tylne drzwi. Nalała sobie kolejną filiżankę herbaty i zaczęła cicho płakać, ocierając oczy papierową chusteczką. Tętent kopyt oddalał się w głąb Hawthorne Crescent.

W środę pani Whitaker nie wychodziła z domu.

W czwartek wybrała się na pocztę, by odebrać emeryturę. Potem wpadła do sklepu Oxfam. Nie знаła stojącej za ladą kobiety.

– Gdzie Marie? – spytała.

Kobieta przy kasie – siwe włosy zabarwione błękitną płukanką, niebieskie okulary z brylancikami w kącikach – potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Wyjechała z młodym mężczyzną – oznajmiła. – Na koniu. Coś takiego. Dziś powinnam pracować w sklepie w Heathfield. Musiałam prosić Johnny’ego, żeby mnie tu przywiózł, póki nie znajdziemy kogoś na zastępstwo.

– Ach tak – mruknęła pani Whitaker. – To miłe, że znalazła sobie młodzieńca.

– Dla niej może miłe – odparła kobieta przy kasie. – Ale niektórzy z nas powinni być dziś w Heathfield.

Na półce w głębi sklepu pani Whitaker znalazła zaśniedziały srebrny przedmiot z długim dzióbkiem. Wyceniono go na sześćdziesiąt pensów; tak przynajmniej głosiła mała papierowa nalepka. Przedmiot przypominał spłaszczony, wydłużony imbryk.

Wzięła też nową powieść, której nie czytała, zatytułowaną *Jej niezwykła miłość*. Położyła obie rzeczy przed kobietą.

– Sześćdziesiąt pięć pensów, moja droga – oznajmiła tamta, podnosząc srebrny bibelot. – Zabawny drobiazg, prawda? Dostaliśmy go dziś rano. – Jedną ściankę przedmiotu pokrywały wygrawerowane chińskie znaki. Miał też elegancki wygięty uchwyt. – To chyba pojemnik na oliwę?

– Nie, to nie pojemnik na oliwę – odparła pani Whitaker, która dokładnie wiedziała, z czym ma do czynienia. – To lampa.

Do uchwytu lampy brązowym sznurkiem przywiązano mały metalowy pierścień.

– Po zastanowieniu – dodała pani Whitaker – wezmę chyba tylko książkę.

Zapłaciła pięć pensów i odstawiła lampę tam, gdzie ją znalazła. Ostatecznie, pomyślała pani Whitaker w drodze do domu, i tak nie miałabym jej gdzie postawić.

Mikołaj był...

starszy od grzechu, a jego broda nie mogła już bardziej posiwieć. Chciał umrzeć.

Krasnale, żyjące w jaskiniach Arktyki nie znały jego języka, rozmawiały jednak we własnej szczebiotliwej mowie, i kiedy nie pracowały w fabrykach, odprawiały niezrozumiałe rytuały.

Każdego roku zmuszały go, mimo protestów i płaczu, do wyjścia w Wieczną Noc. Podczas swoich podróży zatrzymywał się obok każdego dziecka na świecie i zostawiał mu przy łóżku niewidzialny krasnoludzki prezent. Dzieci spały, uwięzione w czasie.

Zazdrościł Prometeuszowi i Lokiemu, Syzyfowi i Judaszowi. Jego kara była cięższa.

Ho.

Ho.

Ho.

Cena

Włóczędzy i wagabundzi mają swoje znaki, które zostawiają na słupach bram, drzewach i drzwiach, informując pobratymców o tym, jacy ludzie mieszkają w domach i na farmach. Podejrzewam, że koty także muszą stosować podobne znaki. Jak inaczej wyjaśnić, czemu tak wiele z nich zjawia się w ciągu roku pod naszymi drzwiami, wygłodniałych, zapchlonych i porzuconych?

Przyjmujemy je, pozbywamy się pcheł i kleszczy, karmimy i zabieramy do weterynarza. Płacimy za szczepienia i, o hańbo, każemy je kastrować.

One zaś zostają z nami: kilka miesięcy, rok, a czasem na zawsze.

Większość zjawia się w lecie. Mieszkamy na wsi, dokładnie w takiej odległości od miasta, by jego mieszkańcy porzucali zwierzęta akurat w naszej okolicy.

Nigdy nie zdarzyło się nam mieć więcej niż osiem kotów, rzadko miewamy mniej niż trzy. Aktualna kocia populacja w naszym domu wygląda następująco: Hermiona i Strączek, bura i czarna, szalone siostry, mieszkające w mym gabinecie na strychu i nie zadające się z resztą pospółstwa; Śnieżynka, błękitnooka długowłosa biała kotka, która całe lata żyła na swobodzie w lesie, nim w końcu zrezygnowała z wolności, przedkładając nad nią miękkie kanapy i łóżka; i wreszcie ostatnia, ale i największa, Mufka, przypominająca poduszkę, długowłosa szylkretowa córka Śnieżynki, pomarańczowo-czarno-biała, którą znalazłem jako maleńkie kociątko w naszym garażu, podduszoną i niemal martwą, z głową wsuniętą w starą siatkę do badmintonu, i która zaskoczyła nas, nie umierając, lecz wyrastając na najpocziwszego kota, jakiego zdarzyło mi się poznać.

No i jest jeszcze czarny kot, który nie ma innego imienia. Nazywamy go Czarnym Kotem. Zjawił się u nas niecały miesiąc temu. Z początku nie zorientowaliśmy się, że zamierza u nas zamieszkać. Wyglądał zbyt dobrze jak na bezpieczne zwierzę, był zbyt stary i żwawy jak na porzuconego. Przypominał małą panterę. Poruszał się niczym plama ciemności.

Pewnego dnia, latem, dostrzegłem go przyczajonego na zrujnowanej werandzie: na oko ośmiolub dziewięcioletniego kocura o zielonożółtych oczach, bardzo przyjaznego i bardzo spokojnego. Uznałem, że pewnie należy do jakiegoś rolnika bądź rodziny z sąsiedztwa.

Wyjechałem na kilka tygodni, aby skończyć książkę, a kiedy wróciłem, on nadal siedział na werandzie, na starym kocim posłaniu, które znalazło mu jedno z dzieci. Zmienił się jednak niemal nie do poznania. Coś wyszarpało mu całe kępki futra, szarą skórę pokrywały głębokie zadrapania. Czubek jednego ucha miał odgryziony, pod okiem ziała głęboka rana, stracił też kawałek wargi. Wyglądał na zmęczonego i wychudzonego.

Zabraliśmy Czarnego Kota do weterynarza, która wypisała receptę na antybiotyki. Podawaliśmy mu je co wieczór wraz z miękkim kocim jedzeniem.

Zastanawialiśmy się, z czym walczył. Ze Śnieżynką, naszą piękną, drapiezną, białą królową? Z szopami? Oposem o ostrych zębach i szczurzym ogonie?

Co noc zadrapania stawały się coraz poważniejsze – jednego dnia bok kota pokryły świeże ukąszenia, następnego brzuch przecinały krwawe ślady szponów.

Wtedy zabrałem go do piwnicy, aby doszedł do siebie obok pieca i stosu kartonów. Był zdumiewająco ciężki, kiedy podniosłem go i zataszczyłem na dół wraz z koszykiem i kuwetą oraz wodą i jedzeniem. Zamknąłem za sobą drzwi. Gdy wyszedłem z piwnicy, musiałem obmyć zakrwawione ręce.

Został tam cztery dni. Z początku był zbyt słaby, żeby jeść. Rana pod okiem niemal go oślepiła. Kuśtykał i włókł się powoli; ze skaleczonej wargi ściekała żółta ropa.

Schodziłem tam każdego ranka i wieczoru. Karmiłem go i podawałem mu antybiotyki zmieszane z karmą z puszki. Przemawiałem najgorsze rany i przemawiałem do niego. Miał rozwolnienie i choć co dzień zmieniałem mu żwirek, w piwnicy cuchnęło pod niebiosa.

Cztery dni, które Czarny Kot spędził w piwnicy, były dla nas niedobrym okresem: najmłodsze dziecko pośliznęło się w wannie, uderzyło w głowę i o mało nie utonęło. Dowiedziałem się, że projekt, który bardzo mnie interesował – adaptacja powieści „Lud in the Mist” Hope Mirrlees dla BBC – został skreślony, i pojąłem, iż brak mi sił, by od początku proponować go innym sieciom bądź mediom. Córka wyjechała na letni obóz i natychmiast zaczęła przysyłać do domu serię rozdzierających serce listów i kartek, pięć, sześć dziennie, błagając, abyśmy ją zabrali. Syn pokłócił się z najlepszym przyjacielem, do tego stopnia, że w ogóle nie odzywali się do siebie. A któregoś wieczoru, wracając do domu, żona wpadła na sarnę, która wybiegła na drogę. Sarna zginęła, samochód nadawał się do generalnego remontu, a żona skaleczyła się w skroń nad okiem.

Czwartego dnia kot krążył niecierpliwie po piwnicy, stąpając ostrożnie pomiędzy stosami książek i komiksów, pudłami listów i kaset, obrazkami, prezentami i stertami śmieci. Zamiauczał, żądając, by go wypuścić, i w końcu zrobiłem to niechętnie.

Natychmiast wrócił na werandę i przespał tam resztę dnia.

Następnego ranka jego boki pokrywały nowe głębokie zadrapania. Na drewnianej podłodze werandy leżały rozrzucone kępki czarnego kociego futra – jego futra.

Tego dnia otrzymaliśmy list od córki, w którym pisała, że obóz nie jest taki zły i chyba przetrwa tam kilka dni. Syn i jego przyjaciel pogodzili się, choć nigdy nie dowiedziałem się, o co im poszło – karty kolekcjonerskie, gry komputerowe, Gwiazdne Wojny, czy może dziewczynę. Dyrektor z BBC, który zawetował mój projekt, został oskarżony o przyjmowanie łapówek (no, „podejrzanych pożyczek”) od niezależnej firmy producenckiej i odesłany do domu na stałe zwolnienie. Jego następczynią, co odkryłem z radością, otrzymawszy od niej faks, była kobieta, która jako pierwsza zaproponowała mi tę adaptację.

Zastanawiałem się, czy znów nie zanieść Czarnego Kota do piwnicy, ale postanowiłem, że zamiast tego spróbuję odkryć, jakie to zwierzę co noc odwiedza nasz dom, a potem ustalić plan działania – może ustawić pułapki?

Moja rodzina na każde święta i urodziny obdarowuje mnie najróżniejszymi gadżetami, kosztownymi zabawkami, które mile łechczą mą próżność, lecz potem rzadko opuszczają pudła. Między innymi można wśród nich znaleźć urządzenie do liofilizacji żywności, elektryczny nóż, maszynę do pieczenia chleba i zeszłoroczny prezent: noktowizyjną lornetkę. W Boże Narodzenie włożyłem do niej baterie i, zbyt niecierpliwym, by czekać na nadejście nocy, zacząłem krążyć w mroku po piwnicy, ścigając grupkę wyimaginowanych Clarice Starling (ostrzeżono cię, byś nie zapalał światła; mogłoby to uszkodzić noktowizor, i być może także twoje oczy). Potem schowałem urządzenie z powrotem do pudełka i teraz wciąż tkwiło w gabinecie obok kartonu

pełnego kabli komputerowych i zapomnianych drobiazgów.

Pomyślałem, że jeśli owo stworzenie, pies, kot, szop czy co tam jeszcze, zobaczy mnie siedzącego na werandzie, być może nie podejdziesz bliżej, toteż zabrałem krzesło do garderoby, nieco tylko większej od szafy i wyglądającej wprost na werandę, i kiedy wszyscy w domu usnęli, wyszedłem na dwór, by pożegnać się z Czarnym Kotem.

Ten Kot, powiedziała moja żona, kiedy zjawił się u nas po raz pierwszy, to prawdziwa osoba. I rzeczywiście, w jego wielkim lwim pysku kryło się coś ludzkiego: w jego szerokim czarnym nosie, zielonożółtych oczach, zębatej, lecz przyjaznej mordce (z prawego kącika wciąż ściekała bursztynowa ropa).

Pogłaskałem go po głowie, podrapałem pod brodą i życzyłem dobrej nocy. Potem wróciłem do środka i zgasilem światło na werandzie.

Siedziałem w fotelu, w pogrążonym w ciemności domu z noktowizyjną lornetką na kolanach. Włączyłem już noktowizor i z jego okularu dobywała się wąska smużka zielonego światła.

Czas mijał w ciemności.

Eksperymentowałem z lornetką, przyzwyczajając się do oglądania świata w odcieniach zieleni. Ze zgrozą odkryłem, jak wiele owadów kłębi się w nocnym powietrzu – zupełnie jakby świat nocy był czymś w rodzaju koszmarnej zupy, pełnej życia. Potem opuściłem latarkę i spojrzałem na głębokie czernie i granaty nocy, puste, spokojne i ciche.

Mijał czas. Z trudem powstrzymywałem się przed zaśnięciem, odpychając marzenia o kawie i papierosach, mych dwóch porzuconych nałogach. Każdy z nich pomógłby mi teraz. Jednakże, nim osunąłem się dość głęboko w świat snów i marzeń, ocknąłem się gwałtownie na dźwięk donośnego skowytu z ogrodu. Gwałtownie uniosłem lornetkę i przeżyłem zawód: to była tylko Śnieżynka, biała kotka, śmigająca przez ogród niczym promień zielonkawobiałego światła. Po sekundzie zniknęła w lesie po lewej stronie domu.

Właśnie miałem ponownie usadowić się wygodnie w fotelu, gdy przyszło mi do głowy, że warto by sprawdzić, co tak spłoszyło kotkę. Zacząłem więc uważnie badać wzrokiem okolice w poszukiwaniu dużego szopa, psa albo złośliwego oposa. I rzeczywiście, coś zbliżało się drogą w stronę domu. Widziałem to wyraźnie przez lornetkę, jasno jak w dzień.

To był diabeł.

Nigdy dotąd nie oglądałem diabła i choć w przeszłości pisałem o nim, to gdyby ktoś pytał, musiałbym przyznać, że w niego nie wierzyłem. Był dla mnie wymyśloną postacią, tragiczną i miltonowską. Jednakże stwór zbliżający się drogą nie przypominał Lucyfera Milтона. To był diabeł.

Serce zaczęło walić mi w piersi tak mocno, że aż bolało. Miałem nadzieję, że mnie nie widać, że jestem dobrze ukryty w domu, za szybą.

Postać maszerująca drogą zamigotała i uległa zmianie. W jednej chwili była mroczna i rosła jak minotaur, w następnej szczyła i kobieca, w kolejnej stała się pokrytym bliznami kotem, wielkim, szarozielonym dzikim kotem, którego pysk wykrzywiała wściekłość.

Na moją werandę prowadzą schody, cztery białe drewniane stopnie, które już dawno powinienem był pomalować (wiedziałem, że są białe, choć przez moją lornetkę wydawały się zielone, podobnie jak wszystko, co je otaczało). U stóp owych stopni diabeł przystanął i zawołał coś, czego nie rozumiałem, trzy, może cztery słowa w jęklwym skowyczącym języku, z pewnością starym i zapomnianym już w czasach, gdy Babilon był jeszcze młody. A choć go nie rozumiałem, poczułem, że na ów dźwięk włosy jeżą mi się na karku.

I wtedy usłyszałem, stłumiony przez szklaną zaporę, lecz wciąż słyszalny, niski pomruk,

wyzwanie. Czarna postać zeszła chwiejnie po schodach, oddalając się ode mnie w stronę diabła. W tych dniach Czarny Kot nie poruszał się już jak pantera; potykał się i kołysał niczym marynarz, który niedawno zszedł na ląd.

Diabeł był teraz kobietą. Odezwała się do kota, mówiąc łagodnie, kojąco, w języku przypominającym francuski, i wyciągnęła ku niemu rękę. Natychmiast zatopił w niej zęby. Jej wargi wykrzywiły się i splunęła na niego.

I wtedy kobieta zerknęła na mnie. Jeśli nawet do tej pory wątpiłem, czy naprawdę jest diabłem, zyskałem pewność. Jej oczy błysnęły czerwonym ogniem, a przecież przez noktowizor nie można ujrzyć czerwieni, jedynie odcienie zieleni. Diabeł dostrzegł mnie przez okno. Zobaczył mnie. Ani przez moment w to nie wątpiłem.

Diabeł poruszył się, jego ciało zamigotało. Teraz przypominał szakala, stworza o płaskim pysku, wielkiej głowie i byczym karku, coś pośredniego pomiędzy hieną a dingo. W jego sparszywiałym futrze wiły się robaki. Powoli zaczął wspinać się po schodach.

Czarny Kot skoczył na niego i po sekundzie tarzali się już po ziemi, tworząc jedną spletaną masę, poruszającą się szybciej, niż potrafiło dostrzec moje oko.

Wszystko to działo się w ciszy.

A potem rozległ się ledwie słyszalny ryk – w dali, po wiejskiej drodze u wylotu podjazdu z grzmotem przetoczyła się ciężarówka. Przez szkła noktowizora jej reflektory płonęły jasno niczym zielone słońca. Powoli opuściłem lornetkę i ujrzałem tylko ciemność oraz łagodny żółty blask świateł, a potem czerwień świateł stopu, które znów zniknęły w nicości.

Kiedy ponownie uniosłem noktowizor, nie miałem już czego oglądać. Na schodach pozostał tylko Czarny Kot, patrzący w niebo. Skierowałem lornetkę w górę i ujrzałem, jak coś odlatuje, może sęp albo orzeł. A potem wleciało między drzewa i zniknęło.

Wyszedłem na werandę, podniosłem Czarnego Kota i zacząłem go głaskać, mówiąc łagodne kojące słowa. Gdy się zbliżyłem, miauknął żałośnie, po chwili jednak zasnął mi na kolanach, a ja ułożyłem go w koszyku i wróciłem na górę do łóżka, by także położyć się spać. Rankiem ujrzałem, że moją koszulkę i dzinsy pokrywa zaschnięta krew.

Było to tydzień temu.

Istota, która przychodzi do mojego domu, nie zjawia się każdej nocy. Przychodzi jednak bardzo często. Można to poznać po pokrywających kota ranach i bólu, jaki dostrzegam w jego lwich oczach. Stracił już władzę w lewej przedniej łapie, jego prawe oko zamknęło się na dobre.

Zastanawiam się, czym sobie zasłużyliśmy na Czarnego Kota. Zastanawiam się, kto go przysłał. I, przerażony i samolubny, zastanawiam się też, jak wiele jeszcze znieśie.

Trollowy most

Na początku lat sześćdziesiątych, gdy miałem trzy czy cztery lata, zlikwidowano większość torów kolejowych. Władze zmasakrowały wówczas całą sieć kolejową. Odtąd można było pojechać tylko do Londynu, a miasteczko, w którym mieszkałem, stało się końcem trasy.

Oto moje najwcześniejsze wyraźne wspomnienie: miałem półtora roku. Matka leżała w szpitalu i rodziła moją siostrę, a babcia zabrała mnie na spacer na most i uniosła, bym mógł oglądać przejeżdżający w dole pociąg, dyszący i dymiący niczym czarny, żelazny smok.

W ciągu następnych kilku lat wycofano ostatnie parowozy. Wraz z nimi zlikwidowano sieć torów, łączącą wioski z miastami, miasteczka z wsiami.

Nie wiedziałem, że pociągi mogą zniknąć. Gdy ukończyłem siedem lat, przeszły do historii.

Mieszkaliśmy w starym domu na przedmieściach. Puste pola naprzeciwko leżały odłogiem. Często przełaziłem przez płot, kładłem się w cieniu niewielkiej kępy sitowia i czytałem książki albo też, gdy ogarniała mnie żądza przygody, badałem tereny opuszczonej posiadłości za polami. Był tam stary, zarosnięty, ozdobny staw, nad którym przerzucono niski, drewniany mostek. W trakcie moich wypraw do ogrodów i lasów dworskich nigdy nie natknąłem się na żadnego strażnika bądź dozorcę. Nigdy też nie próbowałem wchodzić do samego domu. Wolałem nie kusić losu, a zresztą wierzyłem święcie, iż wszystkie puste, stare domy są nawiedzone.

Nie oznacza to, że byłem naiwny. Po prostu wierzyłem we wszystko, co mroczne i niebezpieczne. Jeden z głównych artykułów mej dziecięcej wiary głosił, iż noc przynosi ze sobą duchy i wiedźmy, wygłodniałe, łopoczące płaszczami i odziane w czerni.

Na szczęście obowiązywała też zasada odwrotna. Dzień oznaczał bezpieczeństwo. Za dnia nic mi nie groziło.

Rytuał: ostatniego dnia letniego semestru w drodze ze szkoły zdejmowałem buty i skarpetki i niosąc je w rękach, maszerowałem brukowaną kamieniami ścieżką na miękkich, różowych, bosych stopach. Podczas wakacji wkładałem buty wyłącznie pod przymusem, na co dzień napawając się wolnością od obuwia, póki we wrześniu nie rozpoczął się kolejny rok szkolny.

Gdy miałem siedem lat, odkryłem ścieżkę biegnącą przez las. Było właśnie lato, jasne i gorące. Tego dnia bardzo oddaliłem się od domu.

Zwiedzałem okolicę. Minąłem dwór, patrzący na mnie ślepymi, zabitymi deskami oczami okien. Przeszedłem przez posiadłość i przez nie znany mi las. Zsunąłem się po stromym zboczu i odkryłem, że stoję na zupełnie nieznannej cienistej ścieżce wśród gęstych drzew. Przenikające przez liście światło miało odcień zieleni i złota. Wydało mi się, że trafiłem do krainy czarów. Wzdłuż ścieżki biegł wąski strumyk, w którym roiło się od maleńkich przezroczystych krewetek. Łapałem je i patrzyłem, jak wiją się i szamocą na mych palcach. Potem wkładałem je do wody.

Ruszyłem naprzód ścieżką. Była idealnie prosta, porośnięta krótką trawą. Od czasu do czasu natrafiałem na wspaniałe kamienie: obłe bryłki stopionej skały, brązowe, fioletowe i czarne. Kiedy uniosło się je do światła, ich powierzchnia płonęła wszystkimi barwami tęczy.

Przekonany, że muszą być niezwykle cenne, napchałem nimi kieszenie.

Szedłem tak i szedłem cichym złocistozielonym korytarzem i nikogo nie widziałem.

Nie czułem głodu ani pragnienia, jedynie ciekawość, dokąd wiedzie ścieżka. Była idealnie prosta i absolutnie płaska. Sama ścieżka w ogóle się nie zmieniała, ale otaczający ją krajobraz owszem. Z początku szedłem dnem wąwozu; po obu stronach wznosiły się strome, porośnięte trawą ściany. Później ścieżka prowadziła górą. Idąc, widziałem kołyszące się w dole czubki drzew i dachy nielicznych odległych budynków. Moja ścieżka, wciąż płaska i prosta, przecinała wzgórze i doliny. W końcu w jednej z dolin ujrzałem most.

Zbudowano go z czystych czerwonych cegieł. Tworzył wyniosły, zakrzywiony łuk nad ścieżką. Z boku dostrzegłem kamienne stopnie, wycięte w brzegu. U góry zamykała je mała, drewniana furтка.

Obecność jakiegokolwiek śladu istnienia istot ludzkich na mej ścieżce zdumiała mnie, bo od tej pory uwierzyłem już, iż jest ona czymś naturalnym, niczym wulkan. Teraz, wiedziony bardziej ciekawością niż czymkolwiek innym (ostatecznie przeszedłem już setki mil, albo tak przynajmniej sądziłem, i mogłem być absolutnie wszędzie), wspinałem się po kamiennych schodach i przeszedłem przez furtkę.

Znalazłem się nigdzie.

Szczyt mostu pokrywało błoto. Po obu stronach rozciągały się łąki. Na jednej rosła trawa, na drugiej ktoś posiał zboże. W zaschniętym błocie odcisnęły się ślady szerokich opon traktora. Przeszedłem przez most, by się upewnić: żadnego tupania. Moje bose stopy poruszały się bezszelestnie. W promieniu wielu mil nie było niczego, jedynie pola, zboże i drzewa.

Zerwałem kłos pszenicy i zacząłem wyłuskiwać słodkie ziarna, obierając je między palcami i przeżuując z namysłem. Wtedy zorientowałem się, że robię się głodny, i wróciłem po schodach na opuszczony tor. Czas wracać do domu. Nie zgubiłem się. Wystarczyło tylko, bym podążył ścieżką.

Pod mostem czekał na mnie troll.

– Jestem troll – oznajmił. Potem umilkł na chwilę, po czym dodał od niechcienia: – Fol rol de ol rol.

Był olbrzymi. Jego głowa sięgała szczytu ceglaneanego łuku. Był też praktycznie przezroczysty: przez jego ciało dostrzegałem cegły i drzewa, przyciemnione, lecz widoczne. Zupełnie jakby wszystkie moje koszmary stały się ciałem. Miał wielkie, mocne zęby, mordercze szpony i silne, włochate dłonie. Długie włosy przypominały czuprynę jednego z małych plastikowych maskaronów mojej siostry. Oczywiście miał wyłupiaste i był nagi. Jego penis zwisał z gęstwiny splecionych włosów między nogami.

– Usłyszałem cię, Jack – szepnął, a jego głos przywodził na myśl wiatr. – Usłyszałem, jak tupiesz na moim moście, a teraz pojrę twoje życie.

Miałem zaledwie siedem lat. Był jednak dzień i nie pamiętam, abym się bał. Lepiej, by to dzieci stawały oko w oko z elementami bajek – są lepiej przygotowane na taką konfrontację.

– Nie pożeraj mnie – powiedziałem do trolla. Miałem na sobie pasiastą, brązową koszulkę i brązowe sztruksy. Włosy też miałem brązowe. Brakowało mi zęba z przodu. Uczyłem się gwizdać między zębami, ale jak dotąd bez powodzenia.

– Zamierzam pożreć twoje życie, Jack – odparł troll.

Spojrzałem mu prosto w twarz.

– Wkrótce na ścieżce zjawi się moja starsza siostra – skłamałem. – Będzie znacznie smaczniejsza niż ja. Zjedz ją zamiast mnie.

Troll powęszył w powietrzu i uśmiechnął się.

– Jesteś zupełnie sam – rzekł. – Na ścieżce nie ma niczego innego, absolutnie niczego. – Potem nachylił się i przesunął po moim ciele palcami, zupełnie jakby twarz musnęło mi stadko motyli, jakby dotykał jej ślepy człowiek. Troll powąchał palce i potrząsnął olbrzymią głową. – Ty w ogóle nie masz starszej siostry. Tylko młodszą, która dziś została u przyjaciółki.

– Potrafisz to stwierdzić po zapachu? – spytałem zdumiony.

– Trolle umieją wywęszyć tęczę. Trolle umieją wywęszyć gwiazdy – szepnęła ze smutkiem. – Trolle czują woń snów, które śniłeś, nim jeszcze przyszedłeś na świat. Podejdz do mnie, a ja pozrę twoje życie.

– Mam w kieszeni szlachetne kamienie – poinformowałem trolla. – Weź je sobie. Spójrz. – Pokazałem mu znalezione wcześniej klejnoty z lawy.

– Żużel – oświadczył troll. – Porzucone odpady z parowców. Nie mają żadnej wartości.

Otworzył szeroko usta. Ostre zęby, oddech cuchnący pleśnią i wilgocią spod świata.

– Jem. Już.

Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej cielesny, coraz prawdziwszy, a świat na zewnątrz tracił barwy, zaczynał blednąć.

– Zaczekaj! – Wbiłem stopy w wilgotną ziemię pod mostem. Poruszyłem palcami, trzymając się kurczowo rzeczywistego świata. Spojrzałem mu prosto w wielkie oczy. – Nie chcesz wcale pożerać mojego życia, jeszcze nie. Ja... mam dopiero siedem lat. W ogóle jeszcze nie żyłem. Jest wiele książek, których nie zdążyłem przeczytać. Nigdy nie leciałem samolotem. Wciąż nie potrafię gwizdać, nie do końca. Może mnie wypuścisz? Kiedy będę starszy, większy i smaczniejszy, wrócę do ciebie.

Troll przyglądał mi się oczami płonącymi niczym reflektory.

Potem skinął głową.

– Zatem do zobaczenia, kiedy wrócisz – rzekł. I uśmiechnął się.

Odwróciłem się i pomaszerowałem prostą, milczącą ścieżką, na której kiedyś leżały tory kolejowe.

Po chwili zacząłem biec.

Pędziłem skąpaną w zielonym świetle dróżką, dysząc i sapiąc, póki nie poczułem kłującego bólu pod żebrami, ostrej kolki. Trzymając się za bok, dotarłem do domu.

* *
* *

Gdy dorastałem, pola zaczęły znikać. Wzdłuż ulic ochrzczonych nazwami dzikich kwiatów i mianami szanowanych autorów wyrastały kolejne rzędy domów. Nasz dom – stary, zniszczony wiktoriański budynek – został sprzedany i zburzony. W ogrodzie wyrosły nowe bloki.

Budowano je wszędzie.

Raz zabłądziłem w nowej dzielnicy, pokrywającej dwie łąki, których każdy skrawek znałem kiedyś na pamięć. Nie miałem jednak nic przeciw temu, by zniknęły. Stary dwór został kupiony przez międzynarodową spółkę. W majątku wzniesiono kolejne budynki.

Minęło osiem lat, nim wróciłem na stary szlak kolejowy, a kiedy to zrobiłem, nie byłem sam.

Miałem piętnaście lat. Już dwa razy zdążyłem zmienić szkołę. Dziewczyna miała na imię Louise. Była moją pierwszą miłością.

Kochałem jej szare oczy i cienkie jasnobrązowe włosy, a także niezręczny sposób poruszania

(zupełnie jak jelonek, który dopiero uczy się chodzić. Wiem, że brzmi to bardzo głupio, i przepraszam). Kiedy miałem trzynaście lat, zobaczyłem, jak żuje gumę, i wpadłem po uszy niczym samobójca do rzeki.

Główną przeszkodę w mojej miłości do Louise stanowił fakt, że byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i oboje spotykaliśmy się z innymi ludźmi. Nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham, czy nawet, że mi się podoba. Byliśmy kumplami.

Tego wieczoru siedzieliśmy u niej, w jej pokoju, i słuchaliśmy płyty „Rattus Norvegicus”, pierwszego longplaya The Straglers. Właśnie zaczynał królować punk i wszystko stawało się takie podniecające, świat nieskończonych możliwości, tak w muzyce, jak i poza nią. W końcu nadeszła pora powrotu do domu. Louise postanowiła mi towarzyszyć. Niewinnie wzięliśmy się za ręce, jak to kumple, i ruszyliśmy spacerkiem. Po dziesięciu minutach dotarliśmy do mnie.

Na niebie świecił jasny księżyc; otaczała nas kraina pozbawiona barw. Noc była ciepła.

Dotarliśmy do mojego domu, dostrzegliśmy światła w oknach i stanęliśmy na podjeździe, rozmawiając o zespole, który zamierzałem założyć. Nie weszliśmy do środka.

Potem postanowiłem, że odprowadzę ją do domu. Wróciliśmy.

Opowiedziała mi o bitwach, które staczała z młodszą siostrą, podkradającą jej kosmetyki i perfumy. Louise podejrzewała, że siostra uprawiała już seks z chłopakami. Sama Louise jeszcze tego nie robiła, tak jak ja.

Staliśmy na drodze przed jej domem pod żółtą, sodową latarnią. Patrzyliśmy na swe czarne usta i bladożółte twarze.

Uśmiechaliśmy się do siebie.

Potem ruszyliśmy naprzód, wybierając ciche ulice i puste zaułki. W jednej z nowych dzielnic mieszkaniowych skręciliśmy na ścieżkę prowadzącą do lasu.

Ścieżka była prosta i ciemna, lecz światła odległych domów lśniły niczym naziemne gwiazdy, a księżyc dostatecznie oświetlał nam drogę. Raz jeden przestraszyliśmy się, gdy tuż przed nami coś zaczęło węszyć i prychać. Zbliżyliśmy się i ujrzelśmy, że to borsuk. Wybuchliśmy śmiechem, po czym uścisnęliśmy się i ruszyliśmy dalej.

Rozmawialiśmy cicho o bzdurach, o tym, o czym marzymy, czego pragniemy.

I cały ten czas chciałem ją pocałować, pomacać piersi, a może nawet wsunąć rękę między nogi.

W końcu dostrzegłem szansę. Nad ścieżką wznosił się stary, ceglany most. Przystanęliśmy pod nim. Przytuliłem się do niej. Jej usta otwarły się pod moimi wargami.

I wtedy zeszytniała, zrobiła się zimna i zastygła w bezruchu.

– Witaj – powiedział troll.

Wypuściłem Louise. Pod mostem było ciemno, lecz sylwetka trolla wypełniała mrok.

– Zamroziłem ją – oznajmił troll – abyśmy mogli porozmawiać. Teraz zamierzam pożreć twoje życie.

Serce waliło mi w piersi. Całe ciało drżało.

– Nie.

– Powiedziałeś, że do mnie wrócisz. I wróciłeś. Czy nauczyłeś się gwizdać?

– Tak.

– To świetnie. Ja nigdy nie umiałem gwizdać. – Powęszył. – Cieszę się. Obrosłeś w życie i doświadczenie. Więcej do jedzenia, więcej dla mnie.

Chwyciłem Louise, sztywnego zombi, i pchnąłem ją naprzód.

– Nie zabieraj mnie, nie chcę umierać. Weź ją. Założę się, że jest smaczniejsza niż ja, i o dwa

miesiące starsza. Czemu nie weźmiesz jej?

Troll milczał.

Obwąchał Louise od stóp do głów – stopy i krocze, piersi, włosy.

Potem spojrzał na mnie.

– Jest niewinna – oznajmił. – Ty nie. Nie chcę jej. Chcę ciebie.

Podszedłem do skraju mostu i spojrzałem w górę na gwiazdy świecące na niebie.

– Ale jeszcze tak wielu rzeczy nie zrobiłem – rzekłem na poły do siebie. – To znaczy nigdy... nigdy się nie kochałem i nigdy nie byłem w Ameryce. Nie... – urwałem. – Jeszcze niczego nie zrobiłem. Jeszcze nie.

Troll nie odpowiedział.

– Mógłbym do ciebie wrócić, kiedy będę starszy.

Milczał.

– Wrócę. Daję słowo.

– Wrócisz do mnie? – spytała Louise. – Czemu? Dokąd się wybierasz?

Odwrociłem się. Troll zniknął, a dziewczyna, którą zdawało mi się, że kocham, stała wśród cieni pod mostem.

– Wracamy do domu – oznajmiłem. – Chodź.

Wróciliśmy, nie odzywając się ani słowem.

Niedługo potem zaczęła umawiać się na randki z perkusistą zespołu punkrockowego, który założyłem. Znacznie później wyszła za męża za kogoś innego. Spotkaliśmy się kiedyś w pociągu, gdy była już mężatką. Spytała, czy pamiętam tamten wieczór.

Odparłem, że tak.

– Tamtego wieczoru naprawdę cię lubiłam, Jack – powiedziała. – Sądziłam, że chcesz mnie pocałować. Myślałam, że spróbujesz się ze mną umówić. Zgodziłabym się, gdybyś to zrobił.

– Ale nie zrobiłem.

– Nie – rzekła. – Nie zrobiłeś. – Miała krótko ostrzyżone włosy. Było jej w nich nie do twarzy.

Nigdy więcej jej nie widziałem. Szczupła kobieta o wymuszonym uśmiechu nie była dziewczyną, którą kochałem. Czuję się niezręcznie, rozmawiając z nią.

* *
* *

Przeprowadziłem się do Londynu. Potem, kilka lat później, wróciłem, lecz miasto, w którym się znalazłem, nie było tym, jakie pamiętałem. Pola, farmy, małe kamienne dróżki zniknęły, toteż, gdy już mogłem, przeprowadziłem się do małej wioski dziesięć mil dalej.

Zabrałem ze sobą rodzinę – byłem już żonaty i dzieciaty – i zamieszkaliśmy w starym domu, niegdyś pełniącym rolę dworca kolejowego. Tory wykopano. Stare małżeństwo, mieszkające naprzeciw nas, uprawiało na ich miejscu warzywa.

Zaczynałem się starzeć. Pewnego dnia dostrzegłem siwy włos. Kiedy indziej usłyszałem nagranie własnego głosu i uświadomiłem sobie, że brzmi on zupełnie jak głos mojego ojca.

Pracowałem w Londynie w dziale wyławiania talentów jednej z największych wytwórni płytowych. Dojeżdżałem do miasta pociągiem, czasami wracałem na noc.

W Londynie musiałem utrzymywać małe mieszkanie. Trudno wracać do domu, gdy zespół, który sprawdzamy, nie wywleka się na scenę przed północą. Oznaczało to też, że łatwo mogę wykręcić numerka na boku, jeśli tylko mam ochotę, a miałem.

Sądziłem, że Eleanora – tak nazywa się moja żona; chyba powinienem był wspomnieć o tym wcześniej – nie wie o innych kobietach. Jednakże pewnego zimowego dnia wróciłem z dwutygodniowego wyjazdu do Nowego Jorku i zastałem pusty, zimny dom.

Nie zostawiła mi liściku, lecz prawdziwy list: piętnaście stron starannie wypisanych na maszynie. Każde słowo było prawdziwe, łącznie z post scriptum, które brzmiało: „Tak naprawdę mnie nie kochasz. Nigdy nie kochałeś”.

Włożyłem gruby płaszcz i wyszedłem z domu, wędrując wprost przed siebie, oszołomiony i lekko odrętwiały.

Ziemi nie pokrywał śnieg, było jednak mroźno. Liście chrzęściły mi pod stopami. Na tle surowego, szarego, zimowego nieba ostro odcinały się czarne szkielety drzew.

Szedłem poboczem. Mijały mnie samochody, zmierzające do i z Londynu. W pewnej chwili potknąłem się o na wpół pogrzebaną w stosie brązowych liści gałąź i rozdarłem sobie spodnie oraz skaleczyłem nogę.

Dotarłem do następnej wioski. Pod kątem do drogi płynęła rzeka. Obok niej dostrzegłem ścieżkę, której nigdy dotąd nie widziałem. Skręciłem na nią, wpatrując się w częściowo zamarznąłą rzekę. Woda gulgotała, pluskała i śpiewała.

Ścieżka wiodła przez pola. Była prosta, porośnięta trawą.

Tuż przy niej znalazłem kamień sterczący z ziemi. Podniosłem go i oczyściłem z błota.

Trzymałem w ręku bryłę stopionej fioletowawej masy. Jej powierzchnia mieniła się wszystkimi barwami tęczy. Wsunąłem zdobycz do kieszeni płaszcza i zacisnąłem na niej dłoń, maszerując naprzód. Ciepło kamienia dodawało mi otuchy.

Rzeka wiała się wśród pól, a ja wędrowałem w ciszy.

Szedłem tak godzinę, nim dostrzegłem domy – nowe, małe, kanciaste – stojące na brzegu nade mną. A potem ujrzałem most i wiedziałem już, gdzie jestem. Na starym szlaku kolejowym, tyle że przyszedłem z przeciwnej strony.

Na moście wymalowano graffiti: „DUPA” i „BARRY KOCHA SUSAN” oraz wszechobecne „FN” Frontu Narodowego.

Stanałem pod mostem w cieniu czerwonego ceglanego łuku, pośród papierków po lodach, paczek po chipsach, obok samotnej, żalostnej zużytej prezerwatywy. Patrzyłem, jak mój oddech paruje w zimnym popołudniowym powietrzu.

Krew zasychała mi na spodniach.

Po moście nad moją głową przejeżdżały samochody. Usłyszałem radio grające głośno w jednym z nich.

– Hej! – powiedziałem cicho. Czuję się naprawdę głupio. – Halo?

Nikt nie odpowiedział. Wiatr zaszeleścił paczkami po chipsach i liśćmi.

– Wróciłem. Obiecałem, że wrócę, i dotrzymałem słowa. Halo!

Cisza.

I wtedy rozplakałem się, niemądrze, cicho, szlochając pod mostem. Jakaś ręka dotknęła mej twarzy. Uniosłem wzrok.

– Nie przypuszczałem, że wrócisz – powiedział troll.

Był teraz mojego wzrostu, poza tym jednak się nie zmienił. W jego długich, potarganych włosach tkwiły liście. Oczy miał wielkie i samotne.

Wzruszyłem ramionami. Potem otarłem twarz rękawem płaszcza.

– Ale wróciłem.

Mostem przebiegła trójka dzieci, krzyząc donośnie.

– Ja jestem troll – rzekł troll cichym, zalęknionym głosem. – Fol rol de ol rol. – Drżał cały. Wyciągnąłem rękę i ująłem jego potężną, szponiastą łapę. Uśmiechnąłem się do niego.
– W porządku – powiedziałem. – Naprawdę wszystko w porządku.

Troll przytaknął.

Pchnął mnie na ziemię, na liście, opakowania i prezerwatywę, po czym położył się na mnie. Potem uniósł głowę, otworzył paszczę i pożarł me życie mocnymi, ostrymi zębami.

* *
*

Kiedy skończył, wstał i otrzepał się. Wsunął dłoń do kieszeni płaszcza i wyciągnął bulwiastą, spaloną bryłkę żużlu.

Podał mi ją.

– To należy do ciebie – rzekł.

Spojrzałem na niego. Przywdział me życie swobodnie, jakby nosił je od lat. Wziąłem od niego żużel i obwąchałem go. Czuję woń pociągu, z którego wypadł tak dawno temu. Ścisnąłem mocno kamyczek w mej włochatej łapie.

– Dziękuję – rzekłem.

– Powodzenia – rzucił troll.

– Tak. Cóż, tobie także.

Troll uśmiechnął się do mnie moją twarzą.

Potem odwrócił się i ruszył w stronę, z której przyszedłem, w kierunku wioski i pustego domu, który opuściłem tego ranka. Idąc, gwizdał wesoło.

Od tego czasu żyję tu. Ukrywam się. Czekam. Jestem częścią mostu.

Obserwuję z cienia przechodzących ludzi, spacerujących z psami, rozmawiających, robiących rzeczy, jakie robią ludzie. Czasami ktoś zatrzyma się pod moim mostem. Przystanie, wysika się, uprawia seks. Obserwuję ich, lecz nic nie mówię. Oni zaś nigdy mnie nie widzą.

Fol rol de ol rol.

Zostanę tu w ciemności pod łukiem. Słyszę was, jak tupiecie po moim moście.

O tak, słyszę was.

* *
*

Ale nie zamierzam wyjść.

Nie pytaj diabła

Nikt nie wiedział, skąd wzięła się zabawka, do jakiego pradziadka bądź dalekiej ciotki należała, nim trafiła do pokoju dziecięcego.

To była skrzynka, rzeźbiona i pokryta czerwoną i złotą farbą, niewątpliwie miła dla oka i, tak przynajmniej twierdzili dorośli, bardzo cenna – może nawet antyk. Niestety, zamek przerdzewiał i zatrzasnął się na amen, a klucz zaginął, toteż nikt nie mógł uwolnić diabła z jego pudełka. Niemniej jednak było to wspańiałe pudło: ciężkie, rzeźbione i złoczone.

Dzieci nie bawiły się nim. Tkwiło na dnie starego, drewnianego kosza z zabawkami, dorównującego rozmiarami i wiekiem pirackiej skrzyni – tak przynajmniej uważały dzieci. Diabeł w pudełku leżał zagrzebany pod stosami lalek i kolejek, klaunów, papierowych gwiazdek i starych zestawów do magicznych sztuczek, okaleczonych marionetek o nieodwracalnie splątanych sznurkach, porzuconych strojów (strzępów starej ślubnej sukni obok czarnego jedwabnego cylindra, pokrytego warstwą brudu i czasu) i sztucznej biżuterii, połamanych obręczy, przykrywek i koników. Pod tym wszystkim spoczywało pudło diabła.

Dzieci nie bawiły się nim. Szeptaly między sobą, samotne, w pokoju na strychu. W szare dni, gdy wiatr zawodził wokół domu, a deszcz bębnił o dachówki i spływał z okapów, opowiadały sobie historie o diable, choć nigdy go nie widziały. Jedno z nich twierdziło, że diabeł to zły czarownik zamknięty w pudełku za swe zbrodnie, zbyt okropne, by je opisywać. Ktoś inny (z pewnością jedna z dziewczynek) upierał się, że pudełko diabła to w rzeczywistości Puszka Pandory, w której umieszczono go jako strażnika, nie pozwalającego, by złe rzeczy zamknięte w środku znów się wydostały. Jeśli tylko mogły, w ogóle nie dotykały pudełka. Kiedy jednak, jak się to zdarzało od czasu do czasu, ktoś dorosły dostrzegał nieobecność poczciwego, starego diabła w pudełku, wyciągał go ze skrzyni i ustawiał na honorowym miejscu na kominku, dzieci zbierały się na odwagę i szybko ponownie ukrywały go ciemności.

Dzieci nie bawiły się diabłem w pudełku. A kiedy dorosły i opuściły wielki dom, pokój na strychu został zamknięty i prawie zapomniany.

Prawie, lecz nie końca, albowiem każde z dzieci z osobna pamiętało, że kiedyś samotnie, w błękitnym blasku księżyca, na bosaka, powędrowało do pokoju dziecinnego. Przypominało to spacer lunatyczny – stopy bezszelestnie stąpające po drewnianych stopniach i wytartym dywanie. Każde z nich pamiętało, że otwiera skrzynię skarbów, grzebie wśród lalek i ubrań i wyciąga pudełko.

A potem dziecko dotykało zamka, wieko unosiło się powoli, niczym zachodzące słońce. Zaczynała grać muzyka i pojawiał się diabeł. Nie wyskakiwał nagle, nie tkwił na sprężynie. Wstawał powoli, z rozmysłem. Wynurzał się z pudełka, wzywał gestem dziecko, by się zbliżyło, i uśmiechał się.

I wówczas w blasku księżyca mówił im rzeczy, których nigdy nie mogły sobie przypomnieć, ale też nie zdołały zatrzeć ich w pamięci.

Najstarszy chłopiec zginął w Wielkiej Wojnie. Najmłodszy odziedziczył dom po śmierci rodziców. Wkrótce jednak zabrano mu go, bo pewnej nocy został znaleziony w piwnicy wśród szmat, parafiny i zapalek. Próbował spalić wielki dom aż do fundamentów. Zamknęli go w domu dla wariatów. Może wciąż jeszcze tam jest.

Pozostałe dzieci, niegdyś dziewczynki, obecnie kobiety, odmówiły, każda z osobna, powrotu do domu, w którym dorastały. Okna budynku zabito deskami. Drzwi zamknięto wielkimi żelaznymi kluczami. Siostry odwiedzały go równie często, jak grób najstarszego brata i żalną istotę, która niegdyś była ich najmłodszym bratem, czyli nigdy.

Minęły lata. Dziewczynki są już stare. W dawnym pokoju na poddaszu zagnieździły się sowy i nietoperze. Szczury budują gniazda wśród porzuconych zabawek. Zwierzęta spoglądają obojętnie na wyblakłe ryciny na ścianach i plamą resztki dywanu swymi odchodami.

Zaś głęboko wewnątrz skrzyni diabeł czeka z uśmiechem, kryjąc swe sekrety. Czeka na dzieci. Może tak czekać wiecznie.

Złote rybki i inne historie

Kiedy przybyłem do L.A., miałem wrażenie, że otaczają mnie setki starych filmów.

Na lotnisku czekał na mnie kierowca w czarnej liberii, trzymający w dłoniach biały kawałek tektury ze starannie, choć błędnie wypisanym moim nazwiskiem.

– Zabiorę pana prosto do hotelu – oznajmił. Sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego, że nie mam ze sobą walizek, jedynie wysłużoną torbę, wypchaną koszulkami, bielizną i skarpetami.

– Czy to daleko?

Pokręcił głową.

– Jakies dwadzieścia pięć, trzydzieści minut jazdy. Był pan już kiedyś w L.A.?

– Nie.

– Stale powtarzam, że L.A. to trzydziestominutowe miasto. Gdziekolwiek chce się pan udać, zawsze dotrze pan tam najpóźniej w trzydzieści minut, nie więcej.

Schował moje rzeczy w bagażniku, który nazywał kufrem, i otworzył przede mną drzwi limuzyny.

– Skąd pan pochodzi? – spytał. Limuzyna skręciła z lotniska na gładką, moką od deszczu, rozjarzoną neonami ulicę.

– Z Anglii.

– Z Anglii, co?

– Tak. Był pan tam kiedyś?

– Nie, proszę pana. Widziałem na filmach. Jest pan aktorem?

– Pisarzem.

Natychmiast stracił zainteresowanie. Od czasu do czasu jedynie kłął cicho pod nosem na innych kierowców.

Nagle zjechał na bok, zmieniając pas. Minęliśmy karambol, w którym uczestniczyły cztery samochody.

– Wystarczy, że trochę popada i wszyscy zapominają, jak się jeździ – mruknął. Wbiłem się głębiej w poduszki fotela. –

Słyszałem, że u was w Anglii też pada. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Odrobinę.

– Więcej niż odrobinę. W Anglii co dzień leje. – Roześmiał się. – Macie też gęstą mgłę.

Naprawdę gęstą.

– Niezupełnie.

– Co to znaczy, niezupełnie? – bronił się zaskoczony. – Widziałem na filmach.

Odtąd siedzieliśmy w milczeniu, jadąc w hollywoodzkim deszczu. Po długiej chwili znów się odezwał.

– Niech pan poprosi o pokój, w którym umarł Belushi.

– Słucham?

– Belushi. John Belushi. Umarł właśnie w pańskim hotelu. Narkotyki. Słyszał pan o tym?

– A, tak.

– Nakręcili film o jego śmierci. Grał go jakiś grubas, zupełnie nie przypominał Belushiego. Ale nikt nie powie o tym całej prawdy. Bo widzi pan, on nie był wtedy sam, tylko z jeszcze dwoma facetami. Studio nie chciało zadymy, ale kiedy się jest kierowcą, słyszy się różne rzeczy.

– Naprawdę?

– Robin Williams i Robert De Niro. To oni z nim wtedy byli. Cała trójka naćpana aż po uszy. Hotel okazał się białym, niby-gotyckim zameczkiem. Pożegnałem się z szoferem i zgłosiłem na recepcji. Nie prosiłem o pokój, w którym zmarł Belushi.

Wyszedłem na deszcz, zmierzając do mojego domku. W jednej ręce trzymałem torbę, w drugiej ścisnąłem pęk kluczy, które, jak twierdził recepcjonista, pozwolą mi przejść przez kolejne drzwi i bramki. W powietrzu unosiła się woń mokrej ziemi i, o dziwo, kropli na kaszel. Zapadał zmierzch. Robiło się ciemno.

Wszędzie wokół chlupała woda. Spływała strumyczkami przez dziedziniec. Wpadała do niewielkiej sadzawki, zawieszanej na jednym z murów.

Wspiąłem się po schodach do wilgotnego pokoju. Dziwne, że gwiazdor mógł umrzeć w takim nędznym miejscu.

Łóżko było nieco zatęchłe. Deszcz wybijał szalony rytm na blasze klimatyzatora.

Dłuższą chwilę oglądałem telewizję – cmentarzysko powtórek: *Zdrowko* niedostrzegalnie przeszło w *Taksówkę*, która straciła nagle kolor, stając się *Kocham Lucy*. Potem osunąłem się w sen.

Śnili mi się perkusiści, bębniący obłąkańczo w odległości trzydziestu minut jazdy.

Obudził mnie telefon.

– Hej, hej, hej, hej. Dotarł pan cało i zdrowo?

– Kto mówi?

– Jacob. Ze studia. Wciąż jesteśmy umówieni na śniadanie, hej?

– Śniadanie...!

– Nie ma sprawy. Za pół godziny odbiorę pana w hotelu. Zrobiłem już rezerwację. Nie ma sprawy. Dostał pan wiadomość?

– Ja...

– Przesłałem ją faksem wczoraj wieczorem. Do zobaczenia.

Deszcz ustał. Na niebie świeciło jasne, ciepłe słońce: prawdziwe hollywoodzkie światło. Przeszedłem do głównego budynku, stąpając po kobiercu zgniecionych liści eukaliptusa – stąd się wziął wczorajszy zapach lekarstwa na kaszel.

W recepcji wręczyli mi kopertę z faksem – planem zajęć na najbliższe kilka dni, dodającymi otuchy liścikami i odręcznymi notkami na marginesie, głoszącymi: „To będzie prawdziwy przebój!” i „Zapowiada się superfilm!”. Faks podpisał Jacob Klein, do którego niewątpliwie należał głos w telefonie. Nigdy wcześniej nie słyszałem o żadnym Jacobie Kleinie.

Przed hotelem zatrzymał się mały, czerwony sportowy samochód. Kierowca wysiadł i pomachał do mnie. Podszedłem bliżej. Miał krótką, szpakowatą brodę, uśmiech tak bogaty, że można by go zamienić na gotówkę, i złoty łańcuch na szyi. Pokazał mi egzemplarz *Synów człowieczych*.

To był Jacob. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– A gdzie Dawid? Dawid Gambol?

Właśnie z nim rozmawiałem wcześniej, załatwiając wyjazd. Nie był producentem. Nie miałem

pojęcia, co robił. Sam siebie określił jako „związanego z projektem”.

– David już nie pracuje w studio. Teraz ja kieruję projektem. Chcę, żeby pan wiedział, że jestem naprawdę nakręcony. Hej, hej.

– To dobrze? Wsiadliśmy do wozu.

– Gdzie odbędzie się spotkanie? Pokręcił głową.

– To nie spotkanie – rzekł. – Tylko śniadanie. Spojrzałem na niego pytająco. Zlitował się.

– Takie spotkanie przed spotkaniem – wyjaśnił.

Pojechaliśmy do centrum handlowego, odległego o jakieś pół godziny jazdy, w czasie której Jacob opowiadał, jak bardzo podobała mu się moja książka i jak ogromnie się cieszy, że związał się z tym projektem. Oznajmił, iż umieszczenie mnie w tym hotelu było jego pomysłem – oto prawdziwe hollywoodzkie przeżycie, którego nie zapewni Four Seasons czy Ma Maison – i spytał, czy zatrzymałem się w domku, w którym umarł John Belushi. Odparłem, że nie wiem, ale raczej wątpię.

– Wie pan, z kim był, kiedy umarł? Studio to wyciszyło.

– Nie. Z kim?

– Z Meryl i Dustinem.

– Mówimy o Meryl Streep i Dustinie Hoffmanie?

– Jasne.

– Skąd pan to wie?

– Ludzie gadają. To Hollywood. No wie pan. Przytaknąłem, jakbym rzeczywiście wiedział, choć w istocie nie miałem pojęcia.

* *
*

Ludzie często mówią o książkach, które napisały się same. To kłamstwo. Książki nie piszą się same. Stworzenie książki wymaga namysłu, zbierania materiałów, ciężkiej pracy, notatek, więcej czasu i energii, niż można to sobie wyobrazić – z wyjątkiem *Synów człowieczych*. Oni rzeczywiście napisali się sami.

Nam, pisarzom, często zadaje się niezwykle irytujące pytanie: Skąd bierzecie pomysły?

Odpowiedź brzmi: Zetknięcie. Różne idee spotykają się, właściwe składniki łączą i nagle abrakadabra!

Wszystko zaczęło się od filmu dokumentalnego o Charlesie Mansonie. Obejrzałem go przez czysty przypadek (był nagrany na taśmie, którą pożyczył mi przyjaciel, po kilku programach, które rzeczywiście chciałem obejrzeć): zdjęcia Mansona, kiedy został aresztowany, gdy ludzie sądzili jeszcze, że jest niewinny, i że to spisek rządu wymierzony w hippisów. Na ekranie widziałem Mansona – charyzmatycznego, przystojnego mówcę, męczennika. Kogoś, kto mógłby cię powieść wprost do piekła, kogoś, dla kogo byłbyś zdolny zabić.

Rozpoczął się proces. Po kilku tygodniach mówca zniknął, zastąpiony przez roztrzęsionego, połykającego słowa małpoluda z wyciętym na czole krzyżem. Geniusz, który krył się w nim wcześniej, zniknął. Ale tam był.

Dalszy ciąg filmu: twardooki oszust, który siedział z Mansonem w więzieniu.

– Charles Manson? Słuchaj, Charlie to przyszcz. Był nikim. Śmialiśmy się z niego. Był zerem.

Przytaknąłem. Działo się to w czasach, nim jeszcze Manson stał się królem charyzmy. Skojarzyło mi się to z błogosławieństwem, czymś danym, a potem odebrany.

Z obsesyjną uwagą obejrzałem resztę dokumentu, a potem obraz znieruchomiał, ukazując czarno-białe zdjęcie, a narrator coś powiedział. Przewinąłem. Powtórzył to samo.

Wpadłem na pomysł. Miałem książkę, która sama się napisała.

Oto, co powiedział narrator: niemowlęta, które Manson spłodził z kobietami z Rodziny, zostały wysłane do różnych domów dziecka i przeznaczone do adopcji. Sąd każde z nich obdarzył innym nazwiskiem. Żadne nie nazywało się Manson.

I pomyślałem o tuzinie dwudziestopięcioletnich Mansonów. O tym, jak w tej samej chwili spada na nich dar charyzmy. Dwunastu młodych Mansonów w pełnej chwale, z całego świata zmierzających do Los Angeles. I córce Mansona, rozpaczliwie próbującej nie dopuścić do ich spotkania, podczas którego, jak napisano na tylnej okładce, wypełniłoby się ich przerażające przeznaczenie.

Stworzyłem *Synów człowieczych*, pisząc w białej gorączce. Po miesiącu książka była gotowa i wysłałem ją agentce, która przyjęła ją z pewnym zaskoczeniem („Nie przypomina twoich innych historii, mój drogi” rzekła). Agentka sprzedała ją po licytacji – mojej pierwszej – za sumę większą, niż wydawało mi się to możliwe. (Moje pozostałe książki, trzy zbiory eleganckich, aluzyjnych i niedopowiedzianych historii o duchach zarobiły zaledwie na komputer, na którym je napisałem).

Potem zaś książkę – jeszcze przed wydaniem – kupiło Hollywood, znów po licytacji. Interesowały się nią trzy czy cztery studia. Zdecydowałem się na to, które chciało, bym sam napisał scenariusz. Wiedziałem, że nigdy do tego nie dojdzie, że nie dotrzymają słowa, potem jednak mój faks zaczął nocami wypluwać kolejne wiadomości – większość tryskającą entuzjazmem i podpisaną przez niejakiego Davida Gambola. Pewnego ranka podpisałem pięć egzemplarzy umowy, grubej jak książka telefoniczna. W kilka tygodni później agentka doniosła, że otrzymałem pierwszy czek i bilety do Hollywood. Czekwały mnie „rozmowy wstępne”. Wszystko to przypominało sen.

Bilety były na klasę biznesową. W chwili, gdy to zobaczyłem, zrozumiałem, że sen się ziścił.

Poleciałem do Hollywood w kabinie na szczycie jumbo jeta, żując wędzonego łososia i trzymając w dłoniach świeżutki egzemplarz *Synów człowieczych* w twardej oprawie.

* *
* *

A zatem śniadanie.

Powiedzieli mi jak bardzo podobała im się książka. Nie zapamiętałem niczyich imion. Mężczyźni mieli brody, nosili czapki z daszkiem, bądź jedno i drugie. Kobiety były zdumiewająco atrakcyjne, w specyficzny, higieniczny sposób.

Jacob zamówił śniadanie i zapłacił rachunek. Wyjaśnił, że czekające nas spotkanie to tylko formalność.

– Jesteśmy zachwyceni twoją książką. Czemu byśmy ją kupowali, gdybyśmy nie chcieli zrobić z niej filmu? Po co mielibyśmy cię zatrudniać, gdybyśmy nie chcieli, byś to ty napisał scenariusz, wnosząc do niego to coś wyjątkowego? To coś.

Przytaknąłem bardzo poważnie, jakbym godzinami zastanawiał się nad moim literackim „tym czymś”.

– Co za pomysł. Co za książka. Jesteś wyjątkowy.

– Jeden z najwyjątkowszych – dodała kobieta, imieniem Dina, Tina czy może Deanna.

Uniosłem brwi.

– Co zatem mam robić na spotkaniu?

– Słuchać – odparł Jacob. – Z pozytywnym nastawieniem.

Jazda do studia małym czerwonym wozem Jacoba trwała pół godziny. Podjechaliśmy do bramy. Tam Jacob stoczył krótką kłótnię ze strażnikiem. Zrozumiałem z niej, że dopiero niedawno pracuje w studiu i nie dostał jeszcze stałej przepustki.

Gdy wdarliśmy się do środka, odkryłem, że nie ma też stałego miejsca parkingowego. Wciąż nie rozumiem znaczenia tego faktu. Z tego, co mówił, miejsca parkingowe są w studiu oznaką statusu, tak jak w starożytnych Chinach cesarskie nadania dworskie.

Przejechaliśmy przez ulice dziwnie płaskiego Nowego Jorku i zaparkowaliśmy przed wielkim, starym bankiem. Po dziesięciu minutach znalazłem się w sali konferencyjnej, wraz z Jacobem i innymi ludźmi ze śniadania. Czekaliśmy na kogoś, lecz w całym tym zamieszaniu nie dosłyszałem na kogo i co robi ów ktoś. Wyjąłem egzemplarz książki i położyłem go przed sobą. Taki talizman.

W końcu ktoś wszedł do środka. Był wysoki. Miał spiczasty nos, spiczasty podbródek i stanowczo za długie włosy – wyglądał, jakby porwał kogoś znacznie młodszego i ukradł mu je. Ze zdumieniem odkryłem, iż jest Australijczykiem.

Usiadł.

Spojrzał na mnie.

– Wal – rzekł.

Powiodłem spojrzeniem po obecnych, nikt jednak na mnie nie patrzył. Unikali mojego wzroku. Zacząłem więc mówić o książce, o akcji, o zakończeniu, strzelaninie w nocnym klubie, gdzie dobra córka Mansona rozwala resztę – albo przynajmniej tak się jej wydaje. O tym, że według mnie wszystkich chłopców powinien grać jeden aktor.

– Wierzysz w to?

Tak brzmiało pierwsze pytanie Kogoś.

Łatwizna. Podobne zadał mi co najmniej tuzin brytyjskich dziennikarzy.

– Czy wierzę, że Charles Manson dysponował na krótko nadprzyrodzoną mocą, która potem go opuściła, a teraz nawiedza jego dzieci? Nie. Czy wierzę, że zdarzyło się coś dziwnego? Chyba tak. Może po prostu przez krótki czas jego szaleństwo pasowało do szaleństwa ogarniającego resztę świata. Nie wiem.

– Hmm. Ten młody Manson. Mógłby go zagrać Keanu Reeves?

„O Boże, nie” – pomyślałem. Jacob spojrzał na mnie i desperacko skinął głową.

– Czemu nie – rzekłem. „To tylko wyobraźnia. Nic z tego nie dzieje się naprawdę”.

– Negocjujemy z jego ludźmi – oświadczył Ktoś, z namysłem kiwając głową.

Kazali mi napisać abstrakt scenariusza. Ktoś miał go zatwierdzić. Przypuszczam, że mieli na myśli australijskiego Kogoś, choć nie mam pewności.

Nim odszedłem, ktoś inny wręczył mi siedemset dolarów i kazał podpisać pokwitowanie. Zapłata za dwa tygodnie pracy.

* *
*

Przez dwa dni pisałem abstrakt. Próbowałem zapomnieć o książce i przedstawić całą historię jako film. Praca szła nieźle. Siedziałem w swoim pokoju, pisząc na notebooku, przysłanym przez

studio, i drukując kolejne strony na atramentowej drukarce, także ze studia. Posiłki jadłem u siebie.

Po południu codziennie wybierałem się na krótki spacer Bulwarem Zachodzącego Słońca. Dochodziłem do „prawie całonocnej” księgarni. Tam kupowałem gazetę. Pół godziny siedziałem na hotelowym dziedzińcu, czytając ją, a potem, wchłonawszy dawkę świeżego powietrza i słońca, wracałem w mrok, by zamienić mą książkę w coś zupełnie innego.

Każdego dnia widywałem na dziedzińcu bardzo starego Murzyna, pracownika hotelu. Bolesnie, powoli szedł naprzód, podlewając rośliny i przyglądając się rybom. Uśmiechał się do mnie, a ja pozdrawiałem go skinieniem głowy.

Trzeciego dnia wstałem i podszedłem do niego. Stał właśnie obok sadzawki, wyciągając ręką śmieci: parę monet i paczkę papierosów.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Sir – odparł. Brzmiało to jak „seh”.

Wolałbym, by mnie tak nie nazywał, ale nie potrafiłem ująć tego w słowa; bałem się go obrazić.

– Ładne ryby.

Przytaknął, uśmiechając się szeroko.

– Karpie ozdobne. Sprowadzone aż z Chin.

Patrzyliśmy chwilę, jak pływają w niewielkiej sadzawce.

– Ciekawe, czy im się nudzi?

Potrząsnął głową.

– Mój wnuk jest ichtiologiem. Wie pan, co to?

– Bada ryby.

– Aha. Twierdzi, że ich pamięć sięga zaledwie trzydziestu sekund. Pływają więc w sadzawce i stale przeżywają niespodzianki. „Jeszcze nigdy tu nie byłem”. Spotykają inną rybę, którą znają od stu lat, i mówią: „Kim jesteś, nieznajomy?”.

– Zechce pan spytać o coś wnuka? – Starzec kiwnął głową. – Czytałem kiedyś, że karpie nie mają określonej długości życia. Nie starzeją się tak jak my. Umierają zabite przez ludzi, choroby bądź drapieżniki, ale nie starzeją się i nie umierają. Teoretycznie mogłyby żyć wiecznie.

Znów skinął głową.

– Zapytam. Brzmi to nieźle. Te trzy. O ten. Nazywam go Duch. Ma zaledwie cztery, pięć lat. Lecz pozostałe sprowadzono z Chin, kiedy się tu zatrudniłem.

– Czyli kiedy?

– W roku Pańskim 1924. Jak pan sądzi, ile mam lat?

Nie potrafiłem tego określić. Równie dobrze mógł być wyrzeźbiony ze starego drewna. Więcej niż pięćdziesiąt. Mniej niż Matuzalem. Powiedziałem to głośno.

– Urodziłem się w 1906. Bóg mi świadkiem.

– Tutaj? W L.A.?

Pokręcił głową.

– Kiedy się urodziłem, Los Angeles było zaledwie gajem pomarańczowym, daleko od Nowego Jorku. – Wysypał na powierzchnię wody karmę. Trzy ryby podpłynęły do niej – srebrzyste, zwiewne duchy. Spoglądały na nas, czy może tylko tak to wyglądało. Ich okrągłe pyszczki otwierały się i zamykały, jakby przemawiały w jakimś niemym, tajemnym języku.

Wskazałem tę, którą pokazał mi przedtem.

– Czyli to jest Duch, tak?

– To Duch. Zgadza się. Ten pod lilią, widzi pan jego ogon, prawda? Nazywa się Buster. Na pamiątkę Bustera Keatona. Keaton mieszkał tutaj, gdy go kupiliśmy. A to nasza Księżniczka.

Księżniczka była najbardziej charakterystyczna z trzech ryb: bladokremowa z jaskrawoszkarłatną plamą na grzbiecie, wyróżniającą ją spośród pozostałych.

– Jest piękna.

– O, tak. Bez dwóch zdań.

Odetchnął głęboko i zaczął kaszleć, krztusząc się i rżąc, z siłą, która zatrzęsa całym szczupłym ciałem. Wówczas po raz pierwszy uwierzyłem, że ma dziewięćdziesiąt lat.

– Nic panu nie jest?

Pokręcił głową.

– W porządku. Stare kości – rzekł.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wróciłem w mrok do mojego abstraktu.

* *
* *

Wydrukowałem ukończony abstrakt i wysłałem go faksem do Jacoba w studio.

Następnego dnia zjawił się w moim domku. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Wszystko w porządku? Jakies problemy z abstraktem?

– Nie. Tylko ogólny syf. Nakręciliśmy film z... – Wymienił nazwisko znanej aktorki, która kilka lat wcześniej grała w paru przebojach kasowych. – Gwarantowany hit, prawda? Tyle że nie jest już tak młoda, jak kiedyś. I upiera się, by wciąż występować w rozbieranych scenach. A wierz mi, nikt nie chce oglądać takiego ciała.

Chodzi o to, że pewien fotograf namawia kobiety, by zdejmowały przed nim ubrania. Potem je dmucha. Tyle że nikt nie wierzy, że to robi. Więc szefowa policji – grana przez panią Pokażę Światu Mój Goły Tyłek – rozumie, że może go aresztować tylko jeśli uda jedną z nich. Więc się z nim przesypia. Jest jeszcze haczyk...

– Zakochuje się w nim?

– O, tak. A potem pojmuje, że kobiety zawsze pozostaną więźniarkami męskich wyobrażeń. By dowieść swej miłości, kiedy zjawia się policja, żeby aresztować ich obydwój, bohaterka podpala wszystkie zdjęcia i ginie w płomieniach. Jej ubranie pali się pierwsze. Jak to brzmi?

– Głupio.

– My też tak pomyśleliśmy, gdy to zobaczyliśmy. Wylaliśmy zatem reżysera, przemontowaliśmy film i zrobiliśmy dokrętki. Teraz bohaterka, kiedy się z nim kocha, ma na sobie podsłuch. A gdy zaczyna się w nim zakochiwać, odkrywa, że zabił jej brata. Ma sen, w którym płonie je ubranie. Potem wraz z grupą antyterrorystyczną rusza go aresztować. On jednak ginie, zastrzelony przez jej młodszą siostrę, którą także przerznął.

– Tak jest lepiej?

Potrząsnął głową.

– To bzdura. Gdyby pozwoliła nam użyć dublerki w gołych scenach, może coś by z tego było.

– A co z abstraktem?

– Z czym?

– Z moim abstraktem. Z tym, który ci posłałem.

– A, jasne. Tym abstraktem. Jesteśmy nim zachwyceni. Wszyscy. Jest wspaniały. Naprawdę świetny. Wszyscy jesteśmy podekscytowani.

– I co teraz?

– Gdy tylko wszyscy się z nim zapoznają, spotkamy się i porozmawiamy.

Poklepał mnie po plecach i odszedł, pozostawiając mnie samego bez zajęcia w Hollywood.

Postanowiłem napisać opowiadanie. Jeszcze przed wyjazdem z Anglii przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Coś o niewielkim teatrze na przystani. Magicznych sztuczkach i deszczu. Widowni, która nie potrafi odróżnić magii od złudzenia i która nie dba o to, czy złudzenie nie jest może prawdą.

* *
* *

Tego popołudnia podczas spaceru kupiłem w „niemal całonocnej księgarni” kilka książek o magicznych sztuczkach i wiktoriańskich iluzjonistach. W mojej głowie tkwiła już historia, czy raczej jej załączek. Chciałem go rozwinąć. Usiadłem na ławce i zacząłem przeglądać książki. Pragnąłem uchwycić pewną specyficzną atmosferę.

Czytałem właśnie o Ludziach z Kieszeniami, osobnikach o kieszeniach wypchanych najróżniejszymi małymi przedmiotami. Ludzie ci na żądanie wyciągali z nich wymagany przedmiot. Nie było to złudzenie, lecz niezwykle przykłady pamięci i dobrej organizacji. Nagle na kartki padł cień. Uniosłem wzrok.

– Witam – rzekłem do starego Murzyna.

– Seh – odparł.

– Proszę tak mnie nie nazywać. Czuję się, jakbym musiał włożyć garnitur czy coś w tym stylu.

– Przedstawiłem mu się.

On mnie także.

– Pious Dundas.

– Pious? Pobożny? – Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Czasami jestem pobożny, czasami nie. Tak nazwała mnie mama. To dobre imię.

– O, tak.

– Co pan tu robi, seh?

– Nie jestem pewien. Podobno mam pisać film. Tak mi się zdaje. A przynajmniej czekam, by powiedzieli mi, że mam zacząć.

Podrapał się po nosie.

– Mieszkali tu wszyscy znani filmowcy. Gdybym zaczął ich teraz wymieniać, mógłbym gadać do przyszłej środy, a wciąż byłaby to dopiero połowa.

– Kogo najbardziej pan lubił?

– Harry’ego Langdona. Był prawdziwym dżentelmenem. George’a Sandersa, Anglika, jak pan. Mówił: O, Pious, módl się o moją duszę. A ja odpowiadałem: Pańska dusza to pańska sprawa, panie Sanders. Mimo to i tak się za niego modliłem. I June Lincoln.

– June Lincoln?

Jego oczy rozbliły się. Uśmiechnął się.

– Królowa srebrnego ekranu. Była lepsza od nich wszystkich. Mary Pickford i Lilian Gish, Thedy Bary i Louise Brooks... Najlepsza. Miała „to”. Wie pan, o co chodzi?

– Seksapil.

– Coś więcej. Była wszystkim, o czym śnili mężczyźni. Na filmie z June Lincoln chciało się...

– Urwał i machnął ręką, zataczając krąg, jakby szukał zapomnianego słowa. – Sam nie wiem.

Ukłęknać niczym rycerz w lśniącej zbroi u stóp królowej. June Lincoln była najlepsza. Opowiedziałem o niej wnukowi. Próbował znaleźć jakąś kasetę. Ale niestety, nic już nie ma. Przetrwiała tylko w głowach starców, takich jak ja. – Poklepał się po czole.

– Musiała być niezwykła.

Przytaknął.

– Co się z nią stało?

– Powiesiła się. Ludzie gadali, że to dlatego, bo nie radziła sobie w filmach dźwiękowych. Ale nieprawda. Miała głos, który, gdy raz się go usłyszało, pamiętało się do końca życia. Słodki i mroczny, niczym kawa po irlandzku. Niektórzy mówią, że ktoś złamał jej serce. Mężczyzna, a może kobieta. Może chodziło o hazard, gangsterów albo wódkę. Kto wie. To były szalone czasy.

– Rozumiem, że słyszał pan jej głos.

Uśmiechnął się szeroko.

– Powiedziała: Chłopcze, możesz znaleźć moje futro? A gdy się z nim zjawiłem, dodała: Pięknie sobie radzisz, chłopcze. Mężczyzna, który jej towarzyszył, rzekł: June, nie igraj ze służbą. A ona uśmiechnęła się do mnie, dała mi pięć dolarów i powiedziała: On nie ma nic przeciw temu. Prawda, chłopcze? Potem zrobiła to coś z ustami. Wie pan.

– Ciup?

– Coś w tym stylu. Poczułem to tutaj. – Poklepał się po piersi. – Te usta mogły powalić mężczyznę.

Na moment przygryzł wargę, spoglądając w wieczność, w dal. Zastanawiałem się, gdzie jest teraz. Potem spojrzał na mnie.

– Chce pan zobaczyć jej usta?

– Jak to?

– Proszę tu podejść. Za mną.

– Co my... – Oczyma duszy ujrzałem wizję ust odcisniętych w cemencie, niczym odciski dłoni przed Graumann's Chinese Theatre.

Potrząsnął głową, unosząc palec. „Cicho”.

Zamknąłem książki. Przeszliśmy przez dziedziniec. Gdy dotarliśmy do niewielkiej sadzawki, zatrzymał się.

– Proszę spojrzeć na Księżniczkę – polecił.

– Tę z czerwoną plamą, tak?

Przytaknął. Ryba przypominała chińskiego smoka. Jasna i mądra. Widmowa ryba, biała jak stara kość, oprócz szkarłatnej plamy na grzbiecie, długiego na cał podwójnego łuku. Unosiła się w wodzie, zamyślona.

– To one. Na jej grzbiecie. Widzi pan?

– Niezupełnie rozumiem.

Na moment zamilkł, obserwując rybę.

– Chciałby pan usiąść? – Przypomniałem sobie nagle o wieku pana Dundasa.

– Nie płacą mi za to, żebym siedział – odparł z powagą. A potem rzekł, jakby wyjaśniał coś małemu dziecku: – W tamtych czasach oni byli bogami. Dziś to tylko telewizja. Mali bohaterowie. Mali ludzie w pudełkach. Widuję ich tutaj. Mali ludzie.

Dawne gwiazdy to byli olbrzymi. Skąpani w srebrnym blasku. Wielcy niczym domy. A kiedy się ich spotykało, wciąż pozostawali wielcy. Ludzie w nich wierzyli.

Urządzali przyjęcia. Kiedy człowiek tu pracował, widział, co się działo. Alkohol, trawa,

wyczyny, których nie da się opisać. Podczas jednego przyjęcia... Chodziło o film *Serca pustyni*. Słyszał pan o nim?

Pokręciłem głową.

– Jeden z największych przebojów 1926 roku, na równi z *What Price Glory* z Victorem Mc Lagenem i Dolores del Rio i *Ellq Cinders* z Coleen Moore. O tych pan słyszał?

Ponownie zaprzeczyłem.

– Słyszał pan kiedyś o Warnerze Baxterze? Belle Bennett?

– Kto to?

– Wielkie gwiazdy w dwudziestym szóstym roku – zawiesił głos. – *Serca pustyni*.

Po zakończeniu zdjęć urządzili przyjęcie tu, w hotelu. Mieli wino, piwo, whisky i gin. Działo się to w czasach prohibicji, ale tutejsza policja należała do studia, toteż nie zwracała uwagi. Było też jedzenie i mnóstwo głupich zabaw. Zjawił się Ronald Collman i Douglas Fairbanks – ojciec, nie syn – a także cały zespół i obsada, i orkiestra jazzowa, grająca w miejscu, gdzie teraz stoją domki.

Tej nocy June Lincoln była najjaśniejszą gwiazdą Hollywood. W filmie grała arabską księżniczkę. W tamtych czasach Arabia oznaczała namiętność i żądzę. W dzisiejszych... świat się zmienia.

Nie wiem, od czego się zaczęło. Chyba od zakładu czy wyzwania. Może po prostu była pijana. Tak mi się zdawało. W każdym razie wstała. Orkiestra grała coś powolnego, a ona podeszła tutaj, w miejsce, gdzie stoję w tej chwili, zanurzyła dłonie w sadzawce. Śmiała się, śmiała, śmiała...

Panna Lincoln wyłowiła rybę. Złapała jedną z nich oburącz i wyciągnęła z wody. A potem uniosła ją tuż przed twarzą.

Trochę się niepokoilem, bo dopiero co sprowadzili te ryby z Chin. Kosztowały dwieście dolarów sztuka. Wtedy jeszcze nie opiekowałem się rybami, nie mnie obcięto by pensję, ale mimo wszystko, w tamtych czasach dwieście dolarów to była niemała sumka.

I wtedy panna Lincoln uśmiechnęła się do nas, pochyliła i ucałowała rybę, powoli, w grzbiet. Ryba nie szarpała się, po prostu leżała w jej dłoni, a ona ucałowała ją ustami czerwonymi niczym koral. Ludzie z przyjęcia śmiali się i wiwatowali.

Potem włożyła rybę do wody. Przez moment wydawało się, że Księżniczka nie chce jej opuścić – trzymała się blisko, ocierając się jej o palce. Wówczas odpalono pierwsze fajerwerki. Ryba odpłynęła.

Jej szminka była czerwona, czerwona jak krew. Pozostawiła ślad ust na grzbiecie ryby. O tu, widzi pan?

Księżniczka, biały karp z koralową plamą na grzbiecie, poruszyła płetwą, kontynuując odwieczną serię trzydziestosekundowych wypraw wokół sadzawki. Czerwony znak rzeczywiście przypominał odcisk warg.

Mój towarzysz wsypał do wody garść karmy. Trzy ryby podplnęły ku powierzchni.

Wróciłem do mego domku, niosąc książki o starych, magicznych sztuczkach. Dzwonił telefon. Ktoś ze studia. Chcieli porozmawiać o abstrakcie. Za pół godziny zjawi się samochód.

– Czy będzie tam Jacob?

Mój rozmówca odłożył już słuchawkę.

W spotkaniu uczestniczył australijski Ktoś i jego asystent, mężczyzna w okularach i garniturze. Był to pierwszy garnitur, który ujrzałem w L.A. Okulary miał jaskrawobłękitne. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Gdzie się zatrzymałeś? – spytał Ktoś.

Powiedziałem.

– Czy to tam Belushi...?

– Tak mi mówiono.

Przytaknął.

– Kiedy umarł, nie był sam.

– Nie?

Podrapał się palcem po grzbiecie spiczastego nosa.

– Imprezowało tam jeszcze kilka osób. Dwóch reżyserów, z tych największych. Nie musisz znać nazwisk. Dowiedziałem się o tym, gdy kręciłem ostatni film z Indianą Jonesem.

Zapadła pełna niepokoju cisza. Siedzieliśmy przy olbrzymim, okrągłym stole, jedynie we trzech. Przed każdym z nas leżał egzemplarz napisanego przeze mnie abstraktu. W końcu odezwałem się pierwszy.

– I co o tym sądzicie?

Obaj niemal jednocześnie skinęli głowami.

A potem starali się usilnie przekazać mi, że okropnie im się nie spodobał, jednocześnie próbując nie powiedzieć nic, co mogłoby mnie zdenerwować. Była to bardzo dziwna rozmowa.

– Mamy problem z trzecim aktem – oznajmili. W ich głosie czaiła się sugestia, że problem nie wiąże się ze mną ani abstraktem, ani nawet z trzecim aktem, lecz wyłącznie z nimi samymi.

Chcieli, by ludzie byli bardziej sympatyczni. Pragnęli ostrych światła i cieni, nie odcieni szarości. Chcieli, by bohaterka stała się bohaterem. Ja kiwałem głową, sporządzając notatki.

Pod koniec spotkania uścisnąłem dłoń Kogoś. Asystent w niebieskich okularach poprowadził mnie przez labirynt korytarzy w stronę zewnętrznego świata, gdzie czekał mój samochód i kierowca.

Po drodze spytałem, czy w studio są jakieś zdjęcia June Lincoln.

– Czyje? – Okazało się, że ma na imię Greg. Wyciągnął mały notesik i zapisał w nim coś ołówkiem.

– Gwiazdy kina niemego. Sławnej w 1926 roku.

– Czy kręciła w naszym studio?

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Ale była sławna. Słynniejsza niż Marie Provost.

– Kto?

– „Gwiazda snów, która stała się karmą dla psów”. Jedna z największych gwiazd kina niemego. Umarła w biedzie, gdy nastały czasy filmu dźwiękowego. Zjadł ją jej własny jamnik. Nick Lowe napisał o niej piosenkę.

– Kto?

– „Znałem ją, gdy żył w niej rock’n’roll”. W każdym razie, wracając do June Lincoln, czy ktoś mógłby mi znaleźć jej zdjęcie?

Zapisał coś jeszcze. Przez moment przyglądał się własnym notatkom. Potem dodał kilka słów i skinął głową.

Wyszliśmy na światło dnia. Samochód już czekał.

– A przy okazji – dodał – powinieneś wiedzieć, że to wszystko to kupa bzdur.

– Przepraszam?

– Kupa bzdur. Wtedy, z Belushim, to nie był wcale Spielberg i Lucas, tylko Bette Midler i Linda Ronstadt. Orgia kokainowa. Wszyscy to wiedzą. Gada bzdury. Był tylko młodszym księgowym, kiedy kręcili Indianę Jonesa. Gada, jakby to był jego film. Dupek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wsiadłem do samochodu i wróciłem do hotelu.

* *
*

Tej nocy dopadła mnie w końcu różnica czasów i obudziłem się całkowicie przytomny o czwartej rano.

Wstałem, wysikałem się, naciągnąłem dzinsy (sypiam w koszulce) i wyszedłem na dwór.

Chciałem popatrzeć w gwiazdy, lecz światła miasta okazały się zbyt jasne, powietrze za bardzo zanieczyszczone. Niebo miało barwę brudnej, pozbawionej gwiazd żółci. Pomyślałem o wszystkich gwiazdozbiorach, które widziałem na angielskiej prowincji. Po raz pierwszy poczułem głęboką, głupią tęsknotę za domem.

Brakowało mi gwiazd.

* *
*

Chciałem popracować nad opowiadaniem albo zabrać się za scenariusz filmu. Zamiast tego musiałem pisać drugą wersję abstraktu.

Zmniejszyłem liczbę Mansonów juniorów z dwunastu do pięciu i od początku dałem jasno do zrozumienia, że jeden z nich, obecnie płci męskiej, nie jest zły, pozostała czwórka zaś z całą pewnością.

Przysłali mi egzemplarz pisma filmowego, pachnący starym, tanim papierem. Na okładce odbito fioletową pieczętkę z nazwą studia i napisem: Archiwa. Pod tytułem pisma widniało zdjęcie Johna Barrymore'a na łodzi.

Artykuł wewnątrz traktował o śmierci June Lincoln. Czytało mi się go trudno, rozumiało jeszcze trudniej. Roilo się w nim od aluzji dotyczących grzechów, które doprowadziły do jej śmierci. Tyle zdołałem pojąć. Miałem jednak wrażenie, że cały czas dziennikarz odwołuje się do szyfru, do którego współczesnemu czytelnikowi brak jest klucza. A może po prostu autor wspomnienia pośmiertnego nic nie wiedział i celował w próżnię.

Znacznie bardziej interesujące – a w każdym razie bardziej zrozumiałe – okazały się zdjęcia. Całostronicowy portret w czarnych ramach, przedstawiający kobietę o wielkich oczach i łagodnym uśmiechu, palącą papierosa (dym został bardzo niezręcznie wyretuszowany. Czy ludzie kiedykolwiek nabierali się na podobnie niezdarne fałszerstwa?); inne zdjęcie przedstawiało ją w wystudiowanej pozie z Douglasem Fairbanksem. Mała fotografia obok samochodu z dwoma maleńkimi psami.

Sądząc ze zdjęć, nie była współczesną pięknoscią. Brakowało jej ulotnej urody Louise Brooks, seksapilu Marilyn Monroe, wulgarnej elegancji Rity Hayworth. Oto gwiazdka z lat dwudziestych, równie nieciekawa, jak inne ówczesne gwiazdki. W jej wielkich oczach i obciętych krótko włosach nie dostrzegłem nawet cienia tajemnicy. Miała idealnie wymalowane usta w kształcie serca. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wyglądałaby, gdyby żyła dzisiaj.

Mimo wszystko jednak była prawdziwa. Żyła. Ludzie w kinowych pałacach wielbili ją, oddawali jej cześć. Ucałowała rybę i spacerowała po moim hotelu siedemdziesiąt lat temu.

W Anglii to drobnostka, w Hollywood cała wieczność.

* *
*

Kolejna rozmowa o abstrakcie. Nie dostrzegłem żadnej osoby, z którą wcześniej rozmawiałem. Wprowadzono mnie do niewielkiego biura; bardzo młody mężczyzna, który w ogóle się nie uśmiechał, oznajmił, że jest zachwycony abstraktem i cieszy się, iż studio zakupiło moją książkę.

Oznajmił, że spodobała mu się zwłaszcza postać Charlesa Mansona i że może, „gdy w pełni się wykrystalizuje”, Manson mógłby stać się następnym Hannibalem Lecterem.

– Ale, hmm, Manson, on... jest prawdziwy. Siedzi teraz z więzieniu. Jego ludzie zabili Sharon Tate.

– Sharon Tate?

– Była aktorką. Gwiazdą filmową. Była w ciąży, a oni ją zabili. Zona Polańskiego.

– Romana Polańskiego?

– Reżysera. Owszem.

Zmarszczył brwi.

– Ale my właśnie podpisujemy umowę z Polańskim.

– To dobrze. Świetny reżyser.

– Czy on o tym wie?

– O czym? O książce? Naszym filmie? Śmierci Sharon Tate?

Potrząsnął głową. Żadna z tych rzeczy.

– To umowa opiewająca na trzy filmy. Wstępnie interesuje się nią Julia Roberts. Twierdzi pan, że Polański nie wie o tym abstrakcie?

– Nie. Mówiłem, że...

Zerknął na zegarek.

– Gdzie się pan zatrzymał? – spytał. – Umieściliśmy pana w porządnym hotelu?

– Tak, dziękuję – powiedziałem. – Dwa domki o od miejsca, w którym umarł Belushi.

Oczekiwałem kolejnych – „mówiąc między nami” – informacji, że John Belushi kopnął w kalendarz w towarzystwie Julie Andrews i panny Piggy z Muppetów. Myliłem się.

– Belushi nie żyje? – Zmarszczył czoło. – Belushi żyje. Kręcimy film z Belushim.

– To był jego brat – wyjaśniłem. – Zmarł wiele lat temu.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Pewnie jakaś dziura – rzekł. – Następnym razem proszę powiedzieć, że chce pan mieszkać w Bel Air. Mamy tam pana przenieść?

– Nie, dziękuję – rzekłem. – Już przywykłem. A co z abstraktem? – spytałem.

– Proszę go tu zostawić.

* *
*

Coraz bardziej fascynowały mnie dwie stare sztuczki iluzjonistów, o których przeczytałem w książkach: „Sen Artysty” i „Zakłęte okno”. Nie wątpiłem, że stanowią one nośne metafory. Brakowało mi jednak opowieści, która by im towarzyszyła. Pisałem pierwsze zdania, które nie prowadziły do pierwszego akapitu, pierwsze akapity, nie tworzące pierwszej strony. Pisałem je na komputerze, po czym wychodziłem bez zapamiętywania.

Usiadłem na dworze, obserwując dwa białe karpie i jednego szkarłatnobiałego. Przypominały

Escherowski rysunek ryb. To skojarzenie zdumiało mnie, nigdy bowiem wcześniej nie dostrzegałem w rysunkach Eschera niczego realistycznego.

Pious Dundas glansował liście doniczkowych roślin. W ręku trzymał butelkę płynu nabłyszczającego i szmatkę.

– Cześć, Pious!

– Seh.

– Piękny mamy dzień.

Skinął głową. Zakasłał. Uderzył się w pierś pięścią i ponownie przytaknął.

Zostawiłem w spokoju ryby i usiadłem na ławce.

– Czemu nie odesłali cię na emeryturę? – spytałem. – Powinieneś być skończyć pracę piętnaście lat temu.

– Ależ nie – odparł, nie przerywając zajęcia. – Jestem tu symbolem. Mogą sobie mówić, że mieszkały tu wszystkie gwiazdy na niebie, ale tylko ja potrafię powiedzieć, co jadł na śniadanie Cary Grant.

– Pamiętasz?

– Pewnie, że nie, do licha. Ale oni o tym nie wiedzą. – Ponownie zakasłał. – Co pan pisze?

– W zeszłym tygodniu napisałem abstrakt filmu, a potem kolejny abstrakt. A teraz piszę... coś innego.

– Czyli co?

– Opowiadanie, które nie chce ułożyć mi się do kupy. Chodzi o wiktoriańską magiczną sztuczkę, zwaną „Sen artysty”. Artysta wychodzi na scenę, niosąc wielkie płótno, które umieszcza na sztalugach. Jest na nim portret młodej kobiety. Mężczyzna patrzy na kobietę, w rozpaczy mówi, że nigdy nie będzie prawdziwym malarzem. Potem siada i zasypia, a obraz ożywa. Dziewczyna wychodzi z ram, szepcze, by się nie poddawał, by walczył dalej. Któregoś dnia zostanie wielkim malarzem. Potem z powrotem wchodzi w ramy, światło przygasa, a kiedy on się budzi, widzimy tylko obraz...

* *
*

– A drugą iluzję – poinformowałem kobietę ze studia, która popełniła ten błąd, że udała zainteresowanie moją pracą – nazwano „Zakłęte okno”. W powietrzu zawisa okno. Pojawiają się w nim twarze, lecz w pobliżu nie ma nikogo. Potrafię przeprowadzić paralelę pomiędzy zamkniętym oknem a chyba telewizją. Mam wrażenie, że to oczywista kandydatka.

– Lubię *Seinfelda* – odparła kobieta. – Ogląda pan to? Opowiada zupełnie o niczym. Całe odcinki o niczym. Lubiłam też Gary’ego Shandlinga, póki nie przeszedł do nowego serialu i nie zrobił się zły.

– Iluzje owe, tak jak wszystkie wielkie złudzenia, sprawiają, że zaczynamy kwestionować naturę rzeczywistości, lecz stanowią także ramę – gra słów zamierzona – dla rozważań o przyszłości rozrywki. Oto film, zanim istniały filmy. Telewizja, zanim jeszcze w ogóle powstała.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Czy to film?

– Mam szczerą nadzieję, że nie. To opowiadanie, jeśli zdołam je napisać.

– Pomówmy zatem o filmie. – Przerzuciła plik notatek. Miała około dwudziestu pięciu lat.

Wyglądała jednocześnie atrakcyjnie i całkowicie bezpłciowo. Zastanawiałem się, czy spotkałem ją już na śniadaniu owego pierwszego dnia. Czy to Deanna, czy Dina?

Nagle uniosła brwi i przeczytała.

– „Znałem ją, gdy żył w niej rock’ n’ roll”.

– On to zapisał? To nie ten film.

Przytaknęła.

– Muszę powiedzieć, że fragmenty tego abstraktu są dość kontrowersyjne. Ta cała sprawa z Mansonem... Nie jesteśmy pewni, czy to przejdzie. Nie można by go skreślić?

– Ale przecież tu właśnie o to chodzi. Książka nosi tytuł *Synowie człowieka*. Opowiada o dzieciach Mansona. Jeśli go skreślimy, niewiele nam zostanie. Przecież sami kupiliście tę książkę. – Uniosłem mój egzemplarz, mój talizman. – Wyrzucić z niej Mansona, to jak zamówić pizzę, a potem narzekać, że dostało się coś płaskiego, okrągłego, pokrytego serem i sosem pomidorowym.

Kobieta sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała ani słowa.

– Co pan myśli o tytule: *Zły jak Badd*? Przez dwa d?

– Nie wiem. Dla tego filmu?

– Nie chcemy, by ludziom kojarzył się z religią. *Synowie człowieka*. Zupełnie, jakby chodziło o treści antychrześcijańskie.

– W pewnym sensie sugeruję, że moc opętująca dzieci Mansona to moc demoniczna.

– Naprawdę?

– W książce.

Spojrzała na mnie z politowaniem, znanym jedynie ludziom, którzy wiedzą, że książki, w najlepszym razie, stanowią luźną podstawę dla filmów.

– Cóż, nie sądzę, by studio uznało to za stosowny tytuł – rzekła.

– Wie pani, kim była June Lincoln? – spytałem.

Pokręciła głową.

– David Gambol? Jacob Klein?

Ponownie zaprzeczyła, nieco zniecierpliwiona. Wręczyła mi zapisaną na maszynie listę rzeczy, które według niej należało poprawić, czyli praktycznie wszystkiego. Adresowana była do mnie i kilku innych osób, których nazwisk nie poznałem, i pochodziła od Donny Leary.

Powiedziałem „Dziękuję, Donna” i wróciłem do hotelu.

* *
*

Przez cały dzień dręczył mnie ponury nastrój. Potem wymyśliłem, jak przerobić abstrakt tak, by uwzględnić wskazówki Donny.

Jeszcze jeden dzień namysłu, kilka dni pisania i posłałem faksem do studia trzecią wersję abstraktu.

Pious Dundas, upewniwszy się, że naprawdę interesuje mnie June Lincoln, przyniósł mi swoją książkę z wycinkami. Odkryłem, że June została ochrzczona nazwą miesiąca i nazwiskiem prezydenta. Przyszła na świat jako Ruth Baumgarten w 1903 roku. Stary, oprawiony w skórę zbiór wycinków rozmiarami i wagą przywodził na myśl rodzinny egzemplarz Biblii.

W chwili śmierci miała dwadzieścia cztery lata.

– Szkoda, że nie mógł pan jej zobaczyć – powiedział Pious Dundas. – Chciałbym, by któryś

z jej filmów przetrwał. Była taka wspaniała. Największa gwiazda ze wszystkich.

– Czy była dobrą aktorką?

Bez wahania potrząsnął głową.

– Nie.

– A wielką pięknoscią? Bo jeśli tak, to ja tego nie dostrzegam.

Ponownie zaprzeczył.

– Kamera ją lubiła. To pewne. Ale nie o to chodziło. W ostatnim rzędzie chóru można było znaleźć tuzin ładniejszych dziewcząt.

– Zatem, co w sobie miała?

– Była gwiazdą. – Wzruszył ramionami. – To właśnie znaczy być gwiazdą.

Powoli przewracałem kartki. Recenzje z filmów, o których nigdy nie słyszałem – filmów, których jedyne negatywy i kopie już dawno zaginęły, zagubione bądź zniszczone przez straż pożarną (stare celuloidowe taśmy stanowiły poważne zagrożenie pożarowe); inne wycinki z pism filmowych. Rozrywki June Lincoln, odpoczynek June Lincoln. June Lincoln na planie *The Pawnbroker's Shirt*. June Lincoln w obszernym futrze – to ostatnie jeszcze bardziej postarzało zdjęcia niż dziwnie ostrzyżone włosy i wszechobecne papierosy.

– Kochał ją pan?

Pokręcił głową.

– Nie tak, jak się kocha kobietę...

Chwila ciszy. Wyciągnął rękę i przewrócił stronę.

– A żona zabiłaby mnie, gdyby to usłyszała...

Kolejna przerwa.

– Ale tak. Chuda, martwa, biała kobieta. Chyba ją kochałem. – Zamknął księgę.

– Dla pana ona nie umarła.

Potrząsnął głową. Potem odszedł. Zostawił mi jednak swój zbiór.

Oto sekret iluzji, zwanej „Snem artysty”: dziewczynę wnosi się na scenę, zawieszoną z tyłu płótna. Płótno podtrzymują ukryte druty, toteż kiedy artysta od niechcenia wnosi je i umieszcza na sztalugach, w rzeczywistości wnosi też dziewczynę. Obraz dziewczyny na sztalugach przypomina roletę. Unosi się i opuszcza.

Zakłęte okno uzyskiwano dzięki lusterkom. Przekrzywione zwierciadło odbijało twarze ludzi stojących z boku za kulisami.

Nawet dziś wielu iluzjonistów korzysta w swej pracy z luster, sprawiając, że widzimy coś, co w istocie nie istnieje.

To łatwe, kiedy już wiadomo, jak to się robi.

* *
*

– Nim zaczniemy – powiedział mężczyzna – muszę uprzedzić, że nie czytam abstraktów. Uważam, że ogranicza to moją kreatywność. Proszę się nie martwić. Sekretarka przygotowała mi streszczenie. Jestem gotowy.

Miał brodę i długie włosy. Trochę przypominał Jezusa, choć wątpię, by Jezus dysponował równie doskonałymi zębami. Najwyraźniej był najważniejszą osobą, z jaką dotąd zdarzyło mi się rozmawiać. Nazywał się John Ray. Nawet ja o nim słyszałem, choć nie byłem do końca pewien, co robił. Jego nazwisko pojawiało się zwykle na początku filmów obok słów: PRODUCENT

WYKONAWCZY. Głos w słuchawce, aranżujący nasze spotkanie, poinformował mnie, że studio jest niezmiernie podekscytowane faktem, iż John Ray „związał się z tym projektem”.

– Czy streszczenie również nie ogranicza pańskiej kreatywności?

Uśmiechnął się szeroko.

– Wszyscy uważamy, że spisał się pan doskonale, znakomicie. Mamy jednak problem z kilkoma rzeczami.

– To znaczy?

– No, z całą tą kwestią Mansona. I dorastaniem dzieci. Zaczęliśmy więc obmyślać kilka możliwych scenariuszy. Spróbuj tego. Pewien facet, nazwiskiem Jack Badd – dwa d. To był pomysł Donny...

Donna skromnie spuściła wzrok.

– Aresztowali go za satanistyczne rytuały, usmażyli na krześle elektrycznym, a on, umierając, przysiągł, że wróci i zniszczy ich wszystkich.

W dzisiejszych czasach widzimy chłopców, grających w grę wideo, zatytułowaną „Zły jak Badd” z jego twarzą. A kiedy grają, on zaczyna ich opętywać. Może w twarzy mógłby mieć coś dziwnego, tak jak Jason czy Freddy – urwał, jakby oczekiwał aprobaty.

– Kto produkuje gry wideo?

Wskazał na mnie palcem.

– Ty jesteś pisarzem, skarbie. Mamy odwalić za ciebie całą robotę?

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Myśl o filmach – upomniałem się w duchu. To przynajmniej zrozumieją.

– Ale to, co proponujecie, to zupełnie, jakby nakręcić *Chłopców z Brazylii* bez Hitlera.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Taki film Iry Levina. – Ani śladu zrozumienia w jego oczach. – *Dziecko Rosemary?* – Wciąż patrzył na mnie tępo. – *Sliver?*

Przytaknął. Gdzieś w głębi umysłu zaskoczyło.

– Jasne, rozumiem – rzekł. – Napiszesz rolę dla Sharon Stone, a my poruszymy niebo i ziemię, żeby ją zdobyć. Mam dojdzie do jej ludzi.

Odszedłem.

* *
*

Noc była zimna, choć w Los Angeles nie powinno być zimno.

Powietrze bardziej niż kiedykolwiek pachniało kroplami na kaszel.

W L.A. mieszkała moja dawna dziewczyna. Postanowiłem się z nią skontaktować.

Zadzwoiłem pod podany mi numer i rozpocząłem w ten sposób poszukiwania, które zajęły mi większość wieczoru. Ludzie podawali numery. Dzwoniłem. Inni ludzie dyktowali mi kolejne numery. I znów dzwoniłem.

W końcu wykręciłem właściwy i rozpoznałem jej głos.

– Wiesz, gdzie jestem? – spytała.

– Nie – odparłem. – Podano mi ten numer.

– W szpitalu – wyjaśniła. – U mojej matki. Miała wylew.

– Przykro mi. Czy z nią wszystko dobrze?

– Nie.

– Przykro mi.
Zapadła niezręczna cisza.
– Co u ciebie? – spytała.
– Źle – rzekłem.
Opowiedziałem o wszystkim, co mnie spotkało. Powiedziałem, co czuję.
– Czemu tak jest? – spytałem.
– Bo się boją.
– Ale dlaczego? Czego się boją?
– Bo w tym mieście jesteś tak dobry, jak ostatni przebój, z którym możesz powiązać swe nazwisko.
– Słucham?
– Jeśli powiesz „tak”, studio być może nakręci film kosztujący dwadzieścia, trzydzieści milionów. Jeśli ten film poniesie klęskę, w czołówce będzie twoje nazwisko i stracisz pozycję. Odmawiając, nie ryzykujesz utraty twarzy.
– Naprawdę?
– Tak.
– Skąd tyle o tym wiesz? Zajmujesz się muzyką, nie filmami.
Zaśmiała się ze znużeniem.
– Wszyscy, którzy tu mieszkają, wiedzą o tym. Próbowalesz pytać ludzi o ich scenariusze?
– Nie.
– Spróbuj kiedyś. Spytaj kogokolwiek. Faceta na stacji benzynowej. Kogokolwiek. Wszyscy je mają. – Ktoś coś do niej powiedział, ona odpowiedziała i rzekła: – Muszę iść. – Odłożyła słuchawkę.
Nie mogłem znaleźć grzejnika, jeśli tu w ogóle był grzejnik. Zamarzałem w moim małym domku, dokładnie takim, w jakim zmarł Belushi. Na ścianie wisiała ta sama nudna rycina. Powietrze cuchnęło wilgocią. Przygotowałem sobie ciepłą kąpiel. Jednak gdy wyszedłem z wanny, było mi zimniej niż kiedykolwiek.

* *
* *

Białe rybki prześlizgiwały się w wodzie tam i z powrotem, przemykając wśród wodnych lilii. Jedna z nich miała na grzbiecie szkarłatną plamę w kształcie idealnych ust. Cudowny stygmat niemal zapomnianej bogini. W sadzawce odbijało się szare, poranne niebo.

Ponuro patrzyłem w wodę.
– Wszystko w porządku?
Odwróciłem się. Obok mnie stał Pious Dundas.
– Wcześniej pan wstał.
– Źle spałem. Za zimno.
– Trzeba było zadzwonić na recepcję. Przysłaliby panu grzejnik i dodatkowe koce.
– Nie przyszło mi to do głowy.
Starzec oddychał ciężko, z trudem.
– Dobrze się pan czuje?
– Do diabła, nie. Jestem stary. Kiedy pan osiągnie mój wiek, też nie będzie się pan dobrze czuł. Ale pan odejdzie, a ja wciąż tu będę. Jak tam praca?

– Nie wiem. Przestałem pracować nad abstraktem i utknąłem na „Śnie artysty”, opowiadaniu o wiktoriańskich iluzjonistach. Dzieje się ono w angielskiej miejscowości nadmorskiej, w deszczu. Mag wykonuje na scenie sztuczki, które wpływają na całą widownię. Dotykają ich serc.

Powoli skinął głową.

– Sen artysty... – rzekł. – A pan? Pan jest artystą czy magiem?

– Nie wiem – odparłem. – Chyba żadnym z nich.

Odwróciłem się, gdy nagle coś przyszło mi do głowy.

– Panie Dundas, czy ma pan scenariusz? Napisał pan jakiś? Potrząsnął głową.

– Nigdy nie napisał pan scenariusza?

– Nie ja.

– Słowo?

Uśmiechnął się szeroko.

– Słowo – powiedział.

Wróciłem do pokoju. Przerzuciłem angielskie wydanie *Synów człowieczych*, zastanawiając się, jak coś tak źle napisanego mogło zostać kiedykolwiek opublikowane. I czemu Hollywood w ogóle to kupiło, skoro tak naprawdę nie chciało mojej książki.

Próbowałem pisać dalej „Sen artysty”. Bez powodzenia. Postaci jakby skamieniały, niezdolne oddychać, poruszać się, mówić.

Poszedłem do toalety, wysikałem się: jaskrawożółty strumień na tle białej porcelany. Po srebrnym lustrze przebiegł karaluch. Wróciłem do pokoju, otworzyłem nowy dokument i napisałem:

Myślę o Anglii w deszczu skąpanej,
dziwnym teatrze na nabrzeżu, śladzie
lęku i bólu, magii z morskiej piany.

Strach rośnie wkrótce w męce obłąkanej,
a czar bajkowym cieniem wnet się kładzie.

Myślę o Anglii w deszczu skąpanej.

Samotność trudniej wyjaśnić niż rany
– pustka, co gorsza niż smutek po zdradzie,
lęku i bólu, magii z morskiej piany.

Myślę o magu i prawdzie skrywanej
w powodzi kłamstwa. Zalecie i wadzie.

Myślę o Anglii w deszczu skąpanej.

Miecze i dłonie, kielichy i dzbany
– to zjawy tańczą w barwnej kawalkadzie
lęku i bólu, magii z morskiej piany.

Mag macha różdżką, my patrzymy bladzi,
i nikt nie wierzy, gdy prawdę nam zdradzi.

Myślę o Anglii w deszczu skąpanej, lęku
i bólu, magii z morskiej piany.

Nie wiem, czy to był dobry wiersz, ale to nie miało znaczenia. Napisałem coś nowego i świeżego. Poczujęm się wspaniale.

Zamówiłem śniadanie do pokoju i poprosiłem o grzejnik i dodatkowe koce.

* *
*

Następnego dnia napisałem sześciostronicowy abstrakt filmu, zatytułowanego *Zły jak Badd*, w którym Jack Badd, seryjny zabójca z wielkim krzyżem wyciętym na czole, ginie na krześle elektrycznym, po czym powraca jako postać w grze wideo i opętuje czterech młodych ludzi. Piąty młody człowiek pokonuje Badda, paląc stare krzesło elektryczne, wystawione obecnie w gabinecie figur woskowych, w którym za dnia pracuje dziewczyna owego młodzieńca. Nocami dorabia jako tancerka egzotyczna.

Recepcjonista przesłał tekst do studia, a ja wróciłem do łóżka.

Zasnąłem z nadzieją, że studio oficjalnie odrzuci tekst, a ja będę mógł wrócić do domu.

* *
*

W teatrze moich snów brodaty mężczyzna w sportowej czapeczce wyniósł na środek sceny kinowy ekran, po czym zszedł za kulisy. Srebrny ekran zawisł swobodnie w powietrzu.

Powoli pojawił się na nim migotliwy czarny film. Kobieta patrząca wprost na mnie. To była June Lincoln, jaśniejąca na ekranie. Zeszła z płótna i usiadła na krawędzi łóżka.

– Chcesz mi powiedzieć, żebym się nie poddawał? – spytałem.

W pewnym sensie wiedziałem, że to sen. Pamiętam jak przez mgłę, że zrozumiałem, czemu ta kobieta stała się gwiazdą, i pożałowałem, że żaden z jej filmów nie przetrwał.

We śnie była naprawdę piękna mimo okalającej szyję wyraźnej szramy.

– Czemu niby miałabym to robić? – spytała. W moim śnie pachniała ginem i starym celuloidem, choć nie pamiętam, bym kiedykolwiek śnił o zapachach. Uśmiechnęła się idealnym czarno-białym uśmiechem. – Ja przecież zrezygnowałam, prawda?

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

– Nie mogę uwierzyć, że ten hotel wciąż stoi – rzekła. – Kiedyś się tu rżnęłam. – Jej głos był pełen trzasków i syków. Podeszła do łóżka, patrząc na mnie jak kot na mysia dziurę.

– Czy ty mnie wielbisz?

Potrząsnąłem głową. Zbliżyła się i srebrnymi palcami ujęła moją dłoń z krwi i kości.

– Nikt już niczego nie pamięta – powiedziała. – To trzydziestominutowe miasto.

Musiałem ją o coś spytać.

– Gdzie są gwiazdy? Cały czas spoglądam w niebo, ale ich tam nie ma.

Wskazała palcami podłogę domku.

– Szukałeś w niewłaściwym miejscu – odparła.

Nigdy wcześniej nie zauważyłem, że tak naprawdę podłoga to chodnik, a na każdej płycie widnieje gwiazda i nazwisko – nazwiska, których nie znałem: Clara Kimball Young, Linda Arvidson, Vivian Martin, Norma Talmadge, Olive Thomas, Mary Miles Minter, Seena Owen...

June Lincoln wskazała okno.

Było otwarte. Za nim, w dole, leżało Hollywood – nieskończona połać wielobarwnych świateł.

– Czyż nie są lepsze niż gwiazdy? – spytała.

I rzeczywiście, uświadomiłem sobie, że w światłach ulicznych latarni i samochodów dostrzegam gwiazdozbiory.

Skinąłem głową.

Jej usta musnęły moje.

– Nie zapomnij o mnie – szepnęła.

W jej głosie jednak brzmiał smutek, jakby wiedziała, że zapomnę.

Obudził mnie ostry dźwięk telefonu. Podniosłem słuchawkę. Mruknąłem coś niewyraźnie.

– Mówi Gerry Quoint. Dzwonię ze studia. Musimy się spotkać na lunchu.

Mruk, coś tam, mruk.

– Przyślemy samochód – oznajmił. – Restauracja leży jakieś pół godziny drogi od hotelu.

* *
*

Restauracja była przestronna, przewiewna i zielona. Już tam na mnie czekali.

Na tym etapie zdziwiłbym się, gdybym kogokolwiek rozpoznał. Przy przystawkach poinformowano mnie, że John Ray „odszedł z powodu sporów kontraktowych”, a Donna „rzecz jasna” odeszła razem z nim.

Obaj mężczyźni mieli brody, jeden dodatkowo bardzo złą cerę. Kobieta była szczupła i sprawiała wrażenie miłej.

Spytali, gdzie się zatrzymałem, a gdy odpowiedziałem, jeden z brodaczy poinformował nas (najpierw prosząc o obietnicę, że nikomu tego nie powtórzemy), iż w chwili śmierci Belushiego polityk nazwiskiem Gary Hart i muzyk z zespołu The Eagles zażywali z nim narkotyki.

Potem usłyszałem, że nie mogą się już doczekać mojej wersji. Najpierw jednak zadałem pytanie.

– Czy chodzi o *Synów człowieczych*, czy też *Złego jak Badd*, ponieważ – oznajmiłem – z tym drugim mam pewne problemy.

Sprawiali wrażenie zaskoczonych.

Tak naprawdę chodziło o *Znałem ją, gdy żył w niej rock'n'roll*. To – oznajmili – Wspaniały Pomysł i Przejmująca Historia. Dodali też, że jest Bardzo Aktualna, co ważne w mieście, w którym minioną godzinę to Historia Starożytna.

Poinformowali mnie też, iż dobrze by było, gdyby nasz bohater ocalał młodą kobietę przed pozbawionym miłości małżeństwem i razem zaczęli żyć w rytm rock'n'rolla.

Zwróciłem im uwagę, że muszą kupić prawa filmowe od Nicka Lowe, który napisał piosenkę, i że nie wiem, kto jest jego agentem.

Uśmiechnęli się szeroko, zapewniając, że to nie problem.

Zaproponowali, abym dokładnie przemyślał projekt, nim zacznę pracę nad abstraktem. Każdy z nich wspominał kilka młodych gwiazd, o których winieniem pamiętać, przygotowując wstępną wersję.

Uścisnąłem ich ręce, zapewniając, że nie zapomnę.

Wspomniałem też, iż lepiej pracowałoby mi się w Anglii.

A oni odparli, że nie ma sprawy.

* *
*

Kilka dni wcześniej spytałem Piousa Dundasa, czy ktoś był w domku z Belushim w nocy, kiedy gwiazdor zmarł.

Uznałem, że jeśli ktokolwiek o tym wie, to właśnie on.

– Umarł sam – odparł Pious Dundas, stary jak Matuzalem, nie mrugnawszy nawet okiem. – Nieważne, czy ktoś mu towarzyszył, czy nie. Umarł sam.

* *
*

Dziwnie się czułem, opuszczając hotel. Podszedłem do recepcji.

– Dziś po południu wyjeżdżam.

– Doskonale, proszę pana.

– Czy byłoby możliwe, żeby... Chodzi o dozorcę, pana Dundasa. Starszego pana. Sam nie wiem. Nie widziałem go od kilku dni. Chciałem się z nim pożegnać.

– To jeden z naszych pracowników?

– Tak.

Recepcjonistka spojrzała na mnie zaskoczona. Była bardzo piękna. Jej szminka miała kolor rozgniecionych jeżyn. Zastanawiałem się, czy czeka tu, marząc, by ją odkryto.

Podniosła słuchawkę i przemówiła do niej cicho.

A potem:

– Przykro mi, proszę pana. Pana Dundasa od kilku dni nie było w pracy.

– Czy zechciałaby mi pani podać jego numer telefonu?

– Przykro mi, nasze przepisy tego zabraniają. – Patrzyła na mnie, jakby chciała, bym uwierzył, że naprawdę jest jej bardzo przykro...

– Jak tam pani scenariusz? – spytałem.

– Skąd pan wie? – zdumiała się.

– No, cóż...

– Leży na biurku Joela Silvera – oznajmiła. – Mój przyjaciel, Arnie – piszemy razem – jest kurierem. Zawiózł go do biura Joela Silvera. Zupełnie, jakby przysłał go prawdziwy agent.

– Powodzenia – rzuciłem.

– Dzięki – odparła, uśmiechając się jeżynowymi ustami.

* *
*

Informacja podała mi numery dwóch Dundasów, P. Uznałem, że to niezwykle nieprawdopodobne i mówi wiele o Ameryce, a przynajmniej o Los Angeles.

Pierwszy należał do pani Persephone Dundas.

Wystukałem drugi numer. Gdy spytałem o Piousa Dundasa, męski głos spytał:

– Kto mówi?

Podaliśmy swoje nazwisko i poinformowałem, że zatrzymałem się w hotelu i mam coś, co należało do pana Dundasa.

– Proszę pana, dziadek nie żyje. Zmarł zeszłej nocy.

Szok sprawia, że banały stają się rzeczywistością. Poczulem, jak krew odpływa mi z twarzy. Wstrzymałem oddech.

– Bardzo mi przykro. Lubiłem go.

– Rozumiem.

– To musiało stać się nagle?

– Był stary. Zaczął kaszleć. – Ktoś spytał mężczyznę, z kim rozmawia. Odpowiedział, że z nikim i dodał: – Dziękuję za telefon.

Byłem oszołomiony.

– Proszę posłuchać, mam jego wycinki. Zostawił mi je.

– Te stare, filmowe?

– Tak.

Chwila ciszy.

– Proszę je zatrzymać. Nikomu się już nie przydadzą. Muszę kończyć.

Usłyszałem trzask i w słuchawce zapadła cisza.

Schowałem zbiór wycinków do torby i kiedy na wyblakłą skórzaną okładkę spadła łąza, ze zdumieniem odkryłem, że płaczę.

Po raz ostatni zatrzymałem się przy sadzawce, by się pożegnać z Piousem Dundasem i Hollywood.

W odwiecznej terażniejszości sadzawki pływały trzy widmowo białe karpie, lekko poruszając płetwami.

Pamiętałem jeszcze ich imiona: Buster, Duch i Księżniczka, jednak nikt już nie zdołałby ich rozróżnić.

Przed hotelem czekał na mnie samochód. Na lotnisko jechało się trzydzieści minut. Już zaczynałem zapominać.

Pożarty (Sceny z filmu)

BIURO WEBSTERA. INT. DZIEŃ.

WEBSTER, sam

Czyta gazetę, gdy wchodzi McBride

I mówi

CIEŃCIE

o swej SIOSTRZE, co

do Hollywood przybyła ponad rok

temu, by zdobyć sławę pośród gwiazd.

Że od przyjaciół słyszał, jak „z nią źle”,

Więc, bojąc się, że ćpa, lub gorzej wręcz

Sam też przyjechał dziś do Hollywood

i znalazł ją pod mostem. Stała tam,

Błada. Zaczęła krzyczeć: „Zjeżdżaj stąd!”

I szlochać. FACET W CZERNI, WIELKI GOŚĆ

złapał go i powiedział, żeby dał

sobie z nią spokój, „Zostaw ją”. Lecz on

nie może...

(W SEPII

widać ich sprzed lat,

MŁODY MCBRIDE i SIOSTRA, młodzi tak,

hichoty pod werandą, „Pokaż go...”,

bliźsi są sobie niż wypada, fakt...

NAJAZD.

Lecący motyl.

W mroku szmer

oddechów, poruszenie. Teraz on

– W ZBLIŻENIU – tryska siostrze wprost na dłoń

ona zlizuje. Grymas. Potem błysk

zębów. I DETAL: usta, język. Stop).

KONIEC SEKWENCJI.

Webster zgadza się

Wziąć sprawę. Rzuca kilka ostrych słów

O L.A. Mówi, że pożera w mig,

Dziewczęta. I wypluwa resztek ślad.

Bierze stowę zaliczki.

PRZEJŚCIE DO
RÓŻOWEJ CIPKI. INT. OGÓLNY SYF.
TRZY NAGIE PANNY tańczą tu za szmal.
Zjawia się Webster, woła jedną z nich,
Daje jej dychę, wręcza zdjęcie, a
Tancerka – stoi blisko tak, że mógł
Dotknąć (ale wtedy bramkarz mu
Złamałby rękę; paker to jak trza)
Przyznaje, że zna twarz ze zdjęcia. I
Webster wychodzi.

INT. MIESZKANIE. NOC.
W domu widzi kasetę. Czeka nań.
KOBIEȚA, co piękniejsza, niżli sen
kręcona z bliska. Piersi (nagie), twarz...
radzi mu, by „dał spokój sprawie tej”
i obiecuje, że spotkają się...

PRZEJŚCIE
INT. POKÓJ HOTELOWY, NOC.
McBride samotnie leży w łóżku. Wciąż
Nagi, ogląda miękkie porno na
Płatnym kanale. Wolno fiuta trze,
naciera wazeliną, nie chce dojść.
Głośne STUKNIĘCIE w okno. Zrywa się,
Miękki i przerażony (nie jest na
Parterze), by otworzyć. W oknie zaś
Zjawia się JEGO SIOSTRA, niemal trup
Błaga, by dał jej spokój. A on: „Nie”.
Siostra przechodzi chwiejnie aż do drzwi.
Na zewnątrz czeka już KOBIEȚA-CUD
W CZERNI. Brunetka w skórze, pełen szyk,
Przekracza próg z uśmiechem. Ostra jest.
I pieprzą się.
A siostra stoi tam,
I patrzy, jak Brunetka i McBride...
(skórę ma trupio siną. Pełny strój.)
Brunetka czyni dłonią szybki gest,
Z siostry spadają ciuchy. Skórę ma
Pokrytą siecią blizn, bez sutka pierś.
Zdejmuje rękawiczki – widać, że
Jej palce są jak resztki; z kubła śmieć,
Żeberka obgryzione. Sucha kość
Strzępy mięsa i chrząstki, skóry brak.
Wsuwa je do Brunetki głodnych ust
i...

WYCIEMNIENIE

U WEBSTERA. DZIEŃ.

Dzwoni telefon. McBride. „Zostaw to,
Znalazłem siostrę i wyjeżdżam stąd.
Masz pięćset dolców. Dzięki za twój wkład”.
ODJAZD KAMERY. Webster: szok i wstrząs.

Montaż ujęć Webstera. Płynie czas.
Już tydzień. Widać, jak je, sika, śpi.
Pije i jest pijany. Widać też,
Jak z łóżka przegnał raz dziewczynę swą
I znów ogląda taśmę... Na niej zaś
Dziewczyna z taśmy mówi raz po raz,
Ze się spotkają. „Wkrótce, Webster, wierz”.

CIĘCIE.

KRYJÓWKA POŻERACZY. LOCH.

Stłoczeni niczym bydło ludzie. Biel
Skóry. Widać McBride'a. Nie ma już
ciała na piersi. Białe mięso to
przysmak. Kamera patrzy w ciała głąb
przez zebra. Serce już nie bije, lecz
płuca pracują. Po policzkach łzy
spływają z ropy. Sika w zimny szlam
bez śladu pary. Chciałby umrzeć.

SEN:

Webster pod kołdrą, miota się i śni.
Widzi McBride'a, trupa w błocie, most,
I mnóstwo UJĘĆ żarcia. Jasny trop:
To wszystko sztuka jest, przez duże S.

EXT. L.A. DZIEŃ.

WEBSTERA dręczy wciąż,
Obsesja – znaleźć tę z ekranu twarz.
Napada kogoś, pieprzy z innym się,
Natchniony obietnicą: „wkrótce, wierz”.

Trafia do pudła. I przychodzą poń
MĘŻCZYŻNA W CZERNI I BRUNETKA; w lot
Celę otwiera klucz. Prowadzą go
Na dwór. Przez drzwi więzienia i za próg,
Na parking. Potem w dół, i jeszcze w dół,
Pod parking i pod miasto, w cień i mrok,
Mijając mroczne stwory – ssanie, syk –
I barwne stwory – śmiech, bolesny krzyk.
Obok przechodzą pożeracze... Już
Ręce Webstera przykuwają do

KARŁA, co gąszcz go wagin oraz kłów
Pokrywa, i prowadzą chyżo ku
SALON KRÓLOWEJ.
(Moment przerwy, bo
Żona ocknęła się ze złego snu.
„nienawidziłeś mnie. Okrutny, zły,
kobiety obce sprowadzałeś, co
znały mnie, chociaż ja nie znałam ich.
Pokłóciliśmy się, wyszedłeś sam,
Mówiąc, że znajdziesz chętną pannę, by
Pieprzyć się z nią, a potem szybko zjeść”.

To mnie przeraża. Gdy piszemy coś,
Wzywamy wszak demony. Wzdycham w głos).

Zdejmują mu kajdanki. Czeka, sam,
Krwisty aksamit zasłon wznosi się,
Ukazując Królową. Znamy ją.
To twarz z magnetowidu. Mówi mu:
„Świat ten pięknie na dwoje dzieli się
Na pożeraczy, i ofiary ich”.

Tak mówi. Głos ma słodki. Miły głos.
Wyobraź sobie mrówkę miodną: mały łeb,
Pierś, małe rączki, małe dłonie, a
Potem rozdęty odwłok, miodny skarb,
Olbrzymi tułów, półprzejrzysty brzuch,
Zrodzony z miodu, słodki niczym grzech.

KRÓLOWA ma prześliczną drobną twarz,
Piersi w błękitnych żyłkach, sutków róż,
I białe dłonie. Lecz od piersi w dół
Jej ciało puchnie jak smok albo chram,
Ogromna ludzka mrówka, wielka jak
Pokoje, słonie, dinozaury – i
Miłość. Barwami ciało mieni się
Jak opal. Biedny WEBSTER podchodzi na zew
(Ona ma z osiem metrów, bez dwóch zdań).
Każe, by się rozebrał. Robi to.
Kutasa ma twardego. Cały drży.
Jęczy: „W życiu nie byłem taki twardy, ooch”.

A ona pieści go językiem, liże, ssie...

Popatrzmy na nią. Mowa oczu wnet
Staje się ostrym, czystym porno. Tak.
(Wilgotne wargi i język jak rdza).
Kadr na jej twarz. Słyszymy jęki: „Ooo...
Ooch, mała. Tak. Ooo. W usta. W usta, tak”.

Ona otwiera usta. Uśmiech. I
Odgryza mu kutasa. Tryska krew
W jej usta. Chwyta ją, nie roni nic.
Nie widać jego twarzy, tylko jej.
To strzał w dziesiątkę. Scenę kończy szczyt.

Potem, gdy penis zniknął, skrzepła krew,
Widzimy jego twarz. Logice wbrew,
Zdaje się półprzytomny, ale cały. Tak.

Potem zaś karmiciele biorą go
na dół, do jednej z zagród, gdzie McBride
siedzi przykuty. W błocie nagi trup
i drugi, oczyszczona z mięsa kość,
śmieje się, marzy, by się zupą stać.

Biedacy.

Koniec.

Zostawmy ich tam.

CIĘCIE. Samotna brama, a w niej tramp
Wpycha trzy zimne palce w brudny krok
Drugiego bezdomnego. Głód i chłód
Nie przeszkadzają ostro pieprzyć się.
Kolejne warstwy starych ciuchów, szmat,
Tektura, papier, gazeta i brud
Sprawiają, że widać już ich płci.

NAJAZD.

Lecący motyl płynie w dal.

Biała droga

– ...Chciałbym, byś odwiedziła mnie kiedyś
w moim domu.

Mam ci do pokazania tyle rzeczy.

Moja wybranka spuszcza wzrok; drży cała.

Jej ojciec i przyjaciele wybuchają śmiechem.

– Też mi opowieść, panie Lisie – mówi z wyrzutem blada kobieta
w kącie komnaty; włosy ma jasne jak zboże,
oczy szare jak chmury, mocne ciało,
odchyła się i uśmiecha krzywo.

– Pani, żaden ze mnie mówca. – Kłaniam się i pytam:

– Może ty miałabyś dla nas opowieść? – Unoszę brwi.

Ona wciąż się uśmiecha.

Kiwa głową i wstaje. Jej usta poruszają się.

– Dziewczę z miasta, zwykłą, nieładną dziewczynę zdradził kochanek,
uczony. Gdy więc jej krew przestała płynąć,

a brzuch napęczniał, brzemienny,

poszła do niego i zapłakała. Pogłaskał jej włosy,

przysiągł, że się pobiorą, że uciekną,

nocą,

we dwoje,

do jego ciotki. Uwierzyła mu,

choć widziała, jak patrzy łakomie

na córkę swego pana,

piękną i bogatą. Wierzyła,

czy raczej wierzyła, że wierzy.

Jego uśmiech miał w sobie coś chytrego,

podobnie czarne, bystre oczy oraz rdzawe włosy. Coś sprawiło,

że przyszła wcześniej na miejsce spotkania,

pod dębem, obok ciernistego krzewu;

i że wdrapała się na czubek drzewa.

Weszła na drzewo, w jej stanie.

Kochanek przybył o zmierzchu, ukradkiem,

niosąc worek,

z którego wyciągnął motykę, szpadel i nóż.

Z zapalem wziął się do pracy, pod dębem,

pod ciernistym krzewem,
gwiżdżąc cicho i nucąc przy kopaniu grobu
starą piosenkę...
Zaśpiewać ją wam teraz, moi dobrzy ludzie?
Urywa; jak jeden mąż klaszczemy i krzyczymy
chórem;
prócz mej wybranej, o ciemnych włosach, różowych policzkach,
czerwonych ustach.
Wydaje się poruszona.
Jasnowłosa dziewczyna (kto to? Pewnie gości w gospodzie) śpiewa:

*Jasną nocą lis wyszedł do mrocznego lasu,
Prosząc księżyc, by zechciał użyzyć mu blasku.
Bo musi biec noc całą, z sosnowego lasu,
Aż do nory, do nory!
Biec musi nockę całą, hen aż, do swej nory!*

Głos ma piękny i słodki, lecz głos mej wybranki brzmi piękniej.

– A gdy wykopał jej grób –
mały, bo drobna z niej była dziewczyna,
pomimo dziecka, drobna i mała –
zaczął krążyć w dole, tam i z powrotem,
ćwicząc jej epitafium:
– Dobry wieczór, najdroższa, kochana,
pięknie wyglądasz w blasku księżyca,
matko mojego dziecka. Chodź, niech cię uścisnę.
I obejmował ręką nocne powietrze,
a drugą, dzierżącą ostry krótki nóż,
wymierzał ciosy w mroku.

Ona zaś drżała na szczycie dębu. Oddychała cicho,
trzęsła się jednak. Szybko uniósł głowę.
– To pewnie sowy – mruknął. Potem znowu: – Niech mnie,
pewnie to kot! Kici, kici... – Zamarła bez ruchu,
wmawiając sobie, że jest gałęzią, konarem, liściem. O świetle
zabrał motykę, szpadel, nóż i odszedł
mamrocząc pod nosem, nie doczekawszy ofiary.

Znaleźli ją później zabłąkaną w lesie,
opuścił ją rozum. We włosach miała liście,
i śpiewała:

*Zadrżała gałąź
Dąb się kołysał
Ujrzałam dziurę
Kopaną przez lisa
Słowa miłości
Dziewczę się płoni*

*Ujrzałam ostrze
W mego lisa dłoni*

Mówili, że jej córeczka urodziła się
z lisią łapą zamiast dłoni.

Strach to najlepszy rzeźbiarz, twierdzą położne. Uczony uciekł.

Siada żegnana oklaskami.

Uśmiezek tańczy na jej wargach. Wiem, że tam jest,
czai się w szarych oczach. Dziewczyna patrzy na mnie wesoło.

– Czytałem, że w Oriencie lisy nękają kapłanów i mędrców
pod postacią kobiet, domów, gór, bogów, procesji,
zawsze jednak zdradza je ogon – zaczynam,
lecz ojciec mej wybranki odzywa się nagle:

– A skoro mowa o dawnych historiach, moja droga, mówiłaś, że chcesz nam coś opowiedzieć.

Moja wybranka rumieni się. Płatkom róży
daleko do jej policzków. Kiwa głową.

– Moja historia, ojczy? To sen, który mnie nawiedził.

Głos ma tak miękki i cichy, że milkniemy szybko,
z dworu dochodzą odgłosy nocy: okrzyk sowy,
lecz, jak mawiają starcy, mieszkam blisko lasu
i sów się nie boję.

Ona patrzy na mnie.

– Ty, panie. W moim śnie podjechałeś do mnie, wołając:

Przybądź do mego domu, ukochana, białą drogą.

Mam ci do pokazania tyle wspaniałości.

Spytałam, jak mam znaleźć twój dom, hen na białej drodze,
długa to bowiem droga w mroku pod drzewami,

– gdy słońce świeci, migocze zielenią i złotem,

zwykle jednak zalega tam cień. Nocą
spowija ją ciemność, księżyc nigdy nie świeci nad białą drogą...

Ty zaś, mój panie Lisie – to niezwykle, lecz sny

bywają dziwne, zdradzieckie i mroczne –

rzekłeś, że przetniesz gardło młodej świni

i poprowadzisz ją za swym karozem.

Uśmiechnąłeś się,

uśmiechnąłeś, panie Lisie, czerwonymi wargami, zielonymi oczami,

zdolnymi schwytać duszę każdej panny, i żółtymi zębami,

mogącymi pożreć jej serce...

– Ależ broń Boże. – Uśmiecham się. Wszystkie oczy spoglądają na mnie,
nie na nią, choć to ona mówi. Oczy, tyle oczu.

– W moim śnie zapragnęłam odwiedzić twój dwór,

skoro mnie tam zapraszałeś,

przechadzać się ścieżkami, obejrzeć sadzawki,

posągi sprowadzone z Grecji, cisy,
topolową aleję, grotę i altanę.
A że był to sen tylko, więc nie chciałam
brać ze sobą przyzwoitki
– starej wysuszonej mumii,
która nie doceniłaby twego domu, panie Lisie; ani
twojej bladej skóry i zielonych oczu,
ani ujmujących manier.

Pojechałam zatem białą kredową drogą, podążając czerwoną krwawą ścieżką,
na Betsy, mojej klaczce, pod zielonym dachem drzew.

Dziesięć mil prosto, potem zaś krwawy szlak
skręcił przez łąkę, rowy i w żwirową ścieżkę
(wtedy jednak z trudem dostrzegałam krew –
małe krople: świnia musiała już zdechnąć).

W końcu ściągnęłam wodze tuż przed twoim domem.

Co za dom! Istne marzenie, olbrzymi,
prawdziwe dworzyszczce, okna, kolumny,
ogromna biała budowla z kamienia, pomnik myśli ludzkiej.

W ogrodzie przed domem stała rzeźba,
spartańskie dziecko, ukrywające w szacie skradzionego lisa,
lis wgryzł się w jego brzuch, szarpiąc wnętrzności,
stoickie dziecko odważnie milczało –
cóż mogło rzec? Było przecież z marmuru.

W jego oczach dostrzegłam ból. Rzeźba stała
na cokole, na którym wyryto siedem słów.

Okrążyłam ją i przeczytałam:

Bądź śmiały,

śmiały,

lecz nie nazbyt śmiały.

Zostawiłam w stajni moją małą Betsy,
pomiędzy tuzinem krucoczarnych koni,
o oczach pełnych krwi i szaleństwa.

Nie ujrzałam nikogo.

Przeszłam na front domu, wspięłam się po schodach.

Olbrzymie drzwi były zamknięte na głucho,
gdy zapukałam, nie odpowiedział nikt ze służby.

W moim śnie (nie zapominaj, mój panie Lisie,
że to tylko sen; jesteś taki blade) dom mnie fascynował,
budził ciekawość z tych, co (wiesz już o co chodzi,
panie Lisie, widzę to w twoich oczach) prowadzą do
piekła.

Znalazłam inne drzwi, małe drzwi, otwarte,
i wcisnęłam się do środka.

Wędrowałam korytarzami wyłożonymi dębowym drewnem, półkami,
pełnymi popiersi, bibelotów,
szłam tak, stąpając cicho po szkarłatnym dywanie,
aż w końcu dotarłam do wielkiej sali.

I znów go ujrzałam, czerwone kamienie ułożone w lśniący napis,
na białym marmurze podłogi.

Napis głosił:

Bądź śmiały,

śmiały,

lecz nie nazbyt śmiały.

Albo ci serce w piersiach

stanie białych.

Z wielkiej sali wiodły w górę schody,
szerokie, kryte szkarłatem,
wspięłam się po nich cicho, jakże cicho,
drewniane drzwi: i oto

znalazłam się w jadalni, takie mam wrażenie,
leżały tam bowiem szczątki potwornej kolacji,
porzucone, zimne, obsiadły je muchy.

Oto na wpół przeżuta dłoń, przypieczona, poszarpana,
twarz, twarz kobiety, która za życia, lękam się,
była podobna do mnie.

– Niebiosa, chronicie nas przed takimi snami! – krzyknął jej ojciec.

– Czy to być może?

– To być nie może – odparłem. Uśmiech jasnowłosej
zaśnił w jej szarych oczach. Ludzie
potrzebują zapewnień.

– Za jadalnią ujrzałam kolejną komnatę,
wielki pokój, zmieściłaby się w nim ta gospoda,
na podłodze leżały nieporządne stosy pierścieni i bransolet,
naszyjników, pereł, sukien balowych, futer,
koronkowych halek, jedwabi i satyny. Damskie pantofelki
i mufki oraz czepki: skarbiec, przebieralnia –
diamenty i rubiny pod moimi stopami.

Za tym pokojem znalazłam się w piekle.

W moim śnie...

ujrzałam głowy. Głowy młodych kobiet. Ujrzałam
mur, na którym przybito odcięte członki.

Stos piersi, sterty jelit, wątrób, płuc,
oczu i...

nie, nie mogę powiedzieć. Wszędzie wokół brzęczały muchy,
jeden niski drażniący brzęk.

Belzeebubzeebubzeebub, bzyczały. Nie mogłam oddychać,
wybiegłam stamtąd i o ścianę wsparta zapłakałam.

– Prawdziwa lisia nora – wtrąca jasnowłosa.

(– To być nie może – mruczę).

– Nieporządne z nich stwory. Gromadzą
w swych jamach kości, skóry i pióra
swoich ofiar. Francuzi zwą go *renard*,
Szkoci *Tod*.

– Nikt nie wybiera sobie nazwiska – mówi ojciec mej wybranej.

Prawie dyszy, jak wszyscy.

W blasku i ciepłe ognia sączą piwo.

Na ścianie zawieszono ryciny z polowań.

Ona mówi dalej:

– Z zewnątrz dobiegł mnie trzask i hałas.

Pobiegłam w stronę, z której przyszłam, po czerwonym kobiercu,
szerokimi schodami – za późno! – drzwi się otwierały!

Rzuciłam się ze schodów – spadając, wirując –

znalazłam się pod stołem

i tam się ukryłam, dygocząc, modląc się w rozpacz.

Uniosła rękę. – To byłeś ty, panie. Wszedłeś do środka,

z trzaskiem otwarłeś drzwi, wpadłeś do domu,

ciągnąc za sobą młodą dziewczynę

za rude włosy i gardło.

Włosy miała długie, rozpuszczone; krzyczała i walczyła,

próbując się uwolnić. Zaśmiałeś się głęboko, zlany potem

i uśmiechnąłeś od ucha do ucha.

Spogląda na mnie gniewnie z rumieńcem na twarzy.

– Wyciągnąłeś stary miecz, mój panie, i chociaż krzyczała,

poderżnąłeś jej gardło, od ucha do ucha.

Słuchałam, jak cię błaga, wzdycha, wrzeszczy.

Zamknęłam oczy, modląc się, póki nie ucichła,

co zrobiła po długim, bardzo długim czasie.

Podniosłam wzrok. Z uśmiechem uniosłeś swój miecz

ręką skąpaną w krwi...

– W twoim śnie – przypomniałem.

– W moim śnie.

Leżała na marmurze, a ty zacząłeś rąbać,

szarpać, dyszeć, dźgać, raz po raz.

Odrąbałeś jej głowę od ciała,

wepchnąłeś język między czerwone usta.

Odciąłeś jej ręce. Blade białe dłonie.

Rozprułeś stanik i odciąłeś piersi.

Potem zacząłeś szlochać i zawodzić.

I nagle,

ściskając w dłoni

długie rude ogniste włosy,
pobiegłeś z głową na górę.

Gdy tylko zniknąłeś,
uciekłam przez otwarte drzwi
i na Betsy wróciłam do domu białą drogą.

Wszystkie oczy zwrócone są na mnie. Odstawiam kufel
na stare deski stołu.

– To być nie może –
mówię jej,
mówię wszystkim.

– Nie tak było
i niech Bóg broni,
by się tak zdarzyło. To tylko
zły sen. Nikomu
nie życzę podobnych snów.

– Zanim umknęłam z tego miejsca rzezi,
i nim zagoniłam niemal na śmierć biedną Betsy,
zanim uciekłam starą białą drogą,
czerwonym tropem krwi
(I czy to świni poderznąłeś gardło, panie Lisie?),
zanim wróciłam do gospody ojca
i padłam na ich oczach jak zemdlona,
przed moim ojcem, braćmi, przyjaciółmi...

Sami uczciwi farmerzy, łowcy lisów.
Tupią teraz w podłogę czarnymi butami.

– ...przed tym wszystkim – mój panie Lisie –
pochwycałam z podłogi, twojej zlanej krwią podłogi,
jej dłoń, mój panie. Dłoń owej kobiety,
którą na mych oczach rozrąbałeś.

– Nie tak to było...

– To nie był sen. Ty potworze. Sinobrody.

– Nie tak było...

– Ty Gilles-de-Rais. Bestio.

– I niech Bóg broni, by tak się zdarzyło!

Teraz uśmiecha się, lecz bez radości.

Brązowe loki okalają twarz,
róże wijące się wokół altany.

Policzki płoną plamami czerwieni.

– Spójrz, panie Lisie! Jej dłoń! Biała dłoń!
Wyciąga ją spomiędzy piersi (pokrytych piegami;
marzyłem o tych piersiach),
ciska na stół.

Spoczywa tuż przede mną.
Ojciec, bracia, krewni
patrzą na mnie zgłodniali
kiedy ją podnoszę.

Włosy były rude i cuchnące. Szpony i poduszki
szorstkie. Jeden koniec krwawy,
krew jednak już zaschła.

– To nie dłoń – oznajmiam. Ale pierwsza
pięść pozbawia mnie tchu,
dębowa pałka uderza mnie w ramię,
zrywam się z miejsca,
czarny but powala mnie na ziemię.
A potem spada na mnie grad uderzeń,
zwijam się w kłębek, jęczę, modlę się i ściskam w palcach
odciętą łapę.

Może nawet płaczę.

I nagle widzę ją,
bladą dziewczynę o jasnych włosach,
uśmiech dotarł już na jej wargi.

Kiedy wymyka się z gospody, szarooka,
niezmiernie rozbawiona, widzę długą spódnicę.

Ma jeszcze do przebycia wiele mil tej nocy.

A gdy odchodzi,

z miejsca na podłodze,

dostrzegam ogon między jej nogami;

krzyknąłbym, ale nie mogę już mówić.

Pobiegnie na czterech łapach, hen, w dal, białą drogą.

A jeśli przybędą myśliwi?

Jeśli przybędą?

Bądź śmiały, szepczę tuż przed śmiercią. Śmiały, lecz nie nazbyt śmiały...

Tak kończy się moja historia.

Królowa noży

Moment ponownego pojawienia się niewiasty zależy wyłącznie od naszego uznania.

– Will Goldstone, Sztuczki i złudzenia

Gdy byłem chłopcem, od czasu do czasu
odwiedzałem dziadków
(starych ludzi: wiedziałem, że są starzy –
czekoladki w ich domu
pozostawały nie zjedzone, póki się nie zjawiłem;
wówczas tak właśnie wyglądała starość).
Dziadek zawsze przyrządzał śniadanie o świcie:
dzbanek herbaty, dla niej, dla niego i dla mnie,
tosty i marmoladę
(srebrnej i złotej marki). Lunch i obiad
należały do babki, kuchnia
była jej królestwem, rondle i łyżeczki,
tasak, trzepaczki i noże, oto jej wierni poddani.
Wraz z nimi pichciła obiad, nucąc pod nosem piosenkę:
Daisy, Daisy, odpowiedz proszę mi
albo czasami:
Pokochałam cię, choć nie chciałam, Nie chciałam.
Głos miała kiepski, nie ma o czym mówić.
Interes nie szedł najlepiej.
Dziadek całe dni spędzał na samiutkim strychu,
w małej ciemni, do której nie wolno mi było wchodzić,
wywoływał z ciemności papierowe twarze,
pozbawione radości wakacyjne uśmiechy obcych ludzi.
Babka zabierała mnie na szare spacer promenadą.
Zwykle zwiedzałem małą moką łączkę za domem,
bujne krzaki jeżyn i ogrodową szopę.
Dla dziadków był to trudny tydzień:
musieli zabawiać ciekawskiego chłopca, toteż
pewnego wieczoru zabrali mnie do Królewskiego Teatru. Królewskiego...
Varietes!
Światła zgasły, uniosła się czerwona kurtyna.
Popularny komik z tamtych czasów
wyszedł na scenę i jękając się, przedstawił głośno (zawsze tak zaczynał),
wyciągnął wielką szybę, po czym stanął za nią,

podnosząc rękę i nogę; ujrzeliśmy ich odbicie,
zdawało się, że lata – jego popisowy numer,
wybuchaliśmy zatem śmiechem. Opowiedział dowcip,
kiepski. Jego niezdarność, niezręczność –
oto, co przyszliśmy oglądać.
Oszołomiony okrągły okularnik
przypominał mi nieco mego dziadka.
Potem zaś zniknął.
Jakieś panie zaczęły tańczyć, machając nogami.
Piosenkarz zaśpiewał coś, czego nie znałem.
Na widowni siedzieli starzy ludzie,
podobni do mych dziadków, zmęczeni, na rentach,
wszyscy śmiali się i klaskali.
Podczas przerwy dziadek
stanął w kolejce po lody i dwie rurki z kremem.
Zjedliśmy nasze lody, gdy światła przygasły.
Kurtyna bezpieczeństwa uniosła się, po niej ta właściwa.
Grupka pań znowu odtańczyła swój taniec,
potem znów huknął grzmot i w obłoku dymu
pojawił się magik. Ukłon i oklaski.
Zza kulis wyszła uśmiechnięta pani,
Migotała. Lśniła. Uśmiechała się.
Spojrzeliśmy na nią i w tym momencie z czubków jego palców wyrosły kwiaty,
z rąk posypał się deszcz jedwabnych proporców.
Flagi wszystkich narodów – powiedział dziadek, trącając mnie łokciem.
Ukrył je w rękawie.
Od wczesnej młodości
(nie potrafiłem wyobrazić go sobie jako dziecka),
dziadek, według własnych słów,
był jednym z ludzi, którzy wiedzą, jak się rzeczy mają.
Zbudował własny telewizor,
tuż po ślubie z babcią, sama mi o tym opowiedziała;
ogromne pudło z maleńkim ekranem.
Było to w czasach sprzed zwykłych programów;
oglądali go jednak, niepewni,
czy widzą ludzi, czy też może duchy.
Miał też patent na coś, co sam wynalazł,
ale co nigdy nie trafiło do produkcji.
Kandydował do rady miejskiej, lecz skończył jako trzeci.
Potrafił naprawić golarkę i radio,
wywołać film, zbudować domek dla lalek.
(Domek dla lalek należał do mej matki. Nadal go mieliśmy;
zniszczony i stary, tkwił w trawie, skąpany w deszczu i zapomniany).

Błyszcząca pani wwiozła na scenę skrzynię.
Była wysoka: wielkości człowieka i czarna.
Otworzyła drzwiczki,
We dwójkę obrócili skrzynię i uderzyli w jej ściankę.
Pani nadal z uśmiechem weszła do środka.
Magik zamknął drzwi.
A gdy je otworzył, zniknęła.
Uklonił się.

Lustra – wyjaśnił dziadek. – Tak naprawdę ona wciąż jest w środku.

Magik wykonał gest ręką i skrzynia rozpadła się w drzazgi.

Ukryta kłapa w podłodze – zapewniał mnie dziadek.

Babcia uciszyła go syknięciem.

Magik uśmiechnął się, zęby miał małe, drobne;
podszedł powoli do widowni,
wskazał palcem babcię i uklonił się
po środkowoeuropejsku,
zapraszając ją, by dołączyła doń na scenie.
Inni ludzie klaskali radośnie.

Babcia odmówiła. Byłem tak blisko,
że czułem zapach jego wody po goleniu
i szepnąłem: – O rany... On jednak wciąż
wyciągał do niej swoje długie palce.

Idź z nim, Pearl – wtrącił dziadek. – Idźże z tym człowiekiem.

Babcia miała wtedy... ile? Sześćdziesiątkę?

Właśnie przestała palić,
próbowała schudnąć. Najbardziej szczyliła się
zębami, które choć poźółkłe od tytoniu, wciąż były całe i zdrowe.

Dziadek natomiast stracił zęby w młodości,
kiedy jechał na rowerze; wpadł na świetny pomysł
by chwycić się autobusu – to dopiero jazda!

Autobus skręcił,
i dziadek pocałował drogę.

Babcia żuła lukrecję przed telewizorem,
lub ssała twarde karmelki, żeby zrobić mu na złość.

Teraz wstała powoli,
Odłożyła papierek z połową loda,
mały drewniany patyczek,
przeszła przez widownię i stopniami
wspięła się na scenę.

Magik pozdrowił ją raz jeszcze i pogratulował
sportowego ducha. Tego jej nie brakło.

Inna lśniąca kobieta wypadła na scenę
z jeszcze jedną skrzynią –

tym razem czerwoną.

*To ona – mruknął dziadek. – Ta sama,
która wcześniej zniknęła. Widzisz? To ona.*

Możliwe. Widziałem tylko
błyszczącą kobietę obok mojej babci
(która zakłopotana bawiła się perłami).
Kobieta uśmiechnęła się, zwróciła do nas i zastygła
niczym posąg lub manekin.

Czarodziej bez trudu pociągnął skrzynię
na sam kraniec sceny, tam gdzie czekała babcia.

Krótką wymianę słów:

skąd pochodzi, jak ma na imię i tak dalej.

Nigdy się nie spotkali? – Pokręciła głową.

Magik otworzył drzwi,
babcia weszła do środka.

*Po namyśle – przyznał dziadek –
może to jednak nie ta sama kobieta.*

Tamta miała chyba ciemniejsze włosy.

Nie wiedziałem.

Byłem dumny z babci, ale też z obawą
czekałem, czy nie zrobi czegoś wstydlivego;
oby nie zaśpiewała jednej z tych piosenek.

Weszła do skrzyni. Zatrzasnęli drzwi.

Magik otworzył drzwiczki u góry, małą klapę. Ujrzeliśmy
twarz mojej babci. – *Pearl? Wszystko w porządku?*

Babcia uśmiechnęła się, kiwnęła głową.

Magik zamknął drzwiczki.

Kobieta podała mu długi futerał,
otworzył go. Wyjął miecz
i wepchnął do skrzyni.

Potem kolejny, i znów, jeszcze jeden.

Dziadek zaśmiał się tylko, wyjaśniając:
*Ostrze wsuwa się w rękojeść, a z drugiej
strony wysuwa się inne.*

Następnie wyjął kawał metalu, który
wsunął do skrzyni aż do jej połowy.
Przecinając pudło na pół. Obydwoje,
kobieta i mężczyzna, podnieśli górną
część skrzyni i postavili na scenie.

Z połową mojej babci.

Z górną połową.

Na sekundę otworzył małe drzwiczki,
z których twarz babci uśmiechała się do nas ufnie.

*Gdy wcześniej zamknął drzwi,
babcia zsunęła się klapą w podłozie.
Teraz wychyla się do połowy –
tłumaczył dziadek. A zresztą
potem opowie, nam jak to zrobiła.
Chciałem, by przestał mówić. Pragnąłem magii.*

*W połowę skrzyni wbiły się dwa noże,
na wysokości szyi.
Jesteś tam, Pearl? – spytał magik. – Mów coś do nas.
Znasz może jakieś piosenki?*

*Babcia zaśpiewała „Daisy, Daisy”.
Iluzjonista podniósł fragment skrzyni,
ten z małymi drzwiczkami, z głową,
zaczął krążyć po scenie, a ona śpiewała
„Daisy, Daisy”, najpierw z jednej strony,
a potem z drugiej.*

*To on – powiedział dziadek. – On sam, brzuchomówca.
To brzmi zupełnie jak babcia – wtrąciłem.
Oczywiście – odparł. – Oczywiście, że tak.
Jest dobry – rzekł. – O tak, bardzo dobry.*

*Iluzjonista znów otworzył skrzynkę,
teraz wielkości pudła na kapelusze. Babcia skończyła śpiewać „Daisy, Daisy”,
i zanuciła piosenkę, której nie znałem:
Hej wiśta wio, o rany, koń nie chce no, a woźnica pijany,
my zaś wracamy do mroku i dymu,
wracamy, wracamy, prosto do Londynu.*

*Urodziła się w Londynie. Często opowiadała
złowieszcze historie
ze swego dzieciństwa. O dzieciach wbiegających do sklepu jej ojca
z wrzaskiem: *Parchate Żydy!*; potem szybko uciekały;
nie pozwalała mi nosić czarnej koszuli,
bo pamiętała marsze na East Endzie.
Czarne Koszule Mosleya. Jej siostrze podbili oko.*

*Magik wziął w rękę kuchenny nóż,
powoli wbił go w czerwone pudło.
I piosenka ustała.*

*Ponownie złożył pudło,
wyciągnął kolejno noże i miecze,
otworzył drzwi u góry: babcia uśmiechała się,
zakłopotana, ukazując stare zęby.
Zamknął klapę, ukrywając ją przed naszym wzrokiem.
Wyciągnął ostatni nóż,
otworzył skrzynię,*

a babcia zniknęła.

Jeden gest i skrzyńia także zniknęła nam z oczu.

Jest w jego rękawie – wyjaśnił dziadek niezbyt pewnym głosem.

Magik wyczarował z płonącego talerza dwa gołębie.

Potem sam zniknął w kłębie dymu.

Babcia jest teraz pod sceną albo za kulisami

– rzekł dziadek.

Pewnie popija herbatkę. Wróci do nas z kwiatami

albo czekoladą. – Miałem nadzieję na to drugie.

Znów pojawiły się tancerki.

I komik, jako ostatni.

Wszyscy razem wyszli na scenę.

Wielki finał – rzekł dziadek. – *Uważaj,*

może zaraz wróci.

Ale nie. Zaśpiewali:

Gdy żeglujesz

na szczycie fali

w blasku słońca.

Kurtyna opadła i powoli wyszliśmy do holu.

Czekaliśmy długo.

Potem przeszliśmy do wyjścia ze sceny,

czekając na babcię.

Wkrótce pojawił się magik po cywilnemu,

błyszcząca kobieta wyglądała dziwnie w płaszczu.

Dziadek zbliżył się do niego. Tamten wrzucił ramionami,

mówiąc, że nie zna angielskiego. Wyciągnął

mi zza ucha pół korony

i zniknął w mroku i deszczu.

Nigdy już nie zobaczyłem babki.

Wróciliśmy do domu, jak gdyby nigdy nic.

Teraz dziadek musiał dla nas gotować,

toteż na śniadanie, obiad, lunch i podwieczorek

podawał złote tosty ze srebrną marmoladą

i filiżanki herbaty.

Potem wróciłem do domu.

Po tamtym wieczorze bardzo się postarzał.

jakby przygniótł go ciężar lat.

Daisy, Daisy – śpiewał – *odpowiedz mi, proszę.*

Gdybyś była jedyną dziewczyną na świecie, a ja jedynym chłopcem.

Ojciec kazał mi jechać za nią.

W odróżnieniu od babci dziadek miał wspaniałe głos,

powiadali, że mógłby zostać kantorem,

było jednak tyle zdjęć do wywołania,

i maszynek do naprawienia...
jego bracia tworzyli duet Słowiki,
dawno temu wystąpili nawet w telewizji.

Zniósł to nieźle. Choć pewnej nocy
obudziłem się i przypomniałem sobie lukrecję w spizarni.
Zszedłem na dół.

Dziadek stał tam na bosaka.

Ujrzałem, jak samotny w kuchni,
wbija nóż w pudełko.
Pokochałem cię, choć nie chciałem,
nie chciałem.

Fakty w sprawie zniknięcia panny Finch

Zacznijmy od końca: ułożyłem starannie cienki plasterek marynowanego imbiru, różowy i przejrzysty, na białym mięsie sandacza, a następnie zanurzyłem całość – imbir, rybę, ryż z octem – w sosie sojowym i pochłonałem w paru kęsach.

– Myślę, że powinniśmy zawiadomić policję – oznajmiłem.

– I co dokładnie im powiemy? – spytała Jane.

– Cóż, moglibyśmy zgłosić jej zaginięcie albo coś w tym stylu. Sam nie wiem.

– „A gdzie ostatnio widzieliście tę panią?” – spytał Jonathan swym najbardziej oficjalnym tonem. – „A tak, rozumiem. Zdajecie sobie sprawę, że marnowanie czasu policjanta uważa się za wykroczenie?”

– Ale ten cyrk...

– „To ludzie bez adresu, pełnoletni. Przyjeżdżają i wyjeżdżają. Jeśli dysponuje pan ich nazwiskami, mogę przyjąć zgłoszenie...”

Z ponurą miną przełknąłem porcję ryżu z łososiem.

– Może zatem zwrócimy się do gazet? – zaproponowałem.

– Świetny pomysł. – Ton głosu Jonathana jasno wskazywał, że w istocie wcale nie uważa, by pomysł ten był naprawdę świetny.

– Jonathan ma rację – dodała Jane. – Nie uwierzą.

– Czemu mieliby nam nie uwierzyć? Jesteśmy przecież wiarygodnymi ludźmi, uczciwymi obywatelami i tak dalej.

– Ty piszesz fantastykę – przypomniała. – Zarabiasz na życie, wymyślając podobne historie. Nikt ci nie uwierzy.

– Ale wy dwoje też to widzieliście. Potwierdzicie moje słowa.

– Jonathan na jesieni zaczyna nową serię kultowych filmów grozy. Uznają, że próbuje tanim kosztem zareklamować swój program. A ja wydaję kolejną książkę. To samo.

– Twierdzicie zatem, że nie możemy nikomu powiedzieć? – Pociągnąłem łyk zielonej herbaty.

– Ależ nie – odparła rozsądnie Jane. – Możemy powiedzieć, komu tylko zechcemy. Problem w tym, jak ich przekonać, by nam uwierzyli. Moim zdaniem to niemożliwe.

Marynowany imbir pozostawił w moich ustach ostry smak.

– Może i masz rację – rzekłem. – A Finch jest zapewne szczęśliwsza tam, dokąd trafiła, niż kiedykolwiek była tutaj.

– Przecież ona nie nazywa się Finch – zaprotestowała Jane – tylko... – urwała i po chwili wymieniła prawdziwe nazwisko naszej niedawnej towarzyszki.

– Wiem, ale tak właśnie nazwałem ją w myślach, gdy tylko ją ujrzałem. Zupełnie jak w starych filmach. No wiecie, gdy bohaterka zdejmuje okulary i rozpuszcza włosy. „Ależ panno Finch, pani jest piękna!”

– No, niewątpliwie była – przytaknął Jonathan. – Przynajmniej pod koniec. – Zadrżał na to

wspomnienie.

No proszę, zatem już wiecie: oto jak zakończyła się cała historia i jak ją pozostawiliśmy kilkanaście lat temu. Teraz musicie poznać tylko początek i szczegóły.

Dla porządku, nie oczekuję, że mi uwierzycie. Przynajmniej nie do końca. Ostatecznie jestem zawodowym kłamcą, choć lubię sądzić, że kłamcą uczciwym. Gdybym należał do zanego klubu, późnymi wieczorami, siedząc obok przygasającego kominka, po paru kieliszkach porto pewnie wspominałbym tę historię. Nie należę jednak do żadnego klubu, a poza tym piszę lepiej niż opowiadam. Przedstawiam wam zatem historię panny Finch (która jak już wiecie, wcale nie nazywała się Finch ani nawet podobnie, zmieniam bowiem imiona, by ukryć winnych). I sami zrozumiecie, czemu nie mogła zjeść z nami sushi. Możecie wierzyć lub nie, wedle uznania, nie jestem nawet pewien, czy sam w to wszystko wierzę. Cała historia wydaje się bardzo odległa.

Mógłbym znaleźć dziesiątki początków. Najlepiej będzie, jeśli zacznę od pokoju hotelowego w Londynie, kilkanaście lat temu. Była jedenasta przed południem. Zadzwoił telefon, co mnie zdumiało. Podbiegłem i podniosłem słuchawkę.

– Halo? – Było za wcześnie, by mógł do mnie dzwonić ktokolwiek z Ameryki, a nikt w Anglii nie wiedział, że przebywam w kraju.

– Cześć – odparł znajomy głos, przemawiający z karykaturalnie przesadzonym i niezwykle mało przekonującym amerykańskim akcentem. – Mówi Hiram P. Muzzledexter z wytwórni Colossal Pictures. Pracujemy nad filmem będącym remake'em *Poszukiwaczy zaginionej arki*, tyle że zamiast nazistów występują w nim kobiety o wielkich cyckach. Słyszeliśmy, iż został pan niezwykle hojnie obdarzony w okolicach rozporka i chętnie zagrałby głównego bohatera, Minnesotę Jonesa...

– Jonathan? – rzuciłem. – Jak u licha mnie tu znalazłeś?

– Wiedziałeś, że to ja – stwierdził oskarżycielsko, natychmiast porzucając wszelkie ślady niemożliwego akcentu i wracając do swego własnego, londyńskiego.

– Bo to brzmiało jak ty. A poza tym nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Nikt nie miał wiedzieć, że tu jestem.

– Mam swoje sposoby – odrzekł. – Posłuchaj, gdybyśmy z Jane zaproponowali, że nakarmimy cię sushi – a pamiętam, że jadasz je w ilościach, które kojarzą mi się wyłącznie z porą karmienia morsów w londyńskim Zoo – i wcześniej, przed posiłkiem, zabierzemy do teatru, co byś odpowiedział?

– No nie wiem, chyba powiedziałbym: Tak... Albo: W czym tkwi haczyk? Mógłbym o to spytać.

– To nie do końca haczyk. Nie nazwałbym go haczykiem, nie tak naprawdę. Nie do końca.

– Kłamiesz, prawda?

Ktoś powiedział coś w pobliżu telefonu, po czym Jonathan rzekł:

– Zaczekaj, Jane chce zamienić z tobą słówko.

Jane to żona Jonathana.

– Jak się miewasz? – spytała.

– Świetnie, dzięki.

– Posłuchaj – rzekła – zrobisz nam ogromną przysługę. Nie chodzi o to, że nie chcemy się z tobą zobaczyć, bo chcemy. Ale widzisz, jest jeszcze ktoś...

– To twoja przyjaciółka – odpowiedział Jonathan w tle.

– To nie jest moja przyjaciółka, ledwie ją znam – odparła Jane, odsuwając słuchawkę, a potem do mnie: – Jest jeszcze ktoś, kogo mamy na głowie. Niezbyt długo będzie w kraju i jakoś

zgodziłam się zapewnić jej rozrywkę i zająć się nią jutro wieczorem. Szczerze mówiąc, jest dość przerażająca, a Jonathan usłyszał od kogoś z wytwórni, że jesteś w mieście. Pomyśleliśmy, że mogłbyś sprawić, by wszystko to okazało się mniej okropne. Więc proszę, zgódź się.

No i się zgodziłem.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że wszystko to było winą nieżyjącego już Iana Fleminga, twórcy Jamesa Bonda. Miesiąc wcześniej czytałem pewien artykuł. Fleming radził w nim wszystkim niedoszłym pisarzom, którzy męczą się nad książką i w żaden sposób nie mogą jej napisać, by na czas tworzenia przenieśli się do hotelu. Ja sam akurat męczyłem się nie nad książką, lecz nad scenariuszem, którego w żaden sposób nie mogłem napisać. Kupiłem więc bilet na samolot do Londynu, obiecałem producentowi, że w ciągu trzech tygodni dostanie skończony scenariusz, i zamieszkałem w ekscentrycznym hoteliku w Małej Wenecji.

Nie powiadomiłem nikogo w Anglii o swoim przyjeździe. Gdyby ludzie wiedzieli, cały mój czas pochłonęłyby wizyty i spotkania, a nie wpatrywanie się w ekran komputera i od czasu do czasu pisanie.

Prawdę mówiąc, zaczynałem już wariować z nudów i chętnie przyjąłbym każdą propozycję.

Wczesnym wieczorem następnego dnia zjawiłem się w domu Jane i Jonathana, leżącym mniej więcej w Hampstead. Przed drzwiami stał zaparkowany mały zielony samochód sportowy. Wspiąłem się po schodach i zastukałem. Otworzył mi Jonathan, odziany w imponujący garnitur. Jasnokasztanowe włosy miał dłuższe, niż zapamiętałem z czasów, gdy widziałem go po raz ostatni, na żywo bądź w telewizji.

– Cześć – pozdrowił mnie – przedstawienie, na które chcieliśmy cię zabrać, zostało odwołane. Ale załatwiliśmy coś innego. Mam nadzieję, że ci to nie wadzi?

Już miałem mu przypomnieć, że nie wiedziałem nawet, dokąd pierwotnie się wybieraliśmy, toteż zmiana planów nie robi mi różnicy, lecz Jonathan zdążył tymczasem zaprowadzić mnie do salonu, ustalić, że chętnie napiję się gazowanej wody mineralnej, zapewnić, że plany co do sushi pozostają niezmiennione i że Jane zejdzie do nas, gdy tylko położy dzieci spać.

Całkowicie przemeblowali swój salon w stylu, który Jonathan opisał jako mauretański burdel.

– Z początku wcale nie planowaliśmy mauretańskiego burdelu – wyjaśnił. – Ani w ogóle żadnego burdelu, ale jakoś tak wyszło. Samo z siebie.

– Czy opowiedział ci cokolwiek o pannie Finch? – spytała Jane. Kiedy widziałem ją ostatnio, była ruda. Teraz włosy miała ciemnobrązowe i figurę zgrabną jak Chandlerowskie porównanie.

– O kim?

– Rozmawialiśmy o stylu nakładania tuszu Ditki – wyjaśnił przepraszająco Jonathan. – I numerze *Jerry'ego Lewisa* autorstwa Neala Adamsa.

– Ale ona zaraz tu będzie, a on musi się wcześniej czegoś dowiedzieć.

Jane z zawodu jest dziennikarką, która przypadkiem została autorką bestsellerów. Napisała książkę towarzyszącą popularnemu serialowi telewizyjnemu, opowiadającemu o dwóch badaczach zjawisk paranormalnych. Książka ta natychmiast wspięła się na szczyt listy przebojów i tam pozostała.

Jonathan zdobył sobie sławę prowadząc wieczorny talk show. Od tego czasu używał swego nieporadnego wdzięku najróżniejszym programom telewizyjnym, zawsze pozostając tym samym człowiekiem, niezależnie od tego, czy kamery akurat działają, czy też nie. Nie o wszystkich można to powiedzieć.

– To coś w rodzaju rodzinnego obowiązku – wyjaśniła Jane. – No, może nie do końca rodzinnego.

– Ona jest przyjaciółką Jane – dorzucił wesoło Jonathan.

– Nie jest moją przyjaciółką, ale nie mogłam im odmówić, prawda? Zresztą zostanie w kraju tylko parę dni.

Nigdy się nie dowiedziałem, komu nie mogła odmówić Jane i jakie to były zobowiązania, bo w tym samym momencie zadzwieczał dzwonek i zostałem przedstawiony panie Finch, która, jak już wspomniałem, wcale się tak nie nazywała.

Miała na sobie czarną skórzaną czapkę i płaszcz z czarnej skóry. Kruczoczarne włosy ściągnęła w ciasny koczek spięty spinką. Starannie zrobiony makijaż nadawał jej twarzy wyraz surowości, którego nie powstydzilaby się zawodowa domina. Cały czas zaciskała usta, patrząc gniewnie na świat poprzez okulary w grubych czarnych oprawkach, stanowiące zbyt mocny akcent, by były jedynie zwykłymi okularami.

– A zatem – powiedziała tonem przypominającym sędziego ogłaszającego wyrok śmierci – idziemy do teatru.

– No cóż, tak i nie – odparł Jonathan. – Tak, wychodzimy z domu. Ale nie, nie zdołamy obejrzeć *Rzymian w Brytanii*.

– I dobrze – oznajmiła panna Finch. – To sztuka w bardzo złym guście. Nie mam pojęcia, czemu ktoś uznał, że z tej bzdury da się zrobić musical.

– Idziemy zatem do cyrku – uzupełniła wesoło Jane. – A potem na sushi.

Usta panny Finch zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Nie uznaję cyrku.

– W tym nie ma żadnych zwierząt – powiedziała Jane.

– To dobrze. – Panna Finch pociągnęła nosem. Zaczynałem rozumieć, czemu Jane i Jonathan chcieli, bym im towarzyszył.

Gdy wyszliśmy z domu, zobaczyliśmy, że pada deszcz. Ulica była ciemna. Wcisnęliśmy się do sportowego wozu i pojechaliśmy do Londynu. Wraz z panną Finch siedzieliśmy stłoczeni na niewielkim tylnym siedzeniu, nieprzyjemnie blisko siebie.

Jane poinformowała pannę Finch, że jestem pisarzem, a mnie oznajmiła, iż panna Finch jest biologiem.

– Ścisłej biorąc, biogeologiem – poprawiła ją panna Finch. – Mówiłeś poważnie o sushi, Jonathanie?

– Tak. A czemu, nie lubisz sushi?

– Och, jeśli o mnie chodzi, nie mam w zwyczaju jadać niczego surowego – oznajmiła, po czym zaczęła wymieniać nam wszystkie robaki, larwy i pasożyty czyhające w rybim mięsie, które można zabić tylko podczas gotowania. Opisywała ich cykle życiowe, podczas gdy deszcz spływał po szybach, sprawiając, że wieczorny Londyn nabierał jaskrawych neonowych barw. Jane zerknęła na mnie współczująco z przedniego fotela. Następnie wraz z Jonathanem powrócili do przeglądania ręcznie zapisanych wskazówek, opisujących miejsce, do którego się wybieraliśmy. Po Moście Londyńskim przejechaliśmy na drugą stronę Tamizy. Tymczasem panna Finch raczyła nas wykładem traktującym o ślepcie, obłądnie i niewydolności wątroby. Właśnie opisywała objawy słoniowacizny z taką dumą, jakby sama je wynalazła, gdy zatrzymaliśmy się na małej ciemnej uliczce w okolicach katedry Southwark.

– To gdzie ten cyrk? – spytałem.

– Gdzieś tutaj – odparł Jonathan. – Skontaktowali się z nami w sprawie specjalnego przedstawienia świątecznego. Próbowałem zapłacić za dzisiejszy występ, ale uparli się, że go nam zafundują.

– Z pewnością będziemy się dobrze bawić – powiedziała Jane.

Panna Finch pociągnęła nosem.

Na chodniku pojawił się gruby łysy mężczyzna w stroju mnicha. Podbiegł do nas.

– No, są państwo – rzekł. – Czekałem na was. Spóźniliście się, zaraz zaczynamy.

Odwrócił się i podreptał z powrotem tam skąd przyszedł, a my ruszyliśmy za nim. Krople deszczu rozpryskiwały się, uderzając o łysą czaszkę, i spływały mu po twarzy, zmieniając makijaż Festera Addamsa w mozaikę białych i brązowych smug. Mężczyzna pchnął drzwi w narożniku budynku.

– Tutaj.

Weszliśmy do środka. W pomieszczeniu zebrało się około pięćdziesięciu osób, parujących i ociekających wodą. Wysoka kobieta, kiepsko ucharakteryzowana na wampirzycę, krążyła wśród nich z niewielką latarką w dłoni, sprawdzając bilety, sprzedając je tym, którzy nie kupili wcześniej, oddzierając końcówki. Niewielka przysadzista niewiasta stojąca tuż przed nami strząsnęła wodę z parasolki i rozejrzała się z groźną miną.

– Lepiej, żeby to było dobre – powiedziała z mocnym akcentem do towarzyszącego jej młodego mężczyzny, zapewne syna. Sama zapłaciła za oba bilety.

Gdy przysła kolej na nas, wampirzyca podeszła i rozpoznała Jonathana.

– To pańscy goście? – spytała. – Razem cztery osoby, tak? Jesteście na liście.

Przysadzista kobieta zerknęła na nas podejrzliwie.

Ktoś włączył nagranie tykającego zegara. Wybiła północ (na moim zegarku zaledwie dochodziła ósma) i podwójne drewniane drzwi po drugiej stronie pomieszczenia otwarły się ze skrzypieniem.

– Wejdźcie... z własnej nieprzymuszonej woli – zagrzmiął głos, po czym roześmiał się obłąkańczo.

Przeszliśmy przez drzwi w ciemność.

Powietrze pachniało wilgotnymi cegłami i rozkładem. Dzięki temu zrozumiałem, gdzie jesteśmy: miejscami pod torami kolejowymi ciągną się sieci starych piwnic – rozległych, pustych, połączonych ze sobą pomieszczeń różnej wielkości i kształtu. W niektórych przechowują swe towary sprzedawcy win i handlarze używanych samochodów; w innych zamieszkują dzicy lokatorzy, póki brak światła i udogodnień nie wygoni ich z powrotem na powierzchnię. Większość stoi pusta, czekając na nieuniknione przybycie buldożerów, świeżego powietrza i czasu, gdy wszystkie sekrety i tajemnice znikną na zawsze.

Nad naszymi głowami przejechał pociąg.

Ruszyliśmy naprzód, szurając nogami, w ślad za wujem Festerem i wampirzycą, i znaleźliśmy się w czymś w rodzaju zagrody dla zwierząt. Przystanęliśmy, czekając, co będzie dalej.

– Mam nadzieję, że po wszystkim pozwolą nam usiąść – mruknęła panna Finch.

Nagle latarki zgasły. Zapłonęły reflektory.

Zjawili się ludzie, niektórzy z nich na motorach i skuterach plażowych. Biegali wokół, jeździli, śmiali się, podskakiwali i krzyczeli. Pomyślałem, że ktokolwiek ich ubierał, czytał zbyt wiele komiksów albo zbyt często oglądał *MadMaxa*. Byli wśród nich punkowcy i zakonnice, wampiry i potwory, striptizerki i żywe trupy.

Tańczyli i podskakiwali wokół nas, podczas gdy Mistrz Ceremonii – rozpoznałem go po cylindrze – zaśpiewał piosenkę Alice'a Coopera „Welcome To My Nightmare”. Śpiewał ją bardzo źle.

– Znam Alice'a Coopera – mruknąłem pod nosem, zmieniając nieco na wpół zapomniany

cytat – i pan, proszę pana, z całą pewnością nim nie jest.

– Jest raczej kiepski – zgodził się Jonathan.

Jane uciszyła nas syknięciem. Gdy ostatnie takty ucichły, Mistrz Ceremonii pozostał sam w blasku reflektorów. Mówiąc, krążył po pomieszczeniu.

– Witajcie, witajcie wszyscy w Teatrze Nocnych Snów – rzekł.

– Jakiś twój fan – szepnął Jonathan.

– Mam wrażenie, że raczej cytuję *Rocky Horror Show* – odszepnąłem.

– Dziś ujrzycie wszyscy potwory, o jakich nawet nie śniliście, dziwolągi i istoty nocy, które sprawią, iż będziecie krzyknąć ze strachu i zaśmiewać się z zachwytu. Nasza podróż – ciągnął – powiedzie nas z sali do sali – a w każdej z tych podziemnych pieczar czeka na was kolejny koszmar, kolejna rozkosz, kolejne cuda! Proszę, dla własnego bezpieczeństwa, nie wychodźcie, podkreślę raz jeszcze, nie wychodźcie poza przeznaczone dla was miejsca. W przeciwnym razie ryzykujecie niewypowiedziane cierpienia, obrażenia cielesne i utratę nieśmiertelnej duszy! Przypominam też, że obowiązuje was całkowity zakaz fotografowania z fleszem i nagrywania.

Po tych słowach kilka młodych kobiet przyświecających sobie małymi latarkami poprowadziło nas do następnego pomieszczenia.

– Czyli nie usiądziemy – podsumowała wyraźnie znudzona panna Finch.

Pierwsza sala

W pierwszej sali uśmiechnięta blondynka w nakrapianym bikini, z rękami pokrytymi śladami po igłach, stała przy wielkim kole. Garbus i wujek Fester przykuli ją do niego łańcuchami.

Koło zaczęło się obracać. Gruby mężczyzna w czerwonym kostiumie kardynała rzucał w kobietę nożami, otaczając nimi jej ciało. Potem garbus zasłonił kardynałowi oczy. Ostatnie trzy noże pewnie wbiły się tuż obok głowy kobiety. Kardynał zdjął przepaskę. Pomocnicy uwolnili kobietę i postawili na ziemi. Wszyscy się uklonili, zaczęliśmy klaskać.

Następnie kardynał wyjął zza pasa nóż iluzjonisty i udał, że podrzyna kobiecie gardło. Z klingi polała się krew. Kilkoro widzów jęknęło. Jakaś nerwowa dziewczyna krzyknęła cicho. Jej przyjaciółki zachichotały.

Kardynał i kobieta w bikini uklonili się raz jeszcze. Światła zgasty. Podążyliśmy za latarkami ceglany korytarzem.

Druga sala

jeszcze mocniej pachniała wilgocią; zupełnie jakbyśmy znaleźli się w piwnicy, zamkniętej i zapomnianej. Z kąta dobiegał odgłos kapania deszczu. Mistrz Ceremonii przedstawił nam Monstrum.

– Monstrum, złożone w jedną całość w laboratoriach Nocy, jest zdolne do zdumiewających popisów siły!

Makijaż potwora Frankensteina był mało przekonujący, lecz Monstrum zdołało podnieść kamienny blok, na którym siedział gruby wujek Fester. Zatrzymało też rozpedzony skuter plażowy (kierowany przez wampirycę), a jako *piece de resistance* nadmuchało gumowy termofor, który w końcu pękł.

– Pora na sushi – mruknąłem do Jonathana.

Panna Finch zauważyła cicho, że pomijając kwestię niebezpiecznych pasożytów, należy też pamiętać, iż tuńczyk, miecznik i strzępiel padają ofiarą nadmiernych połowów i wkrótce, ze względu na to, że rozmnażają się wolniej niż są odławiane, mogą zostać uznane za gatunki zagrożone.

Trzecia sala

ciągnęła się daleko w ciemność. Kiedyś w przeszłości usunięto stary sufit. Za nowy służył dach pustego magazynu nad piwnicą. Powoli nasze oczy zaczęły dostrzegać błękitnofioletowy połysk ultrafioletu. Zęby, koszule i strzępy bieli rozbłysły w ciemności. Zadzźwięczała cicha, pulsująca muzyka. Unieśliśmy wzrok i ujrzeliśmy w górze szkielet, obcego, wilkołaka i anioła. Ich kostiumy świeciły w ultrafiolecie. Cała czwórka, migocząc jak ulotne sny, tańczyła w górze na trapezach. Kołysali się w przód i w tył w rytm muzyki. A potem jednocześnie puścili drążki i runęli ku nam.

Zachłysłaliśmy się chórem. Nim jednak do nas dotarli, odbili się w powietrzu i znów wzlecieli w górę niczym jo-jo, z powrotem chwytając za trapezy. Zrozumieliśmy, że wiszą na przyczepionych do sklepienia gumowych linach, niewidocznych w ciemności. I gdy tak podskakiwali, nurkowali i pływali nad nami w powietrzu, patrzyliśmy w zachwycie, klaszcząc.

Czwarta sala

była niewiele szersza niż korytarz i niska. Mistrz Ceremonii, unosząc dumnie głowę, wmaszerował między nas i wybrał dwie osoby – przysadzistą kobietę i wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę w kozuchu i skórzanych rękawiczkach. Poprowadził ich naprzód, ogłaszając, że zaraz zademonstruje nam swe umiejętności w dziedzinie hipnozy. Kilka razy przesunął dłońmi w powietrzu, po czym odprawił przysadzistą kobietę i poprosił mężczyznę, by stanął na skrzyni.

– Umówili wszystko wcześniej – mruknęła Jane. – Facet jest podstawiony.

Do środka wprowadzono gilotynę. Mistrz Ceremonii przeciął na pół arbuz, by udowodnić, że ostrze nie zostało stępione. Następnie zmusił mężczyznę, aby wsunął dłoń pod gilotynę i opuścił ostrze. Dłoń w rękawicze wylądowała w koszu. Z mankietu kozucha trysnęła krew.

Panna Finch pisnęła.

Mężczyzna wyciągnął dłoń z koszyka i zaczął uganiać się za Mistrzem Ceremonii do wtóru muzyki z programu Benny Hilla.

– Sztuczna ręka – szepnął Jonathan.

– A nie mówiłam? – dodała Jane.

Panna Finch wydmuchnęła nos.

– Twierdzą, że wszystko to jest w bardzo kiepskim guście – oznajmiła.

Następnie poprowadzono nas do

Piątej sali

i nagle zapłonęły wszystkie światła. Przy jednej ścianie stał drewniany stół. Młody łyśy

mężczyzna sprzedawał piwo, sok pomarańczowy i butelki wody. Na ścianie widniały znaki wskazujące drogę do toalet w sąsiednim pomieszczeniu. Jane poszła kupić coś do picia, Jonathan skorzystał z toalety. Mnie zatem przypadła rola zabawienia rozmową panny Finch.

– Cóż – rzekłem – słyszałem, że dopiero niedawno wróciłaś do Anglii?

– Byłam na Komodo – odparła. – Badałam smoki. Wiesz, czemu tak bardzo urosły?

– Eee...

– Przystosowały się do polowań na słonie karłowate.

– Istnieje coś takiego jak słonie karłowate? – To mnie zainteresowało. Było znacznie ciekawsze niż wykłady na temat robaków w sushi.

– O tak, to podstawowa biogeologia wysp: zwierzęta na wyspach w sposób naturalny albo rozrastają się do gigantycznych rozmiarów, albo też karłowacieją. Istnieją pewne równania... – gdy panna Finch mówiła, jej twarz ożywała i odkryłem, że zaczynam czuć do niej sympatię, kiedy tak wyjaśniała mi, jak i dlaczego niektóre zwierzęta rosną, podczas gdy inne maleją.

Jane przyniosła nam napoje. Jonathan wrócił z toalety, rozbawiony i nieco zdumiony faktem, że gdy sikał, poproszono go o autograf.

– Powiedz mi – zagadnęła Jane – przygotowując się do następnej edycji *Przewodników po Nieznanym*, czytałam sporo pism kryptozoologicznych. Jako biolog...

– Biogeolog – poprawiła panna Finch.

– Tak. Jak oceniasz szanse na to, by zwierzęta prehistoryczne przetrwały do dzisiaj w nieznanym nauce enklawach?

– To bardzo mało prawdopodobne – odparła panna Finch tonem nauczycielki udzielającej reprimendy. – W każdym razie nie istnieje żaden „świat zaginiony” na zagubionej wyspie, pełen mamutów, smilodonów i aepyornisów.

– Brzmi to trochę nieprzyzwoicie – zauważył Jonathan. – A... czego?

– Aepyornis. Olbrzymi nielotny prehistoryczny ptak – wyjaśniła Jane.

– Tak naprawdę wiedziałem – przyznał.

– Choć oczywiście nie są one wcale prehistoryczne – uzupełniła panna Finch. – Ostatnie aepyornisy zostały zabite przez marynarzy portugalskich na Madagaskarze około trzystu lat temu. Istnieją też wiarygodne przekazy o tym, że na rosyjskim dworze w XVI wieku pokazywano mamuta karłowatego. Zaś stado zwierząt, które, sądząc z opisu, niemal na pewno były odmianą tygrysa szablatozębnego – smilodona – sprowadzono z Afryki Północnej na rozkaz Wespazjana do rzymskiego cyrku. Zwierzęta te zatem nie są wcale prehistoryczne, raczej historyczne.

– Zastanawiam się, do czego właściwie służyły te szablaste zęby – mruknąłem. – Można by sądzić, że tylko im przeszkadzały.

– Bzdura – prychnęła panna Finch. – Smilodon był niezwykle skutecznym łowcą. Musiał być. Podobne zęby pojawiają się wielokrotnie wśród skamienielin. Całym sercem żałuję, że smilodony nie dożyły dzisiejszych czasów. Ale nie dożyły. Zbyt dobrze znamy świat.

– Świat to wielkie miejsce – rzekła z powątpiewaniem Jane, a potem światła zaczęły mrugać, zapalać się i gasnąć, a upiorny, bezcielesny głos polecił nam przejść do następnej sali. Poinformował też, że druga połowa przedstawienia nie jest przeznaczona dla ludzi o słabych nerwach, a dodatkowo dziś wieczór, przez jedną jedyną noc, Cyrk Nocnych Snów z dumą przedstawi Gabinet Spełnionych Życzeń.

Wyrzuciliśmy plastikowe kubki i przeszliśmy do

Szóstej sali

– Przedstawiamy państwu – oznajmił Mistrz Ceremonii – Władcę Bólu!

Promień reflektora zatańczył i przesunął się, ukazując nienaturalnie chudego młodego mężczyznę w kąpielówkach, wiszącego na haczykach przewleczonych przez sutki. Dwie punkówki pomogły mu zejść na ziemię i wręczyły rekwizyty. Mężczyzna wbił sobie w nos sześciocalowy gwóźdź, podnosił ciężary, doczepiając je do kolczyka w języku, wpuścił do kąpielówek kilka fretek, a na deser pozwolił wyższej z dwóch dziewczyn użyć swego brzucha jako tarczy. Za rzutki służyły celnie ciskane strzykawki.

– Czy ten gość nie występował kilka lat temu w telewizji? – spytałem Jane.

– Zgadza się – przytaknął Jonathan. – Bardzo miły facet. Zapalił fajerwerk trzymany w zębach.

– Zdawało mi się, że miało nie być zwierząt – wtrąciła panna Finch. – Jak myślicie, jak się czują biedne fretki wciśnięte w krocze tego młodzieńca?

– Przypuszczam, że w znacznym stopniu zależy to od tego, czy są samcami, czy samiczkami – odparł radośnie Jonathan.

W siódmej sali

pokazywano rockandrollową komedię, pełną kiepskich ślapstikowych gagów. Obnażono piersi zakonnicy, a garbus zgubił spodnie.

W ósmej sali

panował mrok. Czekaliśmy w ciemności, by coś się wydarzyło. Miałem ochotę usiąść, bolały mnie nogi, byłem zmęczony, zmarznięty i miałem wszystkiego dosyć.

A potem ktoś oświetlił naszą grupę. Zaczęliśmy mrugać, zakrywając oczy dłońmi.

– Dziś wieczór – oznajmił dziwny głos, ochrypliwy i zakurzony. Byłem pewien, że nie należał do Mistrza Ceremonii. – Dziś wieczór jedno z was dostanie to, czego najbardziej pragnie, w Gabinetcie Spełnionych Życzeń. Któż to będzie?

– Uuu, trudno zgadnąć. Zaryzykuję, że kolejna podstawiona osoba – szepnąłem, przypominając sobie jednorękiego mężczyznę w czwartej sali.

– Ciii – syknęła Jane.

– Któż to będzie? Pan, pani? – Z mroku wynurzyła się postać i podeszła ku nam, powłócząc nogami. Trudno było się przyjrzeć, bo w rękach trzymała przenośny reflektor. Zastanawiałem się, czy człowiek ten ma na sobie kostium małpy, bo jego sylwetka wydawała się nieludzka, a poruszał się tak jak to czynią goryle. Może to ten sam, który grał Monstrum. – Któż to będzie, he? – Patrzyliśmy na niego, mrużąc oczy i odsuwając się na boki.

Nagle śmignął naprzód.

– Aha! Chyba mamy ochotniczkę – rzekł, przeskakując przez sznurową barierkę oddzielającą widownię od reszty sali. Chwycił za rękę pannę Finch.

– Nie, raczej nie – odparła panna Finch. Pozwoliła się jednak od nas odciągnąć, zbyt wytrącona z równowagi, zbyt uprzejma i w gruncie rzeczy zbyt angielska, by zrobić scenę. Mężczyzna zawlókł ją w ciemność. Zniknęła.

Jonathan zaklął pod nosem.

– Wątpię, by szybko pozwoliła nam o tym zapomnieć – mruknął.

Zapłonęły światła, mężczyzna przebrany za olbrzymią rybę kilka razy objechał na motorze całą salę. Stał na siodełku, następnie usiadł i zaczął jeździć po ścianach. A potem najechał na cegłę, motor stracił równowagę, mężczyzna spadł, a motocykl wylądował wprost na nim.

Garbus i zakonnica z nagim biustem podbiegli bliżej, zepchnęli motor z mężczyzny w kostiumie ryby, i odciągnęli go.

– Złamałem pieprzoną nogę – mówił tępym monotonnym głosem. – Jest złamana, ja pieprzę, moja pieprzona noga.

– Myślicie, że to było zaplanowane? – spytała stojąca obok dziewczyna.

– Nie – odparł towarzyszący jej mężczyzna.

Lekko wstrząśnięty wuj Fester i wampirzyca poprowadzili nas naprzód, do

Dziewiętej sali

w której czekała panna Finch.

Pomieszczenie było ogromne, czułem to nawet w nieprzeniknionej ciemności. Być może mrok sprawia, że inne zmysły zaczynają pracować intensywniej, a może zawsze przetwarzamy więcej informacji, niż nam się zdaje. Echa szurania naszych stóp oraz pokasływań powracały do nas, odbite od ścian stojących dziesiątki metrów dalej.

A potem wydało mi się, z pewnością graniczącą z szaleństwem, że w mroku czają się olbrzymie bestie, obserwujące nas głodnym wzrokiem.

Powoli zajaśniały światła i ujrzeliśmy pannę Finch. Do dziś dnia zastanawiam się, skąd wzięli ten kostium.

Czarne włosy miała rozpuszczone, okulary zniknęły. Kostium, choć bardzo skąpy, pasował na nią idealnie. W dłoni trzymała włócznię. Patrzyła na nas beznamyślnie. Potem w kręgu światła obok zjawily się wielkie koty. Jeden z nich uniósł głowę i zaryczał.

Ktoś w tłumie zaczął zawodzić. Czułem rozchodzącą się w powietrzu ostrą zwierzęcą woń moczu.

Zwierzęta były wielkości tygrysów. Nie miały jednak pasków, lecz futro barwy piaszczystej plaży o zmierzchu, i topazowe oczy. Ich oddech cuchnął świeżym mięsem i krwią.

Wpatrywałem się w szczęki zwierząt. Szablaste zęby były naprawdę zębami, nie kłami jak u słonia. Olbrzymie zęby stworzone do szarpania, rozdzierania, odrywania mięsa od kości.

Koty zaczęły krążyć wokół nas wolnym krokiem. Skuliliśmy się ciasno, zwierając szeregi. Każdy z nas gdzieś w duchu przypominał sobie, jak to było dawno temu, gdy kryliśmy się nocami w jaskiniach, podczas gdy w ciemnościach na dworze krążyły bestie. Przypominaliśmy sobie czasy, gdy to my byliśmy ofiarami.

Smilodony, jeśli tym naprawdę były, zdawały się niespokojne, czujne. Ich ogony poruszały się szybko jak bicze, z boku na bok, niecierpliwie. Panna Finch milczała, patrzyła tylko na swe zwierzęta.

I wtedy przysadzista kobieta uniosła parasolkę i machnęła nią w stronę jednego z kotów.

– Trzymaj się z daleka, ty paskudo! – rzuciła.

Tygrys ryknął gardłowo i naprężył się, gotów do skoku.

Przysadzista kobieta zbladła, nie opuściła jednak parasolki, celując nią niczym mieczem. Nie

próbowała nawet uciekać w rozświetlonym promieniami latarek mroku pod miastem.

I wtedy tygrys skoczył, powalając ją na ziemię jednym uderzeniem olbrzymiej aksamitnej łapy. Stał nad nią triumfalnie i ryknął tak głęboko, że poczułem ów dźwięk w głębi swego brzucha. Przysadzista kobieta najwyraźniej zemdląca. Pomyślałem, że to dobrze. Przy odrobinie szczęścia nie poczuje nawet, gdy ostre jak brzytwy zęby niczym bliźniacze sztylety rozedrą jej starcze ciało.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale drugi tygrys krążył wokół, utrzymując nas w miejscu, za linami, jak stadko wystraszonych owiec.

Usłyszałem Jonathana, mamroczącego pod nosem wciąż te same przekleństwa.

– Zginiemy wszyscy, prawda? – To był mój własny głos.

– Chyba tak – odparła Jane.

I wtedy panna Finch odepchnęła sznurową barierkę, chwyciła wielkiego kota za skórę na karku i szarpnęła. Tygrys stawiał opór, toteż pacnęła go w nos końcówką włóczni. Zwierzę podkuliło ogon między nogi i cofnęło się, pozostawiając powaloną kobietę, potulne i posłuszne.

Nie zauważyłem krwi. Miałem nadzieję, że ofiara jest tylko nieprzytomna.

W głębi piwnicznej sali powoli rozbłysło światło, zupełnie jakby nastał świt. Dostrzegłem wilgotną poranną mgiełkę, snującą się pomiędzy olbrzymimi paprociami i sagowcami, i usłyszałem dobiegające z daleka cykanie świerszczy i nawoływania dziwne ptaków, budzących się i witających nowy dzień.

I część mnie – ta część będąca pisarzem, część która dostrzegła dziwne załamanie światła na stłuczonym szkłe w kałuży krwi, gdy gramoliłem się z rozbitego samochodu po wypadku, i obserwowała niezwykle szczegółowo to, jak moje serce pękało lub nie w chwilach prawdziwej, głębokiej, osobistej tragedii – ta właśnie część pomyślała „Ten sam efekt można osiągnąć za pomocą maszyny do robienia sztucznej mgły, kilku roślin i podkładu dźwiękowego. Potrzeba tylko naprawdę dobrego oświetleniowca”.

Panna Finch od niechcenia podrapała się po lewej piersi. Potem odwróciła się do nas plecami i ruszyła w stronę świtu i dżungli pod światłem. U jej boków stapały dwa szablastozębne tygrysy.

Jakiś ptak krzyknął i zaczął świergotać.

A potem światło brzasku przygasło, nastała ciemność, mgła się rozplynęła. Kobieta i zwierzęta zniknęły.

Syn przysadzistej turystki pomógł jej wstać. Otworzyła oczy. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale całej i zdrowej. A kiedy zrozumieliśmy, że nic jej się nie stało, bo podniosła parasolkę, oparła się na niej i posłała nam wrogie spojrzenie, cóż, wtedy zaczęliśmy klaskać.

Nikt po nas nie przyszedł. Nie widziałem wuja Festera ani wampirzycy, toteż pozbawieni przewodnika przeszliśmy do

Dziesiątej sali

Wyraźnie przygotowano ją do wielkiego finału. Z jednej strony ustawiono nawet plastikowe krzesła, na których mieliśmy usiąść i oglądać przedstawienie. Zajęliśmy zatem miejsca i czekaliśmy. Jednak nikt z cyrku się nie zjawił. Po jakimś czasie zrozumieliśmy, że nikt nie przyjdzie.

Ludzie zaczęli przechodzić do następnego pomieszczenia. Usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi, a potem odgłosy ulicznego ruchu i deszczu.

* *
*

Spojrzałem na Jane i Jonathana. Wstaliśmy razem i wyszliśmy. W ostatnim pomieszczeniu stał samotny stół, na którym ułożono pamiątki z cyrku: plakaty, płyty kompaktowe i znaczki, a także otwartą kasetkę z pieniędzmi. Przez uchylone drzwi wlewały się do środka kaskady żółtego sodowego światła. Wiatr szarpał niesprzedanymi plakatami, niecierpliwie tarłosząc ich brzegi.

– Czy powinniśmy na nią poczekać? – spytało któreś z nas. Żałuję, że to nie byłem ja.

Pozostali jednak pokręcili głowami i wyszliśmy w deszcz, który do tej pory osłabł, przechodząc w kapryśną mżawkę.

Po krótkiej wędrówce wąskimi uliczkami, atakowani falami deszczu i wiatru, znaleźliśmy samochód. Stałem na chodniku, czekając, aż otworzą się tylne drzwi i będę mógł wsiąść do środka. Nagle wydało mi się, że wśród szumu deszczu i hałasów miasta słyszę tygrysa – niski ryk, który sprawił, że cały świat zadrżał w posadach. Może jednak był to tylko łoskot przejeżdżającego w pobliżu pociągu.

Zmiany

1

Później ludzie wskazywali śmierć jego siostry, którą w wieku dwunastu lat pokonał rak, pozostawiając w jej mózgu guzy wielkości kaczyczych jaj – zapłakany, ostrzyżony na jeża siedmiolatek patrzył szeroko rozwartymi brązowymi oczami, jak umierała w białym szpitalnym łóżku – i mówili: „taki był początek”. Może rzeczywiście.

W filmie „Reset” (reżyseria Robert Zemeckis, 2018), fabularyzowanej biografii, po tej scenie akcja przeskakiwała do czasów, gdy jako nastolatek czuwa przy łóżku umierającego na AIDS nauczyciela biologii, z którym wcześniej pokłócił się o sekcję dużej, biało brzuchej żaby.

– Czemu rozbieramy ją na kawałki? – pyta młody Rajit. Muzyka narasta w nagłym crescendo.
– Czy zamiast tego nie powinniśmy jej ożywić?

Nauczyciel, grany przez nieżyjącego już Jamesa Earla Jonesa, ze wstydem spuszcza wzrok, potem jednak jego twarz przybiera natchniony wyraz. Mężczyzna unosi rękę ze szpitalnego łóżka i kładzie ją na kościstym ramieniu chłopaka.

– Jeśli ktokolwiek zdoła tego dokonać, to ty, Rajicie – mówi głębokim, przejmującym basem. Chłopiec kiwa głową i patrzy na nas z lśnącym w oczach oddaniem, graniczącym z fanatyzmem.

Coś takiego nigdy się nie zdarzyło.

2

Jest szary listopadowy dzień. Rajit to obecnie wysoki czterdziestolatek w okularach o ciemnych oprawkach. W tej chwili nie ma ich na nosie. Brak okularów podkreśla jeszcze jego nagość. Rajit siedzi w wannie, w stygnącej wodzie, ćwicząc zakończenie mowy. W codziennym życiu odrobinę się garbi, ale nie teraz. Starannie rozważa każde słowo. Nie jest zbyt dobrym mówcą.

Mieszkanie w Brooklynie, które wynajmuje do spółki z innym naukowcem oraz bibliotekarzem, jest dziś puste. Penis Rajita skurczył się w letniej wodzie do rozmiarów orzecha.

– Oznacza to – mówi głośno i powoli Rajit – że wojna z rakiem została wygrana.

Zawiesza głos, przeczekując pytanie od wymagowanego dziennikarza po drugiej stronie wanny.

– Efekty uboczne? – powtarza w dźwięczącej echem łazience. – Owszem, istnieją pewne efekty uboczne. Z tego jednak, co udało nam się ustalić, nie wywołują one żadnych trwałych zmian.

Dźwiga się z poobijanej porcelanowej wanny i nagi podchodzi do muszli klozetowej. Zaczyna gwałtownie wymiotować. Trema dławi go, przeszywa bólem niczym nóż gmerający we flakach.

Gdy nie ma już czego zwrócić i mdłości ustają, Rajit przepłukuje sobie usta listeryną, ubiera się i jedzie metrem na Manhattan.

3

Jest to, jak słusznie zauważy magazyn *Time*, odkrycie, które „zmieni naturę medycyny w stopniu równie fundamentalnym i nieodwracalnym, jak odkrycie penicyliny”.

– Co by było, gdyby – mówi Jeff Goldblum, grający w filmie dorosłego Rajita – gdyby udało nam się zresetować kod genetyczny ciała? Tak wiele chorób bierze swój początek z tego, że ciało zapomina, co ma robić. Kod został uszkodzony, program zaczyna się wieszać.

A gdybyśmy... gdybyśmy zdołali go naprawić?

– Oszalałeś? – odpowiada w filmie piękna, jasnowłosa dziewczyna. W rzeczywistości Rajit nie ma dziewczyny; w rzeczywistości jego życie seksualne to pospieszna seria transakcji handlowych pomiędzy Rajitem i młodymi mężczyznami z AAA – Agencji Towarzyskiej Ajax.

– Hej – mówi Jeff Goldblum, ujmując to lepiej, niż kiedykolwiek udało się Rajitowi – to tak jak z komputerem. Zamiast próbować usuwać kolejne błędy, wywołane przez uszkodzony program, objaw za objawem, możesz po prostu dokonać reinstalacji. Dysponujemy wszystkimi informacjami. Musimy po prostu polecić naszemu ciału, by ponownie sprawdziło swoje RNA i DNA, na nowo wgrało program, a potem się zresetowało.

Jasnowłosa aktorka uśmiecha się i ucisza go pocałunkiem – rozbawiona, oszołomiona, namiętna.

4

Kobieta ma raka śledziony, węzłów chłonnych i jamy brzusznej: chłonnaika nieziarniczego. Ma też zapalenie płuc. Zgodziła się, by Rajit podał jej eksperymentalny lek. Zdaje sobie sprawę, iż w Ameryce twierdzenie, że ktoś potrafi wyleczyć raka, jest przestępstwem. Do niedawna była gruba, teraz jednak gwałtownie straciła na wadze. Rajitowi kojarzy się ze śniegowym bałwanem w słońcu: każdego dnia jej cząstka topnieje, każdego dnia jest mniej ukształtowana.

– To nie lekarstwo w sensie, o jakim pani myśli – mówi Rajit – lecz seria poleceń chemicznych.

Kobieta patrzy na niego pustym wzrokiem. Rajit wstrzykuje jej dożylnie dwie ampułki przezroczystego płynu.

Wkrótce kobieta zasypia.

Gdy się budzi, nie ma raka. Wkrótce potem zabija ją zapalenie płuc.

Rajit spędził dwa dni za biurkiem, zastanawiając się, jak wyjaśnić fakt, że – co bezsprzecznie wynika z sekcji zwłok – pacjentka ma obecnie penisa i jest pod każdym względem, funkcjonalnym i chromosomowym, mężczyzną.

5

Dwadzieścia lat później, w małym mieszkanku w Nowym Orleanie (choć równie dobrze mogłoby leżeć w Moskwie, Manchesterze, Paryżu czy Berlinie) zapowiada się wielki wieczór.

Jo/e zamierza olśnić wszystkich.

Ma do wyboru wytworną osiemnastowieczną francuską krynolinę w polskim stylu (gorset ze szklanych włókien, stanik na fiszbinach, kryty szkarłatnym materiałem ze wstawkami z koronki) i reprodukcję dworskiego stroju Sir Phillipa Sydneya z czarnego aksamitu, wyszywanego srebrną nicią, wraz z fraczkiem i żabotem. W końcu po rozważeniu wszystkich za i przeciw Jo/e wybiera dekolot, nie kutasa. Dwanaście godzin do godziny zero: Jo/e otwiera fiolkę pełną czerwonych pigułek, starannie oznaczonych literą X, i dwie zażywa. Jest dziesiąta rano. Jo/e kładzie się do łóżka. Zaczyna się onanizować z penisem w stanie półwzrodu, nie dochodzi jednak. Zasypia.

Pokój jest bardzo mały. Wszędzie wokół wiszą ubrania, na podłodze leży puste pudełko po pizzy. Jo/e zwykle głośno chrapie, kiedy jednak się freesetuje, nie wydaje najmniejszego dźwięku, zupełnie jak pogrążony w śpiączce.

Jo/e budzi się o dziesiątej wieczór. Czuje się świeży, dziwnie wrażliwy. Gdy dopiero zaczął imprezować, po każdej zmianie uważnie przyglądał się swemu ciału, oglądając pieprzyki i sutki, napletek bądź łechtaczkę, sprawdzając, które blizny zniknęły, a które pozostały. Teraz jednak Jo/e ma w tej materii spore doświadczenie. Wkłada gorset, halkę, stanik i suknie. Jego nowe piersi (sterczące i stożkowate) zostają dodatkowo uniesione, halka muska podłogę, co oznacza, że Jo/e może włożyć swe czterdziestoletnie martensy (nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie uciec, maszerować bądź kogoś kopnąć, a jedwabne pantofelki są do niczego).

Strój dopełnia wysoka upudrowana peruka oraz kropla wody kolońskiej. Potem Jo/e zaczyna majstrować przy halce. Wtyka palec między nogi (Jo/e nie nosi majtek, twierdząc, że zależy mu na autentyzmie, czemu jednak zaprzeczają martensy), a potem przesuwa nim za uszami – może na szczęście, a może, by łatwiej kogoś poderwać. O jedenastej pięć do drzwi dzwoni taksówkarz i Jo/e schodzi na dół. Wyrusza na bal.

Jutro wieczorem Jo/e zażyje kolejną dawkę. W tygodniu roboczym nieodmiennie pozostaje mężczyzną.

6

Rajit nigdy nie traktował zmiany płci, towarzyszącej podaniu Resetu, jako czegoś więcej niż zwykły skutek uboczny. Nagrodę Nobla dostał za osiągnięcia w walce z rakiem (resetowanie działało w większości przypadków raka, ale nie we wszystkich).

Jak na tak inteligentnego człowieka Rajit wykazał się zdumiewającą krótkowzrocznością. Nie zdołał przewidzieć co najmniej kilku rzeczy, na przykład: że znajdą się ludzie umierający na raka, którzy wolą zginąć, niż doświadczyć zmiany płci; że Kościół katolicki wypowie się przeciw chemicznemu środkowi Rajita, sprzedawanemu pod marką Reset, głównie dlatego, że zmiana płci sprawiała, iż resetujące się ciało kobiece wchłania płód; mężczyźni nie mogą zachodzić w ciążę. Liczne inne sekty religijne wystąpiły przeciw Resetowi, w większości cytując Księgę Rodzaju 1,27 „i stworzył ich mężem i niewiastą”.

Wśród sekt nie uznających Resetu znalazły się islam, scjentyzm, rosyjska Cerkiew ortodoksyjna, Kościół rzymskokatolicki (przy sporej ilości głosów sprzeciwu), Kościół zjednoczony, Ortodoksyjny Fandom Trekowy, ortodoksyjny judaizm, Fundamentalistyczne Stowarzyszenie USA.

Sekty akceptujące Reset w sytuacjach, gdy lekarz uzna, iż to najlepsze lekarstwo, to między

innymi większość buddystów, Kościół Jezusa i Świętych Dnia Ostatniego, grecka Cerkiew ortodoksyjna, Kościół scjentologiczny, Kościół anglikański (przy sporej ilości głosów sprzeciwu), Nowy Fandom Trekowy, Zliberalizowany zreformowany judaizm, New Age'owa Koalicja Amerykańska.

Sekty z początku pobierające rozrywkowe zażywanie Resetu: brak.

Gdy Rajit zorientował się, iż Reset pozbawi pracy chirurgów zmieniających innym płęć, nie przyszło mu nawet do głowy, że ktoś mógłby zechcieć go zażyć z ciekawości, pożądania bądź pragnienia ucieczki. Nie przewidział zatem powstania czarnego rynku Resetu i podobnych związków chemicznych ani tego, że zaledwie piętnaście lat od chwili wejścia Resetu na rynek i akceptacji przez FDA nielegalna sprzedaż podróbek Resetu (wkrótce nazwanych restartami) wielokrotnie przekroczy sprzedaż heroiny i kokainy.

7

W kilku nowokomunistycznych państwach Europy Wschodniej posiadanie restartu oznaczało automatyczny wyrok śmierci.

W Tajlandii i Mongolii podobno resetowało się chłopców na dziewczynki, by zwiększyć ich wartość jako prostytutek.

W Chinach nowo narodzone dziewczynki resetowało się na chłopców. Rodziny oszczędzały całymi latami na jedną dawkę; starzy ludzie nadal umierali na raka. Powstały w wyniku tego kryzys narodzin z początku zlekceważono, a potem było już za późno. Zaproponowane radykalne rozwiązanie okazało się zbyt trudne do wprowadzenia i w końcu doszło do kolejnej, ostatecznej rewolucji.

Amnesty International donosiła, że w kilku krajach panarabskich mężczyźni, którzy nie potrafili na poczekaniu udowodnić, że urodzili się jako mężczyźni i nie są kobietami unikającymi noszenia czarczafu, trafiali do więzień; w wielu przypadkach gwałcono ich i zabijano. Większość arabskich przywódców zaprzeczała, jakoby coś takiego kiedykolwiek miało miejsce.

8

Rajit jest już po sześćdziesiątce, gdy w *The New Yorkerze* czyta, że słowo „zmiana” nabrało nowego znaczenia: niezwykle nieprzyzwoitości. Stało się słowem tabu.

Dzieci w wieku szkolnym chichoczą z zakłopotaniem, natykając się podczas lektury literatury przedwudziestopierwszowiecznej na zwroty takie, jak „potrzebuję zmiany” albo „czas na zmiany” albo „powiew zmiany”. Na lekcjach języka angielskiego słowa czternastoletniej dziewczynki „zmiana jest równie potrzebna jak odpoczynek” wywołują chór przerażonych, nieprzyzwoitych śmiezków.

Przedstawiciel Królewskiego Towarzystwa Języka Angielskiego pisze list do *Timesa*, oplakując utratę kolejnego wspaniałego słowa z języka angielskiego.

Kilka lat później chłopak ze Streatham zostaje oskarżony i skazany za publiczne noszenie koszulki z napisem „Jestem odmienionym mężczyzną”.

9

Jackie pracuje w *Blossoms*, nocnym klubie w zachodnim Hollywood. W Los Angeles można znaleźć dziesiątki, jeśli nie setki podobnych Jackiech, tysiące w całym kraju, setki tysięcy na świecie.

Niektórzy pracują dla rządu, inni dla organizacji religijnych bądź biznesowych. W Nowym Yorku, Londynie i Los Angeles ludzie tacy jak Jackie stoją przy drzwiach miejsc, w których zbierają się szychy.

Oto, co robi Jackie: Jackie obserwuje nadchodzący tłum i myśli: „Urodzony M, obecnie K, urodzona K, obecnie M, urodzony M, obecnie M, urodzony M, obecnie K, urodzona K, obecnie K...”.

Gdy klub urządza „wieczorki naturalne” (brutalnie mówiąc, „niezmienione”), Jackie często mówi: „Przykro mi, dziś nie może pan/pani wejść”. Ludzie tacy jak Jackie nie myślą się w dziewięćdziesięciu siedmiu przypadkach na sto. Artykuł w piśmie *Scientific American* sugeruje, że zdolność rozpoznawania płci narodzin może być dziedziczona genetycznie. Zawsze istniała, lecz do czasów współczesnych nie miała żadnej wartości dla przetrwania gatunku.

Wczesnym rankiem po pracy Jackie wpada w pułapkę na parkingu na tyłach *Blossoms* i gdy kolejne buty uderzają z łoskotem w jego twarz i pierś, głowę i krocze, Jackie myśli: „Urodzony M, obecnie K, urodzona K, obecnie K, urodzona K, obecnie M, urodzony M, obecnie M...”.

Kiedy Jackie wychodzi ze szpitala – widzi tylko na jedno oko, a twarz i klatkę piersiową pokrywa mu jeden wielki fioletowozielony siniak – czeka na niego przysłany wraz z olbrzymim bukietem egzotycznych kwiatów liścik: jego posada już nań czeka. Jackie jednak wsiada do ekspresu do Chicago, a stamtąd zwykłym pociągami jedzie do Kansas City. Zostaje tam, pracując jako malarz pokojowy i elektryk. Tych właśnie zawodów uczył się jakże dawno temu. Nie chce wracać.

10

Rajit skończył już siedemdziesiąt lat. Mieszka w Rio De Janeiro. Jest dość bogaty, by zaspokoić każdą swą zachciankę, nie uprawia już jednak z nikim seksu. Nieufnym wzrokiem obserwuje wszystkich z okna swego mieszkania, patrząc na leżące na Copacabanie brązowe ciała. Rozmyśla.

Ludzie na plaży w ogóle o nim nie myślą. W końcu nastolatek, cierpiący na nieżyt spojówek, nie myśli przecież o Aleksandrze Flemingu. Większość z nich sądzi, że Rajit już od dawna nie żyje, ale nikogo to nie obchodzi.

Podobno niektóre odmiany raka przeszły mutację uodporniającą na Reset. Wiele chorób wirusowych i bakteryjnych potrafi przetrwać Reset, nieliczne zostają przez niego wzmocnione, a jedna – szczep rzeżączki – być może wykorzystuje ów proces do przenoszenia się – z początku pozostaje uśpiona w ciele nosiciela i staje się zakaźna tylko wówczas, gdy zmianie ulegają jego genitalia.

Niemniej jednak średnia wieku na Zachodzie wciąż rośnie.

Naukowcy nie potrafią określić, czemu niektórzy restartowcy – zażywający Reset dla przyjemności – starzeją się normalnie, podczas gdy inni nie wykazują najmniejszych oznak starzenia. Niektórzy twierdzą, że w istocie owa druga grupa starzeje się na poziomie

komórkowym, inni uważają, iż jest jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić. Nikt nie wie niczego na pewno.

Resetowanie nie odwraca procesu starzenia, istnieją jednak dowody na to, że u niektórych Reset potrafi je zatrzymać. Wielu przedstawicieli starszego pokolenia, którzy dotąd mieli opory przed resetowaniem dla rozrywki, zaczyna regularnie zażywać ów środek – freresetować – czy ich stan zdrowia tego wymaga, czy nie.

11

Grupa ludzi w fabryce, pracujących w tym samym czasie, zaczyna być nazywana *szychtą*. Proces odmieniania, różnicowania, obecnie zwykle określa się mianem *przejścia*.

12

Rajit umiera na raka w swym mieszkaniu w Rio. Skończył już dziewięćdziesiąt lat. Nigdy nie zażył Resetu, sam ten pomysł go przeraża. Rak rozszerzył się już na kości miednicy i na jądra.

Naciska dzwonek i odczekuje chwilę – pielęgniarka musi wyłączyć swą ulubioną operę mydlaną i odstawić kubek z kawą. W końcu zjawia się u niego.

– Proszę mnie zabrać na powietrze – mówi Rajit do pielęgniarki ochrypłym głosem.

Z początku kobieta udaje, że go nie zrozumiała. Rajit powtarza swe słowa w niewyraźnym portugalskim. Pielęgniarka jedynie potrząsa głową.

Rajit dźwiga się z łóżka – skurczona postać, tak mocno zgarbiona, że wyglądająca niemal jak Quasimodo i tak krucha, że wydaje się, iż byle powiew wiatru mógłby ją zdmuchnąć – i powoli rusza w stronę drzwi mieszkania.

Pielęgniarka próbuje go przekonać; bez skutku. W końcu wychodzi wraz z nim na klatkę schodową i trzyma go za rękę, gdy oboje czekają na windę. Od dwóch lat Rajit nie opuszczał mieszkania. Jeszcze przed chorobą nie wychodził na dwór. Jest niemal zupełnie ślepy.

Pielęgniarka wyprowadza go na oślepiające słońce. Przechodzą przez jezdnię i idą po piasku Copacabany.

Ludzie na plaży patrzą na łysego, umęczonego, odzianego w antyczną pizamę starca, który rozgląda się wokół bezbarwnymi, niegdyś brązowymi oczami, ukrytymi za szklami grubymi jak dno butelki.

Odpowiada im spojrzeniem.

Są złoci i piękni. Niektórzy śpią na piasku. Większość jest naga, albo też ma na sobie stroje kąpielowe, podkreślające nagość właściciela.

I wówczas Rajit ich poznaje.

Później, znacznie później, nakręcono kolejną fabularyzowaną biografię. W ostatniej scenie starzec osuwa się na kolana na plaży, tak jak uczynił to naprawdę. Z otwartego rozporoka wypływa krew, wsiąkając w spraną bawełnę i zbierając się na miękkim piasku. Rajit patrzy na nich wszystkich, wodząc wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Jego własne oblicze wyraża zachwyt, jak u człowieka, który w końcu nauczył się patrzeć w słońce.

Gdy umierał, otoczony przez złotych ludzi, nie-mężczyzn i nie-kobiety, wypowiedział tylko jedno słowo.

– Anioły – rzekł.

A ludzie oglądający nową biografię, równie złoci, piękni i *odmienieni* jak tamci na plaży, wiedzieli, że to już koniec.

Dla Rajita rzeczywiście tak to wyglądało.

Córka sów

Fragment *Przypowieści chrześcijaństwa i judaizmu* Johna Obreya RSS (1686–87), (S 262–263)

Historię tę usłyszałem od mego przyjaciela, dostojnego Edmunda Wylda, który usłyszał ją od pana Farringdona, który z kolei mówił, iż to stara legenda. W Mieście Dymton pewnej nocy na schodach Kościoła porzucono małą dziewczynkę. Kościelny znalazł ją tam następnego ranka. W ręku ścisnęła coś dziwnego, *exemplum* – kulkę z brzucha Sowy, która rozgniewiona ukazała zwykłe składniki kulki Puszczyka, jako to zęby i drobne kostki.

Stare niewiasty z Miasta orzekły, że dziewczynka córką jest Sów i że winna spłonąć na stosie, nie zrodziła się bowiem z kobiety. Wszelako zdanie świątłych mężów przeważało. Dziecię zabrano do klasztoru (działo się to bowiem niedługo po upadku papistów i klasztor stał pusty, jako że mieszczanie uznali go za gniazdo Dyabelskie, a we wieży zagnieździły się Puszczyki, Sowy y stada Nietoperzy) i tam zostawiono. Każdego dnia jedna z miejskich niewiast odwiedzała klasztor, karmiąc dziecię etc.

Przewidywano, że dziecię zemrze, tak się jednak nie stało. Dziewczynka rosła i rosła; w końcu stała się panną liczącą xiiii wiosen. Piękna wyrosła z niej panna, śliczne dziewczę, dni i noce spędzające za wysokimi kamiennymi murami. Nie widywała nikogo prócz niewiasty zjawiającej się co rano. W pewien dzień targowy jedna z dobrodziejek zbyt głośno opowiadała jednak o urodzie dziewczęcia i o tym, że nie potrafi mówić, nigdy bowiem nie poznała ludzkiej mowy.

Mężowie z Dymton, młodzieńcy i siwi starcy, zmówili się i rzekli: Gdybyśmy ją nawiedzili, któż by o tym wiedział? (Mówiąc zaś „nawiedzili”, w istocie mieli na myśli zadanie jej gwałtu).

Wkrótce też ustalili, że mężowie wybiorą się tam wspólnie przy pełni Xiężyca. Wówczas to wykradli się cichcem ze swych domów i spotkali przed klasztorem. Tam Rajca z Dymton otworzył bramę i jeden za drugim weszli do środka. Znaleźli ją w piwnicy, gdzie ukryła się zdumiona hałasem.

Dziewczę było piękniejsze jeszcze, niżli słyszeli. Włosy miała niezwykle rude, na sobie zaś jeno białą koszulę. Kiedy ich ujrzała, przelękała się. Nigdy bowiem nie widziała mężczyzny, jeno kobiety przynoszące jedzenie. Patrzyła na nich wielkimi oczami, pokrzykując cicho, jakby błagała, by nie czynili jej krzywdy.

Mężowie wszelako zaśmiali się tylko, mieli bowiem złe zamiary. Byli źli i okrutni, i rzucili się na nią w blasku Xiężyca.

Wtedy to dziewczę poczęło wrzeszczeć i zawodzić, to jednak ich nie powstrzymało. Nagle wielkie okno pociemniało. Coś przesłoniło światło Xiężyca. Rozległ się trzepot potężnych skrzydeł. Mężowie jednak tego nie dostrzegli, zajęci swą zdobyczą.

Tej nocy mieszczanie w Dymton śnili o krzykach i hukaniu, o wielkich ptakach i o tym, że zamienili się sami w myszy i szczury.

Rankiem, gdy słońce weszło na niebo, niewiasty z Miasta wybiegły na ulice, szukając mężów

i synów. W końcu dotarli do klasztoru, na schodach do piwnicy znalazły kulki Sów. W kulkach tych odkryły włosy, klamry pasów, miedziaki i kostki. Zobaczyły też słomę na podłodze.

Nikt już nigdy nie ujrzał mężów z Dymton. Jeszcze wiele lat później ludzie mówili jednak, że na wysokościach widywali dziewczę, przycupnięte na najwyższych Dębach y Dachach. Działo się to zawsze o zmroku i nocą, i nikt nie mógł poprzysiąc, czy była to ona, czy też kto inny.

(Mówili o białej postaci – lecz Mości Wyld nie pamiętał, czy wedle tych, co ją widzieli, miała na sobie ubranie, czy też była naga).

Nie wiem, czy historia ta jest prawdziwa, ale że ładna i pouczająca, przytoczyłem ją tutaj.

Kufelek Starego Shoggotha

Benjamin Lassiter stopniowo dochodził do wniosku, że kobieta, która napisała *Wędrówki piesze wzdłuż brytyjskiego wybrzeża*, przewodnik który niósł obecnie w plecaku, nigdy w życiu nie była na pieszej wędrówce i prawdopodobnie nie rozpoznałaby brytyjskiego wybrzeża, nawet gdyby wpadło roztańczone do jej sypialni na czele orkiestry, śpiewając donośnym, radosnym głosem „Jestem brytyjskim wybrzeżem!” i przygrywając sobie na okarynie.

Od pięciu dni postępował według jej wskazówek. I co z tego miał? Obolałe plecy i pęcherze. Jedna ze wskazówek brzmiała: *w każdym nadmorskim brytyjskim miasteczku można z łatwością znaleźć kilka niewielkich pensjonatów, które z radością przyjmą gościa poza sezonem*. Ben skreślił te słowa i na marginesie napisał: *We wszystkich nadmorskich brytyjskich miasteczkach można z najwyższym trudem znaleźć kilka pensjonatów, a ich właściciele pod koniec września gremialnie wyjeżdżają do Hiszpanii bądź Prowansji, zamykając drzwi na kłódki*.

Nie był to jego jedyny zapisek na marginesie. Oto kilka innych: *Nigdy, powtarzam nigdy, pod żadnym pozorem, nie należy zamawiać w barze jajeczniczy*. Oraz: *Co im strzeliło do głowy z tą rybą z frytkami?* A także: *Nieprawda!* To ostatnie dotyczyło akapitu, w którym autorka twierdziła stanowczo, iż mieszkańcom malowniczych wiosek na brytyjskim wybrzeżu największą radość sprawia widok młodego amerykańskiego turysty, pieszo zwiedzającego okolicę.

Przez pięć koszmarnych dni Ben wędrował od wioski do wioski, popijał słodzoną herbatę i neskę w barach i kafejkach, spoglądał na rozległe połacie szarych skał i brudnozielone morze, dygotał mimo dwóch grubych swetrów, mókł i wciąż nie dostrzegał obiecanych bajecznych widoków.

Kolejnej nocy, siedząc pod wiatą autobusową, gdzie rozłożył swój śpiwór, zaczął tłumaczyć kluczowe przymiotniki z książki. *Urocze* – uznał – znaczy *nieciekawe*. *Malownicze* – *brzydkie*, *lecz z niezłym widokiem, jeśli kiedykolwiek przestanie padać*. *Rozkoszne* prawdopodobnie znaczyło *Nigdy tam nie byliśmy i nie znamy nikogo, kto był*. Doszedł też do wniosku, że im bardziej egzotyczna nazwa wioski, tym nudniejsza sama wioska.

I stało się, że piątego dnia wędrówki Ben Lassiter, krążąc na północ od Bootle, dotarł do wioski Innsmouth, której w przewodniku nie określono mianem *uroczej, malowniczej* ani *rozkosznej*. Nie znalazł żadnych opisów rdzewiejącego pomostu ani stosów gnijących sieci na homary, leżących na kamienistej plaży.

Nad samym morzem, tuż obok siebie, stały trzy pensjonaty: „Morski widok”, „Mon Repose” i „Shub Niggurath”. W oknie każdego z nich widniał zgaszony neon z napisem WOLNE MIEJSCA; do drzwi każdego przypięto pineską kartkę z napisem: ZAMKNIĘTE PO SEZONIE.

Nie znalazł żadnej otwartej kafejki. Jedyny bar z rybą i frytkami wciąż był zamknięty. Ben czekał na zewnątrz, a tymczasem szare popołudniowe światło przygasało, przechodząc w zmierzch. W końcu na drodze pojawiła się drobna kobieta o dziwnie żabiej twarzy i otworzyła

drzwi baru. Ben spytał, kiedy zaczną przyjmować klientów, ona zaś spojrzała na niego zdumiona.

– Mamy dziś poniedziałek, chłopcze – rzekła. – Nigdy nie otwieramy w poniedziałki.

Potem weszła do baru rybnego, zamykając za sobą drzwi. Ben, zmarnięty i zgłodniały, został na progu.

Wychował się w suchym miasteczku w północnym Teksasie. Jedynymi znanymi mu zbiornikami wody były przydomowe baseny, jedyną metodą podróżowania jazda furgonetką z włączoną klimatyzacją. Toteż pomysł nadmorskiej pieszej wędrówki w kraju, w którym ludzie posługują się językiem podobnym do angielskiego, z początku go zachwycił. Rodzinne miasto Bena było nawet podwójnie suche: szczyciło się tym, że już trzydzieści lat przed wprowadzeniem prohibicji w pozostałej części Ameryki tutejsze władze zakazały sprzedaży alkoholu i nigdy nie zdjęły tego zakazu. Ben wiedział o pubach tylko tyle, że to grzeszne miejsca, jak bary, lecz ładniej nazwane. Autorka *Wędrówek pieszych wzdłuż brytyjskiego wybrzeża* sugerowała jednak, iż w pubach można poznać miejscowy koloryt i zdobyć użyteczne informacje, że powinno się „postawić innym kolejkę” i że w niektórych serwują też jedzenie.

Pub w Innsmouth nosił nazwę „Księga martwych imion”. Napis nad drzwiami informował, że właścicielem jest niejaki A. AlHazred, mający licencję na sprzedaż win i alkoholi. Ben zastanawiał się, czy oznacza to, iż podają tu dania kuchni hinduskiej. Jadł coś takiego po przybyciu do Bootle i bardzo mu smakowało. Przystanął przy strzałkach wskazujących Salę Publiczną i Saloon, zastanawiając się, czy brytyjskie sale publiczne są w istocie zamknięte dla ogółu, tak jak ich szkoły publiczne. W końcu, ponieważ lubił westerny, skierował się do saloonu.

Pomieszczenie było niemal zupełnie puste. Pachniało w nim zeszlotygodniowym rozlanym piwem i przedwczorajszym dymem z papierosów. Za barem tkwiła pulchna kobieta o tlenionych włosach. W kącie siedziało dwóch mężczyzn w długich, szarych prochowcach i szalikach. Grali w domino, sącząc z ciężkich szklanych kufli ciemnobrązowe piwo, zwieńczone jasną pianą.

Ben podszedł do baru.

– Sprzedajecie tu jedzenie?

Barmanka podrapała się po nosie, po czym niechętnie przyznała, że ewentualnie mogłaby podać mu oracza.

Ben nie miał pojęcia, o czym mowa. Setny raz pożałował, że w przewodniku *Wędrówki piesze wzdłuż brytyjskiego wybrzeża* zabrakło miejsca na słowniczek angielsko-amerykański.

– To jedzenie? – spytał.

Przytaknęła.

– W porządku, poproszę.

– Co do picia?

– Coca-cole.

– Nie mamy tu coli.

– Zatem pepsi.

– Nie mamy pepsi.

– To co macie? Sprite’a, 7UP, gatorade?

Jej wzrok wydał mu się jeszcze bardziej bezmyślny. W końcu rzekła:

– Mam chyba na zapleczu parę butelek wiśniowej lemoniady.

– Doskonale.

– Należy się w sumie pięć funtów i dwadzieścia pensów. Przyniosę panu oracza, gdy będzie gotowy.

Siedząc przy małym, nieco lepkiem drewnianym stoliku i sącząc coś gazowanego o barwie i smaku jaskrawej chemicznej czerwieni, Ben uznał, że oracz to zapewne jakiś stek. Doszedł do tego wniosku wyłącznie dzięki własnym pobożnym życzeniom. Wyobraził sobie radosnych, rustykalnych oraczy, prowadzących o zachodzie słońca pulchne woły przez świeżo zaorane pola. Poza tym, w tym momencie bez cienia problemu i z jedynie niewielką pomocą innych, sam zdołałby pożreć całego wołu.

– Bardzo proszę. Oracz – oznajmiła barmanka, stawiając przed nim talerz.

Ben z ogromnym zawodem odkrył, iż oracz to prostokątny plaster ostrego sera, liść sałaty, mizerny pomidor z odcisniętym na nim palcem, kupka czegoś mokrego i brązowego, smakującego jak skwaśniały dżem, i mała, twarda, zeschnięta bułka. Ponownie potwierdziło się jego podejrzenie, że Brytyjczycy traktują jedzenie jako rodzaj kary. Przeżuwając ser i sałatę, przeklinał w duchu wszystkich angielskich oraczy za to, że wybrali sobie akurat takie danie.

Panowie w szarych prochowcach skończyli partię domina, wzięli swoje kufle i usiedli obok Bena.

– Co pijesz? – spytał ciekawie jeden z nich.

– Lemoniadę wiśniową – wyjaśnił Ben. – Smakuje jak odpad z zakładów chemicznych.

– To ciekawe, co mówisz – wtrącił niższy mężczyzna. – Bardzo ciekawe, bo miałem przyjaciela, który pracował w zakładach chemicznych. On nigdy nie pijał wiśniowej lemoniady.

– Dramatycznie zawiesił głos, po czym pociągnął łyk brązowego napoju. Ben czekał na ciąg dalszy, ten jednak nie nadszedł. Rozmowa ustała.

Próbując zachować się uprzejmie, Ben spytał z kolei:

– A co wy pijecie?

Wyższy z dwóch nieznanym, dotąd dość ponury, rozpromienił się nagle.

– To bardzo uprzejme z twojej strony. Kufel Starego Shoggotha, jeśli można.

– Dla mnie też – dodał jego przyjaciel. – Zabiłbym za Shoggotha. To niezłe hasło reklamowe: Zabiłbym za Shoggotha. Powinienem do nich napisać i zaproponować im je. Z pewnością by się ucieszyli.

Ben podszedł do barmanki, zamierzając zamówić dwa kufle Starego Shoggotha i szklanę wody, odkrył jednak, że zdążyła już nalać trzy ciemne piwa. No cóż, pomyślał, skoro już mam zawisnąć, niech przynajmniej wiem za co. Zresztą z pewnością piwo nie mogło być gorsze od wiśniowej lemoniady. Pociągnął łyżeczek i poczuł smak, który w reklamach z pewnością opisywano jako „pełny i mięsisty”, choć w istocie owo mięso należało zapewne do starego capa.

Zapłacił barmance i dźwigając kufle, powrócił do swych nowych przyjaciół.

– No tak. Co cię sprowadza do Innsmouth? – spytał wyższy z mężczyzn. – Pewnie jesteś jednym z naszych amerykańskich kuzynów, przybywających, by obejrzeć najświetniejszą angielską wioskę?

– Wiesz, że tę w Ameryce nazwano na cześć naszej? – dodał niższy.

– Mamy w Stanach jakieś Innsmouth? – zdziwił się Ben.

– O, tak – odparł niższy. – Cały czas o nim pisał ten, którego nazwiska nie wymieniamy.

– Słucham? – wtrącił Ben.

Drobny mężczyzna spojrzał przez ramię, po czym syknął donośnie.

– H.P. Lovecraft.

– Mówiłem, żebyś nie wymawiał tego nazwiska – upomniał go przyjaciel, po czym pociągnął łyk ciemnobrązowego piwa. – H.P. Lovecraft. H.P. pieprzony Lovecraft. H. pieprzony, P. pieprzony, Love pieprzony craft. – Urwał, głęboko zaczerpując tchu. – Co on, u diabła, mógł

wiedzieć?

Ben napił się piwa. Nazwisko brzmiało znajomo. Pamiętał, że natknął się na nie, grzebiąc w stosie starych winylowych płyt w kącie garażu ojca.

– Czy to nie zespół rockowy?

– Nie mówimy tu o żadnym zespole, tylko o pisarzu.

Ben wzruszył ramionami.

– Nigdy o nim nie słyszałem – przyznał. – Tak naprawdę czytuję tylko westerny i instrukcje obsługi.

Drobny mężczyzna trącił swego sąsiada.

– Hej, Wilf, słyszysz? Nigdy o nim nie słyszał.

– I dobrze. Ja też czytywałem kiedyś Zane’a Greya – odparł wyższy.

– No tak. Nie ma się czym szczyścić. Ten młodzian – jak się właściwie nazywasz?

– Ben. Ben Lassiter. A wy?

Drobny mężczyzna uśmiechnął się.

Jest strasznie podobny do żaby, pomyślał Ben.

– Jestem Seth – oznajmił. – A mój przyjaciel to Wilf.

– Miło mi – wtrącił Wilf.

– Cześć – rzucił Ben.

– Szczerze mówiąc – dodał drobny człowieczek – zgadzam się z tobą.

– Naprawdę? – Ben spojrzał na niego ze zdumieniem.

Jego rozmówca przytaknął.

– No tak. H.P. Lovecraft. Nie wiem, o co to całe zamieszanie. On przecież w ogóle nie umiał pisać. – Z głośnym siorbnięciem przełknął piwo, po czym długim, giętym językiem oblizał pianę z ust. – Spójrz choćby tylko na słowa, których używał. „Posepny”. Wiesz co to znaczy „posepny”?

Ben potrząsnął głową, uświadamiając sobie nagle, że siedzi w angielskim pubie, pije piwo i dyskutuje o literaturze z dwoma nieznajomymi. Przez sekundę zastanawiał się, czy może nagle nie stał się kimś innym. Im większą część kufła opróżnił, tym lepiej smakowało piwo, powoli zacierając wspomnienie po wiśniowej lemoniadzie.

– Posepny. To znaczy smutny, niesamowity, cholernie dziwny. O to właśnie tu chodzi. Sprawdziłem. W słowniku. A „ciężarny księżyc”?

Ben ponownie potrząsnął głową.

– To znaczy, że był niemal w pełni. A to słowo, którym zawsze nas nazywał? No to coś, jak mu tam? Na „k”. Mam na końcu języka.

– Koszmarni? – podsunął Wilf.

– Nie. No zaraz. Wiesz. „Kabłąkowaci”. No właśnie. To znaczy zgarbieni jak żaby.

– Chwilunia – wtrącił Wilf. – Miałem wrażenie, że chodzi raczej o wielbłądy.

Seth gwałtownie potrząsnął głową.

– Żaby. Bez dwóch zdań. Nie wielbłądy. Żaby.

Wilf głośno przełknął łyk Shoggotha. Ben także bez przyjemności sącył ostrożnie piwo.

– No i?

– Mają dwa garby – wtrącił Wilf, ten wyższy.

– Żaby? – spytał Ben.

– Nie. Te wielbłądy, kabłąkowate. Zwykły dromader ma tylko jeden garb. Przydają się podczas wypraw przez pustynię. To właśnie jedzą.

– Żaby? – spytał Ben.

– Garby wielbłądów. – Wilf spojrział na Bena żółtym, wyłupiastym okiem. – Posłuchaj mnie, chłopcze. Po trzech, czterech tygodniach błędzenia na pustyni talerz pieczonego wielbłądziego garbu wydałby ci się przysmakiem.

Seth spojrział na niego wzgardliwie.

– Nigdy nie jadłeś garbu wielbłąda.

– Ale mogłem – odparł Wilf.

– Mogłeś, ale nie jadłeś. Nigdy nawet nie byłeś na pustyni.

– Założmy, że wybrałem się na pielgrzymkę do grobowca Nyarlathotepa.

– Masz na myśli czarnego, pradawnego króla, który pewnej nocy przybędzie ze wschodu, a wy go nie poznacie?

– Oczywiście, że tak.

– Tylko sprawdzałem.

– Głupie pytanie, jeśli chcesz znać moją opinię.

– Mogłeś mówić o kim innym z tym samym imieniem.

– Trudno to nazwać popularnym imieniem. Nyarlathotep. Mało prawdopodobne, by było ich dwóch, nie? „Cześć. Nazywam się Nyarlathotep. Cóż za zbieg okoliczności. Zabawne, że jest nas dwóch”. Nie sądzę. W każdym razie, wyobraź sobie, że maszeruję przez jałowe pustkowia, myśląc sobie: zabiłbym za garb wielbłąda.

– Ale przecież nigdy tam nie byłeś. W życiu nie wyjechałeś z Innsmouth.

– No... nie.

– A widzisz. – Seth triumfalnie spojrział na Bena. Potem pochylił się i szepnął mu wprost do ucha: – Niestety, po kilku drinkach zwykle zaczyna mu się mieszać.

– Słyszałem – wtrącił Wilf.

– I dobrze – odparł Seth. – Wracając do tematu, H.P. Lovecraft. Weźcie choćby jedno z jego pieprzonych zdań. Hmm. „Ciężarny księżyc zawisł tuż nad posępnymi kabłąkowatymi mieszkańcami bluźnierczego Dulwich”. Co to ma znaczyć? Co? Co to ma znaczyć? Powiem wam, co to do cholery znaczy. Znaczy to do cholery, że księżyc był prawie w pełni, a wszyscy mieszkańcy Dulwich wyglądali jak dziwaczne żaby. To właśnie miał na myśli.

– A tamto słówko? – spytał Wilf.

– Jakie?

– Bluźnierczy. Co to znaczy?

Seth wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale strasznie często go używał.

Znów zapadła cisza.

– Jestem studentem – oznajmił Ben. – Mam zamiar zostać metalurgiem. – Jakimś cudem udało mu się opróżnić kufel Starego Shoggotha. Wstrząśnięty, uświadomił sobie, że był to jego pierwszy alkohol w życiu. – A wy? Co robicie?

– My – odparł Wilf – jesteśmy akolitami.

– Wielkiego Cthulhu – dodał z dumą Seth.

– Ach tak. A co to dokładnie znaczy?

– Moja kolej – oznajmił Wilf. – Chwilunia. – Podszedł do barmanki i wrócił z trzema kufkami.

– No cóż – rzekł. – W tej chwili, technicznie rzecz biorąc, nie mamy zbyt wiele do roboty. Bycie akolitą to nie ciężka harówka w szczycie sezonu. Głównie dlatego, że on śpi. No, nie do końca śpi. Ścisłej mówiąc, jeśli już mamy wyrażać się precyzyjnie, to jest martwy.

– „W tym domu w R’lyeh czeka w úspieniu zmarły Cthulhu” – wtrącił Seth. – Czy też, jak to ujął poeta, „Nie jest martwe, co może spoczywać wiekami...”.

– „Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi Eonami” – zanucił Wilf.

– A mówiąc „dziwne”, ma na myśli naprawdę dziwaczne.

– Dokładnie. Nie mówimy tu o zwykłych Eonach.

– „Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi Eonami”.

Ben z lekkim zdumieniem odkrył, że pije kolejny mięsisty kufel Starego Shoggotha. Jakimś cudem smak starego capa był teraz znacznie przyjemniejszy. Z zachwytem odkrył także, że nie jest już głodny, pokryte pęcherzami stopy przestały boleć, a jego towarzysze to uroczy, inteligentni ludzie, których imion nie potrafił zapamiętać. Brakowało mu doświadczenia z alkoholem, toteż nie miał pojęcia, że jest to jeden z objawów przejścia do drugiego kufła Starego Shoggotha.

– No więc obecnie – rzekł Seth, czy może Wilf – nie mamy zbyt wiele do roboty. Głównie czekamy.

– I modlimy się – uzupełnił Wilf, o ile to nie był Seth. – Wkrótce jednak wszystko się zmieni.

– Ach tak? – spytał Ben. – Czemu?

– No cóż – wyznał wyższy mężczyzna. – W pewnej chwili Wielki Cthulhu (obecnie chwilowo martwy), nasz szef, ocknie się w swej podmorskiej, powiedzmy, sypialni.

– A wówczas – dodał niższy z dwójki – przeciągnie się, ziewnie, ubierze...

– Może pójdzie do kibla. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Może przeczyta gazetę.

– A potem, kiedy już skończy, wynurzy się z głębi oceanu i pochłonie cały świat.

Ben stwierdził, że ta wizja niewiarygodnie go śmieszy.

– Jak oracza – rzekł.

– Właśnie. Dokładnie tak. Dobrze powiedziane, mój młody Amerykaninie. Wielki Cthulhu pożre świat niczym śniadanie oracza, pozostawiając na talerzu jedynie łyżkę pikli.

– To to brązowe?

Zapewnili go, że owszem. A potem podszedł do baru i przyniósł trzy kolejne kufle Starego Shoggotha.

Niewiele pamiętał z dalszego przebiegu rozmowy. Przypominał sobie, że skończył piwo i nowi przyjaciele zaprosili go na spacer po wiosce, pokazując mu najciekawsze miejsca: „Tutaj wypożyczamy kasety. Ten wielki budynek obok to Bezimienna Świątynia Złowieszczych Bogów. W sobotnie ranki w krypcie odbywa się wyprzedaż...”.

Przedstawił im swą teorię dotyczącą przewodnika i z ogromnym uczuciem dodał, iż Innsmouth jest tak *malownicze*, jak i *urocze*. Dodał, że są najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miał, i że Innsmouth to *rozkoszne* miasteczko.

Księżyc był prawie w pełni. W jego promieniach obaj nowi przyjaciele wydawali się niezwykle podobni do olbrzymich żab. Czy może wielbłądów.

Cała trójka przeszła na koniec porzewiałego pomostu i Seth, bądź Wilf, pokazał Benowi widoczne w zatoce ruiny zatopionego R’lyeh, skąpane w blasku księżyca, skryte pod powierzchnią. W tym momencie Bena ogarnęło coś, co sam określił jako nagły atak gwałtownej choroby morskiej. Zaczął wymiotować bez końca ponad metalową poręczą, wprost w czarne morze...

Potem wszystko stało się jeszcze dziwniejsze...

* *
*

Ben Lassiter ocknął się na chłodnym wzgórzu. W głowie pulsował mu ból, w ustach czuł paskudny posmak. Leżał oparty o plecak. Po obu stronach rozciągały się skaliste wrzosowiska. Nie dostrzegł ani śladu drogi czy wioski – malowniczej, uroczej, rozkosznej, czy też pięknie położonej.

Potyając się, pokonał milę dzielącą go od najbliższej szosy i ruszył naprzód, póki nie dotarł na stację benzynową. Tam poinformowano go, że w okolicy nie ma wioski o nazwie Innsmouth. W żadnej wsi nie ma też pubu, nazwanego „Księga martwych imion”. Opowiedział im o dwóch mężczyznach: Wilfie i Secie i ich przyjacielu, zwanym Dziwny Ian, który spał gdzieś, o ile nie był martwy, w głębi morza. Odparli, że nie przepadają za amerykańskimi hippisami, którzy wędrują po Anglii, zażywając narkotyki, i że poczułby się lepiej, gdyby wypił filiżankę gorącej herbaty i przekąsił kanapkę z tuńczykiem i ogórkiem. Jeśli jednak mimo wszystko chce się wałęsać po wybrzeżu, zażywając narkotyki, młody Ernie, pracujący na wieczornej zmianie, chętnie sprzeda mu torebkę tutejszej marihuany. Musi tylko wrócić tu po lunchu.

Ben wyciągnął swój przewodnik *Wędrówki piesze wzdłuż brytyjskiego wybrzeża* i zaczął szukać Innsmouth, by udowodnić, że go sobie nie wymyślił, nie zdołał jednak odnaleźć strony, na której o nim pisano – jeśli w ogóle kiedykolwiek pisano. Lecz mniej więcej w połowie książki natknął się na jedną wyrwaną kartkę. Pozostał z niej tylko strzęp.

A potem Ben wezwał taksówkę, która zawiozła go na dworzec, gdzie wsiadł do pociągu, który zawiózł go do Manchesteru, gdzie wsiadł do samolotu, który zawiózł go do Chicago, gdzie się przesiadł i odleciał do Dallas, gdzie złapał kolejny samolot, lecący na północ, po czym wynajął samochód i wrócił do domu.

Świadomość, że od oceanu dzieli go prawie tysiąc kilometrów, bardzo dodawała mu otuchy; z czasem jednak przeprowadził się do Nebraski, by jeszcze zwiększyć dystans pomiędzy morzem a własną osobą. Pod starą przystanią widział – czy też zdawało mu się, że widzi – rzeczy, od obrazu których nigdy nie zdoła się uwolnić. Pod szarymi prochowcami kryły się istoty, jakich ludzie nie powinny nigdy poznać. *Bluźniercze*. Nie musiał sprawdzać znaczenia tego słowa. Były bluźniercze.

Kilka tygodni po powrocie Ben wysłał zaopatrzone w dopiski egzemplarz *Wędrówek pieszych wzdłuż brytyjskiego wybrzeża* autorce, na adres wydawcy, dołączając bardzo długi list, pełen użytecznych wskazówek i porad do ewentualnego drugiego wydania. Spytał też mimochodem autorkę, czy nie zechciałaby przysłać mu odbitki strony, wyrwanej z przewodnika; po prostu dla spokoju umysłu. W gruncie rzeczy z ulgą przyjął fakt, iż, choć dni przechodziły w miesiące, miesiące w lata, a lata w dekady, kobieta nie odpowiedziała.

Wirus

Była sobie gra komputerowa. Dostałem ją
od przyjaciela, który grał w nią,
mówił, że jest wspaniała, powinienem zagrać w nią,
zrobiłem to zatem, i rzeczywiście była.

Przegrywałem ją z dyskietki, którą od niego dostałem
dla każdego, kto prosił, chciałem, by wszyscy w nią grali.
Wszyscy powinni móc tak się zabawić.
Wstawiłem ją do sieci, na BBSy,
Ale przede wszystkim rozdałem wszystkim przyjaciołom.

(Kontakt osobisty. W ten sposób mi ją przekazano).

Moi przyjaciele byli podobni do mnie: niektórzy bali się wirusów
– ktoś dał ci grę na dyskietce, w następnym tygodniu, albo w piątek trzynastego,
wirus sformatował twardy dysk lub uszkodził pamięć.

Lecz ta gra nigdy tego robiła. Była całkowicie bezpieczna.

Nawet przyjaciele, którzy nie lubili komputerów, zaczęli w nią grać:
w miarę, jak idzie ci coraz lepiej, wzrasta poziom trudności;
co prawda nigdy nie wygrywasz, ale stajesz się całkiem dobry.
Jestem całkiem dobry.

Oczywiście muszę poświęcać na grę sporo czasu.

Podobnie moi przyjaciele. I ich przyjaciele.

Ludzie, których spotykasz, widzisz
wędrujących wzdłuż starych szos,
stojących w kolejkach, z dala od komputerów,
od salonów gier, wyrastających niczym grzyby po deszczu,
nadal jednak grają w swych głowach,
łączą kształty,
zastanawiają się nad konturami, umieszczają kolory obok siebie,
przekazują sygnały na nowe ekrany,
słuchają muzyki.

Jasne, ludzie o niej myślą, ale przede wszystkim grają.

Mój rekord to osiemnaście godzin w jednym ciągu.

40012 punktów, 3 fanfary.

Gra się przez łyzy, nie zważając na bolący przegub, głód; po jakimś czasie
wszystko i tak znika.

Wszystko, dodajmy, poza samą grą.

W moim umyśle nie ma już miejsca na inne rzeczy.
Przegrywaliśmy grę, rozdawaliśmy przyjaciółom.
Gra wykracza poza język, zajmuje nam czas,
często odnoszę wrażenie, że ostatnio o wielu rzeczach zapominam.
Zastanawiam się, co się stało z telewizją. Kiedyś oglądałem telewizję.
Zastanawiam się, co się stanie, gdy zabraknie mi puszek.
Zastanawiam się, gdzie się podzieli wszyscy ludzie. I wtedy dostrzegam,
że jeśli zrobię to dość szybko, zdołam umieścić czarny kwadrat obok czerwonej linii,
przekręcić go i obrócić tak, by zniknął wraz z nią
opróżniając lewą kolumnę
i uwalniając biały pęcherzyk...
(I wtedy jedno i drugie zniknie).
A kiedy prądu nie stanie ni ćwierci
będę grał w głowie, aż do samej śmierci.

Szukając dziewczyny

W 1965 roku miałem dziewiętnaście lat, wąskie spodnie i włosy powoli sięgające coraz niżej, aż do kołnierzyka. W radio bez przerwy nadawali „Help!” Beatlesów. Marzyłem, by stać się Johnem Lennonem otoczonym wrzeszczącymi dziewczętami, zawsze umiejącym rzucić cyniczny, złośliwy komentarz. W tym właśnie roku w małej trafice przy King’s Road kupiłem mój pierwszy egzemplarz *Penthouse’a*. Zapłaciłem kilka nieśmiałych szylingów i wróciłem do domu z pismem wepchniętym pod bluzę, od czasu do czasu zerkając, by sprawdzić, czy mój sekretny zakup nie przepalił aby materiału.

Tamten numer pisma już dawno wylądował na śmietniku, ale będę go pamiętał do końca życia: zrównoważone listy na temat cenzury, opowiadanie H.E. Batesa i wywiad z amerykańskim pisarzem, o którym nigdy nie słyszałem, dział mody pełen zdjęć moherowych garniturów i krawatów w rzucik, do kupienia na Carnaby Street, i przede wszystkim dziewczęta. A najlepszą z nich była Charlotte.

Charlotte także miała dziewiętnaście lat.

Wszystkie dziewczyny w tamtym dawno zaginionym piśmie wydawały mi się identyczne: doskonałe plastikowe ciała, idealnie uczesane włosy (niemal czuło się woń lakieru), szeroki uśmiech do obiektywu, zmrużone oczy, spoglądające przez gęsty las rzęs, biała szminka, białe zęby, białe piersi ze śladami staników bikini. Nie dziwiły mnie wcale dziwne pozycje, w których układały się nieśmiało, tak by broń Boże nie pokazać nawet skrawka włosów łonowych – i tak nie wiedziałbym, na co patrzę. Interesowały mnie wyłącznie ich białe tyłeczki i piersi, skromne, lecz zachęcające minki.

A potem odwróciłem kartkę i zobaczyłem Charlotte. Różniła się od innych. Charlotte była uosobieniem seksu, zmysłowość otaczała ją niczym przejrzysty woal, ciężkie duszące perfumy.

Obok zdjęć widniały słowa. Odczytałem je, oszołomiony: „fascynująca Charlotte Reave ma dziewiętnaście lat... nowo narodzona indywidualistka, poetka i bitniczka, pisuje w magazynie *FAB...*”. Fragmenty zdań na zawsze odciskały mi się w pamięci, gdy ślęczałem nad płaskimi zdjęciami – pozowała do nich w mieszkaniu w Chelsea, zapewne należącym do fotografa – i zrozumiałem, że jej potrzebuję.

Była w moim wieku. To przeznaczenie.

Charlotte miała dziewiętnaście lat.

Potem zacząłem regularnie kupować *Penthouse’a* z nadzieją, że ujrzę ją ponownie, ale nie. Nie wtedy.

Sześć miesięcy później mama znalazła ukryte pod moim łóżkiem pudełko po butach i zajrzała do środka. Najpierw obrzuciła mnie wyzwiskami, potem wyrzuciła pisma, i wreszcie wyrzuciła mnie z domu. Następnego dnia znalazłem sobie pracę i pokój na Earl’s Court. O dziwo jedno i drugie okazało się całkiem łatwe.

Moją pierwszą pracą była posada pomocnika w warsztacie elektrycznym przy Edgware

Road. Umiałem jedynie wymienić wtyczkę, w tamtych czasach jednak ludzi stać było na to, by nawet do takich prac wzywać elektryka. Szef twierdził zresztą, że wkrótce nabiorę doświadczenia.

Przetrwiałem trzy tygodnie. Pierwsze zadanie okazało się niesamowite – wymiana wtyczki w lampce przy łóżku angielskiego gwiazdora filmowego, który osiągnął sławę dzięki wielokrotnie powtarzanej roli małomównego cockneyowskiego Casanovy. Gdy tam dotarłem, baraszkował w łóżku z dwoma superkociakami. Wymieniłem wtyczkę i wyszedłem – wszystko odbyło się bardzo porządnie, nie dostrzegłem nawet cienia sutka i nikt nie zapraszał mnie, bym się przyłączył.

W trzy tygodnie później niemal jednocześnie wyleciałem z roboty i straciłem cnotę. Działo się to w wytwornym apartamencie w Hampstead. Zastałem w nim tylko pokojówkę, drobną, ciemnowłosą kobietę, o kilka lat starszą ode mnie. Ukląkłem, żeby zmienić wtyczkę, a ona weszła na krzesło obok, aby odkurzyć drzwi. Uniosłem wzrok. Pod spódnicą miała pończochy, pas i, Bóg mi świadkiem, nic poza tym. Wówczas odkryłem, co powinno być na zdjęciach w miejscach, których nie pokazują.

Straciłem zatem dziewictwo pod stołem jadalni w Hampstead. W dzisiejszych czasach nie widuje się już pokojówek. Odeszły, niczym stare garbusy i dinozaury.

Wkrótce potem wyleciałem z pracy. Nawet szef, głęboko przekonany o mym całkowitym nieuctwie, nie uwierzył, że wymiana wtyczki zabrała mi trzy godziny, a nie mogłem mu przecież wyjaśnić, że dwie z tych godzin spędziłem ukryty pod stołem w jadalni, gdy właściciele mieszkania niespodziewanie wrócili do domu.

Potem nastąpiła seria krótkotrwałych dorywczych zajęć: drukarza, składacza. W końcu wylądowałem w małej agencji reklamowej nad barem kanapkowym przy Old Campton Street.

Wciąż kupowałem *Penthouse'a*. Na zdjęciach wszyscy wyglądali niczym statyści w serialu *Rewolwer i melonik*, ale dokładnie tak samo wyglądali otaczający mnie ludzie. Artykuły traktowały o Woody Allenie, wyspie Safony, Batmanie i Wietnamie, striptizerkach z biczami, modzie, filmach i seksie.

Garniturom wyrosły aksamitne kołnierze, dziewczęta rozburzyły włosy, moda była wszystkim, Londyn stał się swingujący, okładki pism psychodeliczne, a jeśli nawet do wody pitnej nie dodawano LSD, zachowywaliśmy się, jakby tam było.

Ponownie ujrzałem Charlotte w 1960 roku, długo po tym, gdy już z niej zrezygnowałem. Sądziłem, że zapomniałem już, jak wygląda. I wtedy pewnego dnia szef agencji rzucił na moje biurko *Penthouse'a*. Umieściliśmy tam reklamę papierosów, z której był szczególnie dumny. Miałem dwadzieścia trzy lata i byłem wschodzącą gwiazdą – kierowałem działem artystycznym, udając, że wiem, co robię. Czasami nawet coś mi wychodziło.

Nie pamiętam zbyt wiele z zawartości numeru. Zapamiętałem jedynie Charlotte. Miała rozczochrane płowe włosy, jej oczy patrzyły prowokująco, uśmiechała się, jakby znała wszystkie sekrety życia i ukrywała je w swej nagiej piersi. Nie nazywała się wcale Charlotte, tylko Melanie, czy jakoś tak. Podpis informował, że ma dziewiętnaście lat.

Żyłem wówczas z tancerką imieniem Rachel w mieszkaniu w Camden Town. Rachel była najładniejszą, najmiłszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Tego dnia wróciłem wcześniej do domu ze zdjęciami Charlotte w aktówce, zamknąłem się w łazience i spuściłem tyle razy, że zakreśliło mi się w głowie. Wkrótce potem zerwaliśmy z Rachel.

Agencja reklamowa rozkwitała; w latach sześćdziesiątych wszystko rozkwitało. W 1971 polecono mi znaleźć „twarz” dla firmy odzieżowej. Szukali dziewczyny ucieleśniającej wszystko

co zmysłowe, dziewczyny, która będzie nosić ich ubrania tak, jakby miała zaraz zedrzeć je z siebie, o ile jakiś mężczyzna nie zrobi tego pierwszy. A ja znałem idealną dziewczynę: Charlotte.

Zadzwoiłem do *Penthouse'a*. W redakcji nie wiedzieli, o czym mówię, zdołałem ich jednak przekonać, by skontaktowali mnie z oboma fotografami, którzy w przeszłości robili jej zdjęcia. Facet z *Penthouse'a* nie wydawał się przekonany, gdy twierdziłem, że na obu jest ta sama dziewczyna.

Dotarłem do fotografów, próbując znaleźć jej agencję.

Odparli, że ona nie istnieje.

A przynajmniej nie da się do niej dotrzeć. Owszem, obaj znali dziewczynę, o której mowa, ale, jak to określił jeden z nich, „to było niesamowite” – sama do nich przyszła. Zapłacili jej za pozowanie i sprzedali zdjęcia. Nie, nie znali żadnego adresu.

Miałem dwadzieścia sześć lat; byłem głupcem. Natychmiast zorientowałem się, co jest grane. Spuszczają mnie ze schodów. Jakaś inna agencja już do niej dotarła, planuje wielką kampanię reklamową, opłaciła fotografów, by milczeli. Przeklinałem i wrzeszczałem przez telefon. Proponowałem skandalicznie wielkie sumy.

Powiedzieli, że bym się odpieprzył.

W następnym miesiącu znów była w *Penthouse*. Czasy psychodelii minęły, pismo nabrało klasy – dziewczynom wyrosły włosy łonowe, w oczach lśniło pożądanie. Mężczyźni i kobiety o rozmiękczonych konturach wędrowali przez uprawne pola: różowe ciała na złotym tle.

Jej imię, głosił podpis, brzmiało Belinda. Handlowała antykami. To była Charlotte, bez dwóch zdań, choć włosy miała ciemne i kręcone, upięte wysoko. W podpisie podano też jej wiek: dziewiętnaście lat.

Zadzwoiłem do znajomego z *Penthouse'a* i zdobyłem nazwisko fotografa: John Felbridge. Skontaktowałem się z nim. Podobnie jak pozostali, twierdził, że nic o niej nie wie, ja jednak miałem już doświadczenie. Zamiast krzyczeć przez telefon, zaproponowałem mu pracę przy sporym zleceniu – zdjęcie chłopca jedzącego lody. Felbridge miał długie włosy i czterdziestkę na karku. Był ubrany w wyleniałe futro i rozchełstaną koszulę, okazał się jednak niezłym fotografem. Po sesji zaprosiłem go na drinka. Zaczęliśmy rozmawiać o paskudnej pogodzie, pracy fotografa, systemie dziesiętnym, jego doświadczeniach zawodowych i o Charlotte.

– Twierdzisz, że widziałeś ją wcześniej na zdjęciach w *Penthouse*? – spytał Felbridge.

Przytaknąłem. Obaj byliśmy lekko podchmieleni.

– Opowiem ci o niej. Wiesz co? To przez nią postanowiłem zrezygnować z robienia aktów i zając się zwykłą robotą. Mówiła, że nazywa się Belinda.

– Jak ją poznałeś?

– Właśnie do tego zmierzam. Myślałem, że przyszła z agencji. Zapukała do drzwi, ja na to „ale odlot!” i zapraszam ją do środka. Wyjaśniła, że nie jest z agencji, że sprzedaje... – Zmarszczył brwi, zakłopotany. – Dziwne, prawda? Zapomniałem, co sprzedawała. Może w ogóle niczego nie sprzedawała, nie wiem. Niedługo zapomnę własnego nazwiska.

Wiedziałem, że jest wyjątkowa. Spytałem, czy zechce mi pozować. Wyjaśniłem, że wszystko jest uczciwie, że nie chcę po prostu dobrać jej się do majtek, i zgodziła się. Rach, ciach, pięć rolek filmu, od tak bez niczego. Gdy tylko skończyliśmy, ubrała się i ruszyła do drzwi – ot tak, bez niczego. „Co zrobić z pieniędzmi?”, zapytałem. „Przyślij mi je”, odparła i zniknęła za progiem.

– A zatem masz jej adres? – spytałem, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Nie, do diabła. Skończyło się na tym, że zatrzymałem jej pieniądze na wypadek, gdyby się kiedyś zjawiła.

Pamiętam, że zawiedziony zastanawiałem się, czy jego cockneyowski akcent jest prawdziwy, czy też to tylko modny kaprys.

– Ale chodzi mi o co innego. Kiedy dostałem gotowe zdjęcia, wiedziałem, że... jeśli chodzi o cycki i tyłki, nie – jeśli chodzi o fotografowanie kobiet – dokonałem już wszystkiego. Ona była wszystkimi kobietami. Skończyłem. Nie, nie, teraz ja stawiam, teraz moja kolej, Krwawa Mary, tak? Muszę powiedzieć, że nie mogę się doczekać dalszej współpracy.

Nie miało dojść do dalszej współpracy.

Agencję przejęła starsza, większa firma, pragnąca naszych zleceń. Dołączyli do swej nazwy nasze inicjały, zatrzymali kilku najlepszych copywriterów, ale resztę zwolnili.

Wróciłem do mieszkania, czekając na deszcz ofert pracy. Nie nadszedł, lecz przyjaciel dziewczyny znajomego zagadnął mnie kiedyś w klubie późną nocą (grał właśnie facet, o którym nigdy nie słyszałem, nazwiskiem Dawid Bowie; był przebrany za kosmitę, reszta zespołu miała na sobie srebrne kowbojskie ubrania; w ogóle ich nie słuchałem) i zanim się obejrzałem, zostałem menedżerem zespołu rockowego The Diamonds of Flame. Jeśli nie odwiedzaliście londyńskich klubów na początku lat siedemdziesiątych, pewnie o nich nigdy nie słyszeliście, choć byli doskonali: ostrzy, liryczni. Pięciu facetów. Dwóch z nich gra obecnie w supergrupach pierwszej ligi, jeden jest hydraulikiem w Walsall (wciąż przysyła mi kartki na Boże Narodzenie). Pozostali dwaj nie żyją od piętnastu lat – przedawkowanie. Umarli w odstępie tygodnia. To zniszczyło zespół.

Mnie także. Wkrótce potem zniknąłem – chciałem jak najbardziej oddalić się od miasta i mojego dawnego życia. Kupiłem małą farmę w Walii. Byłem bardzo szczęśliwy, przebywając w towarzystwie owiec, kóz i kapusty. Prawdopodobnie mieszkałbym tam do dziś, gdyby nie ona i *Penthouse*.

Nie wiem, skąd się tam wziął; pewnego ranka wyszedłem na dwór i zobaczyłem leżące w błocie okładkę w dół pismo, numer sprzed prawie roku. Nie miała makijażu, pozowała w mieszkaniu, na oko bardzo eleganckim. Po raz pierwszy ujrzałem jej włosy łonowe, czy raczej ujrzałbym, gdyby zdjęcie nie zostało artystycznie zamglone i odrobinę rozmazane. Wyglądała, jakby wynurzała się z mgły. Jej imię, pisali, brzmiało Lesley. Miała dziewiętnaście lat.

Potem nie mogłem już dłużej mieszkać na wsi. Sprzedałem farmę za nędzną sumkę i w ostatnich dniach 1976 roku wróciłem do Londynu.

Poszedłem na zasiłek, zamieszkałem w mieszkaniu komunalnym na Victorii. Wstawałem w porze lunchu, przesiadywałem w pubach do popołudniowej przerwy, czytałem gazety w bibliotece, póki nie nadeszła pora ponownego otwarcia barów, i wracałem do pubu, po czym siedziałem tam aż do rana. Żyłem z zasiłku. Piłem za pieniądze z oszczędności.

Miałem trzydzieści lat, lecz czułem się znacznie starszy. Zamieszkałem z jasnowłosą punkówką z Kanady, którą poznałem w barze na Greek Street; była tam barmanką. Pewnej nocy po zamknięciu oznajmiła, że właśnie straciła lokum. Zaproponowałem jej zatem kanapę u siebie. Okazało się, że ma zaledwie szesnaście lat. Nie trafiła na kanapę. Miała małe, twarde piersi, wytatuowaną na plecach czaszkę, a na głowie młodzieżową wersję fryzury narzeczonyj Frankensteina. Twierdziła, że zrobiła już w życiu wszystko i w nic nie wierzy. Godzinami gadała o tym, że świat stoi na krawędzi anarchii, że nie ma już nadziei ani przyszłości, rznąła się jednak, jakby sama wymyśliła tę sztukę, i uznałem, że to wystarczy.

Kładła się do łóżka, mając na sobie jedynie nabijaną ćwiekami czarną, skórzaną obrozę

i mnóstwo czarnego cienia do powiek. Czasami, kiedy gdzieś szliśmy, spluwała wprost na chodnik. Nie znosiłem tego. Zmuszała mnie też, bym zabierał ją do punkowych klubów, patrzył, jak przeklina, szaleje i poguje. Czułem się wtedy bardzo stary. Podobała mi się jednak muzyka, *Peaches* i tym podobne, i widziałem grających na żywo Sex Pistols. Byli okropni.

A potem punkówka mnie porzuciła, twierdząc, że jestem nudnym, starym pierdołą, i związała się z okrągłutkim, arabskim książątkiem.

– Sądziłem, że w nic nie wierzysz! – zawołałem za nią, gdy wdrapywała się do rolls royce’a, którego po nią przysłał.

– Wierzę w robienie laski za sto dolarów i w kapy na łóżko z futra z nerek – odkrzyknęła, bawiąc się kosmykiem włosów z fryzury narzeczonej Frankensteina – iw złote wibratory. Oto, w co wierzę.

I tak odeszła, oddając się naftowej fortunie i nowym ciuchom, a ja sprawdziłem oszczędności i odkryłem, że jestem bankrutem. Nie miałem ani grosza. Wciąż od czasu do czasu kupowałem *Penthouse’a* i moja dusza z lat sześćdziesiątych ze zgrozą i głębokim podnieceniem patrzyła, jak wiele można teraz odkryć. Niczego nie pozostawiano wyobraźni. Jednocześnie pociągało mnie to i odpychało.

I wtedy, pod koniec 1977 roku, znów się tam pojawiła.

Moja Charlotte. Miała kolorowe włosy, usta czerwone, jakby właśnie jadła maliny. Leżała w satynowej pościeli. Twarz kryła pod wysadzaną klejnotami maską, dłoni trzymała między nogami w ekstazie na granicy orgazmu i była wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem. Charlotte.

Występowała pod imieniem Titania. Okrywały ją pawie pióra. Pajęczce czarne napisy oplatające jej zdjęcia poinformowały mnie, że pracuje w agencji handlu nieruchomości na południu. Lubiła wrażliwych, uczciwych mężczyzn, miała dziewiętnaście lat i do diabła, wyglądała na dziewiętnaście lat, a ja byłem zrujnowany, podobnie jak milion innych ludzi żyłem z zasiłku i zmierzałem donikąd.

Sprzedłem kolekcję płyt, wszystkie książki, cały zbiór *Penthouse’a*, oprócz czterech numerów, i większość mebli. Za uzyskane pieniądze kupiłem niezły aparat fotograficzny. Potem zadzwoniłem do wszystkich fotografów, jakich znałem z czasów pracy w agencji niemal dziesięć lat wcześniej.

Większość mnie nie pamiętała, albo przynajmniej tak twierdziła, a nawet ci, którzy pamiętali, nie potrzebowali pełnego zapachu młodego pomocnika, który tak naprawdę nie jest już wcale taki młody i brak mu doświadczenia. Nie rezygnowałem jednak i w końcu natknąłem się na Harry’ego Bleaka, siwowłosego bon vivanta, dysponującego własnym studium w Crouch End i przejawiającego skłonność do przystojnych, kosztownych chłopców.

Wyjaśniłem mu, o co mi chodzi. Nie zastanawiał się ani chwili.

– Bądź tu za dwie godziny.

– Żadnych haczyków?

– Dwie godziny i ani chwili później.

Dotarłem tam.

Przez pierwszy rok sprzątałem w studiu, malowałem tła i wędrowałem po miejscowych sklepach i ulicach, kupując, pożyczając i wyciągając od ludzi niezbędne rekwizyty.

W następnym roku pozwolił mi pomagać sobie przy światłach, przygotowaniach sesji, sztucznych dymach i suchym lodzie. Parzyłem też herbatę – przesadam, zrobiłem to tylko raz, fatalnie mi to idzie. Ale dowiedziałem się mnóstwo o fotografii.

Nagle naszedł rok 1981, świat opanował szal new romantic, a ja miałem trzydzieści pięć lat i dokładnie na tyle się czułem. Bleak polecił mi przez kilka tygodni pilnować studia. On tymczasem wyruszył do Maroka na miesiąc zasłużonej rozpusty.

W tym miesiącu znalazłem ją w *Penthouse*. Znacznie skromniejsza i stateczniejsza niż przedtem, czekała na mnie pomiędzy reklamami wież stereo i whisky. Na imię miała Dawn, lecz wciąż była moją Charlotte z sutkami niczym krople krwi na opalonych piersiach i ciemną kępką kręconych włosów pomiędzy niewiarygodnie długimi nogami. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, głosił napis. Charlotte. Dawn.

Harry Bleak zginął w drodze powrotnej z Maroka. Przygniótł go autobus.

To wcale nie jest zabawne – płynął właśnie promem, ale zakradł się na pokład samochodowy, by zabrać papierosy, zostawione w schowku na rękawiczki mercedesa.

Pogoda była kiepska, autobus turystyczny (należący, jak przeczytałem w gazetach i usłyszałem na własne uszy od zapłakanego narzeczonego, do spółdzielni handlowej w Wigan) nie został dokładnie zamocowany. Harry zginął, przygniaciony do swego srebrnego mercedesa.

Zawsze bardzo dbał o ten samochód.

Gdy odczytano testament, odkryłem, że stary drań zostawił mi swoje studio. Tej nocy długo płakałem. Przez tydzień nie trzeźwiałem, a potem zabrałem się do pracy.

W międzyczasie zdarzyło się wiele różnych rzeczy. Ożeniłem się; małżeństwo trwało trzy tygodnie, potem daliśmy sobie spokój. Chyba nie jestem typem statecznego męża. Pewnego późnego wieczoru zostałem pobity w pociągu przez pijanego Szkota – inni pasażerowie udawali, że nic się nie dzieje. Kupiłem dwa żółwie i akwarium, zainstalowałem w mieszkaniu nad studiem i nazwałem je Rodney i Kevin. Stałem się całkiem niezłym fotografem. Pracowałem przy kalendarzach, reklamach, modzie i aktach. Fotografowałem dzieci i wielkie gwiazdy, jak wszyscy. I pewnego wiosennego dnia w 1985 roku spotkałem Charlotte.

Był czwartkowy ranek. Siedziałem sam w studiu, bosi, nieogolony. Miałem wolny dzień. Zamierzałem poświęcić go sprzątanii i lekturze gazet. Pozostawiłem drzwi otwarte, wpuszczając do środka świeże powietrze, aby wyparło smród papierosów i rozlanego wina z wczorajszej sesji. Nagle usłyszałem kobiecy głos.

– Studio fotograficzne Bleaka?

– Zgadza się – odparłem, nie odwracając głowy. – Tyle że Bleak nie żyje. Teraz ja prowadzę ten interes.

– Chcę dla pana pozować – oznajmiła kobieta.

Odwróciłem się. Miała około metra sześćdziesiąt pięć wzrostu, włosy koloru miodu, oliwkowozielone oczy, uśmiech kojący niczym zimna woda na pustyni.

– Charlotte?

Przechyliła głowę.

– Jeśli zechcesz. Chciałbyś zrobić mi zdjęcie?

Przytaknąłem tępo. Włączyłem światła, ustawiłem ją pod nagą ceglana ścianą i zrobiłem kilka próbnych zdjęć polaroidem. Żadnego makijażu ani dekoracji, tylko kilka świateł, Hasselblad i najpiękniejsza dziewczyna mego świata.

Po jakimś czasie zaczęła powoli zdejmować ubranie. Nie prosiłem jej o to; nie pamiętam, bym w ogóle cokolwiek do niej mówił. Rozbierała się, a ja wciąż robiłem zdjęcia.

Wiedziała wszystko. Umiała pozować, odpowiednio się ustawić, patrzeć. W milczeniu flirtowała z obiektywem i ze mną, ukrytym za aparatem. A ja krążyłem wokół niej, pstrykając migawką. Nie pamiętam, żebym przestawał, ale musiałem jakoś zmieniać filmy, bo pod koniec

dnia zorientowałem się, że zużyłem dwanaście rolek.

Myślicie pewnie, że kiedy zrobiłem już zdjęcia, kochałem się z nią? Skłamałbym, gdybym rzekł, że nigdy nie pieprzyłem się z modelkami, niektóre modelki pieprzyły się też ze mną, ale jej nie tknąłem. Była moim marzeniem. Jeśli dotknie się marzenia, ono pryska niczym bańka mydlana.

A poza tym po prostu nie potrafiłem jej dotknąć.

– Ile masz lat? – spytałem tuż przedtem, nim wyszła. Wciągała właśnie płaszcz i zbierała z ziemi torebkę.

– Dziewiętnaście – odparła, nie oglądając się za siebie, i przekroczyła próg.

Nie pożegnała się nawet.

Wysłałem zdjęcia do *Penthouse'a*; nie potrafiłem wymyślić lepszego miejsca. W dwa dni później zadzwonił do mnie kierownik artystyczny.

– Wspaniała dziewczyna! Prawdziwa twarz lat osiemdziesiątych. Jakie są jej dane?

– Ma na imię Charlotte – odparłem. – Dziewiętnaście lat.

A dziś mam trzydzieści dziewięć lat, pewnego dnia skończę pięćdziesiątkę, ona zaś wciąż będzie miała dziewiętnaście, lecz już kto inny będzie jej robił zdjęcia.

Rachel, moja tancerka, poślubiła architekta.

Jasnowłosa punkówka z Kanady kieruje obecnie międzynarodową siecią odzieżową. Od czasu do czasu mnie zatrudnia. Ma krótkie włosy ze śladami siwizny. Obecnie jest lesbijką.

Powiedziała, że wciąż ma u siebie kapę na łóżko z norek, ale złoty wibrator sobie wymyśliła.

Moja była żona poślubiła miłego faceta, właściciela dwóch wypożyczalni wideo. Przenieśli się do Slough. Mają dwóch synów bliźniaków.

Nie wiem, co stało się z pokojówką.

A Charlotte?

W Grecji filozofowie toczą debaty, Sokrates pije cykutę, a ona pozuje do rzeźby Erato, muzy wesołej poezji i kochanków. Ma dziewiętnaście lat.

Na Krecie naciera olejkiem piersi i przeskakuje na arenie przez byka. Król Minos oklaskuje ją, a ktoś maluje jej podobiznę na dzbanie do wina. Ma dziewiętnaście lat.

W 2065 roku leży na obrotowej podłodze holograficznego fotografa, który nagrywa ją jako erotyczny sen w Wirtualnym Zmysłowodzie, utrwalając obraz, dźwięk i zapach w małej diamentowej matrycy. Ma zaledwie dziewiętnaście lat.

Jaskiniowiec szkicuje Charlotte przypalonym patykiem na ścianie świętej jaskini, wypełniając kontury postaci mieszaniną glinki i soku z jagód. Dziewiętnaście lat.

Charlotte jest tam, we wszystkich miejscach, we wszystkich czasach. Przemyka przez nasze fantazje, na zawsze dziewczęca.

Tak bardzo jej pragnę, że czasem to aż boli. Wtedy wyciągam jej zdjęcia i przyglądam się im długą chwilę, zastanawiając się, czemu nie próbowałem jej dotknąć, czemu nawet się do niej nie odezwałem, gdy tu była, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi, którą dałoby się zrozumieć.

Chyba dlatego o tym napisałem.

Dziś rano dostrzegłem kolejny siwy włos na skroni. Charlotte ma dziewiętnaście lat. Gdzieś w czasie.

Tylko kolejny koniec świata, nic więcej

To był kiepski dzień. Obudziłem się nagi w łóżku, ze skurczonym żołądkiem. Czułem się paskudnie. Odcień światła; widoczny w nim metaliczny odcień, skrywane napięcie, przypominające barwę migreny, świadczyły o tym, że minęło już południe.

W pokoju było lodowato zimno – dosłownie: wewnętrzną szybę okna pokrywała cieniutka warstwa szronu. Miałem podartą pościel, jakby poszarpaną pazurami. W łóżku oblepiła mnie sierść. Swędziało mnie od niej całe ciało.

Miałem ochotę przeleżeć następny tydzień – po zmianie zawsze jestem zmęczony – lecz fala mdłości zmusiła mnie do wyplątania się z kołdry i bezpiecznej, chwiejnej wyprawy do maleńkiej łazienki. Gdy stanąłem w jej drzwiach, znów poczułem skurcze. Przytrzymałem się framugi, zlany potem. Może to gorączka? Miałem nadzieję, że niczego nie złapałem. Gwałtowne skurcze przeszywały bólem moje wnętrzności. Kręciło mi się w głowie. Osunąłem się na podłogę i nim zdążyłem unieść twarz nad miskę klozetową, zacząłem rzygać.

Wymiotowałem cuchnącą, żółtą cieczą. Dostrzegłem w niej psią łapę – przypuszczam, że należała do dobermana, ale niespecjalnie znam się na psach – skórkę pomidora, gotowaną marchewkę i kukurydzę, kawałki na wpół przezutego surowego mięsa i kilka palców – drobnych, bladych, niewątpliwie dziecięcych paluszków.

– Cholera.

Skurcze ustąpiły. Podobnie mdłości. Leżałem na podłodze, śmierdząca ślina ściekała mi z ust i nosa. Na policzkach zasychały łzy, takie, które przelewamy podczas ciężkiej choroby.

Kiedy poczułem się lepiej, wybrałem z kałuży wymiocin łapę i palce i wrzuciłem je do klozetu. Spuściłem wodę.

Odkręciłem kran, przepłukałem usta słoną wodą z Innsmouth i wyplułem ją do umywalki. Postarałem się jak najdokładniej wytrzeć podłogę ścierką do naczyń i papierem toaletowym. Potem odkręciłem prysznic i stanąłem w wannie niczym zombi. Gorąca woda spływała po moim ciele.

Namydliłem się cały, włosy również. Po ciele spływała skąpa, szara piana – musiałem być bardzo brudny. We włosach wyczułem coś, co przypominało skrzepniętą krew. Pocierałem ją mydłem, póki nie zniknęła. Dalej tkwiłem pod prysznicem. W końcu woda stała się lodowata.

Pod drzwiami znalazłem kartkę od gospodyni. Pisała, że jestem jej winien dwutygodniowy czynsz, że wszystkie odpowiedzi kryją się w Księdze Objawień, że wracając dziś do domu wczesnym rankiem, narobiłem strasznego hałasu i będzie wdzięczna, jeśli w przyszłości postaram się zachowywać ciszej; że kiedy Starsi Bogowie wynurzą się z oceanu, wszystkie ziemskie nieczystości, wszyscy niewierzący, ludzkie śmieci, marnotrawcy, bezbożnicy, zostaną zmieceni z powierzchni ziemi, a świat zostanie oczyszczony przez lód i wodę z głębin, i że pragnie mi przypomnieć, iż przydzieliła mi jedną półkę w lodówce, i będzie wdzięczna, jeśli w przyszłości wezmę to pod uwagę.

Zgniotłem liściki i rzuciłem na podłogę. Spoczął obok opakowań po Big Macach, pustych pudełek i zaschniętych na śmierć kawałków pizzy.

Czas ruszać do pracy.

Przebywałem w Innsmouth od dwóch tygodni i bardzo mi się tu nie podobało. Śmierdziało rybami. Było to małe, klaustrofobiczne miasteczko – na wschód bagna, na zachód skały, a pośrodku zatoka, w której cumowało kilka rozpadających się rybackich łodzi; nawet o zachodzie słońca brakowało jej uroku. W latach osiemdziesiątych w Innsmouth i tak pojawili się yuppies, wykupując malownicze rybackie domki nad zatoką. Od lat ich już tu jednak nie widziano, a domki pozostały puste, opuszczone.

Mieszkańcy Innsmouth zajmowali część domów w mieście. Mieszkali też w osiedlach przyczep, otaczających pierścieniem miasto, pełnych wilgotnych domów na kółkach, które nigdy już nigdzie nie pojadą.

Ubrałem się, wciągnąłem wysokie buty, narzuciłem na ramiona płaszcz i wyszedłem. Nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem gospodyni: niskiej, wyłupiastookiej kobiety, która rzadko się odzywała, choć pozostawiała mi długie liściki, przypięte pineską do drzwi lub w miejscach, gdzie z pewnością je znajdę. W domu stale pachniało morskimi przysmakami. Na kuchni zawsze stały kolejne garnki pełne istot o stanowczo zbyt wielu nogach albo w ogóle owych nóg pozbawionych.

W domu było jeszcze wiele pokoi, ale nikt inny się tu nie zatrzymał. Nikt o zdrowych zmysłach nie przybyłby zimą do Innsmouth.

Na zewnątrz wcale nie pachniało lepiej, było jednak chłodniej. Mój oddech parował w morskim powietrzu. Na ulicach zalegał brudny, zbrylony śnieg. Chmury zwiastowały kolejne opady.

Znad zatoki powiał zimny, słony wiatr. Mewy krzyczały żałośnie. Czułem się paskudnie. W moim biurze z pewnością także było zimno jak w psiarni. Na rogu Marsh Street i Leng Avenue stał bar „Ten, który otwiera drogę”, przysadzisty budynek o małych, ciemnych oknach, który w ciągu ostatnich dwóch tygodni mijałem paręnaście razy i jeszcze nigdy nie zajrzałem do środka. Dziś jednak naprawdę potrzebowałem się napić, a poza tym może wewnątrz jest nieco cieplej. Pchnięciem otworzyłem drzwi.

Rzeczywiście w barze było ciepło. Tupnąłem kilka razy, by otrzepać buty ze śniegu, i wszedłem do środka. Wewnątrz nie było prawie nikogo. W powietrzu unosiła się woń zastarzałych petów i zwietrzałego wina. Paru starszych mężczyzn grało w szachy przy barze. Barman czytał sfatygowany tomik wierszy Alfreda, Lorda Tennysona, w złoto-zielonej skórzanej oprawie.

– Witam. Dostanę Jacka Danielsa bez dodatków?

– Jasne – rzekł, odkładając otwartą książkę na bar. Nalał burbona do szklanki. – Jest pan tu nowy – dodał.

– To widać?

Uśmiechnął się. Podał mi Jacka Danielsa. Szklanka była brudna; na ścianie widniał tłusty odcisk kciuka. Wzruszyłem ramionami i jednym haustem wychyliłem zawartość. Ledwie poczułem smak.

– Psi dzień? – spytał.

– W pewnym sensie.

– Istnieje przesąd – oznajmił barman z ulizanymi do tyłu rudymi lisimi włosami – że można sprawić, by *lykanthropoi* powrócili do swej postaci pierwotnej, jeśli się im podziękuję, gdy mają

postać wilka, albo nazwie prawdziwym imieniem.

– Ach tak. Dzięki.

Nieproszony nalał mi kolejną szklanę. Odrobinę przypominał Petera Lorre, ale też większość ludzi z Innsmouth wygląda jak Peter Lorre, łącznie z moją gospodynią.

Wychyliłem Jacka Danielsa. Tym razem poczułem, jak ognista smuga spływa mi do żołądka, tak jak powinna.

– Tak mawiają. Nie twierdę, że w to wierzę.

– A w co pan wierzy?

– Trzeba spalić pierścień.

– Słucham?

– Wszyscy *lykanthropoi* mają pierścienie z ludzkiej skóry. Ich piekielni władcy wręczają im je podczas pierwszej transformacji. Trzeba spalić pierścień.

Jeden z szachistów odwrócił się w moją stronę, patrząc na mnie wielkimi, ślepyimi, wyłupiastymi oczami.

– Jeśli wypijesz deszczówkę z odcisku łapy wargi, sam także staniesz się wilkiem, gdy nadejdzie pełnia – rzekł. – Jedynym remedium jest odnalezienie wilka, który pozostawił ślad, i odcięcie mu głowy nożem z dziewiczego srebra.

– Dziewiczego, tak? – Uśmiechnąłem się.

Jego partner, łysy i pomarszczony, potrząsnął głową i odchrząknął ze smutkiem. Potem przesunął królową i zarechotał.

Podobnych ludzi można znaleźć w całym Innsmouth.

Zapłaciłem za drinki, zostawiając na barze dolara napiwku. Barman, znów zatopiony w lekturze, kompletnie mnie zignorował.

Na dworze opadały z nieba wielkie, mokre, lepkie płatki śniegu, osiadając na moich włosach i rękach. Nienawidzę śniegu, nienawidzę Nowej Anglii, nienawidzę Innsmouth. Nie jest to miejsce, w którym dobrze jest przebywać w samotności, ale też, jeśli istnieje takie miejsce, to ja jeszcze go nie znalazłem. Interesy zmuszały mnie do pozostawania w ruchu od tak wielu księżyców; wolę nie zastanawiać się, ile ich było. Interesy i inne rzeczy.

Przeszedłem kilka przecznic. Marsh Street – jak większość Innsmouth – stanowiła nieciekawą mieszaninę osiemnastowiecznych domów w stylu amerykańskiego gotyku, późnodziewiętnastowiecznych fasad z piaskowca i szarych pustaków z końca dwudziestego wieku. Wreszcie dotarłem do zamkniętego na głucho baru z pieczonymi kurczakami. Wdrapałem się po kamiennych schodach obok wystawy i przekręciłem klucz w zardzewiałych metalowych drzwiach.

Po drugiej stronie ulicy sprzedawano alkohol. Na pierwszym piętrze rezydowała wróżka.

Na metalu ktoś wypisał czarnym flamasterem trzy słowa: „Po prostu umrzyj”, jakby to było takie łatwe.

Schody zrobiono z gołego drewna. Poplamiony tynk odpadał ze ścian. Moje biuro mieściło się na górze.

Nie zatrzymuję się nigdzie dość długo, by zamawiać złożony napis na szkle. Moje nazwisko jest wypisane drukowanymi literami na kawałku kartonu, który przypinam pineskami do drzwi.

LAWRENCE TALBOT
REGULATOR

Otwarłem drzwi biura i wszedłem do środka.

Rozejrzałem się wokół. Na myśl przychodziły mi przymiotniki, takie jak: obscurny, brudny i zapyziały. Po chwili zrezygnowałem, pokonany. Wnętrze wyglądało skromnie – biurko, krzesło biurowe, pusta szafka na akta, okno ze wspaniałym widokiem na sklep z alkoholem i pusty salon wróżki. Całe pomieszczenie było przesycone smrodem starego tłuszczu z baru na dole. Zastanawiałem się, od jak dawna bar z kurczakami jest zamknięty. Wyobraziłem sobie roje czarnych karaluchów w ciemności pod moimi stopami.

– Myśli pan o stanie dzisiejszego świata – usłyszałem niski, mroczny głos, tak głęboki, że poczułem go aż w żołądku.

W kącie biura stał stary fotel. Pod patyną lat i tłuszczu można było dostrzec resztki wzoru na obiciu. Miał barwę kurzu.

Siedzący w nim grubas odezwał się ponownie, nie otwierając oczu:

– Rozglądamy się wokół ze zdumieniem, z poczuciem lęku i niepokoju. Uważamy się za uczonych, wtajemniczonych w niezwykle liturgie, samotnych ludzi, uwięzionych w światach wykraczających poza nasze pojmowanie. Prawda jest znacznie prostsza. W mroku pod nami kryją się istoty, które źle nam życzą.

Odchyłał głowę, a z kącika ust wystawał mu czubek języka.

– Czyta pan w myślach?

Mężczyzna w fotelu głośno zaczerpnął tchu, tak że usłyszałem świst w głębi jego krtani. Był niewiarygodnie gruby. Jego palce przypominały odbarwione parówki. Miał na sobie gruby, stary płaszcz, niegdyś czarny, obecnie brudnoszary. Śnieg na jego butach nie zdążył jeszcze stopnieć.

– Być może. Koniec świata to dziwny koncept. Świat zawsze się kończy i koniec zawsze zostaje odwrócony, dzięki miłości, głupocie bądź zwykłemu ślepemu szczęściu.

Cóż, tym razem jest już za późno. Starsi Bogowie wybrali swych kapłanów. Gdy wstanie księżyc...

Z kącika ust mężczyzny pociekła strużka śliny. Połyskując srebrem, spłynęła mu aż na koszulę. Coś przemknęło zza jego kołnierza w mrok pod płaszczem.

– Tak? Co się stanie, kiedy wszędzie księżyc?

Mężczyzna w fotelu poruszył się, otworzył dwoje czerwonych, zapuchniętych oczu i zamrugał gwałtownie.

– Śniło mi się, że mam wiele ust – rzekł. Jego nowy głos wydawał się dziwnie cichy i zdyszany jak na tak potężnego gościa. – Śniło mi się, że każde z owych ust otwierały się i zamykały, niezależnie od siebie. Niektóre mówiły, inne szeptały, jeszcze inne jadły; reszta czekała w milczeniu.

Rozejrzał się, starł ślinę z brody, wyprostował się w fotelu i zamrugał z wyraźnym zdumieniem.

– Kim pan jest?

– Gościem, który wynajmuje to biuro – poinformowałem go.

Beknął donośnie.

– Przepraszam – rzekł, sapiąc, i ciężko dźwignął się z fotela. Byłem od niego wyższy. Zmierzył mnie spojrzeniem przekrwionych oczu. – Srebrne kule – oświadczył po krótkiej chwili ciszy. – Staroświeckie, ale skuteczne.

– Owszem – odparłem. – To takie oczywiste, że chyba dlatego nie przyszło mi na myśl. Rany, powinienem się wstydzić. Naprawdę.

– Naśmiewa się pan ze starego człowieka.

– Niezupełnie. Bardzo przepraszam. A teraz proszę stąd zniknąć. Niektórzy z nas muszą

pracować.

Wyszedł chwiejnie. Usiadłem na kręconym krześle przy biurku i wkrótce metodą prób i błędów odkryłem, że jeśli obracam siedzenie w lewo, spada z podstawy.

Siedziałem zatem nieruchomo, pełniąc straż przy zakurzonej czarnej telefonie. Czekałem, by zadzwonił, a światło powoli znikało z zimowego nieba.

Dryń!

Męski głos: *Czy zastanawiał się pan nad zakupem aluminiowych sidingów?* Odłożyłem słuchawkę.

W biurze nie było ogrzewania. Zastanawiałem się, jak długo tłuszcioch spał w fotelu.

Dwadzieścia minut później telefon zadzwonił. Zapłakana kobieta błagała, abym pomógł znaleźć jej pięcioletnią córeczkę, która zniknęła ostatniej nocy. Ktoś porwał ją z łóżka. Jej pies także zniknął.

– Nie zajmuję się zaginionymi dziećmi – oznajmiłem. – Bardzo mi przykro, ale wiąże się z tym zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień. – Odłożyłem słuchawkę. Znowu poczułem mdłości.

Robiło się już ciemno. Pierwszy raz od mojego przyjazdu do Innesmouth neon po drugiej stronie ulicy zapalił się nagle, informując mnie, że MADAME EZEKIEL zajmuje się TAROTEM I CZYTANIEM Z DŁONI.

Czerwony neon zabarwiał spadający śnieg odcieniem świeżej krwi.

Drobne działania potrafią odwrócić Armageddon. Tak właśnie wówczas było. Tak jest zawsze.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Rozpoznałem głos. Był to znowu mężczyzna od aluminiowych sidingów.

– Wie pan – rzekł wesoło – ponieważ przemiana w człowieka w zwierzę i odwrotnie jest z definicji niemożliwa, musimy rozzejrzeć się za innym rozwiązaniem. Niewątpliwie chodzi o depersonalizację i pewną formę projekcji. Uszkodzenie mózgu? Być może. Schizofrenia pseudonerwowa? Ależ tak. W niektórych przypadkach leczono ją kroplówkami z wodorochlorku thioridazyny.

– Z powodzeniem?

Zaśmiał się.

– Oto, co lubię. Człowiek z poczuciem humoru. Jestem pewien, że się dogadamy.

– Już mówiłem, nie potrzebuję sidingów.

– Zajmujemy się czymś znacznie ważniejszym, istotniejszym. Jest pan nowy w tym mieście, panie Talbot. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy znaleźli się, powiedzmy, po przeciwnych stronach barykady.

– Gadaj zdrów, koleś. Dla mnie jesteś tylko kolejną regulacją, czekającą na swoją kolej.

– Zamierzamy zakończyć świat, panie Talbot. Bogowie z Głębin dźwigną się ze swych morskich grobów i pożą księżyc niczym dojrzałą śliwkę.

– Nie będę się więc musiał przejmować pełniami, prawda?

– Proszę nie stawać nam na drodze – zaczął, lecz warknąłem na niego i umilkł.

Za oknem wciąż padał śnieg.

Po drugiej stronie Marsh Street, dokładnie naprzeciw moich okien, w rubinowym blasku neonu ujrzałem najpiękniejszą kobietę, jaką zdarzyło mi się oglądać. Stała tam i patrzyła wprost na mnie.

Skinęła palcem.

Już drugi raz przerwałem rozmowę z facetem od aluminiowych sidingów. Zszedłem na dół

i niemal przebiegłem na drugą stronę. Nim to jednak zrobiłem, popatrzyłem w prawo i w lewo.

Miała na sobie jedwabie. Pokój oświetlały jedynie świece. Wszędzie cuchnęło kadzidłem i olejkiem paczuli.

Uśmiechnęła się do mnie, gdy wszedłem, i wezwała do stołu przy oknie. Bawiła się kartami do tarota, układając dziwnego pasjansa. Gdy się zbliżyłem, zebrała karty, zawinęła je w jedwabną apaszkę i ostrożnie schowała do drewnianej skrzynki.

Panująca w pokoju woń sprawiła, że krew zatętniła mi w skroniach. Nagle uświadomiłem sobie, że nic jeszcze nie jadłem. Może dlatego tak się czułem. Usiadłem naprzeciw niej.

Wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

Spojrzała na nią, dotknęła lekko palcem wskazującym.

– Włosy? – spytała ze zdumieniem.

– No cóż, zbyt długo żyję sam. – Uśmiechnąłem się szeroko, miałem nadzieję, że przyjaźnie, ona jednak i tak uniosła brwi.

– Gdy na pana patrzę – powiedziała Madame Ezekiel – oto, co widzę: widzę oko człowieka, a także oko wilka. W oku człowieka dostrzegam uczciwość, szczerłość, niewinność, wysokiego mężczyznę stojącego pośrodku miasta. W oku wilka widzę warkot i jęki, nocne wycie i krzyki. Widzę zakrwawionego potwora, pędzącego w mroku na obrzeżach miasta.

– Jak można zobaczyć warkot bądź krzyk?

Uśmiechnęła się.

– Nie jest to wcale takie trudne – rzekła. Miała obcy akcent. Może rosyjski, maltański, albo nawet egipski. – Umysł dostrzega więcej, niż wzrok.

Madame Ezekiel przymknęła zielone oczy. Miała niewiarygodnie długie rzęsy i bladą skórę. Jej czarne włosy ani na moment nie trwały w bezruchu – kołysały się łagodnie wśród jedwabi, jakby unoszone odległą falą.

– Istnieje tradycyjne remedium – oznajmiła – sposób pozbycia się złej postaci. Trzeba stanąć w bystrej wodzie – czystej, źródlanej wodzie – jedząc białe płatki róży.

– A potem?

– Klątwa ciemności zostanie zmyta.

– Powróci – odparłem – z następną pełnią.

– A zatem – dodała Madame Ezekiel – gdy już pozbędzie się pan klątwy, wystarczy rozciąć sobie żyły. Rzecz jasna, to będzie bolało, ale rzeka zmyje krew.

Miała na sobie jedwabie, szale i suknie o stu różnych barwach, wyraźnych i jaskrawych nawet w migotliwym blasku świateł.

Jej powieki uniosły się wolno.

– A teraz – rzekła – tarot.

Rozpakowała talię z czarnej jedwabnej apaszki i podała mi karty do przetasowania. Z wprawą zabrałem się do dzieła.

– Wolniej, wolniej – upomniała. – Niech pana poznają, pokochają, niczym... niczym kobieta.

Przytrzymałem je mocno, potem oddałem właścicielce.

Wyłożyła pierwszą kartę. Nazywała się Wilkołak. Ukazywała ciemność i bursztynowe oczy, uśmiech w bieli i czerwieni.

W zielonych oczach dostrzegłem zdumienie. Miały barwę szmaragdów.

– Ta karta nie należy do mojej talii – powiedziała, wykładając następną. – Co pan zrobił z moimi kartami?

– Nic, proszę pani. Po prostu je przytrzymałem. To wszystko.

Karta, którą odsłoniła, nazywała się Bóg z Głębin. Widniało na niej coś zielonego, nieco przypominającego ośmiornicę. Na moich oczach paszcze potwora – jeśli w istocie były to paszcze, a nie macki – zaczęły się poruszać.

Madame Ezekiel przykryła ją inną kartą, potem następną i następną. Reszta kart była zupełnie pusta.

– Pan to zrobił? – jej głos załamał się, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

– Nie.

– Proszę wyjść – poleciała.

– Ale...

– Już!

Spuściła wzrok, jakby próbując przekonać samą siebie, że nie istnieje.

Stałem w pokoju pachnącym kadzidłem i woskowymi świecami. Wyrząłem przez okno na drugą stronę ulicy. W moim biurze błysnęło światło. Dostrzegłem dwóch mężczyzn z latarkami. Otworzyli pustą szafkę, rozejrzeli się wokół, po czym zajęli miejsca: jeden w fotelu, drugi za drzwiami, czekając na mój powrót. Uśmiechnąłem się do siebie. W biurze było zimno i nieprzytulnie. Jeśli dopisze mi szczęście, będą tak czekać całymi godzinami, aż w końcu uznają, że już nie wrócę.

Pozostawiłem zatem Madame Ezekiel przeglądającą kolejno karty i wpatrującą się w nie, jakby w ten sposób chciała przywołać dawne obrazki. Zszedłem na dół i ruszyłem Marsh Street prosto do baru.

Teraz było tam już zupełnie pusto. Barman palił papierosa. Kiedy wszedłem, zgasił go w popielniczkę.

– Gdzie starzy szachiści?

– Dziś jest ich wielka noc. Z pewnością są nad zatoką. Pije pan Jacka Danielsa, zgadza się?

– Jak najbardziej.

Nalał mi drinka. Rozpoznałem odcisk kciuka z poprzedniej wizyty. Podniosłem z baru tomik wierszy Tennysona.

– To dobra książka?

Barman o lisich włosach odebrał mi ją i odczytał:

„Głęboko pod przyboju gromem,
W otchłani mrocznej, niezgłębionej,
W odwiecznej śpiączce pogrążony,
Tam Kraken śpi...”.

Dokończyłem drinka.

– I co? O co panu chodzi?

Wyszedł zza baru i podprowadził mnie do okna.

– Widzi pan? O tam?

Wskazał na zachód, w stronę rafy. Na moich oczach na szczycie rozpalono ognisko, które rozbłysło i zajęło się jadowicie zielonym płomieniem.

– Zamierzają obudzić Bogów z Głębin – oznajmił barman. – Gwiazdy, planety i księżyc zajęły właściwe miejsca. Już czas. Suchy ląd zatonie. Morze znów powstanie...

– Świat zostanie oczyszczony przez lód i powódzie i będę wdzięczna, jeśli w przyszłości będzie pan korzystał wyłącznie ze swoje półki w lodówce – wtrąciłem.

– Słucham?

– Nic takiego. Jak można najszybciej dostać się na tę rafę?

– Marsh Street. Proszę skrócić w lewo przy kościele Dagona, iść prosto aż do Manuxet Way i dalej, nie skręcając. – Zdjął z wieszaka na drzwiach płaszcz i narzucił go na siebie. – Ruszajmy. Zaprowadzę pana. Szkoda byłoby stracić całą zabawę.

– Jest pan pewien?

– Dziś w nocy w miasteczku nikt nie wpadnie na drinka.

Przekroczyliśmy próg, a on zamknął za nami drzwi baru.

W powietrzu czułem mróz.

Wiatr unosił nad ulicą płatki śniegu, niczym białą mgiełkę. Z tego miejsca nie potrafiłem już stwierdzić, czy Madame Ezekiel wciąż jeszcze tkwi w swej norze nad neonem i czy moi goście nadal czekają w biurze.

Skuliliśmy się pod naporem wiatru i ruszyliśmy naprzód.

Mimo świstu wichury usłyszałem, jak barman mruczy do siebie:

„Spoczywa tam, czas chyżo płynie,
a on wciąż we śnie pogrążony,
póki otchłani niezgłębianych
brzask nie ogrzeje; wtedy w słonych
głębiach powstanie...”.

Urwał i szliśmy dalej w milczeniu, czując na twarzach kłujący dotyk śniegu.

„...i na powierzchni zginie” – pomyślałem, nie powiedziałem jednak tego głośno.

Po dwudziestu minutach opuściliśmy Innsmouth. Manuxet Way skończyła się, gdy wyszliśmy poza granice miasta, przechodząc w wąską ścieżkę, częściowo zasypaną śniegiem i oblodzoną. Ślizgając się, maszerowaliśmy dalej.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz gwiazdy zaczynały już świecić. Było ich tak wiele. Pokrywały nocne niebo, niczym diamentowy pył i zmiażdżone szafiry. Nad morzem zawsze widać wiele gwiazd, znacznie więcej niż w mieście.

Na szczycie rafy za ogniskiem czekało dwóch ludzi, jeden tusty, potężny, drugi niski, drobny. Barman przeszedł kilka kroków i stanął obok nich, naprzeciwko mnie.

– Spójrzcie, oto wilk ofiarny.

Jego głos zabrzmiał dziwnie znajomo. Milczałem. Ogień płonął jaskrawą zielenią, oświetlając z dołu całą trójkę. Klasyczne, upiorne światło.

– Wiesz, czemu cię tu przyprowadziłem? – spytał barman. I nagle zrozumiałem, skąd znam ten głos. Należał do mężczyzny, który próbował mi sprzedać aluminiowe sidingi.

– By powstrzymać koniec świata?

Roześmiał się w głos.

Druga postać należała do tłuściocha, który spał w moim fotelu w biurze.

– Jeśli mamy już zagłębiać się w eschatologię... – mruknął głosem dość głębokim, by zadrżały od niego mury. Oczy miał zamknięte. Twardo spał.

Trzecią postać okrywały ciemne jedwabie, pachnące olejkiem paczuli. W rękę trzymała nóż. Milczała.

– Tej nocy – oznajmił barman – księżyc jest księżcem Bogów z Głębin. Tej nocy gwiazdy zajęły pozycje, tworząc wzorce dawnych, mrocznych czasów. Tej nocy, jeśli ich wezwiemy, przybędą. Jeśli złożymy godną ofiarę. Jeśli usłyszą nasze krzyki.

Po drugiej stronie zatoki wynurzył się z wody księżyc: ogromny, ciężki, bursztynowy. Wraz

z nim z oceanu w dole wleciał chór niskich rechotów.

Promienie księżycy odbijające się w śniegu i lodzie nie dorównywały słońcu, ale dawały dość światła, a wraz z jego wschodem mój wzrok stawał się coraz bystrzejszy. W zimnych wodach przypominający żaby ludzie wynurzały się i zanurzali w powolnym wodnym tańcu. Żabie kobiety, żabi mężczyźni. Wydawało mi się, że dostrzegam moją gospodynię, wijącą się i rechoczącą w zatoce wraz z resztą mieszkańców.

Było jeszcze za wcześnie na kolejną przemianę. Wciąż brakowało mi sił po poprzedniej nocy. Czuję się jednak dziwnie pod owym bursztynowym księżycem.

– Biedny człowiek-wilk – dobiegł mnie szept spomiędzy jedwabi. – Wszystkie jego sny przywiodły go do tego: samotnej śmierci na odległych skałach.

Będę śnił, jeśli zechcę – odparłem – *a moja śmierć to moja własna sprawa*. Nie byłem jednak pewien, czy powiedziałem to głośno.

Zmysły wyostrzają się w blasku księżycy. Wciąż słyszałem szum fal, poza nim jednak moje uszy wychwytywały odgłos każdej fali, wznoszącej się i opadającej na piasek. Słyszałem pluski żabich ludzi, wilgotne szepty umarłych w zatoce, trzeszczenie zielonych wraków głęboko na dnie...

Węch także się poprawia. Męczyzna od aluminiowych sidingów był człowiekiem. W żyłach grubasa płynęła obca krew.

A istota w jedwabiacach...

Gdy miałem ludzką postać, czułem woń jej perfum. Teraz wyczuwałem pod nią coś innego. Smród rozkładu, zepsutego mięsa, gnijącego ciała.

Jedwab zaszeleścił. Zbliżała się do mnie, trzymając w dłoni nóż.

– Madame Ezekiel? – mój głos stawał się coraz niższy, bardziej ochryply. Wkrótce stracę go całkowicie. Nie rozumiałem, co się dzieje, lecz księżyc wznosił się coraz wyżej, tracąc bursztynową barwę i napełniając mój umysł bladym światłem.

– Madame Ezekiel?

– Zasłużyłeś sobie na śmierć – powiedziała niskim, zimnym głosem. – Choćby za to, co zrobiłeś z moimi kartami. Były stare.

– Ja nie umieram – odparłem. – „Człowiek o czystym sercu, co noc odmawiający modlitwy”. Pamiętasz?

– To bzdury – odparła. – Wiesz, jak wygląda najstarszy sposób przełamania klątwy wilkołaka?

– Nie.

Ognisko płonęło coraz jaśniej; zielenią światła pod powierzchnią morza, zielenią alg i unoszonych w wodzie wodorostów; płonęło barwą szmaragdów.

– Trzeba po prostu zaczekać, aż przyjmie ludzką postać i cały miesiąc będzie dzielił go od kolejnej zmiany. Wówczas bierze się w dłoń ofiarny nóż i zabija. To wszystko.

Odwróciłem się, chcąc uciec, lecz barman stał za moimi plecami. Chwycił mnie za rękę i wykręcił przeguby, przytrzymując mocno. Nóż rozbłysnął jasnym srebrem w blasku księżycy. Madame Ezekiel uśmiechnęła się.

Przesunęła ostrzem po moim gardle.

Trysnęła krew, gwałtowną fontanną, potem strugą, po chwili już tylko strumyczkiem. I przestała płynąć...

* *
*

– łoskot w mych skroniach, nacisk z tyłu. Wszystko jest zmianą, ach-trach-bach-strach zmiana
czerwona ściana pędzi ku mnie z mroku nocy
– czułem smak gwiazd rozpuszczonych w morskiej wodzie, odległych, musujących, słonych
– mrowienie w palcach skórę ogarnęły języki ognia moje oczy stały się topazowe czułem smak
nocy

* *
*

Mój oddech wznosił się i parował w mroźnym powietrzu.
Warknąłem odruchowo, nisko w głębi gardła. Moje przednie łapy dotykały śniegu.
Cofnąłem się, wspiąłem i skoczyłem na nią.
W powietrzu wyczuwałem rozkład, otaczający mnie niczym mgiełka. Nagle, w najwyższym
punkcie lotu, wydało mi się, że się zatrzymuję. Coś pękło niczym mydlana bańka...

* *
*

Znalazłem się głęboko, głęboko w ciemności, na dnie morza. Stałem na czterech łapach
na śliskiej skalnej półce u wejścia cytadeli, wzniesionej z ogromnych bloków ledwie ociosanego
kamienia. Kamienie te lśniły bladym niezdrowym blaskiem, upiorną luminescencją, jak
wskazówki zegarka w nocy.

Z mojej szyi sączyła się chmura czarnej krwi.

Stała w drzwiach przede mną. Teraz miała metr osiemdziesiąt, może dwa metry wzrostu. Jej
upiorne kości, poobijane i pogryzione, pokrywały resztki ciała, lecz jedwabie zmieniły się
w wodorosty, pływające w lodowatej wodzie, tu, w pozbawionych snów otchłaniach. Osłaniały
jej twarz niczym powolny zielony woal.

Jej ramiona obrastały czaszołki, podobnie ciało zwisające w strzępach z klatki piersiowej.

Miałem wrażenie, że coś mnie miażdży. Nie mogłem myśleć.

Ruszyła ku mnie. Wodorosty otaczające jej głowę rozsunęły się. Miała twarz przypominającą
stworzenia, które omijamy z daleka w barach sushi – ssawki, kolce i tańczące czułki morskich
anemonów. Wiedziałem, że gdzieś w tym wszystkim się uśmiecha.

Tylnymi nogami odepchnąłem się od ziemi. I spotkaliśmy się, tam wgłębi; zaczęliśmy walczyć.
Było tak zimno, tak ciemno. Zacisnąłem szczęki na jej twarzy i poczułem, jak coś rozdziera się,
pęka.

Przypominało to niemal pocałunek w złowieszczej głębinie.

* *
*

Wylądowałem miękko na śniegu. Między zębami miałem jedwabny szal. Inny szal
z trzepotem opadał na ziemię. Madame Ezekiel zniknęła.

Przedemną na śniegu leżał srebrny nóż. Czekałem w blasku księżyca, ociekając wodą.
Otrząsnąłem się, rozbryzgując wokół słone krople. Usłyszałem, jak z sykiem lądują w ognisku.
Byłem słaby i oszołomiony. Głęboko zaczerpnąłem tchu.

Daleko, daleko w dole, w zatoce, widziałem żabich ludzi, unoszących się na powierzchni morza niczym trupy. Przez kilka sekund kołysali się na falach. Potem zaczęli podskakiwać i kolejno z pluskiem zmierzali dalej, w głąb zatoki, znikając pod powierzchnią morza.

Usłyszałem krzyk. To był barman o rudych włosach, wyłupiastooki sprzedawca aluminiowych sidingów. Patrzył w nocne niebo, na które wypłynęły chmury, przesłaniając gwiazdy, i wrzeszczał. W jego głosie usłyszałem wściekłość i przejmujący zawód. Ogarnął mnie lęk.

Barman podniósł z ziemi nóż, otarł palcami śnieg z rękojeści, płaszczem oczyścił ostrze z krwi. Potem spojrzął na mnie. Płakał.

– Ty sukinsynu – rzekł. – Co z nią zrobiłeś?

Chętnie powiedziałbym, że niczego z nią nie zrobiłem, że wciąż tkwi na posterunku daleko w głębinie, ale nie mogłem już mówić, jedynie warczeć, skowyczeć i wyć.

Wciąż płakał. Cuchnął obłędem i zawodem. Uniósł nóż i rzucił się na mnie, a ja uskokczyłem w bok.

Niektórzy ludzie nie potrafią przywyknąć do nawet najmniejszych zmian. Barman, potykając się, minął mnie i runął ze skały w nicość.

W blasku księżyca krew nie jest czerwona, lecz czarna. Spadając i obijając się o ostre występy rafy, pozostawił po sobie ślady czerni i ciemnej szarości. W końcu wylądował na pokrytych lodem skałach u podstawy rafy. Nagle z wody wynurzyła się ręka i pociągnęła go, tak wolno, że oglądanie tego niemal sprawiało ból, pod powierzchnię mrocznych wód.

Inna ręka podrapała mnie po głowie. Miłe uczucie.

– Czym ona była? Jedynie awatarem Bóstw z Głębin. Eidolonem, manifestacją, jeśli woli pan takie określenie, przysłaną z najgłębszego dna morza, by doprowadzić do końca świata.

Zjeżyłem się.

– Nie, to już koniec, na razie. Zniszczyłeś jej ziemską powłokę, a rytuał jest bardzo szczegółowy. Nasza trójka musi stanąć obok siebie i wykrzyknąć święte imiona, podczas gdy u naszych stóp przelewa się i pulsuje niewinna krew.

Spojrzałem na tłuszczocha i wyskomlałem pytanie. Sennie poklepał mnie po karku.

– Oczywiście, że ona cię nie kocha, mój chłopcze. W tym wymiarze praktycznie i tak nie istnieje.

Znów zaczął padać śnieg. Ognisko gasło.

– A przy okazji, moi zdaniem twoja dzisiejsza przemiana stanowi efekt tej samej konfiguracji niebieskiej i układu księżycowych sił, które sprawiły, że dzisiejsza noc stanowi idealny moment do przywołania z głębi moich starych przyjaciół...

Nadal przemawiał swym głębokim głosem. Być może mówił mi ważne rzeczy. Nigdy się tego nie dowiem, bo wewnątrz mego ciała narastał apetyt; słyszałem słowa, utraciły one jednak swe znaczenie; pozostał tylko cień. Nie interesowało mnie już morze, rafa i tłuszczoch.

W lesie za łąką wyczuwałem jelenie. Ich woń wisiała w nocnym zimowym powietrzu.

Ja zaś byłem głodny, bardzo głodny.

* *
*

Gdy znów się ocknąłem, następnym rankiem, byłem nagi. Obok mnie na śniegu leżał na wpół pożarty jeleni. Po jego oku łaziła mucha, język wysunął się z martwego pyska, sprawiając, że zwierzę wyglądało komicznie, niczym karykatura.

W miejscu, gdzie silne szczęki rozszarpały brzuch jelenia, śnieg nabrał głębokiej szkarłatnej barwy.

Moją twarz i pierś pokrywała lepka warstwa krwi. Na gardle została świeża blizna. Bolała. Nie szkodzi; do następnej pełni będę cały i zdrowy.

Słońce wydawało się bardzo odległe, małeńki żółty krąg, lecz niebo było bezchmurne i niebieskie. Nie czułem nawet najsłabszego wiatru. W oddali słyszałem szum morza.

Byłem nagi, zmarznięty, zakrwawiony i samotny. No cóż, pomyślałem, każde z nas tak właśnie zaczyna życie. Mnie po prostu przytrafia się to co miesiąc.

Czułem ogromne zmęczenie, wiedziałem jednak, że wytrzymam, aż znajdę opuszczoną stodołę albo jaskinię; tam prześpię następne dwa tygodnie.

Dostrzegłem jastrzębia. Leciał ku mnie nisko nad śniegiem, trzymając coś w szponach. Przez mgnienie oka zawisł nade mną, a potem rzucił do mych stóp małą szarą ośmiornicę i śmignął w górę. Galaretowate stworzonko leżało bez ruchu w płątaniu macek na zakrwawionym śniegu.

Wziąłem to za omen, nie widziałem jednak, dobry czy zły, i wcale mnie to nie obchodziło. Odwróciłem się plecami do morza i do mrocznego Innsmouth i ruszyłem naprzód, w stronę miasta.

Bay Wolf

Słuchaj, Talbot. Ktoś zabija moich ludzi,
powiedział Roth, grząc w słuchawkę niczym morze zamknięte w muszli.
Dowiedz się, kto i dlaczego, i go powstrzymaj.

Powstrzymaj? Jak? – spytałem.

Jak tylko zechcesz – odparł. – *Nie życzę sobie, żeby odeszli cało i zdrowo,*
po tym, jak ich powstrzymasz. Rozumiesz?

Rozumiałem. Dałem się zatrudnić.

Działo się to w latach dwa tysiące dwudziestych
w L.A., na Venice Beach.

W tej części świata Gar Roth był szefem,
handlował stymami, koksem, sterydami,
oraz podkręcaczami, opanował cały rynek
– napakowanych dzieciaków, chłopców w slipkach ładujących koks,
dziewczyn z odchudzaczami, feromonami, kurwomonami,
wszyscy oni kochali Rotha. Był najlepszy.

Stróże prawa brali łapówki i przymykali oko;
należały do niego plaże od Laguna Beach aż po Malibu,
zbudował klub nad morzem, gdzie zjawiały się laski i pakerzy
popisując się, podlizując.

To miasto oddaje cześć ciałom, a do nich należały ciała.

Imprezowali. Wszyscy imprezowali,
naćpani, na haju, podkręceni,
muzyka tak głośna, że czuć ją było w kościach,
i wtedy właśnie coś się zjawiało,
cokolwiek to było. Miażdżyło im czaszki. Rozdzierało na strzępy.

Nikt nie słyszał krzyków, zagłuszały je fale i stare przeboje.

W tym roku do łask powrócił death metal.

To coś porwało jakiś tuzin ludzi, zaciągnęło ich do morza.

Śmierć o świcie.

Roth mówił, że podejrzewa konkurencyjny kartel narkotykowy,
rozstawił więcej straży, sprowadził helikoptery, łodzie
czekające na powrót tego czegoś. I to coś wracało.

Lecz kamery i taśmy nie pokazywały niczego.

Nie mieli pojęcia co to, a jednak,
wciąż rozdzierało ich ciała, odrywało głowy,

wyszarpywało woreczki z wodą z rozepchanych piersi,
pozostawiało na plaży jądra, skurczone od sterydów,
ukryte w piasku niczym małe istotki, zagrzebane w ziemi.
Roth naprawdę oberwał. Plaża nie była już taka jak kiedyś,
i wtedy właśnie do mnie zadzwonił.

Przeszedłem nad kilkoma śpiącymi obu płci,
klepnąłem Rotha w ramię. Nim
zdążyłem mrugnąć, tuzin wielkich spluw
celował w moją pierś i twarz,
rzekłem więc: *Hej, nie jestem potworem.*
A przynajmniej nie twoim potworem.
Jeszcze nie.

Dałem mu wizytówkę. *Talbot* – rzekł.
– *Jesteś regulatorem, z którym rozmawiałem?*
Zgadza się – odparłem. Twarde męskie gadki.
A ty masz coś, co chcesz wyregulować.
Oto nasz układ – dodałem.
Ja likwiduję twój problem. Ty płacisz, płacisz, płacisz.
Jasne – powiedział Roth. – *Tak się umówiliśmy. Zgoda.*
Ja sam uważam, że to euroizraelska mafia
albo żółtki. Boisz się ich?
Nie – odparłem. – *Nie boję się.*

Pożałowałem, że nie było mnie tam w czasach świetności.
Teraz piękni ludzie Rotha zmarnieli i wyblakli,
żadne z nich, z bliska,
nie wyglądało na prawdziwą laskę czy pakera, choć z dala można by tak sądzić.

O zmierzchu zaczyna się impreza.
Mówię Rothowi, że już za pierwszym razem nie znosiłem death metalu.
Odpowiada, że muszę być starszy, niż wyglądam.
Muzyka gra naprawdę głośno. Głośniki sprawiają, że cała plaża pulsuje i drży.

Szykuję się zatem, rozbieram i czekam
na czterech nogach w zagłębieniu wydmy.
Czekam dniami i nocami. Czekam. Czekam. Czekam.

Gdzie, do kurwy nędzy, podziewasz się ze swymi ludźmi? –
pyta Roth trzeciego dnia. *Za co ci, kurwa, płacę?*
Zeszłej nocy po plaży włączył się tylko wielki pies.
Ja odpowiadam uśmiechem. *Jak dotąd ani śladu problemów.*

A czuwam cały czas.
Mówię ci, to izraelska mafia – on na to.
Nigdy nie ufałem tym Europejczykom.

Nadchodzi trzecia noc.
Wielki księżyc ma barwę chemicznej czerwieni.

Dwoje ludzi bawi się w wodzie,
chłopak i dziewczyna,
hormony przebijają się przez mgłę narkotyków. Dziewczyna chichocze,
fale z szumem uderzają o brzeg.
Wróg popełniłby samobójstwo, przychodząc każdej nocy.
On jednak nie zjawia się co dzień,
toteż biegają wśród fal, chlapiąc wodą,
krzycząc z radości. Mam wielkie uszy
(*po to by lepiej ich słyszeć*) i bystre oczy
(*po to by lepiej ich widzieć*),
a oni są tak kurewsko szczęśliwi i napaleni, że mam ochotę splunąć.

Dla kogoś takiego jak ja najtrudniejsze
jest to, że tacy jak oni naprawdę powinni zginąć.
Ona krzyknęła pierwsza. Czerwony księżyc lśnił
zaledwie dzień po pełni.
Patrzyłem, jak dziewczyna wpada do wody, jakby
morze było głębokie na dziesięć metrów, a nie pół.
Czyżby coś wessało ją w głąb? Chłopak uciekł,
z jego kąpielówek tryskał strumień jasnego moczu,
a on potykał się i uciekał z wrzaskiem.

Wynurzyło się z wody powoli, niczym człowiek w kiepskim kostiumie potwora.
W ramionach niosło brązowoskórą dziewczynę. Ziewnąłem,
tak jak wielkie psy, i polizałem się po zadzie.

Stwór odgryzł twarz dziewczyny, resztki rzucił na piasek,
a ja pomyślałem: *mięso i chemikalia, jakże szybko
stają się mięsem i chemikaliami, wystarczy jedno ugryzienie
i już są mięsem i chemikaliami...*

Wówczas zjawili się ludzie Rotha, patrząc ze strachem w oczach,
trzymając w dłoniach broń automatyczną. To ich podniosło
i rozdarło, odrzucając szczątki na skąpany w blasku księżyca piasek.
Stwór wędrował sztywno plażą, biały piasek oblepiał
jego szarozielone stopy, błoniaste, szponiaste.

Jestem królem świata, mam! – zawył.
Jaka matka, pomyślałem, zrodziła coś takiego?
Z daleka, bardzo daleka, dobiegł mnie krzyk Rotha. *Talbot,
Talbot ty dupku. Gdzie jesteś?*

Wstałem, przeciągnąłem się i pobiegłem nagi plażą.
Witaj – rzekłem.
Cześć, kundlu – odparł stwór.
Zaraz wyrwę ci włochatą nogę i wepchnę do gardła.
Nie tak należy się witać – powiedziałem.
Jestem Grand Al – oznajmił.
A ty? Jojo, szczekający człowiek-pies?
Zamierzam pobić cię, zabić i rozszarpać jak śmiecia.

Stawaj, paskudna bestio – rzekłem.
Spojrzał na mnie oczami lśniącymi niczym dwie fajki do cracku.
Stawaj? Rany, chłopie. Kto mnie zmusi?
Ja – mruknąłem. *Ja.*
Jestem jednym ze stojącej gwardii.
Spojrzał na mnie tępo, zbolały i oszołomiony,
i przez moment zrobiło mi się go prawie żal.
A potem księżyc wychynął zza chmury,
a ja zacząłem wyć.
Jego skóra była blada niczym rybi brzuch,
zęby ostre jak u rekina,
palce zrosnięte błoną, zakończone szponami.
Z rykiem rzucił mi się do gardła.
Kim jesteś? – powiedział.
Och nie, nie – powiedział.
Kurde, to nie fair – powiedział.
A potem zamilkł, nie było już słów,
koniec ze słowami,
bo oderwałem mu rękę
i zostawiłem
z palcami spazmatycznie ściskającymi pustkę
na plaży.
Grand Al pobiegł ku falom, a ja ruszyłem za nim.
Fale były słone, jego krew cuchnęła,
Czułem jej czarny smak na języku.
Płynął, a ja za nim, dalej i dalej,
a kiedy poczułem, że pękają mi płuca,
cień świata miażdży gardło, głowę, umysł, pierś,
potwory mnie duszą,
dotarliśmy na starą platformę wiertniczą,
tam właśnie Grand Al popłynął, by umrzeć.
Zapewne tam też właśnie przyszedł na świat,
na zardzewiałej platformie, porzuconej w morzu.
Gdy dotarłem na miejsce, był już niemal martwy.
Zostawiłem go tam. Byłaby z niego dziwaczna karma dla ryb,
pełna zbląkanych prionów. Niebezpieczne mięso. Jednakże
kopnąłem go w szczękę, ukradłem rekini ząb,
który mu wybiłem – na szczęście.
I wtedy rzuciła się na mnie z kłami i pazurami.
Czemu tak dziwi nas fakt, że potwór miał matkę?
Tylu z nas ma matki.
Jeszcze pięćdziesiąt lat temu wszyscy mieli matki.
Zawodząc, wzywała syna, jęczała i płakała.

Pytała, jak mogłem być tak okrutny?
Przykucnęła, pogładziła jego twarz, a potem jęknęła.
Później zaś zaczęliśmy rozmawiać, szukając wspólnych tematów.
To, co robiliśmy, nie powinno was obchodzić.
I wy, i ja, robiliśmy to już wcześniej.
Nieważne, czy ją kochałem, czy zabiłem, jej syn wciąż leżał martwy.
Kłębowisko sierści i łusek,
jej szyja w moich zębach,
szpony rozdzierające jej plecy...
Lalalalalala. Oto najstarsza z pieśni.
Później wyszedłem z wody.
Roth czekał w blasku poranka.
Rzuciłem na plażę głowę Grand Ala,
drobny biały piasek oblepił mokre oczy.
Oto twój problem – oznajmiłem.
Owszem, nie żyje – przytaknął.
Co teraz? – spytał.
Duńskie złoto – rzekłem.
Myślisz, że pracował dla żółtków? – spytał –
albo euroizraelskiej mafii? Czy dla kogo?
To był sąsiad – odparłem. – *Chciał, żebyś tak nie hałasował.*
Tak sądzisz?
Ja to wiem – oświadczyłem, patrząc na głowę.
Skąd on się wziął? – spytał Roth.
Naciągnąłem ubranie, zmęczony po przemianie.
Mięso i chemia – szepnąłem.
Wiedział dobrze, że kłamię, lecz wilk mocny w gębie.
Siadłem na plaży, patrząc, jak niebo nad morzem
rozjaśniają powoli pierwsze ranne zorze,
i śniłem na jawie o dniu, gdy śmierć mnie dosięgnie.

Piętnaście malowanych kart z wampirzego tarota

0. Głupiec

– Czego chcesz?

Młody mężczyzna od miesiąca co noc przychodził na cmentarz. Patrzył, jak księżyc powleka zimnym blaskiem chłodny granit, jasny marmur, stare omszałe kamienie i posągi. Wzdrygał się, dostrzegając nagły ruch wśród cieni lub słysząc hukanie sowy. Obserwował zakochane pary, pijaków i nastolatków wędrujących nerwowo na skróty: wszystkich ludzi, którzy nocą przechodzili przez cmentarz.

Sypiał za dnia; nikogo to nie obchodziło. Czuwał samotnie w nocnym mroku i drżał z zimna. I wtedy pojął, że stoi na skraju przepaści.

Głos dobiegał z nocy, z zewsząd dookoła niego. Słyszał go w głowie i poza nią.

– Czego chcesz? – powtórzył głos.

Młody mężczyzna zastanawiał się, czy wystarczy mu odwagi, by odwrócić głowę i spojrzeć, i pojął, że nie.

– I co? Przychodzisz tu co noc, w miejsce gdzie żywi nie są mile widziani. Obserwuję cię czasem. Czemu?

– Chciałem cię poznać – odparł, nie odwracając głowy. – Chcę żyć wiecznie. – Jego głos załamał się nagle.

Teraz przekroczył krawędź przepaści, nie mógł się już cofnąć. W wyobraźni czuł ukłucie ostrych jak igły zębów na swej szyi. Bolesny wstęp do życia wiecznego.

I wtedy usłyszał dźwięk, niski i smutny, niczym szum podziemnej rzeki. Dopiero po kilku długich sekundach młody mężczyzna zrozumiał, że to śmiech.

– To nie jest życie – odparł głos.

Więcej się nie odezwał. Po jakimś czasie młody mężczyzna pojął, że prócz niego na cmentarzu nie ma już nikogo.

1. Mag

Kiedyś spytano lokaja St Germaina, czy jego pan ma naprawdę tysiąc lat, jak ponoć twierdził.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł tamten. – Pracuję dla niego zaledwie od trzystu lat.

2. Kapłanka

Skórę miała bladą, oczy ciemne, włosy ufarbowane na kolor kruczej czerni. Wystąpiła w talk show, twierdząc, że jest królową wampirów. Pokazała do kamery swe stworzone przez dentystów kły. Sprowadziła też dawnych kochanków, którzy z mniejszym czy większym

zakłopotaniem przyznawali, że raniła ich do krwi i piła ją.

– Ale widać cię w lustrze? – spytała prowadząca talk show. Była najbogatszą kobietą w Ameryce; swój majątek zdobyła, sprowadzając przed kamery dziwaków, ludzi cierpiących i zagubionych, i demonstrując ich ból całemu światu.

Widownia wybuchnęła śmiechem.

– Tak – odparła z lekką urazą kobieta. – Wbrew temu, co sądzą ludzie, wampiry widać w lustrach i kamerach telewizyjnych.

– Przynajmniej tu masz rację, złotko – powiedziała gospodyni talk show, wcześniej jednak zakryła dłonią mikrofon i słowa te nigdy nie zostały wyemitowane.

5. Papież

– Oto ciało moje – rzekł dwa tysiące lat temu. – Oto krew moja.

Była to jedyna religia zapewniająca swym wyznawcom dokładnie to, co przyrzekała: życie wieczne.

Wciąż żyją wśród nas tacy, którzy go pamiętają. Niektórzy twierdzą, że był Mesjaszem, inni, że tylko człowiekiem obdarzonym niezwykłymi mocami. Nie w tym jednak rzecz. Prawda kryje się gdzie indziej. Czymkolwiek był, odmienił świat.

6. Kochankowie

Po śmierci zaczęła nawiedzać go nocą. Z każdym dniem stawał się coraz bledszy, pod oczami występowały mu ciemne kręgi. Z początku sądzono, że ją opłakuje. Potem pewnej nocy zniknął z wioski.

Trudno im było dostać zgodę na ekshumację zwłok. W końcu jednak ją zdobyli. Wyciągnęli z grobu trumnę i zdjęli śruby, a potem wydobyli ze skrzyni to, co znaleźli. Na dnie trumny zebrało się sześć cali wody; rdza nadała jej barwę głębokiej, lekko pomarańczowej czerwieni. W trumnie leżały dwa ciała – oczywiście jej i jego. On rozłożył się szybciej niż ona. Później ktoś zastanawiał się głośno, jakim cudem oboje zmieścili się w jednej ciasnej trumnie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ich stan, dodał. Na pierwszy rzut oka dostrzegli, że była w zaawansowanej ciąży.

Wywołało to pewne zamieszanie, bo gdy ją grzebano, nikt tego nie zauważył.

Jeszcze później wykopali ją po raz ostatni, na prośbę władz kościelnych, do których dotarły pogłoski o tym, co znaleziono w grobie. Brzuch miała płaski. Miejscowy lekarz wyjaśnił, że ową ciążę spowodowały gazy, które rozduły brzuch. Mieszczanie przytakiwali z poważnymi minami, zupełnie jakby mu wierzyli.

7. Rydwan

Było to wspaniałe osiągnięcie inżynierii genetycznej: stworzyli rasę ludzi, którzy mogli wędrować wśród gwiazd. Ludzie ci musieli żyć niezwykle długo, bo odległości międzygwiazdne są ogromne. Z powodu ograniczeń miejsca ich zapasy prowiantu były skromne; musieli przeżyć, żywiąc się tym, co znajdują na miejscu, i skolonizować odkryte światy ludźmi sobie podobnymi.

Ojczysta planeta życzyła kolonistom powodzenia i wyprawiła ich w drogę. Wcześniej jednak, na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa usunięto wszelkie informacje o jej położeniu ze wszystkich komputerów statku.

10. Koło Fortuny

– Co pan zrobił z panią doktor? – spytała i roześmiała się. – Zdawało mi się, że przysłała dziesięć minut temu.

– Przepraszam – odparłem. – Byłem głodny.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

– Pójdę jej poszukać – rzekła.

Siedziałem w gabinecie, dłubiąc w zębach. Po dłuższej chwili asystentka wróciła.

– Przykro mi – powiedziała. – Pani doktor chyba musiała wyjść. Mogę pana umówić na przyszły tydzień?

Pokręciłem głową.

– Zadzwoń – oznajmiłem, i po raz pierwszy tego dnia skłamałem.

11. Sprawiedliwość

– To nie jest człowiek – oświadczył rajca. – Nie zasługuje na proces jak istota ludzka.

– Ach! – Adwokat westchnął. – Nie możemy jednak skazać nikogo bez procesu. Zresztą istnieją precedensy. Świnia, która pożarła dziecko, które wpadło do chlewika, została uznana winną i powieszona. Rój pszczoł uznany winnym śmiertelnego uządlenia staruszka spłonął, podpalony ręką miejskiego kata. Piekielny stwór także na to zasługuje.

Dowody przemawiające przeciw niemowlęciu były bezsporne. Oto one: pewna kobieta przywiozła dziecko ze wsi. Oznajmiła, że jest jej i że jej mąż nie żyje. Zamieszkała w domu kołodzieja i jego żony. Stary kołodziej zaczął skarżyć się na melancholię i stałe znużenie. Po jakimś czasie służący znalazł go martwego wraz z żoną i lokatorką. Niemowlę leżało w kołysce, blade i milczące. Jego twarz i wargi pokrywały plamy krwi.

Przysięgli nie mieli wątpliwości. Uznali, że stwór jest winny, i skazali go na śmierć.

Egzekucji miał dokonać miejski rzeźnik. Na oczach całego miasta rozciął niemowlę na dwoje i cisnął szczątki w ogień.

Jego własne dziecko zmarło kilka dni wcześniej. W tamtych czasach wysoka śmiertelność niemowląt była czymś zwyczajnym. Żona rzeźnika rozpacziała; złamało jej to serce.

Tuż przed egzekucją wyjechała z miasteczka do siostry w dużym mieście. Po tygodniu dołączył do niej rzeźnik. Cała trójka – rzeźnik, żona i dziecko – tworzyła piękną rodzinę. Piękniejszej nie znajdziesz.

14. Umiarkowanie

Oznajmiła, że jest wampirem. Natychmiast zorientowałem się, że to kłamczucha. Widać to było w jej oczach – czarnych jak węgle i nigdy nie patrzących wprost na ciebie. Cały czas spoglądała na coś niewidzialnego ponad twym ramieniem, za tobą, nad tobą, odrobinę w bok

od twarzy.

– Jak ona smakuje? – spytałem.

Działo się to na parkingu za barem. Kobieta pracowała na nocnej zmianie. Mieszała świetne drinki, ale sama nic nie piła.

– Jak sok pomidorowo-warzywny V8. Nie ten o obniżonej zawartości sodu, lecz oryginalny. Albo słone gazpacho.

– Co to jest gazpacho?

– Taki pomidorowy chłodnik.

– Nabierasz mnie.

– Nie.

– Naprawdę piłaś krew? Tak jak ja piję V8?

– Nie do końca tak – rzekła. – Jeśli tobie znudzi się V8, możesz przetrzucić się na coś innego.

– Jasne – mruknąłem. – Prawdę mówiąc, nie przepadam za V8.

– Widzisz? W Chinach nie pijemy krwi, tylko płyn rdzeniowy.

– A on? Jak smakuje?

– Nijak. Jak czysty bulion.

– Próbowalaś go?

– Znam ludzi.

Próbowałem sprawdzić, czy w bocznym lusterku ciężarówki, o którą się opieraliśmy, dostrzegę jej odbicie. Było jednak ciemno i niczego nie widziałem.

15. Diabeł

Oto jego portret. Spójrzcie na płaskie żółte zęby, rumianą twarz. Ma rogi. W jednej dłoni nosi długi na stopę drewniany kołek, w drugiej drewniany młotek.

Oczywiście nie ma czegoś takiego jak diabeł.

16. Wieża

Wieża wzniesiona z gniewu i kamienia W ciszy nie słychać dźwięku ni westchnienia – gryzący czuje gorycz ugryzienia (lepiej porzućcie nocą swe schronienia).

17. Gwiazda

Starsi i bogatsi podążają w ślad za zimą, za długimi nocami. Wolą jednak północną półkulę od południowej.

– Widzisz tę gwiazdę? – mówią, wskazując jedną z nich w gwiazdozbiornie Draco, Smoka. – Stamtąd przybyliśmy. I pewnego dnia tam wrócimy.

Młodszy, słysząc to, parska śmiechem i szydą. Gdy jednak lata zmieniają się w stulecia, odkrywają, że zaczynają tęsknić za miejscem, którego nigdy nie odwiedzili, i czują się lepiej na północy, gdzie Smok zamyka w swych splotach obie Niedźwiedzice i mroźną Gwiazdę Polarną.

19. Słońce

– Wyobraź sobie – powiedziała – że na niebie jest coś, co może cię zranić, albo nawet zabić. Olbrzymi orzeł czy coś podobnego. Wyobraź sobie, że jeśli wyjdiesz za dnia, orzeł cię schwyta.

Cóż – dodała – tak właśnie wygląda to dla nas. Tyle że nie jest to ptak, lecz jasne, piękne, niebezpieczne promienie słońca. Nie oglądałam ich już od stu lat.

20. Sąd Ostateczny

– To sposób rozmowy o pożądaniu bez wspomnienia samego pożądania – oznajmił. – To rozmowa o seksie i strachu przed seksem. O śmierci i strachu przed śmiercią. O czym jeszcze można rozmawiać?

22. Świat

– Wiesz, co jest najsmutniejsze? – powiedziała. – Najsmutniejsze jest to, że jesteśmy wami. Milczałam.

– W waszych fantazjach – ciągnęła – mój lud przypomina was samych, tyle że lepszych. Nie umieramy, nie starzejemy się, nie znamy bólu, chłodu, pragnienia. Świetnie się ubieramy. Kryjemy w sobie mądrość wieków. I choć pragniemy krwi, cóż... nie różni się to zbyt od tego, jak wy pragniecie pożywienia, czułości, bądź słońca. A poza tym dzięki temu wychodzimy czasem z domu. Krypty. Trumny. Jak wolisz. Oto wasze fantazje.

– A rzeczywistość? – spytałem.

– Jesteśmy wami – wyjaśniła. – Jesteśmy wami, mamy wszystkie wasze wady. Wszystko to co czyni was ludźmi: lęki, samotność, zagubienie... Nic z tego nie znika. Jesteśmy jednak zimniejsi niż wy, bardziej martwi. Tęsknię za światłem dnia, jedzeniem i wiedzą, jak to jest dotknąć kogoś i coś do niego czuć. Pamiętam życie, spotkania z ludźmi, o których myślałam jak o ludziach, nie o przedmiotach, którymi mogę zawładnąć, pożywić się. I pamiętam, jak to było, gdy coś czułam, cokolwiek. Radość bądź smutek... – urwała.

– Ty płaczesz? – spytałem.

– My nie płaczymy – odparła.

Jak już mówiłem, była kłamczuchą.

Załatwimy ich panu hurtowo

Peter Pinter nigdy nie słyszał o Arystypie Cyrenejczyku, jednym z mniej znanych uczniów Sokratesa, który twierdził, że unikanie kłopotów to najwyższe dobro, osiągalne dla człowieka, jednak przeżył całe swe spokojne życie zgodnie z tą właśnie zasadą, podporządkowując jej wszystko, poza jednym (niezdolnością niewykorzystania nadarzającej się okazji – a któż jest wolny od tej przywary?). Był bardzo skromnym człowiekiem, nie posuwał się do ekstremów. Mówił krótko, z rezerwą, rzadko się przejadał, pił dość, by nie wyróżniać się w towarzystwie i tylko tyle, z całą pewnością nie był bogaty i w żadnym razie nie biedny, lubił ludzi i ludzie lubili jego. Biorąc to wszystko pod uwagę, czy oczekiwalibyście, że zastaniecie go w nawiedzonym przez szumowiny pubie w gorszej części londyńskiego East Endu, szykującego się do zawarcia tak zwanego „kontraktu” na kogoś, kogo ledwie znał? Z pewnością nie. W ogóle nie spodziewalibyście się ujrzeć go w tym miejscu.

I do pewnego piątkowego popołudnia mielibyście rację. Lecz miłość robi różne rzeczy z mężczyznami nawet tak bezbarwnymi jak Peter Pinter, a okrycie, że panna Gwendolyn Thorpe, dwadzieścia trzy lata, zamieszkała w Purley przy Oaktree Terrace 9, zadaje się (jak mawiają ludzie przyziemni) z gładkim młodzieńcem z działu księgowości – i to po tym, gdy zgodziła się przywdziać zaręczynowy pierścionek wysadzany prawdziwymi odłamkami rubinu, zrobiony z dziewięciokaratowego złota z czymś, co mogło być nawet brylantem pośrodku (£ 37.50), którego wybór zabrał Peterowi niemal całą przerwę na lunch – potrafi zrobić z mężczyzną naprawdę bardzo dziwne rzeczy.

Gdy Peter dokonał tego wstrząsającego odkrycia, przez całą noc przewracał się w łóżku, nie mogąc zasnąć, dręczony wizjami Gwendolyn i Archiego Gibbonsa (donżuana działu księgowości domu towarowego Clamages), tańczącymi mu przed oczami. W jego wyobraźni oboje dokonywali aktów, które, jak musiałby przyznać, gdyby ktoś przycisnął go do muru, prawdopodobnie w rzeczywistości nie byłyby wykonalne. Lecz żółć zazdrości wezbrała mu w gardle i rankiem Peter postanowił, że jego rywal powinien zniknąć z powierzchni ziemi.

Cały sobotni ranek zastanawiał się, jak nawiązać kontakt z zabójcą. Z tego, co Peter wiedział, Clamages (sklep zatrudniający całą trójkę złączoną w odwiecznym trójkącie; skądinąd pierścionek także kupił w tym właśnie sklepie) nie zatrudniał ani jednego zabójcy, a Peter nie miał ochoty pytać kogokolwiek wprost, bo bałby się zwrócić na siebie uwagę.

I tak w sobotnie popołudnie zaczął przetrząsać książkę telefoniczną.

Wkrótce odkrył, że zabójców nie ma pomiędzy zabawek produkcją i zabytków renowacją; a morderców nie znajdzie pomiędzy modelek agencjami a motocyklami (sprzedaż, naprawa). Eksterminacja wyglądała całkiem obiecująco, jednak po bliższym przyjrzeniu się reklamom stwierdził, że dotyczą one niemal wyłącznie szczurów, myszy, pcheł, karaluchów, królików, kretów i szczurów (by zacytować jedną z nich; Peter uznał, że szczury traktuje się w niej nieco zbyt surowo), nie zaś tego, o co mu chodziło. Jednakże pedantyczny z natury starannie przejrzał

wszystkie ogłoszenia w tej kategorii i na dole drugiej strony, napisane małym drukiem, dostrzegł coś, co wyglądało obiecująco.

Całkowicie dyskretne usuwanie drażniących, niechcianych ssaków itp., brzmiało ogłoszenie. *Ketch, Hare, Burke i Ketch. Stara Firma*. Nie było adresu, jedynie numer telefonu.

Peter wystukał numer zaskakując sam siebie. Serce tłukło mu się w piersi, starał się zachowywać nonszalancko. Telefon zadzwonił raz, drugi, trzeci. Peter zaczynał już mieć nadzieję, że nikt nie odpowie i będzie mógł zapomnieć o całej sprawie, gdy rozległ się szczełk i energiczny kobiecy głos powiedział:

– Ketch, Hare, Burke, Ketch. Czym mogę służyć?

Uważając, by nie podać własnego nazwiska, Peter spytał:

– Jak duże, to znaczy jakiej wielkości ssaki podpadają pod waszą ofertę? Wie pani, chodzi o pozbycie się.

– To zależy wyłącznie od rozmiaru, który pana interesuje.

Zebrał się na odwagę.

– Jak... człowieka?

Jej głos nie zmienił się nawet odrobinę.

– Oczywiście, proszę pana. Ma pan pod ręką pióro i kartkę papieru? Doskonale. Proszę dziś o ósmej zjawić się w pubie Pod Brudnym Osłem przy Little Courtney Street, E 3. Niech pan przyniesie zwinięty egzemplarz *Financial Timesa* – to różowa gazeta, proszę pana. Nasz przedstawiciel skontaktuje się z panem. – To rzekłszy, odłożyła słuchawkę.

Peter był wniebowzięty. Cała sprawa okazała się znacznie łatwiejsza, niż sobie wyobrażał. Poszedł do kiosku i kupił egzemplarz *Financial Timesa*. Następnie znalazł w książkowym planie miasta Little Courtney Street. Przez resztę popołudnia oglądał w telewizji football i wyobrażał sobie pogrzeb gładkiego młodzieńca z księgowości.

* *
*

Odnalezienie pubu zabrało mu nieco czasu. W końcu dostrzegł szyld, na którym wymalowano osła i który był rzeczywiście brudny.

Pod Brudnym Osłem okazał się niewielkim, obskurnym, kiepsko oświetlonym lokalem. W środku roiło się od nieogolonych ludzi w zakurzonych marynarkach, którzy przyglądali się sobie nawzajem chrupiąc chipsy i pijąc Guinnessa (Peter nigdy za nim nie przepadał). Peter trzymał pod pachą swego *Financial Timesa*, starając się czynić to jak najbardziej demonstracyjnie. Nikt do niego nie podszedł, toteż kupił sobie pół kufła piwa z lemoniadą i wycofał się do stolika w rogu. Niezdolny myśleć o czymkolwiek, spróbował poczytać gazetę, wkrótce jednak zgubił się w labiryncie prognozowanych cen zboża i firmy gumowej sprzedającej coś krótkiego (nie potrafił powiedzieć, o co krótkiego chodziło), zrezygnował zatem, wpatrując się w drzwi.

Czekał tak niemal dziesięć minut. Wreszcie do środka wpadł drobny, energiczny mężczyzna, rozejrzał się szybko, podszedł wprost do stolika Petera i usiadł.

Wyciągnął rękę.

– Kemble, Burton Kemble z firmy Ketch, Hare, Burke, Ketch. Słyszałem, że ma pan dla nas pracę.

Nie wyglądał jak zabójca. Peter powiedział to głośno.

– O mój Boże, nie! Nie należę do pionu roboczego. Zajmuję się sprzedażą.
Peter przytaknął. To miało sens.
– Czy my... no... możemy swobodnie rozmawiać?
– Oczywiście. Nikogo to nie interesuje. Ilu ludzi chciałby się pan pozbyć?
– Tylko jednego. Nazywa się Archibald Gibbons. Pracuje w dziale księgowym domu towarowego Clamages, jego adres to...
– Do tego przejdziemy później – przerwał mu Kemble – jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Na razie omówmy kwestie finansowe. Po pierwsze, kontrakt będzie pana kosztował pięćset funtów...
Peter przytaknął. Mógł sobie na to pozwolić. Prawdę mówiąc, oczekiwał nieco większej sumy.
– ...choć istnieje też oferta specjalna – dokończył gładko Kemble.
Oczy Petera rozblęły. Jak już wcześniej wspomniałem, uwielbiał wszelkie okazje i często na wyprzedażach bądź przecenach kupował rzeczy, których w ogóle nie potrzebował. Poza tą jedną wadą (jakże powszechną) był bardzo skromnym młodzieńcem.
– Oferta specjalna?
– Dwóch za cenę jednego, proszę pana.
Peter zastanowił się przez moment. To oznaczało zaledwie dwieście pięćdziesiąt funtów za osobę. Nieźle, jakby na to nie patrzeć. Istniał tylko jeden haczyk.
– Obawiam się, że nie mam nikogo innego, kogo chciałbym się pozbyć.
Kemble sprawiał wrażenie zawiedzionego.
– Szkoda, proszę pana. Przy dwóch osobach moglibyśmy zbić cenę nawet do powiedzmy czterystu pięćdziesięciu funtów.
– Naprawdę?
– Dzięki temu nasi agenci mają co robić. Musi pan wiedzieć – tu zniżył głos – że w naszej branży nie ma zbyt wiele pracy. Nie to, co w dawnych czasach. Czy naprawdę nie ma nikogo innego, kogo śmierci pan sobie życzy?
Peter zastanowił się głęboko. Nie znosił przegapić okazji, ale zupełnie nie mógł wymyślić nikogo innego. Lubił ludzi. Mimo wszystko okazja to okazja...
– Proszę posłuchać – rzekł – czy mógłbym się nad tym zastanowić i spotkać z panem tutaj jutro, o tej samej porze?
Sprzedawca uśmiechnął się z zadowoleniem.
– Oczywiście, proszę pana. Jestem pewien, że coś pan wymyśli.
Odpowiedź – jakże oczywista – przyszła Peterowi do głowy w chwili, gdy tej nocy odpływał w sen. Gwałtownie usiadł na łóżku, zapalił lampkę nocną i na starej kopercie zapisał nazwisko na wypadek, gdyby go zapomniał. Prawdę mówiąc, wątpił, by kiedykolwiek zdołał je zapomnieć, było bowiem boleśnie oczywiste, ale z nocnymi myślami nigdy nic nie wiadomo.
Nazwisko zapisane na starej kopercie brzmiało:
Gwendolyn Thorpe.
Peter zgasił światło, przekręcił się na drugi bok i wkrótce zasnął, śniąc spokojne, bynajmniej nie mordercze sny.

* *
*

Gdy w niedzielny wieczór Peter zjawił się Pod Brudnym Osłem, Kemble już na niego czekał.

Peter kupił sobie drinka i usiadł obok tamtego.

– Chcę wykorzystać ofertę specjalną – oznajmił na powitanie.

Kemble skwapliwie skinął głową.

– Bardzo mądra decyzja, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Peter Pinter uśmiechnął się skromnie niczym człowiek, który czytuje *Financial Timesa* i podejmuje mądre decyzje biznesowe.

– To będzie czterysta pięćdziesiąt funtów, zgadza się?

– Powiedziałem czterysta pięćdziesiąt funtów? Dobry Boże! Bardzo przepraszam, strasznie pana przepraszam. Myślałem o taryfie grupowej. Za dwie osoby to będzie czterysta siedemdziesiąt pięć funtów.

Na nudnej młodzieńczej twarzy Petera poczucie zawodu walczyło o lepsze z chciwością. To oznaczało dodatkowych dwadzieścia pięć funtów. Jednak coś, co powiedział Kemble, przyciągnęło jego uwagę.

– Taryfa grupowa?

– Oczywiście, ale wątpię, czy to pana zainteresuje.

– Ależ nie, interesuje. Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Doskonale. Taryfa grupowa, czterysta pięćdziesiąt funtów, dotyczy dużego zlecenia.

Dziesięciu osób.

Peter zastanawiał się, czy dobrze usłyszał.

– Dziesięć osób? Ależ to zaledwie czterdzieści pięć funtów za jedną.

– Owszem, proszę pana. To wielkość zamówienia sprawia, że jest zyskowna.

– Rozumiem – rzekł Peter. Odchrząknął. – Czy zechce pan przyjść tu jutro o tej samej porze?

– Oczywiście, proszę pana.

Po powrocie do domu Peter wziął do ręki kartkę i długopis. Z jednej strony zapisał w kolumnie liczby od jednego do dziesięciu, a potem zaczął wypełniać miejsca obok nich.

1... Archie G.

2... Gwennie.

3...

I tak dalej.

Zapełniwszy dwa pierwsze miejsca siadł bez ruchu, ssąc długopis i poszukując w pamięci wyrządzonych sobie krzywd i ludzi, bez których świat okazałby się lepszy.

Zapalił papierosa. Zaczął krążyć po pokoju.

Aha! W szkole miał nauczyciela fizyki, który z rozkoszą uprzykrzał mu życie. Jak on się nazywał? I czy w ogóle jeszcze żyje? Peter nie był pewien, zapisał jednak „nauczyciel fizyki, liceum przy Abbot Street” obok cyfry trzy. Następny kandydat okazał się łatwiejszy – szef działu kilka miesięcy wcześniej odmówił mu podwyżki. Fakt, że w końcu ją dostał, nie miał znaczenia. Pan Hunterson stał się numerem cztery.

Kiedy Peter miał pięć lat, chłopak nazwiskiem Simon Ellis wylał mu na głowę farbę, podczas gdy inny chłopak, James Jakośtam, go przytrzymał, a dziewczyna, Sharon Hartsharpe, śmiała się głośno. Zostali numerami pięć do siedmiu.

Kto jeszcze?

W telewizji był facet czytający dzienniki z irytującym uśmieszkiem. Trafił na listę. A co z kobietą z mieszkania obok, hodującą małego jazgotliwego pieska, który srał w holu? Umieścił ją wraz z psem pod numerem dziewięć. Dziesiątka okazała się najtrudniejsza. Peter drapał się po głowie. Poszedł do kuchni napić się kawy, nagle jednak śmignął z powrotem

i napisał na wolnym miejscu „mój cioteczny dziadek Mervyn”. Stary był podobno dość majątny i istniała możliwość (choć raczej niewielka), że zostawi mu trochę grosza.

Zadowolony z dobrze wykonanej pracy położył się do łóżka.

Poniedziałek w Clamages przebiegał jak zawsze. Peter był starszym asystentem sprzedaży w dziale książkowym. Praca ta nie wymagała zbyt wiele. W prawej dłoni, ukrytej głęboko w kieszeni, ścisnął mocno listę, napawając się poczuciem władzy, jakie się z nią wiązało. Przerwę na lunch spędził miło w stołówce w towarzystwie młodej Gwendolyn (która nie miała pojęcia, że widział, jak razem z Archiem wchodziła do magazynu). Uśmiechnął się nawet do gładkiego młodzieńca z księgowości, mijając go w korytarzu.

Tego wieczoru z dumą zaprezentował Kemble'owi swą listę.

Drobny mężczyzna zmartwił się wyraźnie.

– Obawiam się, że to nie dziesięć osób, panie Pinter – wyjaśnił. – Policzył pan kobietę zza ściany i jej psa jako jedną osobę. To oznacza jedenaście, czyli jedną dodatkową. – Błyskawicznie wydobyl kieszonkowy kalkulator. – Dodatkowe siedemdziesiąt funtów. Może odpuścimy sobie psa?

Peter potrząsnął głową.

– Pies jest równie okropny jak kobieta, albo jeszcze gorszy.

– Zatem mamy drobny problem. Chyba że...

– Co takiego?

– Chyba że wykorzysta pan ofertę hurtową. Ale oczywiście nie byłby pan...

Istnieją słowa, które działają na ludzi, słowa sprawiające, że ludzkie twarze rozświetla nagle radość, podniecenie, namiętność. Przykładem może być „środowiskowy” albo „okultystyczny”.

W przypadku Petera było to słowo „hurtowy”. Wygodniej rozsiadł się na swym krześle.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – rzekł z wycwiczoną pewnością siebie doświadczonego miłośnika zakupów.

– No cóż, proszę pana – rzekł Kemble z lekkim uśmiechem. – Możemy, umm, załatwić ich panu hurtowo, siedemnaście pięćdziesiąt sztuka za każdy cel powyżej pięćdziesięciu albo dziesięć funtów sztuka powyżej dwustu osób.

– Podejrzewam, że gdybym chciał się pozbyć tysiąca ludzi, to zszedłby pan do pięciu?

– Ależ nie, proszę pana. – Kemble sprawiał wrażenie wstrząśniętego. – Jeśli mówimy o tym rzędzie wielkości, możemy to zrobić za funta od sztuki.

– Jednego funta???

– Zgadza się, proszę pana. Nie przynosi to zbyt wielkiego zysku, ale zadowala nas wysoki obrót i produktywność.

Kemble wstał.

– Jutro o tej samej porze?

Peter przytaknął.

Tysiąc funtów. Tysiąc ludzi. Peter Pinter nawet nie znał tysiąca ludzi. Ale mimo wszystko... był przecież Parlament. Nie lubił polityków; cały czas gadali i kłócili się bez końca.

A skoro już o tym mowa...

Nowy pomysł, wstrząsający w swej śmiałości. Odważny. Niezwykły. Utkwił mu w głowie i nie chciał zniknąć. Jego daleka kuzynka poślubiła młodszego brata hrabiego, barona, czy kogoś w tym stylu.

Tego popołudnia, wracając z pracy, Peter odwiedził mały sklepik, który mijał wcześniej tysiące razy. W oknie wisiał wielki szyld – gwarantujemy, że sprawdzimy dokładnie każde

drzewo genealogiczne, a nawet przygotujemy herb, jeśli przypadkiem zaginął – i imponujący wykres heraldyczny.

Pracownicy zakładu okazali się bardzo skorzy do pomocy. Tuż po siódmej zadzwonili i przekazali mu wiadomość.

Gdyby zginęło około czternastu milionów siedemdziesięciu dwóch tysięcy ośmiuset jedenastu ludzi, Peter Pinter zostałby królem Anglii.

Oczywiście nie miał czternastu milionów siedemdziesięciu dwóch tysięcy ośmiuset jedenastu funtów, podejrzewał jednak, że przy takim rządzie wielkości pan Kemble zaproponuje mu jedną ze zniżek specjalnych.

I rzeczywiście.

Kemble nie uniósł nawet brwi.

– Prawdę mówiąc – wyjaśnił – wszystko to odbywa się dość tanio. Nie będziemy musieli załatwiać ich indywidualnie. Mała głowica jądrowa, ściśle zaplanowane bombardowanie, użycie gazu, broni biologicznej, wrzucanie odbiorników radiowych do basenów, a potem dokończenie reszty. Powiedzmy, cztery tysiące funtów.

– Cztery ty...? To niewiarygodne!

Sprzedawca sprawiał wrażenie ogromnie zadowolonego z siebie.

– Nasi agenci chętnie przyjmą to zlecenie, proszę pana. – Uśmiechnął się szeroko. – Szczycimy się naszą pierwszorzędną obsługą klientów hurtowych.

Gdy Peter wychodził z pubu, powiał zimny wiatr, kołysząc starym szyldem. Przedstawione na nim zwierzę nie przypominało brudnego osła, pomyślał Peter. Prędzej bladego konia.

Tej nocy Peter już zasypiał, w myślach powtarzając mowę koronacyjną, gdy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł, wpadł i nie chciał odejść. Czyżby – czyżby wciąż istniała jeszcze większa okazja? Czy to możliwe, by nie dostrzegł nadarzającej się sposobności?

Wygramolił się z łóżka i podszedł do telefonu. Dochodziła trzecia rano, ale jednak...

Książka telefoniczna leżała otwarta w miejscu, gdzie zostawił ją zeszłej soboty. Wybrał numer.

Telefon wydawał się dzwonić wiecznie. W końcu rozległ się szcęk i znudzony głos powiedział:

– Burke, Hare, Ketch, czym mogę służyć?

– Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno... – zaczął.

– Oczywiście, że nie, proszę pana.

– Zastanawiam się, czy mógłbym rozmawiać z panem Kemble.

– Zaczeka pan? Zobaczę, czy jest uchwytny.

Peter odczekał kilka minut, słuchając upiornych trzasków i szeptów, nieodmiennie towarzyszących ciszy w telefonie.

– Jest pan tam?

– Tak, jestem.

– Przełączam.

Rozległ się brzęk, a potem:

– Mówi Kemble.

– Panie Kemble, dobry wieczór. Przepraszam, jeśli wyrwałem pana z łóżka. Mówi Peter Pinter.

– Tak, panie Pinter?

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale zastanawiałem się... ile kosztowałoby zabicie

wszystkich? Wszystkich na świecie?

– Wszystkich? Wszystkich ludzi?

– Tak. Ile? To znaczy... przy podobnym zamówieniu musiałyby pan zastosować znaczący upust. Ile by to wyniosło? Za wszystkich?

– Absolutnie nic, panie Pinter.

– To znaczy, że tego nie zrobicie?

– To znaczy, że zrobimy to za darmo, panie Pinter. Wystarczy nas tylko poprosić. Zawsze trzeba nas poprosić.

Peter nie do końca rozumiał.

– Ale... kiedy zaczniecie?

– Zaczniemy natychmiast, w tej chwili. Od dawna byliśmy gotowi, ale trzeba nas było poprosić, panie Pinter. Dobranoc. Miło się z panem współpracowało.

W telefonie zapadła cisza.

Peter czuł się dziwnie. Wszystko wydawało się bardzo odległe. Zapragnął usiąść. O co u licha chodziło tamtemu facetowi? „Zawsze trzeba nas poprosić”. Dziwne. Na tym świecie nikt niczego nie robi za darmo. Miał wielką ochotę zadzwonić do Kemble’a i wszystko odwołać. Może zareagował zbyt przesadnie? Może istniał zupełnie niewinny powód, dla którego Archie i Gwendolyn wybrali się razem do magazynu? Porozmawia z nią, oto co robi. Jutro z samego rana porozmawia z Gwennie.

I wtedy zaczął się hałas.

Dziwne krzyki z drugiej strony ulicy. Koci pojedynek? Raczej lisy. Miał nadzieję, że ktoś rzuci w nie butem. A potem w korytarzu przed drzwiami mieszkania usłyszał stłumiony stuk i szelest, jakby ktoś ciągnął po podłodze coś bardzo ciężkiego. Dźwięk ucichł. Ktoś zastukał do jego drzwi, dwukrotnie, bardzo cicho.

Za oknem krzyki stawały się coraz głośniejsze. Peter siedział w fotelu, wiedząc, że gdzieś, coś jednak przeoczył, coś ważnego. Stukanie rozległo się ponownie. Rad był, że nocą zawsze zamyka drzwi na klucz i łańcuch.

Od bardzo dawna byli gotowi, ale najpierw ktoś musiał ich poprosić...

* *
* *

Kiedy istota przeszła przez drzwi, Peter zaczął krzyczeć, ale nie krzyczał długo.

Jedno życie, urządzone w stylu wczesnego Moorcocka...

Jasnowłosa książkę albinos dźwignął w górę swój ogromny, czarny miecz.

– *Oto Zwiastun Burzy – rzekł – który wyssie z ciebie życie.*

Księżniczka westchnęła.

– *Doskonale. Jeśli musisz to zrobić, by zdobyć energię potrzebną do walki z wojownikami smoków, zabij mnie i pozwól, aby twój miecz pożywił się moją duszą.*

– *Nie chcę tego zrobić – westchnął.*

– *Nic nie szkodzi – odparła księżniczka, rozdzierając zwiewną suknię i odsłaniając przed nim swą pierś. – Oto moje serce – dodała, wskazując palcem. – Tu właśnie musisz uderzyć.*

Nigdy nie dotarł dalej. Tego dnia poinformowano go, że zostaje przeniesiony o klasę wyżej i potem to już nie miało sensu. Dawno nauczył się nie próbować ciągnąć historii z jednego roku w następny. Teraz miał dwanaście lat.

Mimo wszystko żałował.

Tytuł wypracowania brzmiał „Spotkanie z ulubionym bohaterem literackim” i Richard wybrał Elryka. Zastanawiał się nad Corumem, Jerrym Corneliusem, a nawet Conanem Barbarzyńcą, lecz Elryk z Melnibone wygrał w przedbiegach, jak zawsze.

Richard pierwszy raz zetknął się ze *Zwiastunem Burzy* trzy lata wcześniej, w wieku lat dziewięciu. Uciulał sumkę potrzebną do zakupu *Singing Citadel* (niezłe oszustwo, uznał; tylko jedno opowiadanie o Elryku), a potem pożyczył pieniądze od ojca, by kupić *Śpiącą czarodziejkę*, znaną na stojaku podczas zeszłorocznych wakacji w Szkocji. W *Śpiącej czarodziejce* Elryk spotyka Erikose’a i Coruma, dwa inne aspekty Wiecznego Wojownika, i wszyscy zaczynają współdziałać.

Co znaczy, uświadomił sobie, skończywszy książkę, że powieści o Corumie, Erikose’ie i Dorianie Hawkmoonie tak naprawdę także opowiadają o Elryku. Zaczął więc je kupować i nawet mu się spodobały. Nie były jednak tak dobre jak Elryk. Elryk był najlepszy.

Czasami siedział przy biurku i rysował Elryka, próbując oddać go możliwie najwierniej. Żaden z przedstawiających Elryka obrazków na okładkach książek nie wyglądał jak białoskóry książę, tkwiący w jego głowie. Rysował swych Elryków wiecznym piórem w pustych szkolnych zeszytach, zdobytych dzięki oszustwu. Na okładce wypisywał swe nazwisko: RICHARD GREY. PROSZĘ NIE KRAŚĆ.

Czasami myślał, że może powinien jednak spróbować dokończyć swoje opowiadanie o Elryku. Może nawet sprzedałby je jakiemuś pismu. Ale co, gdyby dowiedział się o tym Moorcock? Czy miałby z tego powodu kłopoty?

Klasa była obszerna, pełna drewnianych ławek. Każdą z nich pokrywały napisy, rysy i plamy atramentu, ważne dla zasiadającego w niej ucznia. Na ścianie widniała tablica ozdobiona kredowym rysunkiem: całkiem niezłą podobizną penisa, kierującego się w stronę czegoś w kształcie litery Y, w założeniu kobiecych genitaliów.

Drzwi na dole trzasnęły. Ktoś wbiegł po schodach.

– Grey, ty frajerze, co ty tu robisz? Powinniśmy już być na dolnym boisku! Grasz dziś w piłkę.

– Tak? Gram?

– Ogłoszono to dziś rano podczas zebrania. Lista wisi na tablicy.

J.B.C. MacBride był jasnowłosym chłopcem w okularach, zaledwie odrobinę bardziej zorganizowanym niż Richard Grey. Do szkoły uczęszczało dwóch J. MacBride'ów. Dzięki temu pozwolono używać mu pełnych inicjałów.

– Aha.

Grey podniósł swą książkę (*Tarzan w jądze Ziemi*) i ruszył za przyjacielem. Na niebie wisały ciemnoszare chmury, zwiastujące deszcz i śnieg.

Ludzie wciąż ogłaszali rzeczy, których nie dostrzegali. Zjawiał się w pustych klasach, spóźniał na mecze, przychodził do szkoły w dniu, gdy wszyscy rozjechali się do domów. Czasami miał wrażenie, że żyje w innym świecie niż pozostali.

Teraz ruszył grać w piłkę z *Tarzanem w jądze Ziemi* wepchniętym z tyłu za gumkę szorstkich niebieskich spodenek.

* *
*

Nienawidził pryszniców i kąpieli. Nie pojmował, czemu muszą odpracować jedno i drugie, ale tak właśnie było.

Umierał z zimna i bardzo kiepsko grał. Zaczynał czuć przekorną dumę z faktu, że jak dotąd od początku pobytu w szkole nie udało mu się zdobyć ani jednego gola, zaliczyć okrążenia, kogokolwiek wykluczyć i w ogóle zrobić czegokolwiek. Zawsze był ostatnią osobą wybieraną do drużyny.

Elryk, dumny, blady książę Melnibończyków, nigdy nie musiałby stać na boisku w środku zimy, czekając, aż skończy się mecz.

Spod pryszniców buchała para. Wewnętrzną stronę ud miał czerwoną i poobcieraną. Chłopcy stali nadzy, drżący, tworząc kolejkę do pryszniców. Potem przechodzili do kąpieli.

Pan Murchinson, starszy mężczyzna o szalonym spojrzeniu i skórzastej pomarszczonej twarzy, niemal zupełnie łysy, zajął pozycję w szatni, kierując nagich chłopców pod prysznic, a potem do łaźni.

– Hej, ty, chłopcze! Głuptasie. Jamieson, pod prysznic. Atkinson, smarkaczu, wejdź pod wodę jak należy. Smiggins, do łaźni, Goring, zajmij jego miejsce...

Prysznice były zbyt gorące, woda w łaźni lodowato zimna i zabłocona.

Gdy pana Murchinsona nie było w pobliżu, chłopcy tłukli się rącznikami, żartowali na temat swych penisów i tego, który z nich ma już włosy łonowe, a który nie.

– Nie bądź idiotą! – syknął ktoś w pobliżu Richarda. – Jeśli Murch wróci, zabije cię. – Słowom wtórował nerwowy chichot.

Richard obejrzał się i spojrzał. Jeden ze starszych chłopców miał erekcję. Stojąc pod prysznicem pocierał powoli ręką wzdłuż penisa, demonstrując ją dumnie reszcie chłopaków.

Richard odwrócił głowę.

* *
*

Falszerstwo było aż nazbyt łatwe. Richard potrafił całkiem niezłe podrabiać podpis Murcha. Doskonale za to wychodziło mu pismo i podpis kierownika domu, wysokiego, chudego mężczyzny nazwiskiem Trellis. Nie znosili się od lat.

Dzięki podpisowi pobierał czyste zeszyty z biura przydzielającego uczniom – na żądanie nauczyciela – papier, ołówki, pióra i linijki.

Richard pisał w zeszytach opowiadania i wiersze, rysował też obrazki.

* *
*

Po kąpieli Richard wytarł się i ubrał pospiesznie. Chciał jak najszybciej wrócić do książki, do zaginionego świata.

Powoli wyszedł z budynku z przekrzywionym kołnierzem i łopoczącą koszulą, czytając o lordzie Greystoke i zastanawiając się, czy rzeczywiście istnieje świat wewnątrz świata, w którym latają dinozaury i nigdy nie zapada noc.

Światło dnia zaczynało już przygasać, wokół szkoły jednak wciąż jeszcze kręciło się sporo chłopców rzucających piłkami tenisowymi. Dwóch młodszych grało w kasztany obok ławki. Richard oparł się o ceglana ścianę i zaczął czytać. Świat zewnętrzny zniknął, krępujące chwile w szatni odpłynęły w niebyt.

– Przynosisz nam wstyd, Grey.

– Ja?

– Spójrz tylko na siebie. Masz przekrzywiony krawat. Przynosisz wstyd całej szkole, ot co. Chłopak nazywał się Lindfield. Chodził dwie klasy wyżej, był jednak rosty jak dojrzały mężczyzna.

– Spójrz tylko na swój krawat! Popatrz na niego. – Lindfield szarpnęła zielony krawat Richarda, ściągając go w twardy, ciasny węzeł. – Żałosny.

Śmiejąc się, odszedł z przyjaciółmi.

Elryk z Melnibone stał pod ceglana ścianą szkoły, patrząc wprost na niego. Richard pociągnął węzeł, próbując go rozluźnić. Krawat wpijał mu się w szyję.

Majstrował rękami przy węźle.

Nie mógł oddychać, nie przejmował się jednak oddychaniem, martwił się, czy ustoi na nogach. Nagle zapomniał, jak to się robi. Z ulgą odkrył jednak, że ceglana ścieżka, na której stał, okazała się całkiem miękka. Zbliżyła się powoli i go objęła.

Stali razem pod wyniosłym, nocnym niebem, na którym świeciły tysiące olbrzymich gwiazd, obok ruin czegoś, co niegdyś mogło być starożytną świątynią.

Rubinowe oczy Elryka spoglądały wprost na niego. Richard pomyślał, że wyglądają jak oczy wyjątkowo dzikiego, białego królika, którego kiedyś hodował. Potem królik przegryzł druty klatki i uciekł na pola Sussex, aby siać lęk w sercach niewinnych lisów. Skóra mężczyzny była idealnie biała, jego zbroja – ozdobna i elegancka, pokryta misternymi wzorami – absolutnie czarna. Miękkie białe włosy fruwały wokół ramion jak unoszone wiatrem, powietrze jednak trwało w bezruchu.

– Chcesz zatem zostać towarzyszem bohaterów? – spytał Elryk. Głos miał łagodniejszy, niż Richard przypuszczał.

Chłopak przytaknął.

Elryk jednym długim palcem ujął go pod brodę i uniósł mu twarz. Krwawe oczy, pomyślał

Richard, krwawe oczy.

– Nie jesteś towarzyszem, chłopcze – rzekł tamten w Wysokiej Mowie Melnibone.

Richard zawsze wierzył, że jeśli tylko usłyszysz Wysoką Mowę, zrozumie ją, mimo że kiepsko sobie radził z łaciną i francuskim.

Kim zatem jestem? – pomyślał. Proszę, powiedz mi. Proszę.

Elryk nie odpowiedział. Odszedł od Richarda, znikając w ruinach świątyni.

Richard pobiegł za nim.

Wewnątrz świątyni zastał czekające nań życie, gotowe do przywdziania i przeżycia, a wewnątrz niego kolejne. Każde życie, które mierzył, pociągało go, wabiło coraz dalej, dalej od świata, z którego przybył. Kolejne ludzkie istnienia, rzeki snów, pola gwiazd, sokół z wróblem w szponach, frunący nisko nad łąką. A oto drobni, delikatni ludzie, czekający, aż wypełni ich głowy życiem. Mijają tysiące lat, a on zajmuje się niezwykłą pracą, tworząc rzeczy ogromnie ważne i piękne. Jest kochany, szanowany i nagle szarpnięcie, ostre szarpnięcie i...

...przypominało to wynurzanie się z dna najgłębszej części basenu. Nad jego głową pojawiły się gwiazdy, po czym spadły i rozpląnęły się w błękit i zieleń. Z przejmującym uczuciem zawodu znów stał się Richardem Greyem. Przepelniało go nieznane dotąd uczucie, bardzo wyraźne, tak wyraźne, że zdumiał się później, odkrywszy, iż nie ma na nie nazwy: niesmak i żal z powodu tego, że musi wracać do czegoś, co już dawno uznał za skończone, załatwione, porzucone i zapomniane.

Richard leżał na ziemi; Lindfield szarpał węzeł jego krawata. Wokół stali inni chłopcy. Patrzyli na niego z troską, niepokojem, lękiem.

W końcu Lindfield rozwiązał krawat. Richard z jękiem zaczerpnął powietrza, przełknął je, wessał do płuc.

– Myśleliśmy, że udajesz. Po prostu padłeś w miejscu – powiedział ktoś.

– Zamknij się! – rzucił Lindfield. – Dobrze się czujesz? Przepraszam, naprawdę przepraszam. Chryste, przepraszam.

Przez chwilę Richardowi zdawało się, że tamten przeprasza za to, iż ściągnął go z powrotem ze świata poza świątynią.

Lindfield był przerażony, ugrzeczniony i rozpaczliwie zdenerwowany; najwyraźniej jak dotąd jeszcze nigdy o mało nikogo nie zabił. Gdy pokonali razem kamienne stopnie, wiodące do gabinetu pielęgniarki, Lindfield wyjaśnił, iż wrócił ze szkolnego sklepiku ze słodyczami i zastał Richarda nieprzytomnego na ścieżce, otoczonego przez grupkę ciekawskich. Natychmiast zorientował się, co się dzieje. Richard odpoczął chwilę w gabinecie, dostał gorzką, rozpuszczalną aspirynę z wielkiego słoja, plastikowy kubek wody, po czym zaprowadzono go do gabinetu rektora.

– Wyglądasz żałośnie, Grey – rzekł rektor, z irytacją pykając z fajki. – Nie dziwię się młodemu Lindfieldowi. A zresztą uratował ci życie. Nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie.

– Przepraszam – powiedział Grey.

– To wszystko – uciął rektor, otoczony obłokiem pachnącego dymu.

* *
*

– Wybrałeś już sobie religię? – spytał szkolny kapelan, pan Aliquid.

Richard potrząsnął głową.

– Mam sporo do wyboru – przyznał.

Szkolny kapelan uczył także biologii. Niedawno zaprowadził całą klasę Richarda, piętnastu trzynastolatków i Richarda, dwunastolatka, do swego domku po drugiej stronie szosy, naprzeciwko szkoły. W ogrodzie pan Aliquid małym ostrym nożem zabił, obdarł ze skóry i rozczłonkował królika. Potem wziął pompkę i nadmuchał króliczy pęcherz niczym balon, póki ten nie pękł obryzgując chłopców krwią. Richard zwymiotował. Był jednak jedyny.

– Hmm – rzekł kapelan.

Jego pokój wypełniały książki. Był to jeden z nielicznych pokoi nauczycielskich, w których Richard czuł się nieźle.

– A masturbacja? Czy nie masturbujesz się nadmiernie? – Oczy pana Aliquida rozbłysły.

– Co to znaczy nadmiernie?

– Ach, więcej niż trzy, cztery razy dziennie.

– Nie – powiedział Richard. – Nie nadmiernie.

Był o rok młodszy, niż pozostali w jego klasie. Ludzie często o tym zapominali.

* *
*

W każdy weekend jeździł do północnego Londynu do kuzynów na lekcje przed bar micwą. Udzielał ich szczupły, ascetyczny kantor, bardziej *frum* niż zwykły *frum*, kabalista i powiernik ukrytych misterii, o których wspominał czasem, jeśli zadało mu się właściwe pytanie. Richard był mistrzem w zadawaniu właściwych pytań.

Frum oznaczało twardy, ortodoksyjny judaizm: osobno mleko, osobno mięso, dwie zmywarki dla dwóch zestawów talerzy i sztućców.

Nie będziesz warzył koźlęcia w mleku matki jego.

Kuzynowie Richarda z północnego Londynu byli *frum*, choć chłopcy czasem po szkole kupowali cheeseburgery i przechwalali się tym przed sobą.

Richard podejrzewał, że jego ciało jest już i tak beznadziejnie skażone, nie posuwał się jednak do jedzenia królików. Jadł już królika i nie znosił jego smaku. Dopiero znacznie później odkrył, co to jest. W każdy czwartek w szkole na obiad podawano coś, co przypominało niezbyt smaczny drobiowy gulasz. Pewnego dnia znalazł w nim króliczą łapkę i nagle pojął, co się święci. Po tym czwartku zadowalał się chlebem z masłem.

Podczas podróży metrem do północnego Londynu przyglądał się twarzom innych pasażerów, zastanawiając się, czy jeden z nich nie jest być może Michaeliem Moorcockiem.

Gdyby spotkał Moorcocka, spytałby go, jak powrócić do zrujnowanej świątyni.

Gdyby spotkał Moorcocka, byłby zbyt onieśmielony, żeby się odezwać.

* *
*

Czasem wieczorami, gdy rodzice wychodzili z domu, próbował zadzwonić do Michaela Moorcocka.

Dzwonił do informacji i prosił o numer Moorcocka.

– Nie mogę ci go podać, chłopcze. Jest zastrzeżony.

Prosił i błagał, zawsze jednak bez powodzenia. Przyjmował to z ulgą. Nie miał pojęcia,

co by powiedział Moorcockowi, gdyby mu się udało.

* *
*

Stawiał ptaszki na pierwszych stronach powieści Moorcocka, w miejscu gdzie wymieniano Książki Tego Samego Autora, odhaczając te, które już czytał.

W tym roku miał wrażenie, że co tydzień pojawia się nowa książka Moorcocka. Kupował je na dworcu Victoria w drodze na lekcje przed bar micwą.

Kilku w żaden sposób nie zdołał znaleźć – *Stealer Of Souls*, *Breakfast In The Ruins*. W końcu zdobył się na odwagę i zamówił je pod adresem podanym na ostatnich stronach książek. Poprosił ojca, by wypisał mu czek.

Kiedy przyszła paczka z książkami, znalazł w niej rachunek opiewający na dwadzieścia pięć pensów. Ceny książek okazały się wyższe niż te cytowane. Mimo wszystko jednak miał teraz egzemplarz *Stealer Of Souls* i *Breakfast In The Ruins*.

Na tylnej okładce *Breakfast In The Ruins* widniała notka biograficzna Moorcocka. Pisano w niej, że autor zmarł w zeszłym roku na raka płuc.

Richard zamartwiał się całymi tygodniami. To oznaczało, że nigdy już nie pojawią się nowe książki.

* *
*

Ta pieprzona notka. Wkrótce po jej ukazaniu poszedłem na koncert Hawkwind. Byłem totalnie naćpany. Wciąż podchodzili do mnie ludzie, a mnie się wydawało, że nie żyję. Cały czas mówili: nie żyjesz, nie żyjesz. Później zrozumiałem, że w istocie mówili: sądziliśmy, że umarłeś.

Michael Moorcock podczas rozmowy, Notting Hill, 1976.

* *
*

Istniał nie tylko Wieczny Wojownik, ale też jego Towarzysz. Towarzyszem Elryka był wesołek Moonglum, idealny partner bladego księcia podatnego na depresję i zmiany nastroju.

Gdzieś tam rozciągało się multiversum, lśniące magicznym blaskiem. Tam właśnie działali agenci równowagi, bogowie chaosu i władcy porządku. Starsze rasy, wysokie, bladokóre, elfie, i młode królestwa, pełne ludzi jemu podobnych – głupich, nudnych, przeciętnych ludzi.

Czasami miał nadzieję, że Elryk odnajdzie spokój z dala od czarnego miecza, ale tak się nie działo. Musieli być razem – biały książę i czarne ostrze.

Gdy miecz wynurzał się z pochwy, łaknął krwi. Pragnął wbić się w drżące ciało. Wówczas wysysał duszę z ofiary, karmiąc się jej energią i przekazując ją wątłemu ciału Elryka.

Richard zaczynał mieć obsesję na punkcie seksu. Śniło mu się nawet, że uprawia seks z dziewczyną. Tuż przed przebudzeniem śnił mu się orgazm – wszechogarniające magiczne uczucie miłości, skupione wokół serca. Tak przynajmniej wyglądał w jego śnie.

Uczucie głębokiej, transcendentnej duchowej błogości.

Nic, co kiedykolwiek przeżył, nie równało się z owym snem.

Nic nawet go nie przypominało.

* * *

Karl Glogauer z *Behold The Man* nie był tym samym Karlem Glogauerem występującym w *Breakfast In The Ruins*, uznał Richard. Mimo wszystko jednak z niezwykłą, bluźnierczą rozkoszą czytał *Breakfast In The Ruins* w szkolnej kaplicy na miejscu dla chóru. Póki zachowywał się cicho, nikt nie zwracał na niego uwagi.

Był chłopcem z książką. Zawsze. Na wieki.

W jego głowie roilo się od religii. Weekendy poświęcał misternym rytuałom i językowi judaizmu, poranki wypełniały uroczyste, pachnące drewnem obrzędy Kościoła Anglikańskiego wśród kolorowych witraży. Noce należały do jego własnej religii, którą sam sobie wymyślił, osobliwego wielobarwnego panteonu, w którym władcy chaosu (Arioch, Xiombarg i pozostali) spotykali się twarzą w twarz z Widmowym Przybyszem z komiksów DC i Samem, oszukańczym Buddą z *Władcy Światła Żelaznego*, a także z wampirami, gadającymi kotami, ogami i innymi istotami z kolorowych książeczek Langa. W jego religii współistniały wszystkie mitologie i panowała cudowna anarchia wiary.

Richard przestał jednak w końcu (przynajmy: z pewnym żalem) wierzyć w Narnię. Odkąd skończył sześć lat – pół swego życia – wierzył święcie we wszystko, co narnijskie, póki w zeszłym roku, podczas kolejnej, chyba już setnej lektury *Podróży „Wędrowca do Świtu”* nie uświadomił sobie nagle, że przemiana niemiłego Eustachego Scruba w smoka i jego późniejsze nawrócenie na wiarę w lwa Aslana niezwykle przypominają nawrócenie świętego Pawła na drodze do Damaszku. Gdyby ślepotą była smokiem...

Gdy raz już to dostrzegł, Richard zaczął znajdować wszędzie kolejne odniesienia, zbyt wiele, by był to jedynie przypadek.

W końcu ze smutkiem odłożył na bok *Narnię* przekonany, że stanowi ona alegorię, że autor (któremu ufał) próbował coś mu wmówić. Ten sam niesmak wzbudziły w nim opowiadania o profesorze Challengerze, gdy uparty stary profesor stał się wyznawcą spirytualizmu. Nie żeby Richard miał coś przeciw wierze w duchy – Richard bez żadnych problemów ani sprzeczności wierzył we wszystko.

Lecz Conan Doyle uprawiał tu propagandę; ukazywało to każde słowo. Richard był młody i na swój sposób niewinny – uważał, że autorom powinno się ufać i że pod powierzchnią historii nie powinno się kryć żadne przesłanie.

Przynajmniej historie o Elryku były uczciwe. Tu nic nie działo się pod powierzchnią. Elryk był gasnącym księciem z martwej rasy, przepełnionym żalem nad samym sobą. W dłoni trzymał Zwiastuna Burzy, czarny miecz – ostrze łaknące życia, pożerające ludzkie dusze i przekazujące siłę skazanemu na klęskę słabemu albinosowi.

Richard wciąż od nowa czytał opowieści o Elryku, za każdym razem z radością witając sceny, w których Zwiastun Burzy wbijał się w pierś przeciwnika. Czuł dziwną satysfakcję, gdy Elryk czerpał siłę ze swego miecza niczym narkoman-heroinista z taniego kryminału, wbijający w żyłę kolejną dawkę.

Richard wierzył święcie, że pewnego dnia ludzie z wydawnictwa Mayflower zgłoszą się do niego po zaległe dwadzieścia pięć pensów. Nigdy więcej nie odważył się kupować książek w sprzedaży wysyłkowej.

* * *

J.B.C. MacBride miał sekret.

- Nie możesz powiedzieć o tym nikomu.
- W porządku.

Richardowi bez trudu przychodziło dotrzymywanie sekretów. W późniejszych latach zrozumiał, że stanowi chodzącą skarbnicę dawnych sekretów, tajemnic, o których pierwotni właściciele dawno już zapomnieli.

Trzymając się za ramiona, szli do lasu na tyłach szkoły.

Tam właśnie został niedawno obdarzony kolejnym sekretem: tu, w lesie, trzech szkolni koledzy Richarda spotykali się z dziewczętami z wioski i tu, jak usłyszał, pokazywali sobie genitalia.

- Nie mogę ci powiedzieć, od kogo to usłyszałem.
- W porządku – rzekł Richard.
- To naprawdę prawda i straszna tajemnica.
- Jasne.

MacBride spędzał ostatnio mnóstwo czasu z panem Aliquidem, szkolnym kapelanem.

– Każdy z nas ma dwa anioły. Bóg daje nam jednego, a szatan drugiego. Kiedy człowiek zostaje zahipnotyzowany, anioł szatana przejmuje nad nim kontrolę. Tak właśnie działają tabliczki przepowiadające przyszłość; to dzieło szatańskiego anioła. Możesz też błagać boskiego anioła, by przez ciebie przemówił. Prawdziwe oświecenie następuje jednak wtedy, gdy zdołasz pomówić z własnym aniołem. Wówczas on zdradza ci swą tajemnicę.

W tym momencie Richard Grey po raz pierwszy uświadomił sobie, że Kościół Anglikański może mieć własną ezoterykę, swą własną ukrytą kabałę.

Jego towarzysz zamrugął.

– Nie możesz tego nikomu powtórzyć. Gdyby dowiedzieli się, że ci powiedziałem, miałbym kłopoty.

– Jasne.

Zapadła cisza.

- Czy kiedykolwiek waliłeś gruchę dorosłemu? – spytał MacBride.
- Nie.

Richard miał swoją własną tajemnicę: jeszcze w ogóle nie zaczął się masturbować. Wszyscy jego koledzy masturbowali się nieustannie, samotnie, w parach, grupach. On jednak był od nich o rok młodszy i nie pojmował, o co to całe zamieszanie. Sam pomysł sprawiał, że czuł się dziwnie.

– Wszędzie pełno spermy. Jest gęsta i lepka. Próbują cię zmusić, żebyś wziął ich fiuta do ust, kiedy kończą.

– Błę.

– Nie jest tak źle. – Znowu cisza. – Wiesz, pan Aliquid uważa, że jesteś bardzo inteligentny. Gdybyś chciał dołączyć do jego prywatnej dyskusyjnej grupy religijnej, mógłby się zgodzić.

Prywatna dyskusyjna grupa religijna spotykała się dwa razy w tygodniu, wieczorami po zajęciach, w kawalerskim domku pana Aliquida po drugiej stronie drogi.

- Nie jestem chrześcijaninem.
- I co z tego? Nadal masz najwyższe stopnie z religii, Żydku.
- Nie, dzięki. Słuchaj, dostałem nowego Moorcocka. Jeszcze go nie czytałeś. To o Elryku.

– Niemożliwe. Nie ma nowych.
– Ależ tak. Nosi tytuł *The Jade Man's Eyes*, wydrukowano ją zielonym drukiem. Znalazłem ją w księgarni w Brighton.
– Pożyczysz, kiedy skończysz?
– Pewnie.
Zaczynało robić się zimno. Razem ruszyli z powrotem, ramię przy ramieniu, jak Elryk i Moonglum, pomyślał Richard. Miało to równie wiele sensu jak anioły MacBride'a.

* *
* *

Richard marzył czasami, że porywa Michaela Moorcocka i zmusza go, by zdradził mu sekret. Gdyby ktoś spytał go o to, Richard nie potrafiłby wyjaśnić, o jaki sekret chodzi. O coś związanego z pisaniem, coś związanego z bogami.
Zastanawiał się, skąd Moorcock bierze swe pomysły.
Prawdopodobnie z ruin świątyni, uznał wreszcie, choć nie pamiętał już, jak wyglądały. Pamiętał jedynie cień i gwiazdy, uczucie bólu po powrocie do czegoś, co wydawało się dawno skończone.
Zastanawiał się, czy wszyscy autorzy biorą stamtąd swe pomysły, czy tylko Michael Moorcock.
Gdyby ktoś mu powiedział, że tak naprawdę pisarze wszystko zmyślają z głowy, nie uwierzyłby. Musiało istnieć miejsce, z którego pochodzi magia.
Nieprawdaż?

* *
* *

Niedawno wieczorem zadzwonił do mnie z Ameryki facet i powiedział:

– Słuchaj stary, muszę z tobą pogadać o religii.
– Nie wiem, o czym mówisz – odparłem. – Nie wyznaję żadnej pieprzonej religii.
Michael Moorcock podczas rozmowy, Notting Hill, 1976.

* *
* *

Minęło sześć miesięcy. Richard przystąpił do bar micwy; wkrótce miał zmienić szkołę. Wraz z J.B.C. MacBride'em siedzieli na trawie przed budynkiem. Zapadał już wczesny wieczór. Obaj czytali. Rodzice Richarda spóźniali się.
Richard czytał *The English Assassin*, McBride zagłębił się w *The Devil Rides Out*.
Richard zmrużył oczy, próbując dojrzeć czarny druk. Nie było jeszcze ciemno, ale nie mógł już czytać. Wszystko stawało się szare.
– Mac? Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?
Wieczór był ciepły, trawa sucha i wygodna.
– Nie wiem. Może pisarzem? Jak Michael Moorcock albo T.H. White. A ty?
Richard zastanowił się. Niebo było fioletowoszare, wysoko na nieboskłonie wisiał widmowy księżyc: srebrna latarnia senna. Zerwał źdźbło trawy i powoli zaczął rozrywać je w palcach, kawałek po kawałeczku. Nie mógł powiedzieć „pisarzem”, bo wyglądałoby na to, że naśladuje

przyjaciela. Poza tym nie chciał być pisarzem, nie tak naprawdę; istniały inne, ciekawsze rzeczy.

– Kiedy dorosnę – rzekł w końcu melancholijnie – chcę zostać wilkiem.

– To ci się nigdy nie uda – odparł MacBride.

– Może – powiedział Richard. – Zobaczymy.

W oknach szkoły powoli zapalały się światła. W ich blasku fioletowe niebo wydawało się ciemniejsze niż jeszcze przed chwilą. Letni wieczór był cichy, spokojny. O tej porze roku dzień trwa wiecznie, noc nigdy nie zapada.

– Chciałbym być wilkiem. Nie bez przerwy, tylko czasami, w ciemności. Nocami biegałbym w lesie jako wilk. – Richard tak naprawdę mówił do siebie. – Nie robiłbym nikomu krzywdy, nie byłbym takim wilkiem. Po prostu biegałbym w blasku księżyca między drzewami, nigdy bym się nie męczył, nie brakowałoby mi tchu i nigdy nie musiałbym się zatrzymywać. Oto kim chciałbym być, kiedy dorosnę.

Zerwał drugie źdźbło, fachowo oderwał blaszkę i zaczął gryźć łądźkę.

Dwójka dzieci siedziała samotnie w szarym zmierzchu obok siebie, czekając, aż nadejdzie przyszłość.

Zimne barwy

1.

O dziewiątej budzi mnie listonosz,

który okazuje się w istocie domokrażcą, sprzedawcą gołębi,
krzyczy:

– Tłuste gołębie, czyste gołębie, gołębie białe, gołębie szare,
żywe oddychające gołębie,
nie marne ożywione podróbki, proszę pana.

Mam pod dostatkiem gołębi i mówię mu to.

Odpowiada, że jest nowy w tej branży,

przedtem pracował w całkiem niezłej firmie, zajmującej się analizami finansowymi,
został jednak zwolniony, zastąpiony przez komputer podłączony szeregowo do szklanej kuli.

– Nie mogę jednak narzekać. Jedne drzwi otwierają się, inne zatrzaskują,
trzeba dotrzymywać kroku naszym czasom, proszę pana, dotrzymywać kroku czasom.

Wciska mi darmowego gołębia

(To żeby przyciągnąć nowych klientów, proszę pana,

gdy raz spróbuje pan naszego gołębia, nigdy nie spojrzysz pan na innego)

i odchodzi po schodach, śpiewając:

– Gołębie, gołębie, ooo.

Dziesiąta rano po kąpieli i goleniu

(eliksiry zapewniające wieczną młodość i atrakcyjność seksualną
zaczepnięte z plastikowych naczyń)

zabieram gołębia do gabinetu;

odświeżam kredowy krąg wokół starego Della 310,

rozwieszam amulety w rogach monitora

i robię to co trzeba z gołębiem.

Potem włączam komputer; mruczy i szumi,

wewnętrzny wentylator dmucha niczym sztormowa wichura
podczas burzy, gotowa zatopić nieszczęsnych kupców.

Zakończywszy autoexec piszczy:

Zrobię, zrobię, zrobię...

2.

Jest druga i wędruję przez znajomy Londyn

– czy też coś, co było znajomym Londynem, nim kursor skasował część pewników.

Patrzę, jak gość w garniturze i krawacie daje posać
swojemu psionowi, tkwiącemu w kieszeni na piersi,
interfejs niczym lodowate usta drąży ciało w poszukiwaniu pokarmu,
to znajome uczucie. Patrzę, jak mój oddech paruje w mroźnym powietrzu.

W tamtych czasach w Londynie panowało pieskie zimno.

Nikt by nie zgadł, że jest dopiero listopad,
z podziemia dochodził łoskot pociągów,
tajemniczych pojazdów: w owych czasach metro stało się niemal legendą,
przystając tylko dla dziewic i ludzi o czystym sercu,
pierwszy przystanek Avalon, Lyonesse, bądź Wyspy Błogosławione. Może
dostaniesz kartkę, a może i nie.

W każdym razie, zerknięcie w otchłań dowodzi niezbitcie,
że pod Londynem nie ma miejsca na pociągi;
rozgrzewam ręce nad szczeliną w ziemi,
z której strzelają płomienie.

Daleko w dole uśmiechnięty demon dostrzega mnie, macha rękę i wyraźnie porusza wargami,
tak jak przy rozmowie z głuchym bądź cudzoziemcem.

Naprawdę potrafi sprzedawać: wymawia bezgłośnie nazwę klonu peceta,
oprogramowania wykraczającego poza me najśmielsze marzenia,
Alberta Wielkiego, zarchiwizowanego na trzech dyskietkach,
Klucza Salomona w wersjach dla VGA, CGA, czterech kolorów i monitorów
monochromatycznych,
bezgłośnie
i bezgłośnie
i bezgłośnie.

Turyści pochylają się nad wrotami piekieł,
spoglądając na potępionych
(to chyba najgorsza część potępienia;
wieczne tortury da się znieść w szlachetnej ciszy,
lecz obecność widowni chrupiącej chipsy, orzeszki i kasztany,
widowni nie przejawiającej zbytniego zainteresowania...
muszą czuć się jak zwierzęta w zoo,
biedni potępieni).

Gołębie z trzepotem fruwać po piekle, tańcząc na prądach wznoszących,
pamięć gatunkowa podpowiada im,
że gdzieś tu powinny tkwić cztery lwy,
niezamarnięta woda, w górze kamienny człowiek;
turyści gromadzą się wokół.

Jeden z nich zawiera układ z demonem: dziesięć czystych dyskietek w zamian za duszę,
ktoś inny rozpoznał krewniaka wśród płomieni i krzyczy:

– Hej, hej, wuju Josephie! Spójrz, Nerisso, to twój cioteczny dziadek, Joe,
który zmarł przed twoimi narodzinami,
to właśnie on, w otchłani, aż po oczy we wrzącym łajnie,

robaki wgryzają mu się w twarz.
Co za cudowny człowiek.
Wszyscy płakaliśmy na jego pogrzebie.
Pomachaj do dziadka, Nerisso, pomachaj do swego dziadka.
Sprzedawca gołębi układa wymazane lepem gałązki na popękany bruksel, rozsypuje okruchy i czeka.
Pozdrowia mnie uniesieniem czapki.
– Ten dzisiejszy gołąb, proszę pana. Mam nadzieję, że okazał się zadowolający?
Przyznaję, że owszem, i rzucam mu złotego szylinga (którego przytyka ukradkiem do żelaznej płytki w rękawicy sprawdzając, czy złoto nie jest magiczne, a potem chowa).
We wtorki, mówię. Proszę przychodzić we wtorki.

3.

Domki i chaty na ptasich nogach tłoczą się na londyńskich ulicach, przestępując chwiejnie nad taksówkami, srając żarem na rowerzystów, ustawiając się w kolejki za autobusami.
Kokokokokokokokokokoko – mamrocą.
Stare kobiety o żelaznych zębach wyglądają z okien, po czym wracają do magicznych zwierciadeł albo do pracy, odkurzając we mgle i w brudnym powietrzu.

4.

Czwarta godzina w starym Soho, błyskawicznie przeradzającym się w oazę porzuconej techniki.
Donośny zgrzyt zębatek uroków nakręcanych srebrnymi kluczykami dobiega ze wszystkich sklepików – Zegarmistrza, Aborcjomistrza, Handlarza Cygar i Elikosirów.
Pada deszcz.
Dzieciaki z BBS-ów w miękkich kapeluszach kierują alfonsowozami, rajfurzy modemowi, nieletni dresiarze, królowie stosunku sygnału do szumów: ich oświetlone neonami pikselowe dwory flirtują i kręcą się wokół latarni, sukuby i inkuby o datach przydatności do spożycia i kredytowych oczach. Są twoje, jeśli masz przy sobie swój numer, znasz datę ważności i tak dalej.
Jeden z nich mruga do mnie (pojawia się i znika, znika-zanika-pojawia), szum pochłania sygnał w niezręcznym seksie oralnym.

(Krzyżuję palce –
binarna ochrona przed dwunastkowym urokiem,
skuteczna niczym superprzewodnik, czy może zwykły przesąd.)
Dwa poltergeisty wspólnie jedzą tani obiad. W Starym Soho zawsze czuję się niepewnie.
Brewer Street. Syk z alejki: Mefistofeles rozpina brązowy płaszcz,
błyskawicznie pokazuje podszewkę (stare inwokacje w formie bazy danych,
magicznie spętane duchy – z wykresami), przeklina i mówi:
Oślepić wroga?
Zniszczyć plony?
Wyjałować partnera?
Zbecześcić niewiniątko?
Zrujnować przyjęcie...?
A co dla pana? Nic? Proszę to jeszcze przemyśleć,
wystarczy odrobina pańskiej krwi na wydruku
i stanie się pan dumnym właścicielem nowego syntezyatora głosu, proszę posłuchać...
Stawia na stoliku zrobionym naprędce ze skromnej walizki przenośnego Zenitha,
zwabiając przy okazji grupkę ciekawskich; włącza głośnik
wypisuje
c> prompt: GO
i maszyna zaczyna recytować spokojnym miarowym głosem:
*Orientis princeps Belzebub, infern iirredentista menarche et demigorgon,
propitiamus neue...*
Wędruję spiesznie naprzód w głąb ulicy.
papierowe duchy, stare wydruki, depczą mi po piętach
i wciąż słyszę, jak trzepie niczym wprawny handlarz:
Nie dwadzieścia
nie osiemnaście
nie piętnaście –
kosztowało mnie dwanaście, moja pani, klnę się na Szatana, ale zrobię to dla pani,
bo podoba mi się pani twarzyczka,
bo chcę dodać pani ducha.
Pięć.
Dobrze pani usłyszała. Pięć.
Sprzedane damie o pięknych oczach...

5.

Ślepnący arcybiskup o oczach zasnutych zaćmą przykucnął w mroku na progu katedry św.
Pawła
drobny, podobny do ptaka, jaśniejący, mamroczący pod nosem I/O, I/O, I/O.
Dochodzi szóstka, to godziny szczytu w handlu kradzionymi snami
i rozszerzoną pamięcią.
Podaję mu dzbanek.

Bierze go ostrożnie i powłócząc nogami, znika w mroku.

Gdy wraca, dzban jest znów pełny.

– Gwarantuje pan, że jest święcona? – pytam.

W odpowiedzi wypisuje palcem w zamarzniętym piasku jedno słowo: WYSIWYG.

Nie odpowiada uśmiechem.

(Wisi wig. Whisky wnyk.)

Odkasłuje, spluwając mlecznoszarą flegmą
na kamienne stopnie.

To, co widzę w moim dzbanku, wygląda jak woda święcona, ale nie mam pewności,
musiałbym być syreną albo duchem

materializującym się ze słuchawki telefonicznej, dosiadającym sygnału,
inwokacji, prawdziwej pomyłki jak się patrzy; one potrafią rozpoznać świętą wodę.

Zdarzało mi się już wrzucać do niej telefony

i patrzeć, jak pojawiają się najdziwniejsze zjawy,

a potem z sykiem płoną, gdy obmywa je woda:

pokropek i oczyszczenie, Ostateczne Poświęcenie.

Pewnego popołudnia

cała ich grupka utknęła na taśmie mojej sekretarki:

przegrałem je na dyskietkę i schowałem.

Macie ochotę?

Tu wszystko jest na sprzedaż.

Księdzu przydałoby się golenie, trzęsie się cały.

Poplamione winem szaty nie chronią przed zimnem.

Daję mu pieniądze.

(Niezbyt dużo. Ostatecznie

to tylko woda, niektóre stwory są tak głupie,

że potrafią rozpuścić się bez śladu.

jeśli pokropić je wodą Perrier,

a do tego cały czas zawodzą:

Och, moje zło, moje piękne zło).

Stary ksiądz chowa monety do kieszeni, w ramach premii

wręcza mi worek okruszków,

po czym siada na stopniach, kuląc się i kołysząc.

Czuję, że powinienem coś rzec, nim odejdę.

– Posłuchaj – mówię – to nie wasza wina.

Po prostu mamy tu system dla wielu użytkowników.

Nie mogliście o tym wiedzieć.

Gdyby modlitwy dało się połączyć w sieć,

gdyby boże programy już działały,

gdybyście przedstawili swą stronę jako równie wiarygodną...

– Co widzisz? – mruczy posępnie.

– Dostajesz to co widzisz. – Miazdży w palcach hostię i ciska ją gołębiom,
nie próbując schwytać nawet najpowolniejszego z ptaków.

Zimne wojny rodzą ludzi nie umiejących przegrywać.
Wracam do domu.

6.

Dziennik o dziesiątej. A oto prowadzący, Abel Drugger:

7.

Kącikiem oka dostrzegam pospieszny bezkrwawy ruch –
czyżby mysz?
Z pewnością jakieś urządzenie peryferyjne.

8.

Czas do łóżka. Karmię gołębie,
potem się rozbieram.
Rozważam, czy nie ściągnąć z sieci sukuba,
a może asystentkę?
(To wszystko za darmo, nierządy i przyrządy,
shareware, nie warto tracić fortuny,
nawet zabezpieczony towar daje się skopiować,
wszystko ma cenę, każdy z nas).
Systemy elektroniczne, robotyczne, biologiczne, cybernetyczne,
Systemy mroczne i demoniczne,
nocne, jak nocne koszmary...
Modem zachęcająco mruga obok telefonu
czerwonymi oczami.
Nie ruszam go jednak –
w dzisiejszych czasach nikomu już nie można ufać.
Ściągasz coś z sieci i nie wiesz w ogóle, skąd się wzięło,
kto miał to przed tobą.
Co, może nieprawda? Nie boisz się wirusów?
Nawet dobrze zabezpieczone pliki też niszczą,
a najlepiej chronione niszczą absolutnie.
W kuchni słyszę gruchanie i kłótnię gołębi,
śniących o nożach dla mańkutów,
kabale i lustrach.
Na podłodze gabinetu widać plamy gołębiej krwi.
Zasypiam samotnie. I samotnie śnię.

9.

Być może budzę się w nocy, w nagłym zrozumieniu,
wyciągam rękę,
bazgrzę na starym rachunku
moje objawienie, świeże spojrzenie na świat,
wiedząc, że ranek odrze je z niezwykłości.
Magię można oglądać tylko nocą,
a potem wspominać czasy, gdy wciąż była...
Objawienie zamienia się w banał, posłuchajcie:
Wszystko było prostsze, nim zaczęliśmy stosować komputery.

10.

Budząc się, czy może śpiąc, słyszę dobiegające z zewnątrz odgłosy
szalonych sabatów, krzyki wiatru, szum taśm, metalową maszynową muzykę;
czarownice dosiadające potężnych głośników krążą pod księżycem,
potem lądują na błoni, ich nagie ciała błyszczą.
Nikt nie płaci za wstęp na spotkanie, każdy załatwił to z góry,
dziecięce kości z wciąż tkwiącym przy nich tłuszczem,
te rzeczy załatwia się dzięki zleceniom stałym
i widzę –
albo zdaje mi się, że widzę –
twarz, którą rozpoznaję; wszyscy tłoczą się, by ucałować go w zadek,
dmuchnijmy diabła, chłopcy, zimne nasienie;
w ciemnościach odwraca głowę i patrzy wprost na mnie:
Jedne drzwi się otwierają, inne zatrzaskują,
mam nadzieję, że wszystko było zadowolające?
Robimy co możemy, każdy ma prawo uczciwie zarobić;
wszyscy jesteśmy bankrutami, proszę pana,
wszyscy jesteśmy zbędni,
staramy się jednak jak możemy, pogwizdujemy w ogniu walki,
takie życie. Uczciwy handel to nie kradzież.
Do zobaczenia we wtorek, proszę pana, z gołębiami?
Przytakuję i zaciągam zasłony. Wszędzie leżą ulotki.
Dotrą do ciebie,
tak czy inaczej, któregoś dnia dotrą do ciebie,
znajdę mój własny pociąg metra, nie zapłacę za przejazd,
powiem po prostu: „To jest piekło, chcę się stąd wydostać”
i wtedy wszystko znów stanie się proste.
Przybędzie po mnie niczym smok ciemnym tunelem.

Zamiatacz Snów

Gdy sny dobiegną końca, gdy już się budzisz, pozostawiając za sobą świat szaleństwa i chwały, i powracając do codziennej, przyziemnej harówki, w ruinach porzuconych marzeń pojawia się zamiatacz snów.

Któż wie, kim był za życia i czy w ogóle kiedykolwiek żył? On sam nie odpowie na żadne pytanie. Zamiatacz rzadko się odzywa swym szorstkim, szarym głosem, a gdy już przemówi, gawędzi głównie o pogodzie i perspektywach zwycięstw i porażek wybranych drużyn sportowych. Nie znosi innych ludzi.

Kiedy się budzisz, przychodzi do ciebie i zmiata królestwa i zamki, anioły i sowy, góry i oceany. Zmiata miłość i żądzę, i kochanków, ascetów niepodobnych do motyli, mięsne kwiaty, ucieczkę jeleni, zatonięcie Lusitanii. Zmiata wszystko, co we śnie zostawiłeś za sobą; życie, które przywdziałeś, oczy, którymi patrzyłeś, egzamin pisemny, który zgubiłeś gdzieś w szkole. Zmiata je kolejno – kobietę o ostrych kłach, która zatopiła zęby w twojej twarzy, zakonnice w lesie, trupa ręką przebijającą mętną wodę w wannie, szkarłatne robaki pełzające po piersi, gdy rozpiąłeś koszulę.

Zmiata wszystko, co zostawiłeś, gdy się ocknąłeś. A potem to pali, robiąc miejsce jutrzejszym snom.

Jeśli go spotkasz, traktuj z szacunkiem. Bądź uprzejmy, nie zadawaj pytań. Oklaskuj zwycięstwa ulubionych drużyn. Wspólnie oplakuj porażki. Zgadź się co do pogody. Okaż mu respekt, na który zasługuje.

Są bowiem ludzie, których już nie odwiedza, ów pałacy skręty zamiatacz snów, ze smoczym tatuażem na ramieniu.

Na pewno ich widziałeś. Mają drgające usta, ich oczy patrzą gdzieś w dal. Mamroczą, jęczą, zawodzą. Niektórzy krążą po miastach w łachmanach, dźwigając pod pachą cały swój dobytek. Inni spędzają życie w zamknięciu, w ciemności, w miejscach gdzie nie mogą już skrzywdzić siebie ani innych. Nie są szaleni, a utrata zdrowych zmysłów to najmniejszy z ich problemów. To, co ich spotkało, jest znacznie gorsze niż obłąd. Powiedz ci, jeśli im pozwolisz. Oni wszyscy każdego dnia żyją pośród ruin swoich snów.

A jeśli zamiatacz snów cię opuści, nigdy już nie powróci.

Poczucie obcości

CHOROBA WENERYCZNA to choroba, którą pacjent zaraża się w wyniku nieczystych kontaktów. Złowieszcze zdrowotne skutki wynikające z takowych chorób – skutki, przed którymi lęk może dręczyć umysł przez resztę życia, które mogą na zawsze skazić źródło zdrowia i zostać przekazane do młodej krwi niewinnego potomstwa – są w istocie straszliwe, zbyt straszne, by zlekceważyć chorobę i jej nosicieli, i nie poddać ich natychmiastowej opiece medycznej.

Spencer Thomas, doktor medycyny, L.C.R.S. (Edynburg) *Słownik medycyny domowej i zabiegów leczniczych 1882*

Simon Powers nie lubił seksu. Nie przepadał za nim. Nie znosił czuć w łóżku czyjejs obecności; podejrzewał, że za szybko dochodzi; zawsze odnosił nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ocenia jego występ, jak na egzaminie na prawo jazdy czy teście na studiach.

W college'u przespał się kilka razy z panienkami. Trzy lata temu zdarzył mu się numerek po sylwestrowym przyjęciu w biurze. I to wszystko. Sam Simon uważał, że tak jest najlepiej.

Kiedyś, gdy miał wolną chwilę w pracy, przyszło mu do głowy, że podobałoby mu się życie w czasach królowej Wiktorii, kiedy dobrze wychowane damy były w sypialni jedynie niechętnymi manekinami: rozsznurowywały swoje gorsety, zrzucały halki (ukazując różowobiałe ciało), po czym kładły się na plecach, znosząc w milczeniu męki związane z aktem cielesnej żądzy – i nigdy nawet nie przyszłoby im do głowy, że męki te mogłyby im się podobać.

Zapamiętał tę myśl, zachowując ją w kąciku zarezerwowanym dla marzeń towarzyszących masturbacji.

Simon bardzo często się masturbował. Każdej nocy – czasem częściej, jeśli nie mógł zasnąć. Osiągnięcie szczytu zabierało mu tyle czasu, ile chciał. A w umyśle miał je wszystkie: gwiazdy filmowe i telewizyjne, kobiety z pracy, uczennice, nagie modelki rozchylające usta na pogniecionych kartach pisma *Fiesta*, pozbawione twarzy niewolnice w łańcuchach, opalonych chłopców o ciałach greckich bogów...

Co noc miał ich wszystkich przed oczami.

Tak było bezpiecznie.

W umyśle.

A potem zasypiał, bezpieczny i zadowolony w świecie, który całkowicie kontrolował. Spał bez snów, a przynajmniej rano nigdy ich nie pamiętał.

Rankiem, kiedy wszystko się zaczęło, obudziło go radio („Dwustu zabitych, wielu rannych. A teraz Jack i prognoza pogody...”). Wywłókł się z łóżka i z bolącym pęcherzem pokuśtykał do łazienki.

Podniósł deskę klozetową i zaczął sikać. Miał wrażenie, jakby wysikiwał szpilki.

Po śniadaniu znów poczuł parcie – tym razem mniej bolało, bo moczu nie było aż tak dużo. Przed lunchem musiał jeszcze trzykrotnie skorzystać z toalety – za każdym razem czuł pieczenie.

Powiedział sobie, że to nie może być choroba weneryczna. To coś, czym zarażają się inni ludzie, coś (przypomniawszy sobie swój ostatni stosunek seksualny trzy lata wcześniej), czym zarażamy się od innych. Nie można złapać choroby wenerycznej w toalecie, prawda? To przecież żart.

Simon Power miał dwadzieścia sześć lat. Pracował w wielkim londyńskim banku, w dziale akcji i obligacji. Miał w pracy kilku kolegów. Jego jedyny prawdziwy przyjaciel, Nick Lawrence, samotny Kanadyjczyk, został niedawno przeniesiony do innego oddziału. Simon siedział samotnie w stołówce, wyglądając przez okno na londyńskie doki – których zabudowa przypominała konstrukcje z klocków lego – i niechętnie dziobiąc widelcem zwiędłą, zieloną sałatę.

Ktoś klepnął go w ramię.

– Simon, slyszałem dziś niezły żart. Powtórzyć ci go?

Jim Jones był biurowym kłownem. Ciemnowłosy, nerwowy młodzieniec twierdził, że w swoich bokserkach kazał wszyć specjalną kieszonkę na prezerwatywy.

– Mmmm. Jasne.

– Proszę. Jaki jest ulubiony sport bankierów?

– Słucham?

– Ulubiony sport. No wiesz, jak golf, piłka. Poddajesz się?

Simon skinął głową.

– Tenis party.

Simon musiał mieć zdziwioną minę, bo Jim westchnął.

– Tenis party. Penis tarty. Naprawdę nie chwytasz? – A potem, dostrzegając grupę młodych kobiet przy stoliku w kącie, Jim poprawił krawat i zaniósł do nich tacę.

Simon slyszał, jak tamten opowiada swój dowcip, tym razem dodatkowo poruszając ręką.

Wszystkie słuchaczki natychmiast zrozumiały.

Zostawił na stole sałatę i wrócił do pracy.

Tej nocy, siedząc w fotelu w małym mieszkanku z wyłączonym telewizorem, próbował sobie przypomnieć, co wie na temat chorób wenerycznych.

Syfilis, po którym zostają ślady na twarzy, który doprowadził do obłędu angielskich królów; rzeżączka – tryper – zielona wydzieliną i znów szaleństwo; mędy, małe weszki żyjące we włosach łonowych, których obecność ujawniało swędzenie (obejrzał swoje krocze pod szkłem powiększającym, nic się tam jednak nie ruszało); AIDS, plaga lat osiemdziesiątych, przymus czystych igieł i bezpiecznego seksu (ale co może być bezpieczniejszego niż czysty onanizm nad kupałką chusteczek higienicznych?); opryszczka, mająca coś wspólnego z „zimnem” (sprawdził w lustrze wargi; wyglądały w porządku). Innych nie znał.

W końcu położył się do łóżka i zasnął, dręczony wątpliwościami. Nie odważył się masturbować.

Tej nocy śniły mu się drobne kobiety o pustych twarzach, wędrujące nieskończonymi szeregami pomiędzy olbrzymimi biurowcami, niczym armia bojowych mrówek.

Przez następne dwa dni Simon usiłował lekceważyć ból. Miał nadzieję, że dolegliwość minie sama, że przejdzie. Ale nie. Jego stan tylko się pogorszył. Ból nie ustępował przez godzinę po oddaniu moczu. Penis wydawał się obtarty i posiniaczony od wewnątrz.

Trzeciego dnia Simon zadzwonił do swego lekarza i umówił się na wizytę. Z przerażeniem oczekiwał chwili, gdy będzie musiał wyjaśnić recepcjonistce, na czym polega jego problem, toteż z ulgą i być może lekkim zawodem odkrył, że w ogóle jej to nie interesowało. Po prostu

zapisala go na nastepny dzien.

Przełożoną w banku poinformował, że ma zapalenie gardła i musi iść do lekarza. Czuł, że palą go policzki, ona jednak niczego nie zauważyła. Życzyła mu jedynie szybkiego powrotu do zdrowia. Wychodząc z jej biura odkrył, że cały dygocze.

W szary, wilgotny dzień zjawił się w gabinecie. W poczekalni nie było nikogo, toteż wszedł wprost do lekarza i z radością przekonał się, że nie jest to jego zwykły doktor, lecz młody Pakistańczyk, mniej więcej w wieku Simona, który szybko przerwał mu litanię objawów i spytał:

– Oddaje pan moczę częściej niż zwykle, prawda?

Simon przytaknął.

– Wydzielina?

Simon pokręcił głową.

– Doskonale. Proszę zdjąć spodnie.

Simon posłuchał. Lekarz uważnie obejrzał jego penisa.

– Ma pan jednak wydzielinę – rzekł. Simon zapiął rozporek. – A teraz, panie Powers, proszę mi powiedzieć, czy sądzi pan, że mógł się zarazić od kogoś, hmm, chorobą weneryczną?

Simon gwałtownie pokręcił głową.

– Nie uprawiałem seksu z nikim – o mało nie dodał „innym” – od niemal trzech lat.

– Nie? – Lekarz najwyraźniej mu nie wierzył. Pachniał egzotycznymi przyprawami i miał najbielsze zęby, jakie Simon oglądał w życiu. – No cóż, zaraził się pan albo rzeżączką, albo niespecyficznym zapaleniem cewki moczowej, które jest mniej znane i mniej bolesne niż rzeżączka, ale znacznie trudniej poddaje się leczeniu. Rzeżączkę można załatwić jedną dużą dawką antybiotyków. Natychmiast ją zabijają. – Dwukrotnie klasnął w dłonie. Głośno. – O, tak.

– A zatem pan nie wie, która to z nich?

– Dobry Boże, nie. Nie zamierzam nawet próbować zgadnąć. Wyślę pana do specjalistycznej kliniki. Tam się tym zajmą. Dam panu skierowanie. – Wyciągnął z szuflady plik kartek z nagłówkami. – Czym się pan zajmuje, panie Powers?

– Pracuję w banku.

– Kasjer?

– Nie. – Pokręcił głową. – Pracuję w dziale akcji i obligacji. Obsługuję dwóch zastępców kierownika. – Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. – W pracy nie muszą chyba o tym wiedzieć, prawda?

Doktor sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Ależ nie, na Boga.

Napisał skierowanie wyraźnym, zaokrąglonym pismem: „Simon Powers, wiek 26, prawdopodobnie nieswoiste zakażenie cewki moczowej. Wydzielina z penisa. Twierdzi, że od trzech lat nie uprawiał seksu. Bolesność. Proszę podać wyniki testów”. Podpisał się zawijasem. Potem wręczył Simonowi wizytówkę z adresem i numerem telefonu kliniki specjalistycznej.

– Proszę. Tam musi pan pójść. Nie ma się czym przejmować. To się zdarza bardzo często. Widzi pan, ile mam wizytówek. Nic się nie stało. Wkrótce wróci pan do siebie. Proszę zadzwonić do nich po powrocie do domu i umówić się na wizytę.

Simon wziął wizytówkę i wstał.

– Niech się pan nie martwi – rzekł lekarz. – Łatwo to wyleczą.

Simon przytaknął, próbując się uśmiechnąć.

Otworzył drzwi, by wyjść.

– A poza tym to nic strasznego. Nie tak jak syfilis – dodał lekarz.

Dwie starsze kobiety siedzące w poczekalni z radością uniosły głowy na te smakowite słowa, głodnym wzrokiem odprowadzając umykającego Simona.

Simon chciał umrzeć.

Na chodniku na zewnątrz, czekając na autobus, myślał: Złapałem chorobę weneryczną. Złapałem chorobę weneryczną. Złapałem chorobę weneryczną. Powtarzał to raz po raz, niczym mantrę.

Miał wrażenie, że powinien ostrzegać dzwonkiem innych przechodniów.

W autobusie starał się nie zbliżać za bardzo do reszty pasażerów. Był pewien, że wiedzą (czyż nie odczytali z łatwością oznak choroby na jego twarzy?), a jednocześnie wstydził się, że musi ukrywać przed nimi swą przypadłość.

Wrócił do mieszkania i pomaszerował wprost do łazienki, oczekując, że ujrzy w lustrze rozkładającą się twarz rodem z horrorów, gnijące, spleśniałe ciało, odsłaniające nagą czaszkę. Zamiast tego zobaczył młodego bankowca o różowych policzkach, jasnych włosach i idealnej cerze.

Niezdarnie wyciągnął penisa i przyjrzał mu się uważnie. Nie był wcale trupio blady ani zgniłozielony. Wyglądał zupełnie normalnie, tyle że czubek miał lekko spuchnięty, a z wylotu cewki moczowej sączyła się przezroczysta wydzielina. Simon uświadomił sobie nagle, że poplamiała ona jego białe slipy.

Czuł się wściekły na samego siebie i jeszcze wścieklejszy na Boga za to, że obdarzył go (powiedz to!) tryprem, najwyraźniej przeznaczonym dla kogoś innego. Tej nocy, po raz pierwszy od czterech dni zaczął się masturbować.

Wyobrażał sobie uczennicę w białych bawełnianych majteczkach, która zmieniała się najpierw w jedną policjantkę, potem w dwie, w trzy.

W ogóle nie bolało, póki nie doszedł do szczytu. Wówczas wydało mu się, że ktoś wpycha mu w fiuta nóż sprężynowy. Zupełnie jakby wytrysnął poduszką na szpilki.

I wtedy, w ciemności, zaczął płakać. Nawet on jednak nie wiedział, czy z bólu, czy z zupełnie innego, trudniejszego do określenia powodu.

Wówczas to masturbował się po raz ostatni.

* *
*

Klinika mieściła się w ponurym wiktoriańskim szpitalu w centrum Londynu. Młody mężczyzna w białym fartuchu spojrzął na wizytówkę Simona, potem na skierowanie od lekarza i kazał mu usiąść.

Simon przycupnął na pomarańczowym plastikowym krześle, pokrytym brązowymi śladami po papierosach.

Kilka minut wbijał wzrok w podłogę. Potem, znudzony tą formą rozrywki, zaczął wpatrywać się w mury i wreszcie, pozbawiony innych opcji, w resztę ludzi.

Dzięki Bogu otaczali go sami mężczyźni – kobiety leczono piętro wyżej – i było ich ponad tuzin.

Najswoobodniejsi byli faceci w typie muskularnych budowlańców, odwiedzający klinikę po raz siedemnasty czy może siedemdziesiąty. Sprawiali wrażenie niezwykle zadowolonych z siebie, jakby ich choroba stanowiła dowód męskości. Dostrzegł kilku dżentelmenów z City

w garniturach i krawatach. Jeden z nich, zupełnie swobodny, trzymał w dłoni telefon komórkowy. Inny, ukrywający się za płachtą gazety *Daily Telegraph*, rumienił się ze wstydu. Drobnymi mężczyźni o cienkich wąsikach, ubrani w wysłużone płaszcze przeciwdeszczowe – może sprzedawcy gazet albo nauczyciele na emeryturze; masywny Malezyjczyk, który palił jak smok papierosy bez filtra, odpalając jednego od drugiego, tak że płomień nigdy nie gasł, przenosząc się z umierającego niedopałka na świeży zwitek tytoniu. W kącie siedziała wystraszona para gejów. Żaden z nich nie wyglądał na więcej niż osiemnaście lat. Niewątpliwie oni także pierwszy raz odwiedzali klinikę. Świadczyło o tym ich nerwowe rozglądanie się wkoło. Trzymali się za ręce, mocno, dyskretnie. Byli przerażeni.

Simon poczuł się lepiej. Pocieszyła go myśl, że nie jest sam.

– Pan Powers, proszę – powiedział mężczyzna za biurkiem. Simon wstał, świadom, że patrzy na niego wszystkie oczy, że został nazwany, zidentyfikowany przed tymi ludźmi. Czekał na niego wesoły, rudowłosy lekarz w białym fartuchu.

– Proszę za mną – rzekł.

Przeszli przez długi korytarz i drzwi (na mlecznej szybie przyklepiono taśmą kartkę, na której czarnym flamastrem napisano DR J. BENHAM) do gabinetu.

– Jestem doktor Benham – przedstawił się lekarz. Nie uściśnął mu dłoni. – Ma pan skierowanie?

– Oddałem je w recepcji.

– Rozumiem. – Doktor Benham otworzył leżącą na biurku kartę. Na jej okładce widniała komputerowa etykieta, głosząca:

Rej. 2.07.90. Mężczyzna. 90/00666.L

Powers, Simon,

Urodzony 12.10.63. Stan wolny.

Benham przeczytał skierowanie, spojrzął na penisa Simona i wręczył mu błękitny druczek, wyjęty z karty. Przyczepiono do niego tę samą etykietę.

– Proszę usiąść na korytarzu – polecił. – Przyjdzie po pana pielęgniarka.

Simon zaczekał na zewnątrz.

– Są bardzo delikatne – powiedział siedzący obok ogorzały mężczyzna; sądząc z akcentu, pochodził z Zimbabwe bądź Południowej Afryki, w każdym razie z kolonii.

– Słucham?

– Bardzo delikatne. Choroby weneryczne. Proszę tylko pomyśleć. Przeziębienie bądź grypę można złapać, przebywając w tym samym pomieszczeniu z kimś zakażonym. Choroby weneryczne wymagają ciepła, wilgoci i kontaktów intymnych.

Nie moje, pomyślał Simon, ale nic nie powiedział.

– Wie pan, czego najbardziej się boję? – spytał Południowy Afrykanin.

Simon pokręcił głową.

– Chwili, kiedy powiem żonie – odparł tamten i umilkł.

Zjawiała się pielęgniarka i zabrała Simona. Była młoda i ładna.

Podążył za nią do niewielkiej kabiny. Odebrała mu błękitną kartkę.

– Proszę zdjąć marynarkę i podwinąć prawy rękaw.

– Marynarkę?

Westchnęła.

– Muszę pobrać krew.

– Ach, tak.

Pobieranie krwi okazało się niemal przyjemne w porównaniu z tym, co czekało go dalej.

– Proszę zdjąć spodnie – poleciła. Miała wyraźny australijski akcent.

Jego penis skurczył się, skulił. Był szary i pomarszczony. Simon odkrył, że pragnie jej powiedzieć, iż w normalnych warunkach jest znacznie większy. Potem jednak wzięła ze stołu metalowe narzędzie zakończone pętlą z drutu i pożałował, że nie może stać się jeszcze mniejszy.

– Proszę nacisnąć penisa u nasady i kilka razy pociągnąć. – Posłuchał. Wsunęła pętelkę w główkę penisa i pokręciła nią kilka razy. Skrzywił się z bólu. Pielęgniarka rozsmarowała wydzielinę na szkiełku. Następnie wskazała stojący na półce szklany sój. – Czy zechce pan oddać do niego mocz?

– Tutaj?

Ściągnęła wargi. Simon podejrzewał, że musiała wysłuchiwać tego dowcipu trzydzieści razy dziennie.

Wyszła z kabiny, pozostawiając go samego.

Simonowi nawet w zwykłych warunkach sikanie przychodziło z trudem. Często musiał czekać w toalecie, póki inni nie wyjdą. Zazdrościł mężczyznom, którzy potrafili od niechcenia wejść do kibla, rozpiąć rozporek i zalać białą porcelanę żółtym strumieniem, nie przerywając wesołej rozmowy z sąsiadami przy pisuarach. On tego nie potrafił.

W tej chwili też nie mógł nic zrobić.

Po chwili zjawiała się pielęgniarka.

– Nie udało się? Nie szkodzi. Proszę usiąść w poczekalni. Za chwilę wezwie pana doktor.

– No cóż – oznajmił doktor Benham. – Ma pan nieswoiste zapalenie cewki moczowej.

Simon przytaknął, po czym spytał:

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie ma pan rzeżączki, panie Powers.

– Ale ja nie uprawiałem z nikim seksu od...

– To nie ma znaczenia. Choroba może pojawić się samoistnie. Nie potrzeba do tego, ahem, rozrywek. – Benham sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął fiolkę pełną pigułek. – Proszę to zażywać cztery razy dziennie, przed posiłkami. Nie pić alkoholu, żadnego seksu i kilka godzin po zażyciu lekarstwa nie pić mleka. Zrozumiał pan?

Simon uśmiechnął się nerwowo.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Proszę umówić się na wizytę.

Na dole wręczono mu czerwoną kartę z jego nazwiskiem i godziną wizyty. Widniał na niej także numer 90/00666. L.

Wracając do domu w deszczu, Simon przystanął przed biurem podróży. Plakat w oknie ukazywał słoneczną plażę i trzy opalone kobiety w bikini, sączące barwne drinki.

Simon nigdy nie był za granicą. Obawiał się poczucia obcości.

Tydzień mijał, a wraz z nim ból. Po czterech dniach Simon mógł już sikać bez żadnych problemów.

Jednocześnie jednak działo się też coś innego.

Zaczęło się od nasienia, które wypuściło korzenie w jego umyśle i zaczęło rosnąć.

Opowiedział o tym doktorowi Benhamowi podczas następnej wizyty.

Benham słuchał zdumiony.

– Twierdzi pan, że ma pan wrażenie, iż pański penis już do pana nie należy, panie Powers?

– Właśnie, doktorze.

– Obawiam się, że niezupełnie rozumiem. Czy chodzi o utratę czucia?

Simon czuł penisa w spodniach, tarcie materiału o ciało. W ciemności jego członek zaczął się poruszać.

– Ależ nie. Czuję wszystko jak zawsze, tyle że jest... no, inne. Jakby przestał być częścią mnie, jakby... – Urwał. – Jakby należał do kogoś innego.

Doktor Benham pokręcił głową.

– Odpowiem tak, panie Powers. Nie jest to objaw zapalenia cewki moczowej, choć mamy do czynienia z całkowicie normalną reakcją psychologiczną na tę chorobę. Poczucie niesmaku wobec własnej osoby może przejawiać się jako odrzucenie własnych genitaliów.

Brzmi nieźle, pomyślał doktor Benham. Miał nadzieję, że nie pomylił się w żargonie. Nigdy nie przykładął zbytnej wagi do wykładów i podręczników z psychologii. Być może wyjaśniało to, tak przynajmniej twierdziła jego żona, czemu obecnie tkwił na praktyce w Londyńskiej Klinice Chorób Wenerycznych.

Powers sprawiał wrażenie nieco spokojniejszego.

– Po prostu trochę się bałem, doktorze. To wszystko. – Przygryzł dolną wargę. – Umm. Czym dokładnie jest nieswoiste zapalenie cewki moczowej?

Benham uśmiechnął się pocieszająco.

– To może być kilka różnych rzeczy. Sama nazwa oznacza, że nie do końca wiemy, z czym mamy do czynienia. To nie rzeżączka ani nieżyt. Stąd „nieswoiste”. To infekcja reagująca na antybiotyki. Co mi przypomina... – Otworzył szufladę i wyjął zapas na następny tydzień. – Proszę się umówić na kolejną wizytę. Unikać seksu i alkoholu.

Seksu, pomyślał Simon. Mało prawdopodobne. Kiedy jednak w korytarzu minął ładną australijską pielęgniarkę, poczuł, jak jego penis znów się porusza, staje się cieplejszy, twardnieje.

* *
* *

Benham przyjął Simona w następnym tygodniu. Testy wykazały, że choroba nie ustąpiła. Lekarz wzruszył ramionami.

– To nic niezwykłego. Twierdzi pan, że nie czuje bólu?

– Nie. Ani śladu. Nie dostrzegłem też żadnej wydzieliny.

Benham był zmęczony. W głębi czaszki, za lewym okiem, czuł pulsujący ból. Zerknął ponownie na wyniki badań.

– Obawiam się, że to jeszcze nie koniec.

Simon Powers poruszył się niespokojnie. Miał duże, wodniste, błękitne oczy i bladą, nieszczęśliwą twarz.

– A co z tą drugą sprawą, doktorze?

Lekarz potrząsnął głową.

– Jaką sprawą?

– Mówiłem panu – przypomniał Simon. – W zeszłym tygodniu. Mówiłem. Uczuciem, że, mój, no, mój penis nie jest już moim penisem.

Oczywiście, pomyślał Benham. To ten pacjent. Nigdy nie potrafił zapamiętać dziesiątków twarzy, nazwisk i penisów, ich wstydu, przechwałek, zdenerwowania, zapachu potu i kolejnych wstydliwych chorób.

– Umm. Co z nim?

– To się rozszerza, doktorze. Cała dolna połowa mojego ciała sprawia wrażenie, jakby należała do kogoś innego. Moje nogi i tak dalej. Czuję je, idą tam, gdzie chcę, ale czasami mam wrażenie, że gdyby zapragnęły pójść gdzie indziej – gdyby zechciały odejść w świat – mogłyby to zrobić, i zabrałyby mnie ze sobą. Nie potrafiłbym ich powstrzymać.

Benham potrząsnął głową. Tak naprawdę nie słuchał.

– Zmienimy antybiotyk. Tamte sobie nie poradziły, ale mam nadzieję, że nowy załatwi sprawę. Prawdopodobnie pozbędzie się pan też owego uczucia – to pewnie skutek uboczny.

Młody mężczyzna patrzył na niego bez słowa.

Benham poczuł, że powinien powiedzieć coś jeszcze.

– Może powinien pan częściej wychodzić z domu – rzekł.

Tamten wstał.

– Za tydzień o tej samej porze. I proszę bez seksu, alkoholu i mleka po pigułkach. – Lekarz wyrecytował swą litanię.

Młody mężczyzna odszedł. Benham odprowadził go wzrokiem, ale nie dostrzegł w nim niczego niezwykłego.

* *
* *

W sobotni wieczór doktor Jeremy Benham i jego żona Celia uczestniczyli w przyjęciu urządzonym przez Kolegium Profesorskie. Benham siedział obok cudzoziemca, psychiatry. Przy przystawkach zaczęli rozmawiać.

– Najgorsze, że kiedy mówi się ludziom, że jest się psychiatrą – oznajmił psychiatra, potężny Amerykanin o okrągłej głowie, wyglądający jak sierżant piechoty morskiej – natychmiast widać, jak przez resztę wieczoru próbują zachowywać się naturalnie. – Zachichotał cicho, aluzyjnie.

Benham także się zaśmiał, a ponieważ siedział obok psychiatry, przez resztę wieczoru starał się zachowywać naturalnie.

Do obiadu wypił zbyt wiele wina.

Po kawie, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, opowiedział psychiatrze (nazywał się Marshall, choć prosił Benhama, by nazywał go Mike) to, co pamiętał z omamów Simona Powersa.

Mike roześmiał się głośno.

– Brzmi nieźle. Może odrobinę niesamowicie, ale nie ma się czym przejmować.

Prawdopodobnie to tylko halucynacja spowodowana reakcją na antybiotyk. Przypomina nieco syndrom Capgrasa. Słyszeliście o nim tutaj?

Benham przytaknął, zastanowił się chwilę i rzekł:

– Nie.

Nalał sobie kolejny kieliszek wina, ignorując ściągnięte wargi żony i niemal niedostrzegalny przeczący ruch głowy.

– Syndrom Capgrasa – wyjaśnił Mike – to odlotowe urojenie. Jakieś pięć lat temu poświęcono mu cały duży artykuł w *The Journal of American Psychiatry*. Mówiąc w skrócie, chodzi o to, że pacjent wierzy, iż ważni ludzie w jego życiu – członkowie rodziny, koledzy z pracy, rodzice, ukochani, wszystko jedno – zostali zastąpieni przez – słuchaj uważnie! – identycznych sobowtórów.

Nie dotyczy to wszystkich ludzi, których znają, tylko garstki wybranych, często jednej jedynej

osoby. Żadnych dodatkowych urojeń, tylko to jedno. Zwykle to ludzie o poważnych zakłóceniach emocjonalnych, przejawiający tendencje paranoidalne.

Psychiatra podłubał kciukiem w nosie.

– Sam zetknąłem się z jednym przypadkiem dwa, może trzy lata temu.

– Wyleczyłeś go?

Psychiatra zerknął z ukosa na Benhama i uśmiechnął się, ukazując wszystkie zęby.

– W psychiatrii, doktorze, w odróżnieniu od świata chorób przekazywanych płciowo, nie istnieje coś takiego jak wyleczenie. Jedynie przystosowanie.

Benham pociągnął łyk czerwonego wina. Potem przyszło mu do głowy, że nigdy nie powiedziała by tego, co rzekł, gdyby nie trunek. W każdym razie nie głośno.

– Nie przypuszczam... – Urwał, wspominając oglądany w młodości film (coś o porywaczach ciał?). – Nie przypuszczam, by ktokolwiek sprawdził, czy ci ludzie istotnie zniknęli, zastąpieni przez sobowtóry?

Mike – Marshall, jakkolwiek go zwał – spojrzał dziwnie na Benhama i odwrócił się wraz z krzesłem, by pomówić z sąsiadem po drugiej stronie.

Benham tymczasem nadal usiłował zachowywać się naturalnie (cokolwiek to znaczy); bez powodzenia. Potężnie się urżnął, zaczął mamrotać pod nosem coś o „pieprzonych przybyszach z kolonii”, a po przyjęciu ogniście pokłócił się z żoną, choć zwykle nie przytrafiały mu się takie rzeczy.

* *
*

Po kłótni żona Benhama wyrzuciła go z sypialni. Leżał na kanapie na dole, przykryty wymiętym kocem, masturbując się pod gatkami. Po chwili gorące nasienie wystrzeliło mu na brzuch.

Nad ranem obudził go chłód wokół krocza.

Wytarł się elegancką koszulą i znów zasnął.

* *
*

Simon nie był w stanie się onanizować.

Chciał, ale jego ręka odmawiała posłuszeństwa. Leżała obok niego, zdrowa, sprawna, miał jednak wrażenie, że zapomniał, jak zmusić ją do reakcji. Niemądre, prawda?

Prawda?

Zaczął się pocić. Pot spływał mu z twarzy i czoła, wsiąkając w białą bawełnianą pościel, lecz reszta jego ciała była sucha.

Coś sięgało ku niemu wewnątrz ciała, komórka za komórką. Czule muskało jego twarz niczym pocałunek kochanki, lizało gardło, miotало oddechem policzek. Dotykało go.

Musiał wstać z łóżka. Nie mógł wstać z łóżka.

Spróbował krzyknąć, lecz jego usta nie otworzyły się, struny głosowe nie zadrżały.

Simon nadal widział sufit, oświetlany reflektorami przejeżdżających samochodów. Nagle sufit rozmazał się. Oczywiście należały do niego i ściekały z nich łzy, wsiąkając w poduszkę.

Nie wiedzą, co złapałem, pomyślał. Mówili, że jestem chory na to co inni. Ale nie, złapałem coś zupełnie innego.

Albo może, pomyślał, gdy jego wzrok się zamglił i ciemność pochłonęła resztkę Simona Powersa, to coś złapało mnie.

Wkrótce potem Simon wstał, umył się i uważnie obejrzał w łazienkowym lustrze. Potem uśmiechnął się, jakby spodobało mu się to, co zobaczył.

* *
*

Benham uśmiechnął się.

– Miło mi oznajmić – rzekł – że mogę panu wystawić świadectwo zdrowia.

Simon Powers leniwie przeciągnął się na krześle. Skinął głową.

– Czuję się świetnie – rzekł.

Rzeczywiście dobrze wygląda, pomyślał Benham. Wręcz tryska zdrowiem. Wydawał się też wyższy. Bardzo atrakcyjny młody człowiek, uznał lekarz.

– Nie męczą już pana te odczucia?

– Odczucia?

– Te, o których mi pan opowiadał. Że pańskie ciało do pana nie należy.

Tamten lekko machnął ręką, wachlując sobie twarz. Chłodny front ustąpił, Londyn dusił się, zalany nagłą falą upałów. Zupełnie jakby to nie była Anglia.

Simon sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Całe to ciało do mnie należy, doktorze. Jestem tego pewien.

Simon Powers (90/00666L. Mężczyzna, stan wolny) uśmiechnął się, jakby należał do niego również cały świat.

Wyszedł z gabinetu. Lekarz odprowadził go wzrokiem. Młody człowiek wydawał się silniejszy, mniej kruchy.

Następnym pacjentem na rozpisce Jeremy'ego Benhama był dwudziestodwuletni chłopak. Benham miał mu oznajmić, że ma AIDS.

Nienawidzę tej pracy, pomyślał. Potrzebuję wakacji.

Ruszył korytarzem, by zawołać chłopca, i przecisnął się obok Simona Powersa, rozmawiającego z ożywieniem z ładną australijską pielęgniarką.

– To musi być cudowne miejsce – mówił właśnie. – Chcę je zobaczyć. Chcę pojechać wszędzie, wszystkich poznać. – Położył jej rękę na ramieniu, a ona nawet nie próbowała się uwolnić.

Dr Benham przystanął obok nich. Dotknął pleców Simona.

– Młodzieńcze – rzekł. – Więcej mi się tu nie pokazuj.

Simon Powers uśmiechnął się szeroko.

– Już mnie pan nie zobaczy, doktorze. Nie ma mowy. Zrezygnowałem z pracy. Wyruszam w podróż dookoła świata.

Podali sobie dłonie. Ręka Powersa był ciepła, sucha i silna.

Benham odszedł, nadal jednak słyszał Simona Powersa, rozmawiającego z pielęgniarką.

– Będzie wspaniale – mówił.

Benham zastanawiał się, czy ma na myśli seks, podróże po świecie, czy może jedno i drugie.

– Zamierzam się świetnie bawić – dodał Simon. – Już teraz jestem zachwycony.

Wampirza sestyna

Dziś czekam tutaj, na granicy snów,
spowity w cieniu. Mroczny nocy smak,
zimny i ostry. Gdzież jest miła ma?
Księżyc pozbawił barwy świeży grób.
Nadejdzie wkrótce i ruszemy w świat,
kosztować noc i ciepłą ludzką krew.

Trunkiem samotnych zowią często krew,
lecz ciało też ma prawo do swych snów,
i choćby ktoś mi dawał cały świat,
ja wolę łów i księżycową noc.
Stoję więc w cieniu, patrząc na jej grób:
Ma miła, nieumarła... miła ma?

Dziś za dnia śniłem; we śnie miła ma
była mi droższa nawet niżli krew.
Słońce wbijało swe promienie w grób,
a ja leżałem martwy w kleszczach snów
aż mnie kolejna obudziła noc,
wypuścił zachód słońca znów na świat.

Od wielu wieków zna mnie nocny świat,
dostaje moje dary, miła ma:
skradziony całus, potem ciemność, noc,
kolejne życie i znów słodka krew,
a rankiem wracam do krainy snów,
me zimne ciało mroczny kryje grób.

Rzekłem, że cię nie skrzywdzę – czym jak grób
zimny, czy dam, by cię pochłonał świat?
Dałem ci prawdę, skrytą pośród snów,
a ty mi dałaś miłość, miła ma.
Nie bój się, rzekłem, nie bój. Bo też krew
smakuje słodziej, gdy zapada noc.

Czasem kochanki me powstają w noc...
Czasem na zawsze je pochłania grób,
i nie poznają, co to rozkosz, krew,
wędrówka w mroku, gdy nasz cały świat;
zżerają je robaki. Miła ma,

żeś wstała, słyszę głosy. Z moich snów.
Czekałem całą noc tam, gdzie twój grób.
Nie wstałaś ze swych snów, by spijać krew.
Żegnaj więc, miła ma. Dałem ci świat.

Mysz

W sklepie mieli kilka urządzeń, które szybko zabijają mysz; inne zabijały dużo wolniej. Zaproponowano mu tuzin odmian tradycyjnej pułapki na myszy, która Reganowi nieodparcie kojarzyła się z kreskówkami z Tomem i Jerryem: metalowej sprężyny, zwalnianej przy najlżejszym dotknięciu, i klapki, łamiącej myszy kręgosłup. Na półkach stały też inne gadzety – duszące mysz, porażające ją prądem, czy nawet topiące. Każdy bezpiecznie tkwił w wielobarwnym kartonowym opakowaniu.

– Niezupenie o to mi chodzi – rzekł Regan.

– Nie mamy innych pułapek – odparła kobieta z przypiętym do ubrania plastikowym identyfikatorem, głoszącym, że nazywa się BECKY i że CHĘTNIE POMOŻE CI w SKLEPIE Z AKCESORIAMI ZOOLOGICZNYMI MACREA. – Tutaj natomiast...

Wskazała osobne stoisko pełne torebek z napisem TRUCIZNA „GŁODNA MYSZ”. Na górze stoiska leżała gumowa myszka z łapkami w powietrzu.

Nagle Reganowi stanęła przed oczami dawno oglądana scena: Gwen, wyciągająca elegancką różową dłoń z palcami zakrzywionymi w górę.

– Co to jest? – spytała. Działo się to na tydzień przed jego wyjazdem do Ameryki.

– Nie wiem – odparł Regan. Siedzieli w barze w małym hotelu w West Country – bordowe dywany, brunatne tapety. On trzymał w ręku szklanekę ginu z tonikiem, ona sączyła drugi kieliszek chablis. Gwen powiedziała kiedyś Reganowi, że blondynki powinny pić wyłącznie białe wina, bo lepiej pasują do ich wyglądu. Zaśmiał się, nagle jednak uświadomił sobie, że mówiła poważnie.

– Martwe to – odparła, odwracając dłoń tak, że palce zwisały niczym nóżki małego, powolnego, różowego zwierzęcia. Uśmiechnął się. Potem zapłacił rachunek i poszli razem na górę, do pokoju Regana...

– Nie, nie chcę trucizny. Widzi pani, ja nie zamierzam jej zabić – poinformował sprzedawczynię.

Kobieta spojrzała na niego ciekawie, jakby zaczął nagle mówić w obcym języku.

– Ale mówił pan, że chce pan kupić pułapkę...

– Chodzi mi o pułapkę humanitarną. Coś w rodzaju korytarza. Mysz wchodzi do środka, drzwiczki zatrząskują się za nią i nie może wyjść.

– Jak więc się ją zabija?

– Nie zabija się. Wywozi się ją parę mil dalej i wypuszcza. A ona nie wraca. Ma się ją z głowy.

Becky przyglądała mu się z uśmiechem, jakby odkryła nagle, że ma do czynienia z uroczym stworzonkiem: słodkim, niemądrym, uroczym stworzonkiem.

– Proszę poczekać – rzekła. – Sprawdź na zapleczu.

Przeszła przez drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. Ma ładny tyłek, pomyślał Regan. Jest

nawet atrakcyjna na ów typowy, nieciekawym amerykańskim sposobem.

Wyjrzał przez okno. Janice siedziała w samochodzie, czytając jakieś pismo: rudowłosa kobieta w paskudnej sukience. Pomachał do niej, ona jednak nie patrzyła w jego stronę.

Becky wystawiła głowę zza drzwi.

– Bingo – powiedziała. – Ile mam podać?

– Dwie?

– Nie ma sprawy. – Znowu zniknęła i powróciła z dwoma małymi pojemnikami z zielonego plastiku. Wybiła cenę na kasie i podczas gdy Regan grzebał wśród banknotów i monet, do których wciąż nie zdążył przywyknąć, próbując zebrać właściwą sumę, z uśmiechem obejrzała pułapki, obracając je w dłoniach.

– Mój Boże – westchnęła – ciekawe, co jeszcze wymyśli.

Gdy tylko wyszedł ze sklepu, upał rąbnął go jak młotem.

Pospieszył do samochodu. Metalowa klamka oparzyła mu dłoń. Silnik mruczał na biegu jałowym.

Wsiadł do środka.

– Kupiłem dwie – oznajmił. W klimatyzowanym wnętrzu panował przyjemny chłód.

– Zapnij pas – przypomniała Janice. – Musisz szybko nauczyć się tu jeździć. – Odłożyła pismo.

– Nauczę się – odparł. – W końcu.

Regan bał się jeździć w Ameryce. Przypominało to jazdę po drugiej stronie lustra.

Nie odzywali się więcej. Regan odczytał instrukcję na tylnej ściance pudełka z pułapką. Podstawową zaletą tego typu pułapki – według autora – był fakt, że nie trzeba w ogóle oglądać, dotykać ani przejmować się myszą. Drzwiczki zamykają się za nią, i tyle. Instrukcja nie wspominała o nie zabijaniu zwierzątka.

Gdy wrócili do domu, wyjął pułapki z pudełek. Do jednej włożył odrobinę masła fistaszkowego, do drugiej czekoladę i ustawił je na podłodze w spiżarni – jedną pod ścianą, drugą obok dziury, którą myszy przedostawały się do środka.

Pułapki były jedynie korytarzami. Drzwi z jednej strony, z drugiej ściana.

* *
* *

Tej nocy Regan wyciągnął w łóżku rękę i dotknął piersi śpiącej Janice. Dotknął ich delikatnie, nie chcąc jej zbudzić. Były wyraźnie pełniejsze. Pożałował, że nie pociągają go duże piersi. Nagle odkrył, że zastanawia się, jak by to było ssać kobiece piersi pełne mleka. Wyobrażał sobie słodycz, lecz nie potrafił określić smaku.

Janice spała. Nadal jednak przytulała się do niego.

Odsunął się. Leżał w ciemności, próbując przypomnieć sobie, jak się śpi, rozważając w umyśle kolejne możliwości. Było tak gorąco, tak duszno. Kiedy mieszkali w Anglii, zasypiał natychmiast. Był tego pewien.

Z ogrodu dobiegł ostry krzyk. Janice poruszyła się i przekręciła na drugi bok. Krzyk brzmiał niemal ludzko. Regan dawno temu słyszał, że cierpiące lisy płaczą jak dzieci. A może to kot albo jakiś nocny ptak?

W każdym razie tej nocy coś umarło. Co do tego nie było wątpliwości.

* *
*

Następnego ranka jedną z pułapek znalazł zatrzaśniętą, choć gdy ostrożnie otworzył drzwiczki, okazała się pusta. Na czekoladzie dostrzegł ślady zębów. Ponownie otworzył drzwiczki i ustawił pułapkę pod ścianą.

Janice płakała cicho w salonie. Regan stanął obok niej. Wyciągnęła rękę. Uścisnął ją mocno. Palce miała zimne. Wciąż nie zdjęła nocnej koszuli, nie umalowała się.

Później zadzwoniła.

Tuż przed południem Regan otrzymał paczkę dostarczoną przez Federal Express. W środku czekał tuzin dyskietek wypełnionych liczbami, które miał przejrzeć, posortować, uporządkować.

Do szóstej pracował przy komputerze, przed małym metalowym wentylatorem, który szumił i grzechotał, międląc gorące powietrze.

* *
*

Tego wieczoru, szykując kolację, włączył radio.

– Moja książka mówi o tym wszystkim. O tym, czego liberałowie nie chcą ujawnić. – Głos był wysoki, nerwowy, arogancki.

– No tak. Część pańskich tez wydaje się dość niewiarygodna. – Prowadzący zachęcał swego rozmówcę do dalszych wypowiedzi. Głęboki radiowy głos, melodyjny, przyjazny.

– Oczywiście, że trudno w to uwierzyć. To się sprzeciwia wszystkiemu, co oni nam wmawiają. Liberałowie i homoseksualiści w mediach nie chcą, abyśmy poznali prawdę.

– Wszyscy o tym wiemy, przyjacielu. Wrócimy po piosence.

To była piosenka country. Zwykle Regan nastawiał radio na miejscową stację National Public Radio, bo czasami transmitowali dzienniki BBC. Ktoś musiał przestroić odbiornik, choć nie miał pojęcia kto.

Wyjął ostry nóż i starannie rozciął kurzą pierś, rozdzielając różowe mięso, krojąc je na paski gotowe do smażenia. Cały czas słuchał piosenki.

Czyjeś serce zostało złamane. Ktoś o nic już nie dbał. Piosenka dobiegła końca. Rozpoczęła się reklama piwa. Potem mężczyźni znów zaczęli rozmawiać.

– Chodzi o to, że z początku nikt w to nie wierzy, ale mam dokumenty, mam zdjęcia. Czytał pan moją książkę. Już pan rozumie. To diabelskie, naprawdę diabelskie przymierze, pomiędzy tak zwanymi zwolennikami wyboru, środowiskiem lekarskim i homoseksualistami. Homo potrzebują owych zbrodni, bo dzięki nim zdobywają dzieci, które wykorzystują w doświadczeniach nad lekarstwem na AIDS.

Liberałowie wciąż gadają o zbrodniach nazistów, ale żaden ich wyczyn nie dorównuje temu, do czego oni są zdolni. To dzieje się w tej chwili. Biorą ludzkie płody i przeszczepiają je na myszki, tworząc ludzkomysie hybrydy, których używają do eksperymentów. Potem wstrzykują im AIDS...

Regan przypomniał sobie słynną ścianę oczu doktora Mendele: niebieskich, brązowych, orzechowych...

– Cholera! – skaleczył się w kciuk. Wsunął go do ust i przygryzł, by powstrzymać krwawienie. Pobiegł do łazienki i zaczął szukać plastra.

– Pamiętaj, jutro o dziesiątej muszę wyjść z domu.

Janice stała tuż za nim. Spojrzał w odbite w lustrze niebieskie oczy. Sprawiała wrażenie spokojnej.

- Dobrze. – Nakleił plaster na palec, ukrywając i opatrując skaleczenie, i odwrócił się do niej.
- Widziałam dziś w ogrodzie kota – powiedziała. – Szarego kocura. Może się przybliżył.
- Może.
- Zastanawiałeś się nad kupnem jakiegoś zwierzęcia?
- Nie. To tylko jeszcze jedno zmartwienie na głowie. Zdawało mi się, że już to ustaliliśmy.

Żadnych zwierząt.

Wzruszyła ramionami. Razem wrócili do kuchni. Regan nalał oleju na patelnię, podpalił palnik, wrzucił na rozgrzany tłuszcz paski różowego mięsa i patrzył, jak kurczą się, bledną, zmieniają.

* *
* *

Następnego ranka Janice pojechała na dworzec autobusowy. Od miasta dzielił ich kawał drogi, a gdy nadejdzie pora powrotu, Janice z pewnością nie będzie w stanie prowadzić samochodu. Zabrała ze sobą pięćset dolarów gotówką.

Regan sprawdził pułapki. Obie były nietknięte. Potem zaczął krążyć po korytarzach domu.

W końcu zadzwonił do Gwen. Za pierwszym razem źle wybrał numer. Jego palce ześlizgnęły się z przycisków telefonu, wystukując myląco długą serię cyfr. Spróbował ponownie.

Sygnał. Potem jej głos w słuchawce.

- Towarzystwo Księgowe Alliance, dzień dobry.
- Gwennie? To ja.
- Regan? To ty, prawda? Miałam nadzieję, że w końcu zadzwonisz. Tęskniłam za tobą. – Jej głos był odległy. Transatlantyckie szумы i trzaski jeszcze oddalały ich od siebie.
- To kosztuje.
- Myślałeś o powrocie?
- Sam nie wiem.
- Jak tam żoneczka?
- Janice jest... – Urwał. Westchnął. – Z Janice wszystko w porządku.
- Zaczęłam się pieprzyć z nowym dyrektorem handlowym – oznajmiła Gwen. – Jest nowy, nie znałeś go. Wyjechałeś pół roku temu. Dziewczyna musi sobie jakoś radzić.

W tym momencie Regan zrozumiał, że tego właśnie najbardziej nienawidził w kobietach: ich praktyczności. Gwen zawsze zmuszała go do tego, by używał prezerwatyw, choć ich nie znosił. A ona zabezpieczała się także krążkiem i pianką plemnikobójczą. Miał wrażenie, że gdzieś w tym wszystkim zanikała spontaniczność, romantyczność, namiętność. Wolał, by seks był czymś nagłym, co dzieje się na wpół w głowie, na wpół poza nią. Czymś gwałtownym, nieprzyzwoitym i potężnym.

Nagle poczuł ból w skroniach.

- Jak u was z pogodą? – spytała radośnie Gwen.
- Gorąco – odparł Regan.
- Szkoda, że nie u nas. Od tygodni leje.

Powiedział jeszcze, że miło jest znów usłyszeć jej głos. Potem odłożył słuchawkę.

* *
*

Regan sprawdził pułapki. Wciąż były puste.

Wszedł do gabinetu i włączył telewizor.

– Jest malutka. Tak właśnie wygląda płód. Pewnego dnia dorośnie, stając się dużą dziewczynką. Ma małe paluszki u rąk i nóg, a nawet małe paznokietki.

Zdjęcie na ekranie: czerwone, pulsujące, niewyraźne. Nagłe przejście do szeroko uśmiechniętej kobiety, trzymającej w ramionach dziecko.

– Niektóre z maleństw dorastają i zostają pielęgniarkami, nauczycielkami, muzykami. Pewnego dnia któraś z nich może zostać prezydentem.

I znów ujęcie różowej masy, wypełniającej cały ekran.

– Ale ta maleńka nigdy nie dorośnie. Jutro zostanie zabita. A jej matka twierdzi, że to nie morderstwo.

Przerzucił kanały, póki nie znalazł powtórki *Kocham Lucy*, idealnego tła do pracy. Potem usiadł przy komputerze i go odpalił.

Po dwóch godzinach spędzonych na poszukiwaniach błędu poniżej stu dolarów w nieskończonych kolumnach liczb głowa rozboleła go na dobre. Wstał i poszedł do ogrodu.

Brakowało mu ogrodu. Prawdziwych angielskich trawników z prawdziwą angielską trawą. Tutejsza trawa była sucha, rzadka i brązowa, drzewa pokrywały porosty rodem z filmów fantastycznych. Powędrował ścieżką do lasu za domem. Coś szarego, smukłego, przemknęło między drzewami.

– Kici, kici! – zawołał Regan. – Chodź tu, kotku.

Podszedł do drzewa i zajrzał za nie. Kot – czy cokolwiek to było – zniknął. Coś ukłuło go w policzek. Odruchowo klepnął się w niego i opuściwszy dłoń, ujrzał plamę krwi i komara. Na wpół rozgnieciony owad wciąż poruszał się na jego ręce.

Wrócił do kuchni, nalał sobie filiżankę kawy. Brakowało mu herbaty, ale tu nie smakowała tak samo.

* *
*

Janice wróciła do domu przed szóstą.

– Jak było?

Wzruszyła ramionami.

– W porządku.

– Tak?

– Tak.

– W przyszłym tygodniu muszę wrócić – dodała. – Na kontrolę.

– Upewnić się, że nie zostawili w tobie żadnych narzędzi?

– Mniej więcej – rzekła.

– Przygotowałem spaghetti po bolońsku – poinformował ją Regan.

– Nie jestem głodna – odparła Janice. – Idę się położyć.

Poszła na górę.

Regan pracował, aż w końcu liczby w jego głowie przestały się dodawać. Powędrował na górę i cicho wszedł do ciemnej sypialni. W blasku księżycy zrzucił ubranie, zostawił je na dywanie

i wśliznął się pod kołdrę.

Czuł bliskość leżącej obok Janice. Jej ciało trzęsło się całe. Poduszka była mokra.

– Jan?

Leżała odwrócona plecami.

– To było straszne – szepnęła do poduszki. – Tak bardzo bolało. A oni nie chcieli mnie znieczulić. Powiedzieli, że mogę łyknąć valium, jeśli chcę, ale nie zatrudniają już anestezjologa. Ta kobieta mówiła, że lekarz nie mógł znieść napięcia, a poza tym znieczulenie kosztuje dodatkowych dwieście dolarów i nikt nie chciał płacić... Tak bardzo bolało – łkała, z trudem wypływając z siebie słowa, jakby wyciskał je z niej siłą. – Tak bardzo bolało.

Regan wstał.

– Dokąd idziesz?

– Nie muszę tego słuchać – rzekł. – Naprawdę nie muszę tego słuchać.

* *
* *

W domu było za gorąco. Regan zbiegł na dół, ubrany wyłącznie w slipy. Wszedł do kuchni. Bose stopy z lekkim cmoknięciem odrywały się od linoleum.

Drzwi jednej z pułapek były zatrzaśnięte.

Podniósł ją. Sprawiała wrażenie nieco cięższej niż przedtem. Ostrożnie uchylił drzwiczki. Wyjrzało na niego dwoje paciorkowatych oczu. Ponownie zamknął klapkę i usłyszał drapanie we wnętrzu pułapki.

Co teraz?

Nie mógł jej zabić. Niczego nie mógłby zabić.

Zielona pułapka cuchnęła. Jej spód był mokry od mysiego moczu. Regan ostrożnie wyniósł pudełko do ogrodu.

Wiał lekki wietrzyk. Księżyc był niemal w pełni. Regan ukląkł na ziemi. Starannie ustawił pułapkę na suchej trawie. Otworzył drzwiczki wiodące do wąskiego, zielonego korytarzyka.

– Uciekaj – szepnął, zakłopotany brzmieniem własnego głosu w nocnym powietrzu. – Uciekaj, myszko.

Mysz nawet nie drgnęła. Widział jej nos przy drzwiach pułapki.

– No, dalej – rzekł Regan. Księżyc świecił jasno. Widział wszystko: ostre światła i cienie. Cały świat pozbawiony koloru.

Trącił pułapkę stopą. I wtedy mysz śmignęła naprzód. Wybiegła z pułapki, zatrzymała się, odwróciła i zaczęła uciekać ku drzewom.

Potem znów się zatrzymała. Spojrzała w stronę Regana. Odniosł wrażenie, że patrzy wprost na niego. Miała małe różowe łapki. W tym momencie Regan poczuł niemal ojcowską dumę. Uśmiechnął się błogo.

Szara smuga w mroku nocy. Mysz, szarpiąc się beznadziejnie, zawisła w pysku dużego, szarego kota, którego oczy lśniły zielonym blaskiem. Po sekundzie kot odbiegł, znikając wśród krzaków. Regan pomyślał przelotnie, że mógłby go złapać, uwolnić mysz z zębów...

Z lasu dobiegł go głośny krzyk – zwykły nocny odgłos, lecz przez sekundę wydało mu się, że brzmi niemal ludzko, niczym płacz cierpiącej kobiety. Cisnął małą, plastikową pułapkę na myszy, jak najdalej potrafił. Miał nadzieję, że wyląduje z donośnym trzaskiem. Upadła jednak bezdźwięcznie gdzieś na krzak.

A potem Regan wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi domu.

Zmienne morze

Teraz jest dobra chwila, by to zapisać,
teraz, gdy poprzez grzechot kamyków, wśród których rozbijają się fale,
i zimne bębnienie kropel ukośnego deszczu
na blaszanym dachu ledwie słyszę własne myśli,
a wszystko zagłusza niskie wycie wiatru. Wierzcie mi,
teraz mógłbym podpełznąć aż do czarnych fal,
lecz byłoby to głupie, gdy niebo kryją chmury.

*Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Boże,
naszej modlitwy za tych, co na morzu.*

Stara kościelna pieśń nieproszona pcha mi się na usta,
może nawet śpiewam ją głośno. Nie wiem.
Nie jestem stary, lecz gdy się budzę, ból wykręca mi ciało,
jak stary morski wrak. Spójrzcie na moje ręce.
Połamane przez morze i fale: poskręcane,
wyglądają jak coś wyrzuconego na plażę podczas sztormu.
Trzymam pióro jak starzec.

Mój ojciec nazywał wzburzone morze fabrykantem wdów.
Matka twierdziła, że morze zawsze fabrykuje wdowy,
nawet szare i gładkie jak niebo. Miała rację.
Mój ojciec utonął przy pięknej pogodzie.
Czasami zastanawiam się, czy jego kości kiedykolwiek spoczęły na brzegu,
i czy poznałbym je, gdybym je znalazł,
poskręcane i wygładzone przez wodę.

Miałem wówczas siedemnaście lat, byłem pewny siebie jak każdy młodzieniec,
sądzący, iż uczyni z morza swą kochankę,
i przyrzekłem matce, że nie wyruszę na morze.
Oddała mnie do sklepu piśmieniczego i swój czas
spędzałem pośród ryz i libr; lecz kiedy umarła, z jej oszczędności
kupiłem małą łódkę. Wziąłem zakurzone sieci ojca,
zatrudniłem trzech ludzi, starszych ode mnie, a jakże,
i na zawsze porzuciłem stalówki i kałamarze.

Przeżywałem dobre i złe miesiące.
Zimne, zimne morze, gorzkie i słone, sieci kaleczyły mi ręce,
liny były podstępne i niebezpieczne; a jednak,
za nic bym z tego nie zrezygnował. Nie wtedy.

Słona woń mego świata sprawiała, że czułem, że żyję.
Mknąc na falach, niesiony mocnym wiatrem,
ze słońcem za plecami, szybciej niż tuzin koni wśród białych grzebieni,
to było życie.

Morze miewało nastroje. Człowiek szybko się tego uczył.
W dzień, o którym myślę, było zmienne, kapryśne,
wiatr dął i gasł ze wszystkich czterech stron świata,
fale wznosiły się stromo. Nie mogłem dojść z tym do ładu.
Łąd zniknął nam już z oczu, gdy ujrzałem rękę,
coś sięgającego ku mnie z szarej morskiej toni.
Pamiętny losu ojca, pobiegłem na dziób, zawołałem.

Usłyszałem jedynie samotne krzyki mew.
Powietrze wypełnił trzepot białych skrzydeł, a potem
świsł drewnianego bomu, który uderzył mnie w podstawę czaszki:
pamiętam zimne morze, wolno zbliżające się ku mnie,
obejmujące mnie, pochłaniające, zagarniające na własność.

Czułem smak soli. Jesteśmy zbudowani z morskiej wody i kości:
to właśnie powiedział mi handlarz papieru, gdy byłem dzieckiem.
Później pomyślałem, że wody płodowe, zwiastujące nowe życie,
z pewnością także są słone –
może wiem o tym, bo pamiętam własne narodziny.
Świat pod morzem był niewyraźną plamą. Zimno, zimno, zimno...

Nie wierzę, że naprawdę ją widziałem. Nie mogę w to uwierzyć.
To był sen, obłąkańcza wizja z braku powietrza,
i uderzenia w głowę, tylko tyle.

Kiedy jednak pojawia się w mych snach, nigdy nie wątpię.
Była stara jak morze i młoda niczym nowa fala wśród skał.
Jej elfie oczy dostrzegły mnie. I wiedziałem, że mnie pragnie.
Powiadają, że morski lud nie ma duszy: możliwe,
że morze to jedna wielka dusza, którą oddychają, jedzą, piją.
Pragnęła mnie. I dostałaby bez cienia wątpliwości.
A jednak...

Wyciągnęli mnie z morza i ugniatali pierś,
póki nie zwymiotowałem słonej wody na mokre deski.
Było mi zimno, zimno, drżałem cały, słaby i chory.
Ręce miałem połamane, nogi powykręcane,
jakbym właśnie wynurzył się z głębiny,
moje kości to muszle, wyrzucone na brzeg deski,
pod warstwą ciała kryją się wyryte w nich przesłania.

Łódź nie wróciła do portu. Załogi nigdy już nie widziano.
Sam żyję dzięki łaskawości wioski.
Istniejemy tylko dzięki łasce morza, powiadają.
Minęły lata, niemal dwadzieścia;

kobiety patrzą na mnie z litością bądź wzgardą.
Przed moim domem skowyt wiatru przeszedł w krzyk.
Powiewy ciskają deszcz na blaszane ściany,
miażdżąc kamienne dachówki, kamień o kamień.

*Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Boże,
naszej modlitwy za tych, co na morzu.*

Wierzcie mi, mógłbym zejść dziś aż do morza,
powlec się tam na czworakach.

Oddać się wodzie i ciemności.

I dziewczynie.

Pozwolić, by zdarła mięso z potrzaskanych kości,
przemieniła mnie w coś niezniszczalnego, kościanego,
w coś bogatego i osobliwego. Ale to byłoby głupie.

Szepcze do mnie głos burzy.

Szepcze do mnie głos plaży.

Szepcze do mnie głos fal.

Jak myślisz, jakie to uczucie?

Leżę teraz w łóżku. Czuję pod sobą lniane prześcieradła, ogrzane do temperatury ciała i lekko wymięte. Oprócz mnie w łóżku nie ma nikogo.

Pierś już mnie nie boli, niczego nie czuję. Czuję się świetnie.

Budzę się i sny znikają, prześwietlone blaskiem porannego słońca, wpadającym przez okno sypialni. Powoli zastępują je wspomnienia. Teraz zaś, gdy tak leżę, a obok mnie spoczywa fioletowy kwiat i jej zapach wciąż wyczuwalny na poduszce, wszystkie wspomnienia skupiają się wokół Becky. Piętnaście lat przepływa mi przez palce niczym konfetti bądź opadające kwiatowe płatki.

Miała zaledwie dwadzieścia lat. Ja byłem znacznie starszy, niemal skończyłem już dwadzieścia siedem. Miałem też żonę, zawód i dwie bliźniacze córeczki. I byłem gotów porzucić to wszystko – dla niej.

Spotkaliśmy się na konferencji w Hamburgu. Widziałem jej występ podczas prezentacji „Przyszłość rozrywki interaktywnej”. Spodobała mi się. Uznałem, że jest bardzo zabawna. Włosy miała długie i ciemne, oczy błękitnozielone. Z początku byłem pewien, że przypomina mi kogoś znajomego, potem jednak uświadomiłem sobie, iż tak naprawdę nigdy nie spotkałem osoby, z którą mi się skojarzyła: chodziło o Emmę Peel, postać z serialu *Rewolwer i melonik*, graną przez Dianę Rigg. Kochałem się w niej i tęskniłem za nią w czerni i bieli, nim jeszcze skończyłem dziesięć lat.

Tego wieczoru, mijając ją w korytarzu w drodze na przyjęcie u producenta oprogramowania, pogratulowałem jej świetnego występu. Odparła, że jest zawodową aktorką, zatrudnioną specjalnie na prezentację („ostatecznie nie wszyscy możemy pracować na West Endzie, prawda?”) i nazywa się Rebecca. Później pocałowałem ją w drzwiach, a ona westchnęła, przywierając do mnie.

Do końca konferencji Becky spała w moim pokoju. Wpadłem po uszy, zakochałem się jak dzieciak. Lubię myśleć, że ona też. Po powrocie do Anglii nasz romans trwał nadal: lekki, zabawny, cudownie odurzający i nieco niebezpieczny. Wiedziałem, że to miłość; w wymyśle smakowała niczym szampan.

Spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Mówiłem Caroline, mojej żonie, że pracuję do późna, jestem zajęty, muszę zostać w Londynie. W istocie jednak zostawałem w mieszkaniu Becky w Battersea. Z Becky.

Napawałem się jej ciałem, złocistą, gładką skórą, błękitnozielonymi oczami. Nie umiała odprężyć się podczas seksu – sama idea stosunku bardzo jej się podobała, natomiast strona praktyczna, fizyczna, już nie do końca. Seks oralny, zarówno aktywny, jak i pasywny, budził w niej lekki niesmak. Najbardziej odpowiadało jej, gdy stosunek kończył się jak najszybciej. Nie przeszkadzało mi to. Wystarczyło, że mogę cieszyć się jej urodą i błyskotliwym dowcipem. Lubiłem patrzeć, jak lepi z plasteliny malutkie główki lalek i jak plastelina wciska jej się pod

paznokcie, tworząc ciemne półksiężyce. Becky miała piękny głos. Czasami ot tak, niespodziewanie, zaczynała śpiewać – popularne przeboje, piosenki ludowe, urywki arii operowych, telewizyjne dzingle – cokolwiek przyszło jej do głowy. Caroline nigdy nie śpiewała, nawet kołysanek.

Becky sprawiała, że kolory stawały się jaśniejsze. Zaczynałem dostrzegać aspekty życia, na które wcześniej nigdy nie zwracałem uwagi: widziałem misterną elegancję kwiatów, bo Becky kochała kwiaty i znała wszystkie ich nazwy. Stałem się miłośnikiem niemych filmów, bo Becky kochała nieme filmy, i w kółko oglądałem na wideo *Złodzieja z Bagdadu* i *Sherlocka juniora*. Zacząłem gromadzić płyty i kasety, bo Becky kochała muzykę, a ja kochałem ją i wszystko to, co darzyła uczuciem. Nigdy wcześniej tak naprawdę nie słuchałem muzyki, nie dostrzegałem czarnobiałego wdzięku milczących kłownów, nie dotykałem, nie wachałem, nie oglądałem kwiatów – dopóki jej nie spotkałem.

Powiedziała, że musi przestać grać i zająć się czymś, co pozwoli jej zacząć zarabiać więcej i bardziej regularnie. Poznałem ją więc z przyjacielem pracującym w branży muzycznej. Wkrótce została jego osobistą asystentką. Czasami zastanawiałem się, czy spiąją ze sobą. Nie wspominałem o tym jednak ani słowem; nie odważyłem się, choć często nękały mnie takie myśli. Nie chciałem narażać tego, co nas łączyło, i wiedziałem, że nie mam podstaw do jakichkolwiek pretensji.

– Jak myślisz, jak się czuję? – spytała. Wracaliśmy właśnie do jej mieszkania z tajskiej restauracji za rogiem. Zwykle tam właśnie jadaliśmy kolacje. – Wiedząc, że co noc wracasz do swej żony. Jak myślisz, jakie to uczucie?

Wiedziałem, że ma rację. Nie chciałem nikogo zranić, czułem się jednak coraz bardziej rozdarty, cierpiała na tym moja praca, należąca do mnie niewielka firma informatyczna. Powoli zacząłem zbierać się na odwagę. Zamierzałem powiedzieć Caroline, że od niej odchodzę. Wyobraziłem sobie radość Becky na wieść, że odtąd będę należał tylko do niej. Owszem, Caroline przyjmie to ciężko, bliźniaczki jeszcze gorzej, ale musiałem to zrobić.

Za każdym razem, gdy bawiłem się z bliźniaczkami, moimi niemal identycznymi córeczkami (wskazówka: Amanda ma nad górną wargą niewielki pieprzyk, Jessica nieco bardziej zaokrągloną szczękę) o włosach o odcień jaśniejszych od ciemnozłotych włosów matki, za każdym razem gdy zabierałem je do parku, kąpałem albo kładłem do łóżka, czułem w sercu ból. Wiedziałem jednak, co muszę zrobić. Wkrótce ból zniknie, zastąpiony idealną radością, którą przyniesie mi życie z Becky, kochanie Becky, spędzanie każdej chwili z Becky.

Od świąt Bożego Narodzenia dzielił nas niecały tydzień. Dni były coraz krótsze. Zabrałem Becky na kolację do tajskiej restauracji i gdy zlizywała orzechowy sos z kawałka kurczaka, poinformowałem, że tuż po świętach zostawię dla niej żonę i dzieci. Spodziewałem się, że jej twarz rozjaśni uśmiech, jednak ona nic nie powiedziała i nie zareagowała. Tego wieczoru, gdy wróciliśmy do niej, odmówiła mi seksu. Zamiast tego oznajmiła, że z nami koniec. Wypiłem stanowczo za dużo. Rozpłakałem się po raz ostatni w moim dorosłym życiu i zacząłem błagać, by zmieniła zdanie.

– Przestałeś być zabawny – oświadczyła z prostotą. Siedziałem pogrążony w smutku na podłodze jej salonu, oparty plecami o sfatygowaną kanapę. – Kiedyś byłeś naprawdę zabawnym kompanem, teraz cały czas snujesz się i marudzisz.

– Przepraszam – mruknąłem żałośnie. – Naprawdę przepraszam. Mogę się zmienić.

– Widzisz? – rzekła. – Nie mam z tobą żadnej zabawy.

A potem otworzyła drzwi sypialni i weszła do środka, zamykając je za sobą na klucz, ja zaś

zostałem na podłodze. Opróżniłem do końca butelkę whisky, po czym pijany w sztok zacząłem krążyć po mieszkaniu, dotykając jej rzeczy i bełkocząc żałośnie. Przeczytałem jej pamiętnik. Poszedłem do łazienki, z kosza na brudną bieliznę wyciągnąłem majtki i wtuliłem w nie twarz, wciągając w nozdrza zapach Becky. W którymś momencie zacząłem walić pięściami w drzwi sypialni, wykrzykując jej imię. Nie odpowiedziała jednak i nie otworzyła.

Nad ranem zrobiłem sobie gargulca. Ulepiłem go z szarej plasteliny.

Pamiętam to dokładnie. Byłem nagi. Na kominku znalazłem dużą bryłę plasteliny. Zacząłem ją ugniatać, aż stała się miękka. A potem, zagubiony w krainie pijackiego, wściekłego, sfrustrowanego obłędu masturbowałem się w nią i wgniotłem w bezkształtną szarą masę moje własne mlecznobiałe nasienie.

Nigdy nie byłem rzeźbiarzem, lecz tej nocy coś nabrało kształtu pod moimi palcami: kanciaste dłonie i szyderczo uśmiechnięta głowa, karłowate skrzydła i poskręcane nogi. Stworzyłem go z mej żądy, żalu nad samym sobą i nienawiści, a potem ochrzciłem ostatnimi kroplami Johnny'ego Walkera Black Label i umieściłem na sercu – mego własnego gargulca, aby strzegł mnie przed pięknymi kobietami o błękitnozielonych oczach i przed tym, bym kiedykolwiek jeszcze coś poczuł.

Leżałem na podłodze z gargulcem na piersi. Po kilku chwilach zasnąłem.

Gdy ocknąłem się kilka godzin później, drzwi sypialni wciąż były zamknięte. W mieszkaniu nadal panował mrok. Poczłogałem się do łazienki i zwymiotowałem na podłogę, miskę klozetową i rozrzuciłem wokół bieliznę. A potem ubrałem się i wróciłem do domu.

Nie pamiętam, co powiedziałem żonie. Być może pewnych rzeczy wolą nie wiedzieć. Lepiej nie pytać, i tak dalej. Może Caroline żartowała potem z mego świątecznego pijaństwa. Nie pamiętam.

Nigdy już nie wróciłem do mieszkania w Battersea.

Co parę lat przelotnie widywałem Becky, w metrze albo w City. Podczas tych spotkań nigdy nie czułem się swobodnie. Sprawiała wrażenie kruchej i zakłopotanej. Mówiliśmy sobie „cześć”, gratulowała mi najnowszych osiągnięć, bo całą swą energię przelałem w pracę, tworząc coś, co jeśli nawet nie zasłużyło na (często mu nadawaną) nazwę imperium rozrywkowego, to z całą pewnością było przynajmniej niewielką prowincją świata muzyki, sztuki i interaktywnych przygód.

Czasami spotykałem dziewczęta: mądre, piękne, cudowne dziewczęta, a potem, w miarę upływu czasu, również kobiety, w których mógłbym się zakochać, które mogłyby mnie pociągać. Nie kochałem ich jednak. Nikogo nie kochałem.

Serca i głowy: w mojej głowie starałem się nie myśleć o Becky. Upewniałem się, że jej nie kocham, nie potrzebuję, w ogóle o niej nie pamiętam. Kiedy jednak myślałem o Becky, gdy powracały do mnie nieproszone wspomnienia jej uśmiechu bądź oczu, wówczas czułem ból – ostre ukłucie w klatce piersiowej, namacalny, rzeczywisty ból w środku. Jakby coś wbijało ostre szpony wprost w moje serce.

I w takich chwilach wyobrażałem sobie, że czuję ukrytego w mej piersi małego, szarego gargulca, który układa się zimny jak kamień wokół serca, chroniąc mnie, póki znów nic nie czułem i mogłem wrócić do pracy.

Mijały lata: bliźniaczki wyrosły i odeszły z domu do college'u. Ja także odszedłem. Zostawiłem dom Caroline i wprowadziłem się do dużego mieszkania w Chelsea. Mieszkałem samotnie. Jeśli nawet nie byłem szczęśliwy, to z całą pewnością zadowolony z życia.

A potem nadeszło wczorajsze popołudnie. Becky zauważyła mnie pierwsza. Siedziałem

na ławce w Hyde Parku, w wiosennym słońcu, czytając raport firmowy. Podbiegła do mnie i dotknęła mej dłoni.

– Nie pamiętasz starych przyjaciół? – spytała.

Uniosłem wzrok.

– Cześć, Becky.

– Wcale się nie zmieniłeś.

– Ty także – odparłem.

W mojej gęstej brodzie pojawiły się niteczki siwizny, straciłem większość włosów na głowie, ona zaś była szczupłą kobietą po trzydziestce. Nie kłamałem jednak. Ona także.

– Świetnie sobie radzisz – zauważyła. – Wciąż widzę twoje nazwisko w gazetach.

– To znaczy, że mój dział PR robi to co do niego należy. Czym się teraz zajmujesz?

Kierowała biurem prasowym niezależnej sieci telewizyjnej. Powiedziała, że żałuje, iż nie wytrwała przy aktorstwie. Była pewna, że do tej pory znalazłaby się już na scenie West Endu. Odgarnęła dłonią długie ciemne włosy i uśmiechnęła się jak Emma Peel, a ja poszedłbym za nią wszędzie. Zamknąłem raport i wsunąłem go do kieszeni marynarki.

Trzymając się za ręce, przeszliśmy przez park. Wiosenne kwiaty skłaniały ku nam głowy – żółte, pomarańczowe i białe.

– Czuję się jak Wordsworth – powiedziałem. – Wszystkie te żonkile.

– To narcyzy – poprawiła. – Żonkile to odmiana narcyzów.

Była wiosna w Hyde Parku i niemal zapomnieliśmy o otaczającym nas mieście. Przystanęliśmy przy budce z lodami i kupiliśmy dwa jaskrawokolorowe zamrożone rożki.

– Czy był ktoś inny? – spytałem w końcu, pozornie od niechcienia, liżąc loda. – Wtedy, gdy mnie zostawiłaś?

Pokręciła głową.

– Robiłeś się zbyt poważny – odparła. – To wszystko. A ja nie chciałam niszczyć ci rodziny.

Później tego wieczoru, znacznie później, powtórzyła:

– Nie chciałam niszczyć ci rodziny – przeciągnęła się zmysłowo i dodała: – wtedy. Teraz mnie to nie obchodzi.

Nie powiedziałem jej, że jestem rozwiedziony. Zjedliśmy sushi i sashimi w restauracji na Greek Street, wypiliśmy dość sake, by się rozgrzać i rozjaśnić ten wieczór blaskiem ryżowego wina. Potem złapaliśmy złotą taksówkę i pojechaliśmy do mojego mieszkania w Chelsea.

Sake rozgrzała mnie w środku. W sypialni zaczęliśmy się całować, ścisnąć i śmiać. Becky starannie przejrzała mój zbiór płyt, a potem włożyła do wieży *The Trinity Session The Cowboy Junkies*, podśpiewując cicho do wtóru. Działo się to zaledwie kilka godzin temu, ale nie pamiętam, w którym momencie zdjęła ubranie. Pamiętam natomiast jej piersi, wciąż piękne, choć nie tak jędrne i kształtne jak wówczas, gdy była młodą dziewczyną. Sutki miała ciemnoczerwone i bardzo wyraźne.

Ja trochę przytyłem, ona nie.

– Zrobisz mi to ustami? – szepnęła, gdy padliśmy na łóżko. I zrobiłem.

Wargi miała nabrzmiałe, różowofioletowe, pełne i długie. Gdy zacząłem ją lizać, otworzyły się pode mną niczym kwiat. Jej łechtaczka stwardniała pod moim językiem, a słony smak wypełnił mój świat. Lizałem tak, drażniłem, ssałem i przygryzałem bez końca. Miałem wrażenie, że trwa to godzinami.

W końcu doszła raz jeden pod moim językiem, a potem pociągnęła mnie w górę, znów zaczęliśmy się całować i wreszcie poprowadziła mnie w głąb siebie.

– Czy twój kutas był równie wielki piętnaście lat temu? – spytała.

– Chyba tak – odparłem.

– Mmm.

Po dłuższym czasie odezwała się ponownie.

– Chcę, żebyś skończył mi w ustach.

I niedługo potem skończyłem.

Leżeliśmy w milczeniu obok siebie.

– Czy ty mnie nienawidzisz? – spytała.

– Nie – odparłem sennie. – Kiedyś owszem. Nienawidziłem cię całe lata, a jednocześnie cię kochałem.

– A teraz?

– Nie, już cię nie nienawidzę. To odeszło. Odpłynęło w noc, niczym balon.

Gdy wypowiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie, że są prawdziwe.

Przysunęła się bliżej; czułem na skórze jej ciepło.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam ci odejść. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Kocham cię.

– Dziękuję.

– Nie „dziękuję”, idioto. Spróbuj „ja też cię kocham”.

– Ja też cię kocham – powtórzyłem i sennie ucałowałem jej wciąż lepkie usta. A potem zasnąłem.

W moim śnie poczułem, jak coś rozwija się wewnątrz mnie. Coś zmiennego i ruchomego. Chłód kamienia, lata ciemności. Żal i rozdzierające cierpienie, jakby pękało mi serce. Chwila wszechogarniającego bólu. Czerń, obcość i krew.

Szary świt także musiał mi się przyśnić. Otworzyłem oczy, opuszczając jeden sen, lecz nie powracając na jawę. Moja pierś była otwarta, dosłownie – ciemne pęknięcie sięgało od pępka aż do nasady szyi. Znikała w nim właśnie wielka, bezkształtna dłoń, szara jak plastelina.

Pomiędzy kamiennymi palcami snuły się pasma długich, ciemnych włosów. Ręka na moich oczach cofnęła się w głąb piersi, niczym owad umykający w szczelinę, gdy zapalimy światło. I gdy tak patrzyłem, zaspany – i tylko fakt, iż bez cienia wątpliwości przyjąłem wszystkie te osobliwe wydarzenia, wskazywał, że wciąż śnię – pęknięcie w mej piersi zaczęło się goić, zarastać, niknąć. Zimna ręka zniknęła na dobre. Poczułem, że opadają mi powieki. Byłem zmęczony i znów odpłynąłem w gościnną ciemność o smaku sake.

Zasnąłem, lecz tych snów nie pamiętam.

Obudziłem się wreszcie kilka chwil temu. Na twarz padały mi promienie porannego słońca. Oprócz mnie w łóżku pozostał jedynie fioletowy kwiat na poduszce. Trzymam go teraz w dłoni. Przypomina mi orchideę, choć nie znam się zbytnio na kwiatkach. Zapach ma dziwny, słony i kobiecy.

Becky musiała zostawić go tutaj, nim odeszła, gdy spałem.

Niedługo będę musiał wstać. Wstanę z łóżka i powrócę do mojego życia.

Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę, i uświadamiam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Czuję pod sobą pościel i zimne powietrze na piersi. Czuję się świetnie, naprawdę doskonale.

Niczego nie czuję.

O tym, jak pojechaliśmy obejrzeć koniec świata, autorstwa Dawnie Morningside, lat 11 i 1/4

W święto ojców założycieli mój tato powiedział, że urządzimy sobie piknik. Mama spytała gdzie, a ja wtrąciłam, że chcę jechać do Doliny Kucyków i pojeździć na kucykach. Ale tato odparł, że udamy się na koniec świata. A mama na to: o boże, a tato: spokojnie, Tanya, czas, by dziewczynka zobaczyła, jak to wygląda. Mama mówi: nie, nie. Chodziło jej tylko o to, że o tej porze roku w Ogrodzie Baw Johnsona jest bardzo ładnie.

Moja mam uwielbia Ogród Baw Johnsona. Ogród leży w Luxie, pomiędzy 12. Ulicą i rzeką. Ja też go lubię, zwłaszcza kiedy dają nam frytki i karmimy nimi małe, białe wiewiórki ziemne, podchodzące aż do stolika.

Oto jak nazywają się małe, białe wiewiórki ziemne: Albinosy.

Dolorita Hunsickle mówi, że kiedy się je złapie, wiewiórki przepowiadają przyszłość. Ale ja nigdy ich nie łapałam. Mówi, że wiewiórka przepowiedziała, iż zostanie słynną baleriną i że umrze na suchoty, pozbawiona miłości, w pensjonacie w Pradze.

Tato przygotował sałatkę ziemniaczaną.

Oto przepis.

Sałatka ziemniaczana mojego taty zrobiona jest z małych, młodych ziemniaczków. Gotuje je, potem, gdy są jeszcze ciepłe, wylewa na nie swój sekretny sos, czyli majonez, kwaśną śmietaną i małe cebulki, zwane szalotkami, które przysmaża w smalcu, oraz chrupkie kawałki bekonu. Po wystygnięciu to najlepsza sałatka ziemniaczana na świecie. Lepsza niż sałatka, którą podają nam w szkole, bo tamta smakuje jak białe rzygi.

Zatrzymaliśmy się w sklepie. Kupiliśmy owoce, coca-colę i frytki. Schowaliśmy je do pudła i do bagażnika. Wsiadliśmy do samochodu: mama, tato i moja siostrzyczka i Ruszamy w Drogę!

Gdy wyjeżdżamy, jest ranek. Skręcamy na autostradę, przejeżdżamy przez most już o zmierzchu. I wkrótce zapada ciemność. Uwielbiam jazdę w ciemności.

Siedzę na tylnym siedzeniu i skulona śpiewam piosenki, które idą tak: la, la, la. Cały czas słyszę je w głowie. Tata mówi, „Dawnie, kochanie, przestań hałasować”. Ale ja wciąż śpiewam: la, la, la.

La, la, la.

Autostrada była zamknięta z powodu remontu. Pojechaliśmy zatem według znaków. Oto, co na nich napisano: OBJAZD.

Mam kazała tacie zablokować drzwi podczas jazdy. Mnie także.

Jechaliśmy, a wokół robiło się coraz ciemniej.

Oto, co zobaczyłam, gdy jechaliśmy przez centrum miasta. Za oknem ujrzałam brodatego mężczyznę, który wybiegł na drogę, gdy zatrzymaliśmy się przy światłach, i przetaił nasze okna tłustą szmatą.

Mrugnął do mnie za szybą z tyłu samochodu starymi oczami.

Kiedy zniknął, mam i tata pokłócili się, kim właściwie był i czy jego obecność przyniosła nam szczęście, czy pecha. Ale nie była to przykra kłótnia.

Pojawiły się następne znaki z napisem OBJAZD. Żółte.

Zobaczyłam ulicę, na której najpiękniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek widziałam, posyłali nam całusy i śpiewali piosenki, i ulicę, na której kobieta, stojąca pod niebieską latarnią, ścisnęła dłonią bok twarzy, ale jej twarz krwawiła. A także ulicę, na której dostrzegłam tylko patrzące na nas koty.

Moja siostra zawołała: pa, pa, co znaczy patrz, i powiedziała: kotek.

Mała ma na imię Malicent, ale ja nazywam ją Daisydaisy, to moje sekretne imię dla niej. Pochodzi z piosenki zatytułowanej Daisydaisy, która idzie tak: Daisydaisy odpowiedz proszę mi ja szaleję ta miłość we mnie tkwi ślub nie będzie bogaty o nie bo na powóz dziś nie stać mnie ale otrzyj łzy słodko będzie ci na tandemie raz dwa i trzy.

Potem wyjechaliśmy z miasta na wzgórze.

Po obu stronach, daleko, zobaczyłam domy, wielkie jak pałace. Mój tato urodził się w jednym z tych domów. Kiedy z mamą kłócili się o pieniądze, powiedział: zobacz, z czego zrezygnowałem, by być z tobą. A ona na to: znowu do tego wracasz.

Patrzyłam na domy. Spytałam tatę, w którym z nich mieszka babcia. Odparł, że nie wie, ale to nieprawda. Nie wiem, czemu dorośli tak często kłamią. Na przykład, kiedy mówią: powiem ci później, albo: zobaczymy, co znaczy nie, albo: nigdy ci nie powiem, nawet kiedy będziesz starsza.

W jednym z domów, w ogrodzie, tańczyli ludzie. Potem droga zaczęła skręcać i wjechaliśmy między pola, w ciemność.

– Patrz – powiedziała mama. Biały jeleni przebiegł przez drogę. Ścigali go ludzie. Tato powiedział, że jelenie to tylko kłopot. Szkodniki. Jak szczury, tyle że z rogami. A kiedy się na nie wpadnie, przez szybę wpadają do samochodu. Mówił też, że jego przyjaciel umarł, gdy jeleni przeleciał przez szybę i kopnął go ostrym kopytem.

A mama na to: Boże, nie musiałyśmy tego wiedzieć. Na co tato: ale to się zdarzyło, Tanya.

– Jesteś niepoprawny – odparła mama.

Chciałam spytać, kim są ludzie goniący jelenia, ale zamiast tego znów zaczęłam śpiewać: la, la, la, la, la, la.

Tato powiedział: przestań! Mama odparła: na miłość boską, pozwól małej wyrażać, co czuje. A na to tato: założę się, że gryziesz celofan. A mama: co to właściwie ma znaczyć? Tato nie odpowiedział, a ja rzekłam: czy nie jesteśmy już na miejscu?

Z boku drogi płonęły ogniska. Od czasu do czasu widziałam też stopy kości. Zatrzymaliśmy się pod wzgórzem.

– Koniec Świata jest po drugiej stronie – oznajmił tato.

Zastanawiałam się, jak wygląda. Zatrzymaliśmy się na parkingu. Wysiedliśmy. Mama niosła Daisy, tato kosz piknikowy. W blasku świateł, ustawionych wzdłuż ścieżki, wspięliśmy się na wzgórze. Nagle podszedł do mnie jednorożec. Był biały jak śnieg. Przytulił się do mnie.

– Tato? – spytałam. – Czy mogę dać mu jabłko?

– Pewnie ma pchły – odparł. A mama rzekła: Nieprawda.

Cały czas jego ogon kołysał się. Szur, szur, szur.

Podaliśmy mu jabłko. Spojrzał na mnie wielkimi, srebrnymi oczami, potem prychnął, o tak: hrymf, i pobiegł za wzgórze.

Mała Daisy powiedziała: pa, pa.

Oto jak wygląda Koniec Świata. To najfajniejsze miejsce na świecie.

Jest tam dziura w ziemi. Wygląda jak zwykła, wielka dziura. Wychodzą z niej śliczni ludzie, trzymający w dłoniach patyki i płonące szable. Mają długie, złote włosy. Wyglądają jak księżniczki, tyle że groźnie. Niektórzy mają skrzydła. Inni nie.

W niebie też jest wielka dziura i wychodzą z niej różne stwory: mężczyzna z głową kota i węże zrobione z czegoś, co wygląda jak błyszczący żel, który wcieram we włosy w poranek Wszystkich Świętych. Dostrzegłam też coś, co wyglądało jak wielka domowa mucha. Było ich całe mnóstwo. Tyle, ile gwiazd.

Nie poruszały się. Po prostu tam wisały. Nic nie robiły. Spytałam tatę, czemu się nie ruszają. A on na to, że poruszają się, tylko że bardzo wolno. Jakoś mi się nie wydaje.

Rozstawiliśmy stolik piknikowy. Tato powiedział, że najlepszą rzeczą w Końcu Świata jest to, że nie ma tu os ani komarów, a mama odparła, że w Ogrodzie Baw Johnsona też nie ma zbyt wielu os. Nie ma ich także w Dolinie Kucyków, wtrąciłam, a do tego są kucyki, na których można jeździć. Na to mój tato rzekł, że przywiózł nas tutaj, żebyśmy dobrze się bawili.

Powiedziałam, że chcę pójść i poszukać jednoroźca. Mama i tata kazali mi nie oddalać się zanadto.

Przy następnym stoliku siedzieli ludzie w maskach. Poszłam razem z Daisydaisy, by się im przyjrzeć.

Śpiewali: „Sto lat, sto lat” dużej grubej pani, która nie miała ubrania, tylko wielki, śmieszny kapelusz na głowie. Miała też mnóstwo piersi, schodzących aż na brzuch. Czekałam, żeby zobaczyć świeczki na torcie, ale nie dostrzegłam żadnego tortu.

– Nie pomyśli sobie pani życzenia? – spytałam. Odparła, że nie ma już żadnych życzeń. Jest za stara. Powiedziałam, że w moje ostatnie urodziny, kiedy zdmuchnęłam świeczki, wszystkie za jednym zamachem, bardzo długo zastanawiałam się nad życzeniem. Chciałam sobie życzyć, by mama i tata nie kłócili się już nocami. W końcu jednak zażyczyłam sobie szetlandzkiego kucyka i nigdy go nie dostałam. Pani uściśnęła mnie i powiedziała, że jestem tak słodka, iż mogłaby mnie schrupać, razem z kośćmi i włosami. Pachniała jak słodkie mleko w proszku.

Potem Daisydaisy zaczęła z całej siły płakać i pani postawiła mnie na ziemi. Krzyczałam i wołałam jednoroźca, ale go nie dostrzegłam. Czasami zdawało mi się, że słyszę trąbę, a czasami miałam wrażenie, że to tylko szum w uszach.

Potem wróciłyśmy do stolika.

– Co jest za Końcem Świata? – spytałam tatę.

– Nic – odparł. – Zupełnie nic. Dlatego nazywa się końcem.

Później Daisy zwymiotowała na buty taty i musieliśmy posprzątać.

Siadłam przy stoliku. Zjedliśmy sałatkę ziemniaczaną, na którą przepis już podałam; z łatwością można przyrządzić ją samemu. Piliśmy sok pomarańczowy, jedliśmy frytki i miękkie kanapki z pastą jajeczną z rzeżuchą. Wypiliśmy coca-colę. Potem mama powiedziała coś do taty, nie słyszałam co, a on uderzył ją w twarz. Mama zaczęła płakać.

Tata kazał mi zabrać Daisy i pójść na spacer, bo muszą porozmawiać.

Wzięłam Daisy i powiedziałam: Chodź Daisydaisy, chodź, kwiatuszk. Ona też płakała, ale ja jestem za duża, żeby płakać.

Nie słyszałam, co mówią. Spojrzałam na człowieka o twarzy kota i próbowałam sprawdzić, czy rzeczywiście porusza się bardzo powoli. Usłyszałam w mojej głowie trąbę na Koniec Świata. Trąbiła: da, da, da.

Usiadłyśmy pod skałą i zaczęłam śpiewać Daisy la, la, la, la, do wtóru trąbie w mojej

głowie: da, da, da.

La, la, la, la.

La, la, la, la.

La, la, la.

Wtedy mama i tata podeszli do mnie i powiedzieli, że wracamy do domu. Ale wszystko było już w porządku. Oko mamy było fioletowe. Wyglądała dziwnie, jak pani w telewizji.

Daisy powiedziała: niak. Odparłam: tak. To niak. Wróciliśmy do samochodu.

W drodze do domu nikt nic nie mówił. Moja siostra spała.

Przy szosie leżało martwe zwierzę. Ktoś je przejechał. Tato powiedział, że to biały jeleń. Mnie wydawało się, że to jednorozec, ale mama odparła, że nie można zabić jednorozca. Myślę, że kłamała, tak jak to robią dorośli.

Gdy dotarliśmy do Zmierzchu, spytałam:

– Czy jeśli zdradzi się komuś swoje życzenie, oznacza to, że się nie spełni?

– Jakie życzenie? – spytał tato.

– Urodzinowe życzenie. Kiedy zdmuchuje się świecek.

– Życzenia się nie spełniają, nieważne, czy zdradzi się je komuś, czy też nie. Życzenia – dodał. – Nie można ufać życzeniom.

Spytałam mamę, a ona odpowiedziała: słuchaj swojego taty. Rzekła to zimnym głosem, tym samym, którym upomina mnie, mówiąc moje całe imię.

Potem ja też zasnęłam.

A później znaleźliśmy się w domu. Był ranek i nie chciałam więcej oglądać Końca Świata. Zanim wysiadłam z samochodu, kiedy mama niosła już Daisydaisy do domu, zamknęłam oczy tak, że niczego nie widziałam, i pomyślałam sobie życzenie. Myślałam je i myślałam. Życzyłam sobie, żebyśmy pojechali do Doliny Kucyków. Żebyśmy w ogóle nigdzie nie jeździli. Żebym była kimś zupełnie innym.

Oto moje życzenie.

Pustynny wiatr

Stary człowiek o skórze spalonej na czarno przez pustynne słońce opowiedział mi, że za młodu burza oddzieliła go od karawany i przypraw korzennych; całymi dniami wędrował po piasku, oglądając jedynie jaszczurki i pustynne węże.

Wreszcie jednak, trzeciego dnia, dotarł do miasta jedwabnych namiotów i wielobarwnych tkanin. Kobieta poprowadziła go do największego, ze szkarłatnego jedwabiu, ustawiła przed nim tacę, podała sorbet z lodem, poduszki i szkarłatnymi ustami ucałowała go w czoło.

Spowite w tiul tancerki kołysały się przed nim, brzuchy miały jak wydmy, oczy jak źródła ciemnej wody w oazach, fioletowe jedwabne szaty i złote pierścienie. Obserwował je, a służba przynosiła tace z kolejnymi daniami, wino białe jak jedwab, wino czerwone jak grzech.

A potem, gdy trunek wzbudził błogi obłąd w jego brzuchu i głowie, mężczyzna ów skoczył między tancerki i zatańczył z nimi, wystukując stopami rytm na piasku, wirował i podskakiwał, chwycił w ramiona najpiękniejszą z tancerek i ucałował. Lecz jego wargi przywarły do suchej wysmaganej piaskiem czaszki. Wszystkie tancerki w fioletach zmieniły się w kości, nadal jednak kołysały się i tupwały w tańcu. A miasto namiotów stało się niczym suchy piasek, z szelestem przesypany się przez jego palce. Zadrzał, kryjąc głowę w swym burnusie i zaszlochał, nie słysząc już bębnow.

Gdy się ocknął, był sam. Namioty zniknęły, podobnie ifryty.

Niebo było niebieskie, słońce bezlitosne. Działo się to całe życie temu.

Przeżył i mógł o tym opowiadać. Śmiał się bezzębnymi dziąsłami, mówiąc:

Od tej pory widywałem na horyzoncie miasto namiotów, tańczące w rozgrzanym powietrzu.

Spytałem, czy to fatamorgana, odrzekł, że tak. Ja rzekłem, że to sen,

On zgodził się, dodał jednak, iż to sen pustyni, nie jego. I powiedział,

że za rok czy dwa, gdy przeżyje już dosyć, wyruszy

z wiatrem, póki nie ujrzy namiotów. I tym razem odejdzie wraz z nimi.

Uczta

Na ramieniu miał tatuaż, przedstawiający małe serce, czerwone i niebieskie. Pod nim widniała różowa blizna, w miejscu z którego usunięto imię.

Powoli lizał jej lewy sutek. Prawą ręką gładził jej kark.

– Co się stało? – spytała.

Uniósł wzrok.

– Czemu pytasz?

– Sprawiałeś wrażenie, jakbyś... sama nie wiem. Był gdzie indziej – wyjaśniła. – Ooo... to miłe. Naprawdę przyjemne.

Byli w apartamencie hotelowym, w jej apartamencie. Wiedział, kim ona jest, rozpoznał ją natychmiast. Uprzedzono go jednak, by nie używał jej imienia.

Uniósł głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. Przesunął dłoń na jej pierś. Oboje byli nadzy do pasa. Miała na sobie jedwabną spódnicę, a on dzinsy.

– I co? – spytała.

Przyciągnął ją do siebie, ich wargi zetknęły się, języki musnęły. Westchnęła i odsunęła się.

– Coś jest nie tak. Nie podobam ci się?

Uśmiechnął się pocieszająco.

– Podobasz? Uważam, że jesteś cudowna. – Ucisnął ją mocno. Potem jego dłoń opadła na jej lewą pierś i ścisnęła ją powoli, a ona zamknęła oczy.

– A zatem – szepnęła – co jest nie tak?

– Nic – rzekł. – Wszystko jest wspaniałe, ty jesteś wspaniała, bardzo piękna.

– Mój były mąż powtarzał, że wykorzystuję swoją urodę – poinformowała go. Przesunęła grzbietem dłoni po okrytym dzinsami kroczu, w górę, w dół. Naparł na nią, wyginając plecy. – Chyba miał rację. – Pamiętała imię, które jej podał, lecz pewna, że nie było prawdziwe, że to tylko pseudonim, nie zamierzała go nim nazywać.

Dotknął jej policzka. Potem jego usta powróciły do sutka. Tym razem, liżąc, jednocześnie wsunął jej dłoń między nogi. Czuł pod palcami miękkiej jedwab spódnicy. Powoli obejmował dłonią jej krocze, zwiększając nacisk.

– W każdym razie coś jest nie w porządku – oznajmiła. – Coś się dzieje w twojej ślicznej główce. Na pewno nie chcesz o tym porozmawiać?

– To głupie – mruknął. – A poza tym nie jestem tu dla siebie, tylko dla ciebie.

Rozpięła mu rozporek. Przekreślił się i zsunął dzinsy, rzucając je na podłogę przy łóżku. Pod spodem miał obcisłe szkarłatne slipy. Wyprężony penis pulsował pod cienkim materiałem.

Kiedy on zdejmował spodnie, ona wyjęła z szuflki kolczyki z misternie wygiętego srebrnego drutu. Ostrożnie odłożyła je na stolik przy łóżku.

Zaśmiała się nagle.

– Co cię rozśmieszyło? – spytała.

– Tylko wspomnienie. Rozbierany poker – wyjaśnił. – Kiedy byłem dzieciakiem, nie pamiętam, miałem trzynaście, może czternaście lat, graliśmy w niego z dziewczynami z sąsiedztwa. Obwieszały się błyskotkami i ozdóbkami – naszyjnikami, kolczykami, apaszkami i tak dalej. Kiedy przegrywały, zdejmowały jeden kolczyk, czy coś w tym stylu. W dziesięć minut później my byliśmy goli i zawstydzeni, a one wciąż zapięte pod szyję.

– Co zatem sprawiało, że z nimi graliście?

– Nadzieja – odparł. Sięgnął pod jej spódnicę i poprzez białą bawełnę zaczął masować krocze.

– Nadzieja, że może kiedyś coś uda nam się zobaczyć. Cokolwiek.

– I udało się?

Zabrał dłoń i przekręcił się tak, że leżał na niej. Zaczęli się całować, napierać na siebie, łagodnie, krocze na krocze. Jej dłonie ścisnęły jego pośladki. Pokręcił głową.

– Nie, ale zawsze można pomarzyć.

– No to co jest takiego niemądrego, i czemu tego nie rozumiem?

– Bo to głupie. Bo... nie wiem, o czym myślisz.

Ściągnęła mu slipy i przesunęła palcem wskazującym wzdłuż penisa.

– Jest naprawdę duży. Natalie uprzedzała, że jest duży.

– Tak?

– Nie ja pierwsza ci to mówię.

– Nie.

Pochyliła głowę, ucałowała jego penis u nasady, w miejscu gdzie skórę porastała kępa złotych włosów. Potem wysnuła z ust strużkę śliny i powoli przebiegła językiem po całej jego długości.

Uniosła głowę. Piwne oczy spojrzały w oczy niebieskie.

– Nie wiesz o czym myślę? Co to znaczy? Czy zwykle wiesz, o czym myślą inni ludzie?

Pokręcił głową.

– No cóż – powiedział – niezupełnie.

– Jedną chwileczkę – rzekła. – Zaraz wrócę.

Wstała, poszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi, ale nie przekręciła klucza. Rozległ się odgłos moczu spływającego do klozetu. Wydawało się, że to trwa wiecznie. Spuszczanie wody, odgłosy krzątania, dźwięk otwieranej i zamykanej szafki, kolejne poruszenie.

W końcu otworzyła drzwi i wyszła. Była zupełnie naga. Po raz pierwszy sprawiała wrażenie odrobinę zakłopotanej. On siedział na łóżku, także nagi. Włosy miał jasne, krótko przycięte. Gdy się zbliżyła, wyciągnął ręce, chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Twarz miał na poziomie jej pępka. Polizał go, potem opuścił głowę ku jej brzuchowi, wepchnął język między wargi sromowe i zaczął lizać.

Oddychała coraz szybciej.

Pieszcząc jej łechtaczkę, wsunął palec do pochwy. Była już mokra i palec z łatwością wniknął do środka.

Drugą dłonią gładził jej plecy aż do pośladków. Tam już ją pozostawił.

– A zatem zawsze wiesz, co myślą inni ludzie?

Wyprostował się, usta miał mokre od jej soków.

– To trochę głupie. To znaczy, tak naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Pomyślisz, że jestem jakiś dziwny.

Wyciągnęła rękę, ujęła go pod brodę i ucałowała. Przygryzła mu wargę, niezbyt mocno, pociągnęła zębami.

– Jesteś dziwny, ale podoba mi się to, jak mówisz, i chcę się dowiedzieć, co jest nie tak, panie

Czytający w Myślach.

Usiadła obok niego na łóżku.

– Masz rewelacyjne piersi – powiedział. – Naprawdę śliczne.

Złożyła usta w ciup.

– Nie są tak dobre jak kiedyś. I nie zmieniaj tematu.

– Nie zmieniam tematu. – Wyciągnął się na materacu. – Tak naprawdę nie potrafię czytać w myślach. No, może trochę. Ale kiedy jestem z kimś w łóżku, wiem, co go rusza.

Wdrapała się na niego i usiadła mu na brzuchu.

– Żartujesz.

– Nie.

Delikatnie gładził jej łechtaczkę. Poruszyła się.

– To miłe.

Odsunęła się piętnaście centymetrów. Teraz siedziała na jego penisie, przyciskając go do ciała. Znów się poruszyła.

– Wiem. Zwykle... Zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest mi się skupić, kiedy to robisz?

– Mów – powiedziała. – Mów do mnie.

– Włóż go do środka.

Wyciągnęła rękę i uchwyciła penis. Dźwignęła się lekko, przykucnęła nad nim, czując wnikającą do środka główkę. Wygiął plecy i pchnął. Wtargnął w nią głęboko. Zamknęła oczy, po czym otworzyła je i spojrzała na niego.

– I co?

– Po prostu kiedy się z kimś pieprzę, a nawet przed pieprzeniem... nagle wiem różne rzeczy, rzeczy, o których nie powinienem mieć pojęcia, których wcale nie chcę wiedzieć. Wiem o maltretowaniu, aborcjach, obłudzie, kazirodztwie; wiem, czy te kobiety są w sekrecie sadystkami, czy okradają swych szefów.

– Na przykład?

Był już cały w niej. Poruszał się powoli w przód i w tył. Jej dłonie spoczywały mu na ramionach. Pochyliła się i ucałowała go w usta.

– Cóż, na przykład z seksem. Zwykle wiem, jak sobie radzić w łóżku z kobietami. Wiem, co mam robić. Nie muszę pytać. Wiem. Czy ona pragnie być uległą, czy dominująca, potrzebuje pana, czy sługi, czy muszę szeptać jej bezustannie „kocham cię”, gdy ją pieprzę, czy też wystarczy, jeśli odleję się jej w usta. Staję się tym, czego pragnie. To dlatego... Jezu, nie wierzę, że ci to mówię. Dlatego właśnie zacząłem zarabiać tak na życie.

– O tak, Natalie nie mogła się ciebie nachwalić. Podała mi twój numer.

– Jest czadowa. I świetnie się trzyma, jak na swój wiek.

– A co lubi robić Natalie?

Uśmiechnął się do niej.

– Tajemnica handlowa – rzekł. – Przysiągłem zachować to dla siebie. Słowo skauta.

– Chwileczkę – rzuciła. Zeszła z niego i przekręciła się. – Od tyłu. Lubię od tyłu.

– Powinienem być wiedzieć. – W jego głosie zabrzmiała niemal irytacja. Wstał, ustawił się za nią, przesunął palcem po miękkiej skórze pokrywającej kręgosłup. Wsunął jej dłoń między nogi, chwycił penisa i pchnął wprost w jej pochwę.

– Bardzo powoli – poprosiła.

Poruszył biodrami, wnikając do środka. Stęknęła.

– Przyjemnie? – spytał.

– Nie – rzekła. – Gdy byłeś w środku, trochę bolało. Następnym razem nie wchodź tak głęboko. Czyli kiedy pieprzysz kobiety, dowiadujesz się o nich różnych rzeczy. Co wiesz o mnie?

– Nic wielkiego. Jestem twoim fanem.

– Oszczędź sobie.

Jedną ręką obejmował jej piersi, drugą dotykał ust. Possała jego palec, oblizała.

– No, nie aż tak wielkim. Ale widziałem cię u Lettermana. Byłaś cudowna. Bardzo zabawna.

– Dzięki.

– Nie wierzę, że to robimy.

– Pieprzymy się?

– Nie. Rozmawiamy w trakcie pieprzenia.

– Lubię rozmawiać w trakcie pieprzenia. Już wystarczy. Zaczynają mnie boleć kolana.

Wyszedł z niej i usiadł na łóżku.

– Wiesz więc, co kobiety myślą i czego pragną. Hmm. Czy z mężczyznami też to działa?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie kochałem się z mężczyzną. Spojrzała na niego, dotknęła palcem czoła. Przesunęła nim powoli aż do podbródka, po drodze muskając kość policzkową.

– Ale jesteś taki ładny.

– Dziękuję.

– I jesteś dziwką.

– Panem do towarzystwa – poprawił.

– W dodatku próżnym.

– Możliwe. A ty nie? Uśmiechnęła się szeroko.

– *Touche*. Czyli nie wiesz, czego teraz pragnę? – Nie.

Położyła się na boku.

– Załóż kondom i zerznij mnie w tyłek.

– Masz coś nawilżającego?

– W stoliku.

Wyjął z szuflady prezerwatywy i żel, rozwinął.

– Nienawidzę kondomów – oznajmił, zakładając go. – Zawsze mnie po nich swędzi. Mam zaświadczenie o dobrym stanie zdrowia. Pokazałem ci je.

– To mnie nie interesuje.

– Myślałem po prostu, że o tym wspomnę, to wszystko. Roztarł żel wokół jej odbytu, po czym wsunął do środka główkę penisa.

Jęknęła. Zatrzymał się.

– Wszystko w porządku? – Tak.

Zakołysał się w przód i w tył, napierając mocniej. Gdy to robił, wydawała z siebie rytmiczne pomruki. Po kilku minutach powiedziała:

– Wystarczy.

Cofnął się, a ona przekręciła się na plecy i ściągnęła prezerwatywę, rzucając ją na dywan.

– Teraz możesz już skończyć – oznajmiła.

– Nie jestem gotów. Moglibyśmy to robić godzinami.

– To mnie nie obchodzi. Tryśnij mi na brzuch. – Uśmiechnęła się do niego. – Załatw to sam.

Teraz.

Pokręcił głową, lecz jego ręka była już na penisie, wędrując w przód i w tył. Po chwili eksplodował, zostawiając lśniący ślad na jej brzuchu i piersiach.

Uniosła dłoń i leniwie roztarła na skórze mlecznobiałe nasienie.

– Chyba powinieneś już iść.

– Ale ty nie skończyłaś. Nie chcesz, żebym doprowadził cię do szczytu?

– Dostałam to, czego chciałam.

Oszołomiony, potrząsnął głową. Jego penis był miękki, skurczony.

– Powiniennem był wiedzieć – rzekł z wyraźnym zdumieniem – ale nie wiem. Nie wiem, nic już nie wiem.

– Ubierz się – poleciła. – Idź sobie.

Sprawnie naciągnął ubranie, zaczynając od skarpetek. Potem pochylił się, by ją pocałować.

Odwróciła głowę.

– Nie – powiedziała.

– Spotkamy się jeszcze?

Pokręciła głową.

– Raczej nie.

Trząś się cały.

– A pieniądze? – spytał.

– Już ci zapłaciłam. Zapłaciłam ci, kiedy tylko przyszedłeś, nie pamiętasz?

Kiwnął głową nerwowo, jakby nie mógł sobie przypomnieć, ale nie śmiał się do tego przyznać. Potem poklepał kieszenie. W końcu znalazł kopertę z gotówką i ponownie skinął głową.

– Czuję się taki pusty – rzekł żałośnie.

Prawie nie dostrzegła jego wyjścia.

Leżała na łóżku z ręką na brzuchu. Sperma zasychała na jej skórze, a ona smakowała go w swym umyśle.

Czuła smak każdej kobiety, z którą spał. Kosztowała tego, co robił z jej przyjaciółką; uśmiechała się w duchu, myśląc o drobnych perwersjach Natalie. Smakowała dzień, w którym stracił pierwszą pracę, i ranek gdy się ocknął, wciąż pijany, w samochodzie pośrodku pola kukurydzy, i przerażony przysiągł na zawsze rzucić picie. Znała jego prawdziwe nazwisko. Pamiętała imię, które kiedyś kazał sobie wytatuować na ramieniu, i wiedziała, czemu już go tam nie ma. Smakowała kolor jego oczu od wewnątrz. Drżała wraz z koszmarem, który nawiedzał go noc po nocy, i z którego budził się ze zduszonym jękiem – ktoś zmuszał go w nim, aby nosił w ustach kolczastą rybę. Napawała się smakiem jego apetytu na jedzenie i lektury. Gdy był mały, uniósł wzrok ku gwiazdom, zachwycając się ich ogromem i blaskiem. Nawet on o tym zapomniał, ale ona wiedziała.

Już dawno odkryła, że nawet wśród najbrzydszych, z pozoru najmniej obiecujących materiałów można znaleźć prawdziwe skarby. A on miał do tego odrobinę talentu, choć nigdy go nie rozumiał albo wykorzystywał wyłącznie do uprawiania seksu. Pływając wśród jego wspomnień i marzeń, zastanawiała się, czy będzie mu ich brakowało; czy w ogóle dostrzeże, że zniknęły. A potem, dygocząc w ekstazie, osiągnęła szczyt, serię jaskrawych rozbłysków, które ogrzały ją, sprawiły, że wyrwała się ze swego ciała i znalazła przez moment w idealnej nicości małej śmierci.

Z uliczki w dole dobiegł donośny trzask. Ktoś potknął się i wpadł na kubeł ze śmieciami.

Usiadła, wycierając lepki płyn ze skóry. A potem, nie biorąc prysznic, zaczęła ponownie się ubierać, starannie, z rozmysłem, poczynając od białych bawełnianych majtek, a kończąc na misternych, srebrnych kolczykach.

Gdy nastał koniec

Gdy nastał koniec, Pan dał ludziom świat. Cały świat należał do człowieka – prócz jednego Ogródu.

– Oto mój Ogród – rzekł Pan – i tu wstąpić wam nie wolno.

Znaleźli się jednak mężczyzna i kobieta, którzy przybyli do Ogródu. Ich imiona brzmiały Ziemia i Oddech.

Mieli ze sobą niewielki owoc, który niósł mężczyzna. A gdy stanęli przed bramą Ogródu, mężczyzna wręczył owoc kobiecie, a kobieta wężowi z mieczem ognistym, strzegącemu Wschodniej Bramy.

A wąż wziął owoc i umieścił go na drzewie pośrodku Ogródu.

Wówczas Ziemia i Oddech poznali, że są ubrani. Zdjęli tedy swe stroje, aż zostali nadzy. A Pan, przechadzając się po Ogródku, ujrzał mężczyznę i kobietę, którzy nie znali już dobra i zła. Lecz radowali się. A Pan widział, że to jest dobre.

Wówczas Pan rozwarł bramy i dał ludziom Ogród, węża zaś podźwignął z ziemi, pozwalając, by odszedł dumnie na czterech silnych nogach. Gdzie zaś poszedł, wie tylko Pan.

Po tym nie było już nic prócz ciszy w Ogródku. Od czasu do czasu zakłócał ją tylko dźwięk, gdy człowiek odbierał imię kolejnemu zwierzęciu.

Dziecizna

Kilka lat temu zniknęły wszystkie zwierzęta.

Ocknęliśmy się pewnego ranka i już ich nie było. Nie zostawiły nawet liściku. Nie pożegnały się. Nigdy nie odkryliśmy, dokąd się udały.

Brakowało ich nam.

Niektórzy z nas sądzili, że to koniec świata. Ale nie. Po prostu nie było już więcej zwierząt. Kotów ani królików. Psów ani wielorybów. Ryb w morzach, ptaków w przestworzach.

Zostaliśmy sami.

Nie wiedzieliśmy, co począć.

Jakiś czas krążyliśmy bez celu, a potem ktoś zauważył, że fakt, iż nie mamy już zwierząt, nie oznacza, że musimy zmienić swe życie, odmieniać jadłospis, przestać testować produkty, które mogłyby nam zaszkodzić.

Ostatecznie zostały jeszcze dzieci.

Niemowlęta nie potrafią mówić. Ledwie się ruszają. Niemowlę nie jest rozsądną, myślącą istotą.

Produkowaliśmy zatem dzieci.

I wykorzystywaliśmy je.

Część z nich zjadaliśmy. Mięso dzieci jest soczyste i delikatne.

Obdzieraliśmy je ze skóry i szyliśmy sobie stroje. Skóra z dzieci jest miękka i wygodna.

Część zużywaliśmy do badań.

Siłą otwieraliśmy im oczy i wkraplaliśmy detergenty i szampony. Kroplę za kroplą.

Nacinaliśmy je i przypiekaliśmy. Paliliśmy. Wpinaliśmy w nie klamry, wszczepialiśmy elektrody do mózgów. Przeszczepialiśmy, zamrażaliśmy, przemywaliśmy.

Dzieci wdychały nasz dym. W ich żyłach płynęły nasze leki i narkotyki. W końcu przestawały oddychać. Krew gęstniała im w żyłach.

Owszem, było to trudne, ale i konieczne. Nikt nie mógłby zaprzeczyć.

Co innego mogliśmy zrobić, skoro zwierzęta odeszły? Rzecz jasna, niektórzy narzekali, ale tacy zawsze się znajdują. I wszystko wróciło do normy. Tyle że...

Wczoraj wszystkie dzieci zniknęły. Nie wiemy, dokąd odeszły. Nawet tego nie widzieliśmy.

Nie mamy pojęcia, co bez nich poczniemy. Ale coś wymyślimy. Ludzie są inteligentni. To właśnie stawia nas wyżej niż zwierzęta i dzieci. Coś wymyślimy.

Morderstwa i tajemnice

Czwarty Anioł powiada:
Otom stworzony w jedności,
By strzec miejsca tego
Od grzechów ludzkości
Wbrew łasce Jedynego.
Wyrzec się muszą występków
Albo zaznać mego Miecza,
Wrogiem mym bowiem wina
Grzech i występność człowiecza.

Misteria z Chester, Stworzenie Adama i Ewy, 1461.

To wszystko zdarzyło się naprawdę.

Dziesięć lat temu z dokładnością mniej więcej do roku utknąłem na krótko w Los Angeles, daleko od domu. W Kalifornii panowała piękna, ciepła pogoda, Anglię natomiast spowijały mgły i nękały burze śnieżne. Nie lądowały tam żadne samoloty. Co dzień dzwoniłem na lotnisko i co dzień mówiono mi, bym zaczekał do jutra.

Trwało to niemal tydzień.

W owym czasie ledwie przekroczyłem dwudziestkę. Gdy dziś cofam się myślami do części mego życia, która pozostała mi z owych dni, czuję się nieswojo, jakbym otrzymał od kogoś nieproszony prezent: dom, żonę, dzieci, powołanie. Mógłbym oznajmić z niewinną miną, że przeszłość nie ma ze mną nic wspólnego. Jeśli to prawda, że co siedem lat każda komórka w naszym ciele umiera i zostaje zastąpiona przez nową, niewątpliwie odziedziczyłem życie nieboszczyka i występki owych czasów zostały wybaczone, pogrzebane wraz z jego kośćmi.

Byłem w Los Angeles. O, tak.

Szóstego dnia dostałem wiadomość od mojej dawnej dziewczyny z Seattle: ona także była w L.A. Dowiedziała się od przyjaciół, że jestem w mieście. Czy chciałbym ją odwiedzić?

Zostawiłem jej wiadomość na sekretarce: Jasne.

Wieczór: gdy tylko wyszedłem z miejsca, gdzie się zatrzymałem, zbliżyła się do mnie drobna, jasnowłosa kobieta. Zapadł już mrok. Przyjrzała mi się, jakby próbując dopasować to, co widzi, do opisu. Potem z wahaniem wymówiła moje nazwisko.

– To ja. Jesteś przyjaciółką Tink?

– Tak. Samochód stoi z tyłu. Chodź. Tink nie może się już doczekać spotkania.

Samochód kobiety był jedną z olbrzymich, przypominających łodzie maszyn, jakie spotyka się wyłącznie w Kalifornii. Pachniało w nim popękana, łuszczącą się skórą. Pojechaliśmy z miejsca, w którym się zatrzymałem, do miejsca, ku któremu zmierzaliśmy.

W owych czasach Los Angeles stanowiło dla mnie nieprzeniknioną tajemnicę i nie mogę rzec, bym dziś znał je dużo lepiej. Potrafię zrozumieć Londyn, Nowy Jork i Paryż: można w nich

spacerować, podczas jednego dnia wędrówek zorientować się, co i jak, może jeszcze przejechać się metrem. Los Angeles natomiast kręci się wokół samochodów. W owych czasach w ogóle nie umiałem prowadzić; nawet dziś nie zasiadam za kierownicą w Ameryce. Moje wspomnienia z L.A. łączą się z przejażdżkami w samochodach innych ludzi. Brak w nich wycucia miasta, związków łączących mieszkańców i to miejsce. Regularność ulic, powtarzalność form i budowli sprawia, że kiedy próbuję przypomnieć je sobie w całości, dostrzegam jedynie miliardy małych światełek, które ujrzałem ze wzgórza w Griffith Park pewnej nocy podczas pierwszych odwiedzin w Los Angeles. Z daleka był to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie zdarzyło mi się oglądać.

– Widzisz ten budynek? – spytała moja jasnowłosa szoferka, przyjaciółka Tink. Miała na myśli dom z czerwonej cegły w stylu art deco, uroczy i okropnie brzydki.

– Tak.

– Zbudowano go w latach trzydziestych – oznajmiła z szacunkiem i dumą.

Odpowiedziałem coś uprzejmie, próbując zrozumieć miasto, w którym pięćdziesiąt lat uważa się za długi czas.

– Tink jest naprawdę podekscytowana. Kiedy usłyszała, że jesteś w mieście, strasznie się podnieciła.

– Nie mogę się doczekać ponownego spotkania.

Naprawdę Tink nazywała się Tinkerbelle Richmond. Błaszany Dzwoneczek. Nie żartuję. Mieszkała z przyjaciółmi w niewielkiej kamienicy, godzinę jazdy od centrum L.A.

Oto, co musicie wiedzieć o Tink: była dziesięć lat starsza ode mnie, przekroczyła już trzydziestkę. Miała błyszczące, czarne włosy i czerwone zdumione usta oraz bardzo białą cerę, jak królewna Śnieżka z bajki. Gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, pomyślałem, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

W którymś momencie w swym życiu wyszła za mąż i teraz miała pięcioletnią córkę imieniem Susan. Nigdy nie poznałem Susan – gdy Tink przebywała w Anglii, Susan mieszkała w Seattle z ojcem. Kobiety imieniem Tinkerbelle nazywają swe córki Susan.

Pamięć to wielki kłamca. Być może istnieją ludzie, których pamięć przypomina nagranie, codzienny zapis ich życia, wyraźny do ostatniego szczegółu, ale ja do nich nie należę. Moje wspomnienia to chaotyczna mieszanka wydarzeń, oderwanych zjawisk, niezdarnie połączonych w jedną całość. Części, które pamiętam, pamiętam doskonale. Inne znikają w mroku.

Nie pamiętam przyjazdu do domu Tink ani tego, gdzie podzielała się jej współlokatorka.

Przypominam sobie, że siedziałem w salonie. Światło było przygaszone. Oboje przycupnęliśmy obok siebie na kanapie.

Gawędziliśmy o niczym. Minął rok, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, lecz dwudziestoletni chłopak ma niewiele do powiedzenia trzydziestodwuletniej kobiecie, toteż wkrótce czując, że nic nas nie łączy, przyciągnąłem ją do siebie.

Przywarła do mnie z westchnieniem. Złożyła wargi do pocałunku; w półmroku jej usta były czarne. Jakiś czas całowaliśmy się na kanapie, a ja pieściłem jej piersi przez bluzkę. W końcu powiedziała:

– Nie możemy się pieprzyć. Mam okres.

– Jasne.

– Mogę zrobić ci laskę, jeśli chcesz.

Skinąłem głową i Tink rozpięła mi spodnie, po czym schyliła się nad moim rozporkiem.

Gdy doszedłem, wstała i pobiegła do kuchni. Usłyszałem, jak spluwa do zlewu. Potem rozległ

się szum odkręconej wody. Pamiętam, że zastanawiałem się, czemu to zrobiła, jeśli tak bardzo nie znosi tego smaku.

Po chwili wróciła i znów siedzieliśmy obok siebie.

– Susan jest na gorze. Śpi – oznajmiła Tink. – Jest całym moim życiem. Chciałbyś ją zobaczyć?

– Chętnie.

Poszliśmy na górę. Tink zaprowadziła mnie do ciemnej sypialni. Wszystkie ściany były pokryte dziecięcymi bazgrołami – wykonanymi kredką świecową portretami skrzydlatych wrózek i pajacyków. W łóżku spała mała jasnowłosa dziewczynka.

– Jest bardzo piękna – powiedziała Tink i pocałowała mnie. Jej usta wciąż nieco się lepiły. – Ma to po ojcu.

Zeszliśmy na dół. Nie mieliśmy już nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Tink włączyła światło. Po raz pierwszy zauważyłem małe kurze łapki w kącikach jej oczu – obcy element na idealnej twarzy lalki Barbie.

– Kocham cię – powiedziała.

– Dziękuję.

– Podwieźć cię z powrotem?

– Jeśli możesz zostawić Susan samą...

Wzruszyła ramionami. Po raz ostatni przyciągnąłem ją do siebie.

W nocy Los Angeles składa się z samych świateł i cieni.

Tu w umyśle mam pustą plamę. Po prostu nie pamiętam, co się dalej stało. Musiała odwieźć mnie do hotelu – jak inaczej bym się tam dostał? Nie pamiętam nawet pocałunku na pożegnanie. Może stałem na chodniku i patrzyłem, jak odjeżdża?

Może.

Wiem jednak, że gdy dotarłem do miejsca, w którym się zatrzymałem, stanąłem bez ruchu, niezdolny wejść do środka, umyć się i zasnąć, nie chcąc robić nic innego.

Nie byłem głodny, nie miałem ochoty na alkohol, nie chciało mi się rozmawiać ani czytać. Bałem się zanadto oddalać – oszołomiony powtarzającymi się motywami Los Angeles mógłbym zabłądzić, dać się im wessać i nigdy nie trafić do domu. Czasami centrum Los Angeles wydaje mi się zbudowane według prostego wzoru, niczym zestaw powtarzających się klocek: stacja benzynowa, kilka domów, mini centrum handlowe (cukiernia, laboratorium fotograficzne, pralnie, fast foody) i znów od początku, póki ofiara nie zostanie zahipnotyzowana. Małeńkie odmiany w budowie centrów handlowych i domów podkreślają jeszcze tę regularność.

Pomyślałem o ustach Tink. Potem pogrzebałem w kieszeni kurtki i wyciągnąłem paczkę papierosów.

Zapaliłem, zaciągnąłem się i wypuściłem błękitny dym w ciepłe, nocne powietrze. Przed wejściem do miejsca, w którym się zatrzymałem, rosła karłowata palma. Postanowiłem przejść się kawałek, nie spuszczać jej z oka, wypalić papierosa, może nawet pomyśleć. Byłem jednak zbyt wykończony, by myśleć. Czułem się beznamiętny i bardzo samotny.

Przecznicę dalej na chodniku stała ławka. Gdy do niej dotarłem, usiadłem. Z całych sił cisnąłem niedopałek na chodnik, patrząc, jak uderza o niego, wzbijając w powietrze fontannę pomarańczowych iskier.

– Kupię od ciebie papierosa, stary – powiedział ktoś obok mnie. – Proszę

Ręka przed moją twarzą, trzymająca ćwierćdolarówkę. Uniosłem wzrok.

Nie wyglądał staro, choć nie potrafiłbym określić jego wieku. Może pod czterdziestkę,

do czterdziestu pięciu. Miał na sobie długi podniszczony płaszcz, bezbarwny w żółtym świetle latarni. Jego oczy były ciemne.

– Proszę, ćwiartka. To dobra cena.

Potrząsnąłem głową, wyciągnąłem paczkę marlboro i poczęstowałem go.

– Zatrzymaj pieniądze. Dam ci go za darmo. Proszę.

Wyjął papierosa. Podałem mu książeczkę zapalek (pamiętam, że reklamowała jakiś sekstelefon), a on zapalił. Oddał mi zapaliki, ja jednak potrząsnąłem głową.

– Proszę je wziąć. W Ameryce zawsze zbieram stopy zapalek.

– Mm-hmm.

Usiadł obok mnie, paląc papierosa. Gdy wypalił go do połowy, strząsnął na beton żarzącą się część, resztę zgasił i wsunął za ucho.

– Niewiele palę – oznajmił. – Szkoda jednak byłoby go zmarnować.

Ulicą z piskiem przejechał samochód, zataczając się od krawężnika do krawężnika. Siedziało w nim czterech młodych mężczyzn. Dwaj z przodu wspólnie manipulowali kierownicą i zanosili się śmiechem. Mieli otwarte okna, toteż słyszałem ich śmiech, a także dwójkę na tylnym siedzeniu („Gaaary, ty dupku, czym się do diabła zaćpałeś?”) i pulsujący rytm rocka. Nie rozpoznałem piosenki. Samochód skręcił za róg i zniknął mi z oczu.

Wkrótce dźwięki także ucichły.

– Jestem ci coś winien – oznajmił człowiek na ławce.

– Słucham?

– Jestem ci coś winien. Za papierosa i zapaliki. Nie chciałeś wziąć pieniędzy. Jestem ci coś winien.

Zakłopotany wzruszyłem ramionami.

– Ależ to tylko papieros. Tak sobie myślę, że jeśli będę dawał ludziom papierosy, to kiedy mnie ich zabraknie, może ludzie także mi je dadzą. – Zaśmiałem się, aby pokazać, że nie mówię serio, choć w istocie byłem śmiertelnie poważny. – Nie ma sprawy.

– Mhm. Chcesz usłyszeć historię? Prawdziwą historię. Kiedyś historie stanowiły doskonałą zapłatę. W dzisiejszych czasach... – wzruszył ramionami – nie tak dobrą.

Z powrotem usiadłem na ławce. Noc była ciepła. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. W Anglii zaczynał się już nowy, mroźny dzień. Dzień pracy dla tych, którzy zdołają przechytrzyć śnieg i dostać się do roboty. Kolejna garstka starych i bezdomnych ludzi zmarła w nocy z zimna.

– Jasne – powiedziałem. – No pewnie, opowiedz mi historię.

Mężczyzna zakasłał, uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby – krótki błysk w ciemności – i zaczął:

– Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, było Słowo, i Słowo było Bogiem. Czasami, gdy naprawdę wpadam w przygnębienie, przypominam sobie dźwięk owego Słowa w mojej głowie, kształtujący mnie, formujący, tchnący we mnie życie.

Słowo dało mi ciało i oczy. Otworzyłem oczy i ujrzałem światła Srebrnego Miasta.

Znajdowałem się w pokoju – srebrnym pokoju. Poza mną nie było w nim niczego. Przed sobą miałem okno, sięgające od podłogi do sufitu. Widziałem przez nie niebo, a dalej wieże Miasta i na jego skraju Mrok.

Nie wiem, jak długo tam czekałem. Nie niecierpliwiłem się jednak. Nic z tych rzeczy. To pamiętam. Zupełnie, jakbym czekał na wezwanie i wiedział, że kiedyś zostanę wezwany. A gdybym musiał czekać do końca wszystkiego i nikt nie usłyszałby wołania, i tak byłoby

świetnie. Ale zostanę wezwany. Byłem tego pewien. A wtedy poznam me imię i zadanie.

Przez okna widziałem srebrne wieżycy. W wielu z nich otwierały się okna. W oknach dostrzegałem innych mnie podobnych. Stąd dowiedziałem się, jak wyglądam.

Teraz trudno to po mnie poznać, ale byłem piękny. Od tamtych czasów sporo przeszedłem w życiu. Byłem wtedy wyższy i miałem skrzydła.

To były wielkie, potężne skrzydła o piórach barwy macicy perłowej. Wyrastały mi spod łopatek. Były wspaniałe. Moje skrzydła.

Czasami widywałem innych sobie podobnych, tych, którzy opuszczali swe komnaty i wypełniali obowiązki. Patrzyłem, jak śmigają po niebie od wieży do wieży, wykonując zadania, których nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Niebo nad Miastem było cudowne, zawsze jasne, choć nie oświetlało go słońce – być może sprawiało to samo Miasto, lecz światło to ulegało nieustającym zmianom. W jednej chwili miało barwę cyny, potem mosiądzu, delikatnego złota, milczącego ametystu...

Mężczyzna urwał. Spojrzał na mnie, przechylając głowę. W jego oczach dostrzegłem błysk, który mnie przeraził.

– Wiesz, co to ametyst? Taki fioletowy kamień?

Przytaknąłem.

Poczułem nieprzyjemny ucisk w kroczu.

Nagle przyszło mi do głowy, że być może mój rozmówca nie jest wcale szalony, i myśl ta zaniepokoiła mnie znacznie bardziej niż jej alternatywa.

Nieznajomy znów zaczął mówić.

– Nie wiem, jak długo czekałem w mej komnacie, ale czas nie miał żadnego znaczenia. Nie wtedy. Mieliśmy do dyspozycji cały czas tego świata.

Następną godną uwagi rzeczą było zjawienie się w mej celi Anioła Lucyfera. Był on wyższy ode mnie. Miał potężne, imponujące skrzydła o idealnym upierzeniu, skórę barwy morskiej mgły, kręcone, srebrne włosy i cudowne szare oczy...

Mówię „on”, ale powinieneś zrozumieć, że żaden z nas tak naprawdę nie miał płci.

Gestem wskazał swój rozpokreślenie.

– Gładko i pusto. Nic tam nie ma. No wiesz.

Lucyfer lśnił. Dosłownie – świecił od środka. Tak samo jest ze wszystkimi aniołami. W ich wnętrzu kryje się światło. Wtedy w mojej celi Anioł Lucyfer płonął niczym błyskawica.

Spojrzał na mnie, a potem mnie nazwał.

– Jesteś Raguel – oznajmił. – Zemsta Pana.

Skłoniłem głowę, bo wiedziałem, że to prawda. To było moje imię, moja rola.

– Stało się coś... coś złego – rzekł. – Pierwsze zło. Jesteś potrzebny.

Odwrócił się i wzleciał w przestwór, a ja podążyłem jego śladem, lecąc ponad Srebrnym Miastem na obrzeża, gdzie Miasto się kończy i zaczyna Ciemność. Tam właśnie pod wyniosłą srebrną iglicą opadliśmy na ulicę i ujrzałem martwego anioła.

Zgniecione i połamane ciało leżało na srebrnym chodniku. Kilka piór ze zmiżdżonych skrzydeł wylądowało już w srebrnym rynsztoku.

Ciało było niemal zupełnie ciemne. Od czasu do czasu w jego wnętrzu rozbłyskiwało światełko, migotanie zimnego ognia w piersi, oczach bądź pozbawionych płci lędźwiach. To ostatni blask życia opuszczał je na zawsze.

Na jego piersi zbierała się rubinowa krew i plamiła szkarłatem białe skrzydła. Był bardzo piękny, nawet w śmierci.

Jego widok złamałby ci serce.

Wtedy Lucyfer przemówił do mnie.

– Musisz odkryć, kto jest za to odpowiedzialny, jak to się stało, i wyrzucić Zemstę Imienia na tym, kto się do tego przyczynił.

Tak naprawdę nie musiał niczego mówić. Sam już wiedziałem. Poszukiwania i zapłata: po to mnie stworzono na Początku. Tym właśnie byłem.

– Muszę zająć się innymi sprawami – oznajmił Anioł Lucyfer.

Mocno uderzył skrzydłami i wzleciał w powietrze. Powiew wiatru uniósł w głąb ulicy pióra martwego anioła.

Pochyliłem się, by zbadać ciało. Do tego czasu opuściło je wszelkie światło. Pozostała czarna postać, parodia anioła. Miała doskonałą bezpłciową twarz, obramowaną srebrnymi włosami. Jedna z powiek uniosła się, ukazując spokojne, szare oko, druga była zamknięta. Na piersi nie było sutek, między nogami tylko gładka skóra.

Podniosłem ciało.

Plecy anioła przypominały ruinę. Miał połamane, wykręcone skrzydła i wgnieciony tył głowy. Same zwłoki były dziwnie wiotkie, co sugerowało, że kręgosłup także został złamany. Tył ciała pokrywała krew.

Jedyna krew z przodu grupowała się pośrodku piersi. Zbadałem to miejsce palcem, który bez trudu wniknął w głąb ciała.

Spadł – pomyślałem. Lecz przed upadkiem już był martwy.

Potem podniosłem oczy ku oknom wznoszącym się nad ulicą. Spojrzałem na Srebrne Miasto. Zrobiłeś to – pomyślałem. – Znajdę cię, kimkolwiek jesteś. I wyrwę na tobie Zemstę Pana.

Mężczyzna wyjął zza ucha niedopałek papierosa, zapalił go zapałką. Przez moment poczułem woń popielniczki i popiołu, kwaśną i ostrą. Potem ogień dotarł do nietkniętego tytoniu. Mężczyzna wypuścił w nocne powietrze chmurę błękitnego dymu.

– Anioł, który pierwszy odkrył ciało, nazywał się Fanuel.

Rozmawiałem z nim w Sali Istnienia. Mieściła się ona w wieży, obok której leżał martwy anioł. W sali wisiały... można to nazwać projektami tego, co miało stać się... tym wszystkim. – Machnął trzymającą papierosa ręką, wskazując nocne niebo, zaparkowane samochody i cały świat. – No wiesz, wszechświatem.

Fanuel był starszym projektantem. Podlegały mu rzesze aniołów, pracujących nad szczegółami Stworzenia. Obserwowałem go z posadzki sali. Fanuel wisiał w powietrzu pod Planem. Aniołowie sfruwali ku niemu, czekając grzecznie na swą kolej, by zadać pytania, uzgodnić drobiazgi, poprosić o komentarz do swej pracy. W końcu zostawił ich i opadł na ziemię.

– Ty jesteś Raguel – rzekł. Głos miał wysoki i zrzędlawy. – Czego chcesz ode mnie?

– To ty znalazłeś ciało?

– Biednego Karasela? Owszem. Opuściłem właśnie Salę – obecnie zajmujemy się budową kilkunastu różnych conceptów i chciałem zastanowić się nad jednym z nich; dokładnie mówiąc nad *Żalem*. Zamierzałem oddalić się nieco od miasta – to znaczy wzlecieć nad nie, nie zagłębić się w Mrok na zewnątrz. Tego bym nie zrobił, choć słyszałem pogłoski krążące wśród... Ale tak, zamierzałem wzlecieć w górę i oddać się kontemplacji.

Opuściłem Salę i... – Urwał. Był mały jak na anioła, jego światło przygasło, lecz oczy żywo błyszczały. Naprawdę błyszczały. – Biedny Karasel. Jak mógł zrobić sobie coś takiego? Jak?

– Sądzisz, że sam spowodował swoje zniszczenie?

Wyglądał na zdumionego – zaskoczonego, że mogło istnieć inne rozwiązanie.

– Ależ oczywiście. Karasel pracował pod moim kierownictwem, rozwijając kilka koncepcji kluczowych dla Wszechświata, gdy jego Imię zostanie Wypowiedziane. Jego zespół świetnie spisał się podczas pracy nad podstawami – najpierw *Wymiarem*, potem *Snem*. Były też inne projekty. Świetna robota. Część jego sugestii, dotyczących wykorzystania indywidualnych punktów widzenia do określania wymiarów, była naprawdę genialna.

W każdym razie zaczął właśnie pracę nad nowym projektem. To jeden z najważniejszych, tych, którymi zwykle zajmuję się osobiście czy wręcz przekazuję Zefkielowi. – Zerknął w górę. – Ale Karasel doskonale się spisywał, a jego ostatni projekt był naprawdę wyjątkowy. Coś z pozoru trywialnego, lecz wraz z Saraquaelem rozwinęli to w... – Wzruszył ramionami. – Nieważne. To obecny projekt doprowadził go do nieistnienia. Nikt z nas nie mógł przewidzieć...

– Jaki to był projekt?

Fanuel spojrzał na mnie.

– Nie wiem, czy powinienem ci mówić. Wszystkie nowe koncepcje uważamy za tajne, póki nie doprowadzimy ich do ostatecznej postaci, w której zostaną Wypowiedziane.

Poczułem, że się zmieniam. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale nagle nie byłem już sobą, tylko czymś większym. Zostałem odmieniony. Stałem się moją rolą.

Fanuel nie mógł spojrzeć mi w oczy.

– Jestem Raguel, Zemsta Pana. Służę bezpośrednio Imieniu. Moją misją jest odkryć naturę tego czynu i wyrzucić Zemstę Imienia na tych, którzy za niego odpowiadają. Masz odpowiadać na moje pytania.

Mały anioł zadrżał i zaczął mówić bardzo szybko:

– Karasel i jego partner zajmowali się *Śmiercią*, ustaniem życia, końcem ożywionego, cielesnego istnienia. Składali wszystko do kupy, lecz Karasel zawsze posuwał się za daleko w swej pracy – mieliśmy z nim mnóstwo kłopotów, gdy pracował nad *Zdenerwowaniem*. Wtedy zajmował się *Uczuciami*...

– Sądzisz, że Karasel umarł, aby... zgłębić to zjawisko?

– Albo dlatego, że go intrygowało. Czy może posunął się zbyt daleko w swych badaniach? Tak. – Fanuel wyprostował palce i spojrzał na mnie błyszczącymi oczami. – Ufam, że nie powtórzysz tego nikomu nieuprawnionemu, Raguelu?

– Co uczyniłeś, gdy znalazłeś ciało?

– Jak mówiłem, wyszedłem z Sali i ujrzałem Karasela na chodniku, patrzącego w górę. Spytałem, co robi. Nie odpowiedział. Wtedy zauważyłem wewnętrzny płyn i dostrzegłem, że Karasel nie tyle nie chce ze mną rozmawiać, co nie może.

Przeraziłem się. Nie wiedziałem, co robić.

Wtedy zjawił się Anioł Lucyfer. Spytał, czy coś się stało. Powiedziałem mu. Pokazałem ciało. A potem... potem Lucyfer przybrał swój Aspekt i połączył się z Imieniem. Tak jasno płonął.

Następnie powiedział, że musimy sprowadzić tego, którego rola obejmuje podobne wydarzenia. I odleciał – przypuszczam, że po ciebie. Ponieważ ktoś inny zajmował się już śmiercią Karasela, a jego los nie był moją sprawą, wróciłem do pracy, zyskując nowy – jak sądzę cenny – obraz działania mechanizmów *Żalu*.

Zastanawiam się nad odebraniem *Śmierci* zespołowi Karasela i Saraquaela. Może przydzielę go Zefkielowi, mojemu starszemu współpracownikowi, jeśli on zechce się nim zająć. Doskonale radzi sobie z głębokimi problemami...

W powietrzu utworzyła się już kolejka aniołów, czekających na rozmowę z Fanuelem.

Czułem, że usłyszałem już niemal wszystko, co mógłby mi przekazać.

– Z kim pracował Karasel? Kto ostatni mógł widzieć go żywego?

– Sądzę, że powinienś porozmawiać z Saraquaelem. Ostatecznie był jego współnikiem.

A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Powrócił do roju swych pomocników, radząc, poprawiając, sugerując, zabraniając.

Mężczyzna urwał.

Na ulicy panował spokój. Pamiętam cichy szmer jego głosu, świergot samotnego świerszcza. Jakieś małe zwierzę – może kot albo coś bardziej egzotycznego, szop pracz czy nawet szakał – przemknęło wśród cieni zaparkowanych samochodów po drugiej stronie ulicy.

– Saraquael pracował w najwyższej z galerii otaczających pierścieniami Salę Istnienia. Jak już mówiłem, pośrodku Sali tkwił Wszechświat, połyskujący i migoczący jasnym blaskiem. Sięgał wysoko w górę.

– Wszechświat, o którym mówisz, to był diagram? – spytałem, przerywając mu po raz pierwszy.

– Niezupełnie. Mniej więcej. Coś w tym rodzaju. To był projekt, wielkości naturalnej. Wisiał w Sali, a wszyscy aniołowie krzatali się wokół niego i cały czas przy nim majstrowali.

Zajmowali się *Ciążeniem*, *Muzyką*, *Porządkiem* i innymi sprawami. Tak naprawdę nie był to wszechświat, jeszcze nie. Miał się nim stać, gdy zostanie ukończony i nadejdzie czas Nazwania.

– Ale... – Gorączkowo szukałem słów, które mogłyby wyrazić moje zmieszanie. Nieznajomy przerwał mi.

– Nie przejmuj się. Myśl o tym jak o modelu, jeśli to ci ułatwi sprawę. Albo mapie. Albo... jak to się nazywa? Prototypie.

Tak. Matchboksie wszechświata. – Uśmiechnął się szeroko. – Musisz wiedzieć, że wiele z tych rzeczy, o których ci opowiadam, już i tak stanowi tłumaczenie na postaci i formy, które potrafisz zrozumieć. W przeciwnym razie nie mógłbym opowiedzieć tej historii. Chcesz jej wysłuchać?

– Tak. – Nie obchodziło mnie, czy była prawdziwa, czy nie. Musiałem wysłuchać jego opowieści do samego końca.

– Świetnie. A zatem zamknij się i słuchaj.

Spotkałem się z Saraquaelem na najwyższej galerii. W pobliżu nie było nikogo innego – tylko on, nieco papierów i kilka małych, lśniących modeli

– Przychodzę w sprawie Karasela – oznajmiłem.

Spojrzał na mnie.

– Karasela chwilowo nie ma – rzekł. – Spodziewam się, że niedługo wróci.

Potrząsnąłem głową.

– Karasel nie wróci. Przestał istnieć jako byt duchowy – oznajmiłem.

Jego światło zbladło. Oczy otwarły się szeroko.

– Nie żyje?

– To właśnie powiedziałem. Wiesz może, jak to się stało?

– Ja... To takie niespodziewane. To znaczy mówił o... ale nie miałem pojęcia, że mógłby...

– Powoli.

Saraquael przytaknął. Wstał i podszedł do okna. Nie roztaczał się z niego widok na Srebrne Miasto – widzieliśmy jedynie wiszący w powietrzu odbity blask Miasta i nieba, i dalej Mrok.

Wiatr z Mroku łagodnie pieścił włosy Saraquaela, który stał odwrócony do mnie plecami.

– Karasel jest... nie, był. Tak powinienem powiedzieć, prawda? Był zawsze taki

zaangażowany i taki twórczy. Niczym się nie zadowalał. Zawsze chciał wszystko zrozumieć – doświadczyć tego, nad czym pracuje. Nie zadowalało go samo tworzenie, zrozumienie w sensie intelektualnym. Pragnął wszystkiego.

Wcześniej, gdy pracowaliśmy nad właściwościami materii, nie stanowiło to problemu. Ale kiedy zaczęliśmy projektować Nazwane uczucia... zanadto zaangażował się w swoją pracę.

Naszym ostatnim projektem była *Śmierć*. To jedno z najtrudniejszych zadań – podejrzewam też, że jedno z najważniejszych. Możliwe nawet, że stanie się ono dla Stworzonych atrybutem, określającym całe Stworzenie. Gdyby nie *Śmierć*, mogliby po prostu istnieć, ale dzięki niej ich życia nabiorą sensu – stanie się granicą, której nie potrafią przekroczyć...

– Uważasz zatem, że sam się zabił?

– Wiem, że to zrobił – powiedział Saraquael. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Daleko w dole, bardzo daleko, dostrzegłem małą, białą kropkę. Było to ciało Karasela. Będę musiał wezwać kogoś, by się nim zajął. Zastanawiałem się, co z nim zrobimy. Ktoś z pewnością będzie wiedział. Ktoś, kogo rolą jest usuwanie niepotrzebnych rzeczy. Nie była to moja rola. Tyle wiedziałem.

– Jak?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem. Ostatnio zaczął zadawać pytania – pytania o *Śmierć*. Skąd możemy wiedzieć, czy słusznie jest tworzyć coś takiego, ustalać zasady, jeśli sami tego nie doświadczymy? Cały czas o tym mówił.

– A ty? Nie zastanawiałeś się nad tym?

Saraquael po raz pierwszy odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Nie. To nasza rola – dyskutować, improwizować, wspomagać Stworzenie i Stworzonych. Ustalamy wszystko teraz, by, kiedy się Zacznie, wszystko działało jak w zegarku. W tej chwili pracujemy nad *Śmiercią*, zatem jej właśnie się przyglądamy. Aspektowi fizycznemu, uczuciowemu, filozoficznemu...

I wzorcom. Karasel uważał, że wszystko, co czynimy tu, w Sali Istnienia, tworzy wzorce, struktury i formy, odpowiednie dla istot i wydarzeń, które, jeśli raz powstaną, będą trwałe do swego kresu, i być może dotyczyć nie tylko ich, ale i nas. Zapewne uważał, że to jeden z jego wzorców.

– Dobrze znałeś Karasela?

– Tak dobrze, jak któryś z nas może poznać innego. Widywaliśmy się tutaj, pracowaliśmy razem. Czasami odchodziłem do mojej celi po drugiej stronie miasta. Czasami on robił to samo.

– Opowiedz mi o Fanuelu.

Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Jest nadgorliwy. Sam niewiele robi. Zbiera dzieła innych i przypisuje sobie wszystkie zasługi. – Zniżył głos, choć na galerii poza nami nie było nikogo. – Słuchając go, mógłbyś pomyśleć, że *Miłość* była wyłącznie jego dziełem. Trzeba jednak przyznać, że pilnuje roboty. Z dwóch starszych projektantów to Zefkiel jest prawdziwym twórcą, ale on tu nie przychodzi. Tkwi w swojej celi w Mieście i oddaje się kontemplacjom; rozwiązuje problemy z daleka. Jeśli chcesz pomówić z Zefkiem, idziesz do Fanuela i Fanuel przekazuje mu twoje pytania.

– A co z Lucyferem? – przerwałem mu. – Opowiedz mi o nim.

– Lucyfer? Dowódca Zastępów? On tu nie pracuje. Kilka razy odwiedzał Salę, dokonując inspekcji Stworzenia. Mówią, że składa meldunki bezpośrednio Imieniu. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Czy znał Karasela?
– Wątpię. Jak mówiłem, był tu tylko dwa razy. Widywałem go jednak czasami. Tam. – Machnął czubkiem skrzydła, wskazując świat za oknem. – W locie.
– Dokąd zmierzał?
Saraqael sprawiał wrażenie, jakby zamierzał coś powiedzieć, potem jednak zmienił zdanie.
– Nie wiem.
Wyjrzałem przez okno na Ciemność poza Srebrnym Miastem.
– Może będę chciał jeszcze z tobą porozmawiać – poinformowałem Saraquaela.
– Dobrze.
Odwróciłem się.
– Panie? Wiesz może, czy przydzielą mi następnego współnika? Do Śmierci?
– Nie – odparłem. – Niestety nie wiem.
Pośrodku Srebrnego Miasta leżał park – miejsce rozrywki i odpoczynku. Tam właśnie obok rzeki znalazłem Anioła Lucyfera. Stał bez ruchu, patrząc na przepływające wody.
– Lucyferze?
Skłonił głowę.
– Raguelu. Czynisz jakieś postępy?
– Nie wiem. Może. Muszę zadać ci kilka pytań. Masz coś przeciw temu?
– Ależ nie.
– Jak znalazłeś ciało?
– Nie znalazłem. Niezupełnie. Ujrzałem Fanuela, stojącego na ulicy. Wyglądał na zaniepokojonego. Spytałem, czy coś się stało, a on pokazał mi martwego anioła. Ja zaś sprowadziłem ciebie.
– Rozumiem.
Schylił się i włożył dłoń do zimnej rzecznej wody. Nurt obmywał z pluskiem jego palce.
– To wszystko?
– Niezupełnie. Co robiłeś w tej części miasta?
– Nie rozumiem, czemu cię to obchodzi.
– Obchodzi mnie, Lucyferze. Co tam robiłeś?
– Ja... spacerowałem. Robię to czasem. Spaceruję i myślę, i próbuję zrozumieć. – Wzruszył ramionami.
– Spacerujesz na skraju Miasta?
Chwila ciszy. Potem:
– Tak.
– To wszystko, co chciałem wiedzieć. Na razie.
– Z kim jeszcze rozmawiałeś?
– Z szefem Karasela i jego partnerem. Obaj uważają, że sam się zabił. Zakończył własne życie.
– Z kim jeszcze zamierzasz pomówić?
Uniosłem wzrok. Nad nami wznosiły się wyniosłe wieże Miasta Aniołów.
– Może ze wszystkimi.
– Wszystkimi?
– Jeśli będzie trzeba. To moja rola. Nie spocznę, póki nie zrozumieję, co się stało, i póki Zemsta Imienia nie dotknie tego, kto za to odpowiada. Ale jedno wiem na pewno.
– Co?

Z doskonałych palców Anioła Lucyfera ściekały krople wody, lśniące niczym diamenty.

– Karasel się nie zabił.

– Skąd wiesz?

– Jestem Zemstą. Gdyby Karasel zginął z własnej ręki – wyjaśniłem Dowódcy Zastępów Niebieskich – nie miałbym tu nic do roboty, prawda?

Nie odpowiedział.

Wzleciałem ku światłom wiecznego poranka.

Masz może jeszcze papierosa?

Pogrzebałem w czerwono-białej paczce i podałem mu jednego.

– Dzięki.

Cela Zefkiela była większa od mojej.

Nie było to miejsce tylko do czekania, lecz do życia, pracy, istnienia. Wypełniały je księgi, zwoje, papiery. Na ścianach wisiały podobizny i wizerunki – obrazy. Nigdy dotąd nie widziałem obrazu.

Pośrodku komnaty stał wielki fotel. Siedział w nim Zefkiel, z zamkniętymi oczami i odchyloną głową.

Gdy się zbliżyłem, otworzył oczy.

Nie płonęły jaśniej niż oczy innych aniołów, które spotkałem, zdawało się jednak, że oglądały więcej. Było coś w jego wyglądzie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Poza tym nie miał skrzydeł.

– Witaj, Raguelu – rzekł. W jego głosie brzmiało zmęczenie.

– Ty jesteś Zefkiel? – Nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie. Wiedziałem przecież, kim jest. To część mojej roli. Rozpoznawanie. Wiem, kim ty jesteś.

– W istocie. Nie gap się, Raguelu. Rzeczywiście nie mam skrzydeł, ale moja rola nie wymaga, bym opuszczał tę celę. Pozostaję tu i rozmyślam. Fanuel składa mi meldunki. Przynosi do zaopiniowania nowe rzeczy, przekazuje problemy, a ja zastanawiam się nad nimi i od czasu do czasu czynię drobne sugestie. To moja rola, tak jak twoja jest zemsta.

– Tak.

– Przychodzisz w sprawie śmierci anioła Karasela?

– Tak.

– Ja go nie zabiłem.

Gdy to powiedział, pojąłem, że to prawda.

– To twoja rola, prawda? Odkrycie, kto zabił nieszczęśnika, i wywarcie na nim Zemsty Imienia.

– Tak.

Skinął głową.

– O co chciałbyś spytać?

Milczałem, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem tego dnia.

– Wiesz, co Lucyfer robił w tamtej części Miasta, zanim znaleziono ciało?

Stary anioł spojrział na mnie.

– Mogę zgadnąć.

– Tak?

– Spacerował w Mroku.

Przytaknąłem. W moim umyśle rysował się już pewien zarys, coś, co niemal potrafiłem dostrzec. Zadałem ostatnie pytanie:

– Co możesz mi powiedzieć o *Miłości*?

A on powiedział: i sądziłem, że mam już wszystko.

Wróciłem do miejsca, w którym leżało ciało Karasela. Szczątki zostały usunięte, krew zmyta, pióra zebrane i uprzątnięte. Na srebrnym chodniku nie pozostało nic, co wskazywałoby, że kiedyś leżał tu trup, ale wiedziałem, gdzie spoczywał.

Wzniosłem się na skrzydłach. Poleciałem w górę, póki nie zrównałem się niemal ze szczytem wieży Sali Istnienia. Było tam okno. Wleciałem przez nie do środka.

Saraqael pracował w skupieniu. Umieszczał właśnie pozbawionego skrzydeł manekina w małej skrzynce. Po jednej jej stronie leżała podobizna małego, brązowego stworzenia z ośmioma nogami. Po drugiej wizerunek białego kwiatu.

– Saraquaelu?

– Co? A, to ty. Witaj. Spójrz. Gdybyś miał umrzeć i powiedzmy, zostać pogrzebany w ziemi w skrzyni, wolałbyś, aby co na tobie złożono – tego tu pająka czy tamtą lilię?

– Chyba lilię.

– Ja też tak myślę, ale czemu? Chciałbym... – Podparł dłonią brodę, wpatrując się w dwa modele. Eksperymentalnie ułożył na skrzyni najpierw jeden, potem drugi. – Jest tak wiele do zrobienia, Raguelu. Tak wiele rzeczy, które trzeba ustalić, a my mamy tylko jedną szansę. Będzie tylko jeden wszechświat – nie możemy próbować, póki się nam nie uda. Chciałbym wiedzieć, czemu to wszystko jest dla Niego takie ważne...

– Wiesz, gdzie leży cela Zefkiela? – spytałem.

– Tak. To znaczy, nigdy tam nie byłem, ale wiem gdzie jest.

– Doskonale. Udaj się tam. Będzie cię oczekiwał. Tam się spotkamy.

Potrząsnął głową.

– Mam tu pracę. Nie mogę tak po prostu...

Poczułem, jak opada na mnie moja rola. Spojrzałem na niego z góry i powiedziałem:

– Będziesz tam czekał. Idź już.

Nie odpowiedział. Cofnął się w stronę okna, nie spuszczać ze mnie wzroku. Potem odwrócił się, zatrzepotał skrzydłami i zostałem sam.

Podszedłem do środkowej studni Sali i zacząłem spadać, koziółkując przez model wszechświata, który lśnił wokół mnie pełen nieznanymi kształtów i barw, wijących się wokół bez celu i znaczenia.

Gdy zbliżyłem się do dna, uderzyłem skrzydłami, spowalniając upadek, i lekko opadłem na srebrną posadzkę. Fanuel stał tam pomiędzy dwoma aniołami, którzy próbowali zwrócić na siebie jego uwagę.

– Nie obchodzą mnie względy czysto estetyczne – wyjaśniał jednemu. – W żadnym razie nie możemy umieścić go pośrodku. Promieniowanie tła uniemożliwiłoby powstanie jakichkolwiek form życia, a zresztą jest zbyt niestabilne.

Odwrócił się do drugiego.

– W porządku, pokaż. Hmm. A więc tak wygląda *Zieleń*. Trochę inaczej ją sobie wyobrażałem, ale... Hmm. Zostaw ją tu. Dam ci znać. – Wyjął papier z ręki anioła i złożył go zdecydowanym gestem.

Odwrócił się do mnie. Zachowywał się szorstko i lekceważąco.

– Tak?

– Muszę z tobą pomówić.

– Hmm. Lepiej więc się pospiesz. Mam mnóstwo pracy. Jeśli chodzi o śmierć Karasela, powiedziałem ci wszystko, co wiem.

– Chodzi o śmierć Karasela. Ale nie będę teraz z tobą rozmawiał. Nie tutaj. Idź do celi Zefkiela. On cię oczekuje. Tam się spotkamy.

Wyglądało na to, że zamierza coś powiedzieć, lecz jedynie skinął głową i ruszył ku drzwiom.

Odwrociłem się, by odejść, gdy nagle coś przyszło mi do głowy. Zatrzymałem anioła z *Zielenią*.

– Powiedz mi coś.

– Jeśli potrafię.

– Ta rzecz. – Wskazałem wszechświat. – Czemu ona służy?

– Służy? To przecież wszechświat.

– Wiem, jak go nazywają, ale po co istnieje?

Zmarszczył brwi.

– To część planu. Imię wymaga tego i tego, w tych wymiarach, przy takich właściwościach i składnikach. Naszą rolą jest nadanie wszystkiemu kształtu wedle Jego woli. Jestem pewien, że On wie, do czego służy wszechświat, ale mnie tego nie zdradził. – W jego głosie pobrzmiwał łagodny wyrzut.

Skinąłem głową i opuściłem to miejsce.

Wysoko nad Miastem falanga aniołów krążyła, zawracała i nurkowała. Każdy z nich dzierżył w dłoni ognisty miecz, który ciągnął za sobą pasmo płomiennej jasności, rażącej wzrok.

Wszyscy poruszali się jak jeden na tle łososiowego nieba. Byli bardzo piękni, zupełnie jak... znasz takie letnie wieczory, gdy na niebie tańczą całe stada ptaków? Łączą się, krążą, zbierają i rozdzielają, raz po raz, i myślisz, że dostrzegłeś już wzór, gdy nagle uświadamiasz sobie, że nie i że nigdy go nie zobaczysz. To było takie samo, tyle że lepsze.

Nade mną wisiało niebo, pode mną rozciągało się lśniące Miasto – mój dom. A poza Miastem Mrok.

Lucyfer wisiał w powietrzu tuż pod Zastępem, obserwując manewry.

– Lucyferze.

– Tak, Raguelu? Czy odkryłeś swego złoczyńcę?

– Chyba tak. Zechcesz towarzyszyć mi do celi Zefkiela? Czekają tam na nas inni. Wtedy wszystko wyjaśnię.

Przez chwilę milczał, a potem rzekł:

– Oczywiście.

Uniósł doskonałą twarz ku aniołom, wykonującym na niebie powolny obrót. Wszyscy poruszali się w powietrzu w idealnym tempie, równo, choć w ogóle się nie dotykali.

– Azazelu.

Z kręgu wyfrunął anioł. Pozostali odrobinę zmienili pozycję, zapełniając puste miejsce tak, że po chwili nie dało się stwierdzić, gdzie był.

– Muszę odejść. Teraz ty dowodzisz, Azazelu. Kontynuuj ćwiczenia. Wciąż muszą doskonalić swe umiejętności.

– Tak, panie.

Azazel zawisł w powietrzu w miejscu, gdzie wcześniej tkwił Lucyfer, patrząc w górę na rzeszę aniołów. My zaś z Lucyferem poleciliśmy ku Miastu.

– To mój zastępca – oznajmił Lucyfer. – Błyskotliwy, pełen entuzjazmu. Azazel poszedłby za mną wszędzie.

– Po co ich szkolisz?

– Na wojnę.

– Z kim?

– Skąd mam wiedzieć?

– Z kim będą walczyć? Kto jeszcze istnieje?

Spojrzał na mnie. Jego oczy były czyste i szczerze.

– Nie wiem, ale On Nazwał nas, abyśmy byli Jego armią. Toteż staniemy się doskonali. Dla Niego. Imię jest nieomyślne, wszechmądre i sprawiedliwe, Raguelu. Nie może być inaczej. Nieważne, co... – Urwał i odwrócił wzrok.

– Zamierzałeś coś powiedzieć?

– To nieistotne.

– Aha.

Przez resztę drogi do celi Zefkiela milczeliśmy.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia. Ulicą L.A. przetoczył się powiew zimnego wiatru. Zadrzałem. Mężczyzna zauważył to i zawiesił głos.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Jasne. Proszę, mów dalej. To fascynujące.

Kiwnął głową.

– Czekali już w celi Zefkiela: Fanuel, Saraquael i sam

Zefkiel. Zefkiel siedział w fotelu. Lucyfer zajął miejsce obok okna.

Przeszedłem na środek komnaty i zacząłem mówić.

– Dziękuję, że wszyscy zgodziliście się tu przybyć. Wiecie, kim jestem. Znaście moją rolę. Jestem Zemstą Imienia. Ramieniem Pana. Jestem Raguel.

Anioł Karasel nie żyje. Moim zadaniem jest wykryć, czemu zginął, kto go zabił. Uczyniłem to. Anioł Karasel był projektantem w Sali Istnienia. Świetnie się spisywał, tak przynajmniej słyszałem...

Lucyferze, powiedz mi, co robiłeś, nim natknąłeś się na Fanuela i ciało?

– Już mówiłem. Spacerowałem.

– Gdzie dokładnie spacerowałeś?

– Nie rozumiem, czemu miałoby cię to obchodzić?

– Powiedz mi.

Zawiesił głos. Był wyższy niż którykolwiek z nas, i dumny.

– Doskonale. Wędrowałem w Mroku. Od jakiegoś czasu spaceruję w Ciemności. Dzięki temu spoglądam na Miasto z innej perspektywy, z zewnątrz. Widzę, jakie jest piękne, jakie doskonałe. Nie ma niczego cudowniejszego niż nasz dom, niczego pełniejszego. Nikt nie mógłby pragnąć znaleźć się gdzie indziej.

– A co takiego robisz w Mroku, Lucyferze?

Spojrzał na mnie.

– Spaceruję i... w Mroku są też głosy. Słucham tych głosów. Obiecują mi różne rzeczy, zadają pytania, szepczą, błagają, a ja je ignoruję. Zbieram siły i spoglądam na Miasto. To jedyna metoda wypróbowania mej woli – wystawienia się na próbę. Jestem dowódcą Zastępów, pierwszym pośród aniołów, i muszę dowieść swych sił.

Skinąłem głową.

– Czemu nie wspomniałeś mi o tym wcześniej?

Spojrzał na mnie z góry.

– Bo jestem jedynym aniołem spacerującym w Mroku. Bo nie chcę, by inni się tam znaleźli. Ja jestem dość silny, by rzucić wyzwanie głosom, poddać się próbie. Pozostali nie. Mogliby

potknąć się bądź upaść.

– Dziękuję, Lucyferze. Na razie to wszystko. – Odwróciłem się do następnego anioła. – Fanuelu, od jak dawna przypisujesz sobie zasługi za pracę Karasela?

Jego usta otwały się, nie dobył się z nich jednak żaden dźwięk.

– Słucham?

– Ja... nigdy nie przypisałbym sobie zasług za czyjąś pracę.

– Ale przypisałeś sobie *Miłość*.

Zamrugnął.

– Owszem, zrobiłem to.

– Zechcesz wyjaśnić nam wszystkim, czym jest *Miłość* – spytałem.

Rozejrzał się zakłopotany.

– To uczucie głębokiej sympatii i pociągu do innej istoty, często połączone z namiętnością bądź żądzą – potrzebą bycia z kimś. – Przemawiał sucho tonem nauczyciela, jakby recytował wzór matematyczny. – Uczucie, jakim obdarzamy Imię, naszego Stwórcę, jest miłością... między innymi. Miłość stanie się impulsem, który potrafi inspirować albo prowadzi do ruiny. Jesteśmy...

– Urwał, po czym powtórzył: – Jesteśmy z niej bardzo dumni.

Wymawiał słowa, lecz najwyraźniej nie żywił nadziei, że mu wierzymy.

– Kto wykonał większość pracy nad *Miłością*? Nie, nie odpowiadaj. Najpierw muszę zadać pytania pozostałym. Zefkielu, gdy Fanuel przekazał ci do zatwierdzenia szczegóły dotyczące *Miłości*, powiedział, że czyim jest dziełem?

Bezskrzydły anioł uśmiechnął się łagodnie.

– Twierdził, że to jego projekt.

– Dziękuję. A teraz ty, Saraquaelu. Czyja była *Miłość*?

– Moja. Moja i Karasela. Może bardziej jego niż moja, ale pracowaliśmy nad nią razem.

– Wiedziałeś, że Fanuel sobie przypisuje zasługę?

– Tak.

– I pozwoliłeś na to?

– On... przyrzekł, że da nam nowy świetny projekt. Obiecał, że jeśli nic nie powiemy, dostaniemy kolejne wielkie projekty – i dotrzymał słowa. Dał nam *Śmierć*.

Odwróciłem się do Fanuela.

– I co?

– To prawda, że twierdziłem, iż *Miłość* jest moja.

– Była jednak Karasela i Saraquaela.

– Tak.

– Ich ostatni projekt przed *Śmiercią*?

– Tak.

– To wszystko.

Podszedłem do okna, wyjrzałem na srebrne wieże i dalej w mrok. Potem zacząłem mówić:

– Karasel był niezwykłym projektantem. Jeśli miał jakąś wadę, to tę, że zanadto angażował się w swą pracę. – Odwróciłem się do nich. Anioł Saraquael drżał. Światła pod jego skórą migotały.

– Saraquaelu, kogo kochał Karasel? Kto był jego kochankiem?

Spuścił wzrok, potem uniósł go z dumą i agresją, i uśmiechnął się.

– Ja.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Nie – wzruszył ramionami – ale pewnie muszę. Dobrze zatem.

Pracowaliśmy razem. A gdy zaczęliśmy pracować nad *Miłością*... zostaliśmy kochankami. To był jego pomysł. Gdy tylko nadarzała się okazja, wracaliśmy do jego celi. Tam dotykaliśmy się, obejmowali, szeptali sobie słowa czułości i przysięgi wiecznego oddania. Jego los znaczył dla mnie więcej niż mój własny. Istniałem dla niego. Gdy byłem sam, powtarzałem sobie jego imię i myślałem tylko o nim.

– Gdy byliśmy razem... – Urwał. Spuścił głowę. – Nie liczyło się nic innego.

Podszedłem do niego, ująłem go pod brodę i spojrzałem wprost w szare oczy.

– Czemu zatem go zabiłeś?

– Bo już mnie nie kochał. Gdy zaczęliśmy pracę nad *Śmiercią*, on... stracił zainteresowanie. Nie był już mój. Należał do *Śmierci*. A skoro nie mogłem go mieć, wolałem, by zabrał go nowy kochanek. Nie mogłem znieść jego obecności. Cierpiałem, gdy był w pobliżu, a ja wiedziałem, że niczego już do mnie nie czuje. To właśnie bolało najbardziej. Sądziłem... miałem nadzieję... że kiedy odejdzie, przestanie mnie obchodzić, że ból ustanie.

Toteż go zabiłem. Pchnąłem nożem i wyrzuciłem ciało z naszego okna w Sali Istnienia, lecz ból nie ustał. – Ostatnie słowo zamieniło się w jęk.

Saraqael uniósł rękę i odepchnął moją dłoń.

– Co teraz?

Poczułem, jak ogarnia mnie mój aspekt, jak moja rola obejmuje mnie we władanie. Nie byłem już jednostką, lecz Zemstą Pana.

Zbliżyłem się do Saraquaela i objąłem go. Przycisnąłem wargi do jego ust. Wepchnąłem w niego język. Pocałowaliśmy się. Zamknął oczy.

I wtedy poczułem, jak coś we mnie wzbiera: ogień, jasność. Kątem oka widziałem, jak Lucyfer i Fanuel odwracają twarze od mego światła. Czułem na sobie spojrzenie Zefkiela. Mój blask stawał się coraz jaśniejszy i jaśniejszy, aż w końcu eksplodował – z moich oczu, piersi, palców, ust – biały, niszczący ogień.

Białe płomienie powoli pochłaniały Saraquaela, który przywarł do mnie, płonąć.

Wkrótce nic z niego nie zostało, absolutnie nic.

Poczułem, że płomień mnie opuszcza. Ponownie stałem się sobą.

Fanuel łkał. Lucyfer był błądliwy. Zefkiel siedział w fotelu, obserwując mnie w milczeniu.

Odwróciłem się do Fanuela i Lucyfera.

– Widzieliście Zemstę Pana – oznajmiłem. – Niech stanie się przestroga dla was obu.

Fanuel skinął głową.

– Stała się. O, tak. Ja... pójdę już, panie. Wróć na moje stanowisko, jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Idź.

Potyknąwszy się, podszedł do okna i runął w blask, gwałtownie bijąc skrzydłami.

Lucyfer podszedł do miejsca na srebrnej posadzce, w którym stał niegdyś Saraquael. Ukląkł, desperacko wpatrując się w podłogę, jakby próbował znaleźć szczątki anioła, którego zniszczyłem, płatek popiołu, fragment kości, zwęglonego pióra. Nie dostrzegł jednak niczego. Potem spojrzał na mnie.

– To nie było słuszne – rzekł. – To nie było sprawiedliwe. – Płakał. Mokre łzy ściekały mu po twarzy. Co prawda Saraquael pokochał jako pierwszy, lecz to Lucyfer pierwszy przelał łzy. Nigdy o tym nie zapomnę.

Patrzyłem na niego obojętnie.

– To była sprawiedliwość. Zabił innego. Sam także został zabity. Wezwałś mnie, bym

wypełnił swą rolę, i zrobiłem to.

– Ale... on kochał. Powinno się mu wybaczyć, pomóc. Nie powinien zostać zniszczony. To było złe.

– Taka jest Jego wola.

Lucyfer wstał.

– Może zatem Jego wola jest niesprawiedliwa. Może jednak głosy w Ciemności mówią prawdę. Jak coś takiego mogłoby być słuszne?

– Jest słuszne. To Jego wola. Ja jedynie wypełniłem swe zadanie.

Otarł łzy grzbietem dłoni.

– Nie – rzekł stanowczo. Pokręcił głową, po czym rzekł: – Muszę się nad tym zastanowić. Pójdę już.

Podszedł do okna, wyszedł w niebo i zniknął.

Zostaliśmy sami z Zefkielem. Stałem obok niego. Pozdrowił mnie skinieniem.

– Dobrze spełniłeś swe zadanie, Raguelu. Czy nie powinieneś wrócić do celi i zaczekać, aż znów będziesz potrzebny?

Mężczyzna na ławce odwrócił się, szukając mnie wzrokiem. Do tej pory miałem wrażenie, że niemal nie dostrzega mojej obecności. Patrzył przed siebie, monotonnym głosem szepcząc swą historię. Teraz wyglądał, jakby nagle odkrył, że tam jestem, i zaczął mówić do mnie, zamiast w powietrze, do miasta Los Angeles.

– Wiedziałem, że ma rację, ale nie mogłem jeszcze odejść, nawet gdybym pragnął. Mój aspekt nie do końca mnie opuścił. Nie w pełni wykonałem zadanie. I wtedy wszystko zrozumiałem, ogarnąłem całość i, podobnie jak Lucyfer, ukląknęłem. Dotknąłem czołem srebrnej posadzki.

– Nie, Panie – rzekłem. – Jeszcze nie.

Zefkiel dźwignął się z fotela.

– Wstań. Nie przystoi, by jeden anioł traktował tak drugiego. To nie uchodzi. Wstań!

Potrząsnąłem głową.

– Ojczy, ty nie jesteś aniołem – szepnąłem.

Zefkiel nie odpowiedział. Przez chwilę serce zamarło mi w piersi. Bałem się.

– Ojczy, nakazano mi odkryć, kto odpowiada za śmierć Karasela. I już wiem.

– Dokonałeś swej zemsty, Raguelu.

– Twojej zemsty, Panie.

Wtedy on westchnął i znów usiadł.

– Ach, mały Raguelu, problem z tworzeniem rzeczy polega na tym, że spisują się znacznie lepiej, niż planowałem. Czy mam spytać, jak mnie rozpoznałeś?

– Ja... nie jestem pewien, Panie. Nie masz skrzydeł. Czekasz w sercu Miasta, bezpośrednio nadzorując Stworzenie. Gdy zniszczyłem Saraquaela, ty jeden nie odwróciłeś wzroku. Wiesz zbyt wiele rzeczy. Ty... – Urwałem, zastanawiając się przez chwilę. – Nie wiem, skąd wiem. Jak mówisz, dobrze mnie stworzyłeś, ale zrozumiałem, kim jesteś, i pojąłem znaczenie odegranego tu przed twym obliczem dramatu, gdy ujrzałem, jak odchodzi Lucyfer.

– Co rozumiałeś, dziecię?

– Kto zabił Karasela. A przynajmniej, kto pociągał za sznurki. Kto, na przykład, sprawił, że Karasel i Saraquael razem pracowali nad *Miłością*, choć znał skłonność Karasela do zbytniego angażowania się w swą pracę.

– Czemu ktoś miałby „pociągać za sznurki”, Raguelu? – Przemawiał do mnie łagodnie, niemal drwiąco, jak dorosły, który udaje, że toczy poważną dysputę z dzieckiem.

– Bo nic nie dzieje się bez przyczyny. A wszelkie przyczyny są Twoje. Saraquael był tylko ofiarą. Owszem, zabił Karasela, ale uczynił to po to, bym ja mógł zniszczyć jego.

– I czy myliłeś się, niszcząc go?

Spojrzałem prosto w Jego stare, jakże stare, oczy.

– To moja rola, ale nie uważam tego za sprawiedliwe. Myślę, iż trzeba było, bym zniszczył Saraquaela po to, aby zademonstrować Lucyferowi niesprawiedliwość Pana.

Wówczas uśmiechnął się.

– A jaki cel mógłby mną kierować?

– Ja... nie wiem, nie rozumiem – tak jak nie rozumiem, czemu stworzyłeś Mrok i głosy w Ciemności. Uczyniłeś to jednak. Stworzyłeś to wszystko.

Przytaknął.

– Owszem. Lucyfer musi zastanowić się nad niesprawiedliwością zniszczenia Saraquaela. I to właśnie – między innymi – pchnie go do pewnego działania. Biedny, słodki Lucyfer. Jego los będzie najcięższy spośród wszystkich mych dzieci. Istnieje bowiem rola, którą musi odegrać w nadchodzącym dramacie. To wielka rola.

Wciąż klęczałem przed Stwórcą Wszechrzeczy.

– Co uczynisz teraz, Raguelu? – spytał mnie.

– Muszę wrócić do celi. Wypełniłem swoją rolę. Wywarłem Zemstę i ujawniłem sprawcę. To wystarczy. Ale... Panie?

– Tak, dziecię?

– Czuję się brudny, nieczysty, zbrukany. Może to prawda, że wszystko, co się dzieje, dzieje się wedle Twojej woli, a zatem jest dobre. Czasami jednak pozostawiasz krew na Swych narzędziach.

Przytaknął, jakby się ze mną zgadzał.

– Jeśli chcesz, Raguelu, możesz zapomnieć o tym wszystkim, o wszystkim, co się dziś zdarzyło. – A potem dodał: – Jednakże jeśli nawet wolisz to zapamiętać, nigdy nie będziesz mógł opowiedzieć o tym innemu aniołowi.

– Będę pamiętał.

– To twój wybór. Przekonasz się jednak, że czasem łatwiej jest zapomnieć. Niepamięć może nieść ze sobą wolność. A teraz, jeśli pozwolisz... – sięgnął ręką, zdjął teczkę ze stosu na podłodze i otworzył ją – muszę wracać do pracy.

Wstałem i podeszedłem do okna. Miałem nadzieję, że On wezwie mnie z powrotem, wyjaśni każdy szczegół swego planu. Sprawę, że poczuje się lepiej. On jednak milczał i opuściłem Go, nie oglądając się za siebie.

Mężczyzna umilkł i milczał – nie słyszałem nawet jego oddechu – tak długo, że zacząłem się denerwować, myśląc, iż może zasnął albo umarł.

Nagle wstał.

– Proszę, druhu, to twoja historia. Myślisz, że warta była paru papierosów i zapalek? – Zadał to pytanie bez cienia ironii w głosie, jakby odpowiedź była dla niego naprawdę ważna.

– Tak – odparłem. – O, tak. Ale co się stało dalej? Jak ty... to znaczy, jeśli... – Urwałem.

Na ulicy nie było już ciemno. Zbliżał się świt. Latarnie powoli zaczynały gasnąć. Widziałem tylko ciemną sylwetkę na tle jaśniejącego nieba. Wetknął ręce do kieszeni.

– Co się dalej działo? Opuściłem dom i zagubiłem się, a w dzisiejszych czasach dom leży daleko stąd. Czasami robimy coś, czego żałujemy, ale nic nie da się na to poradzić. Czasy się zmieniają. Drzwi zamykają się za nami. Ruszamy dalej. Sam wiesz.

W końcu znalazłem się tutaj. Powiadają, że w L.A. są sami przybysze skądinąd. W moim przypadku to diablo słuszna uwaga.

I wtedy, nim zdążyłem zrozumieć, co robi, nachylił się i pocałował mnie lekko w policzek. Jego zarost był szorstki i kłujący, lecz oddech pachniał zaskakująco słodko. Nieznajomy szepnął mi do ucha:

– Nie upadłem. Nieważne, co mówią. Wciąż wykonuję swoją pracę najlepiej, jak umiem.

Czułem, jak policzek płonie mi w miejscu, gdzie dotknęły go jego usta.

Wyprostował się.

– Lecznadal pragnę wrócić do domu.

Mężczyzna oddalił się mroczną ulicą. Siedziałem na ławce, odprowadzając go wzrokiem. Miałem wrażenie, jakby coś mi odebrał, choć nie pamiętałem już co. I czułem, że pozostawił coś w zamian – może rozgrzeszenie albo niewinność, choć jaką, z jakich grzechów, nie potrafiłem już rzec.

Nagle ujrzałem obraz: nakreślone kredką postacie dwóch aniołów, walczących nad doskonale pięknym miastem. A na nich odcisk dziecięcej dłoni. Krwawa plama na białym papierze. Pojawił się w mej głowie nieproszony, i nie wiem, co oznaczał.

Wstałem.

Było zbyt ciemno, bym mógł dostrzec tarczę zegarka, ale wiedziałem, że tego dnia nie zaznam snu. Wróciłem do miejsca, w którym się zatrzymałem, do domu obok karłowatej palmy, aby umyć się i czekać. Rozmyślałem o aniołach i o Tink, i zastanawiałem się, czy miłość i śmierć zawsze kroczą obok siebie.

Następnego dnia samoloty do Anglii znów latały.

Czułem się dziwnie – niewyspanie wprawiło mnie w żalospny stan, w którym wszystko wydaje się bezbarwne i pozbawione znaczenia, kiedy nic się nie liczy, a rzeczywistość sprawia wrażenie skąpej i ulotnej. Jazda taksówką na lotnisko była prawdziwym koszmarem. Zmęczenie i upał wzmożyły moją irytację. W gorącym L.A. nosiłem tylko podkoszulek; płaszcz zapakowałem na samo dno torby. Tkwił tam przez cały pobyt.

Na lotnisku panował tłok. Nie przeszkadzało mi to jednak.

Stewardessa przeszła przez samolot, pchając przed sobą wózek z gazetami: *Herald Tribune*, *USA Today* i *L.A. Timesem*. Wziąłem egzemplarz *Timesa*, lecz słowa opuszczały mą głowę w chwili, gdy zarejestrowały je oczy. Nic z tego, co przeczytałem, nie pozostało mi w pamięci. Nieprawda, kłamie – gdzieś na dalszych stronach znalazłem notatkę o potrójnym morderstwie: dwie kobiety i małe dziecko. Nie podano nazwisk i nie wiem, czemu w ogóle zapamiętałem tę wiadomość.

Wkrótce zasnąłem. Śniło mi się, że pieprzę się z Tink, podczas gdy z jej zamkniętych oczu i ust powoli wypływa krew. Krew była zimna, gęsta i lepka. Obudziłem się, wstrząsany dreszczami w klimatyzowanym samolocie, czując niesmak w ustach. Język i wargi miałem suche. Wyjrzałem przez podrapane owalne okno, spoglądając w dół na chmury, i nagle (nie po raz pierwszy) pomyślałem, że w istocie są one inną krainą, krainą, w której wszyscy wiedzą, czego szukają i jak mają wrócić do miejsca wyjścia. Przyglądanie się chmurom to jedna z rzeczy, którą najbardziej lubię w lataniu. To oraz bliskość własnej śmierci.

Ciasno owinąłem się cienkim kocem i znów zasnąłem. Jeśli nawet nawiedziły mnie kolejne sny, nic po nich nie pozostało.

Wkrótce po tym, jak samolot wylądował w Anglii, nadciągnęła śnieżyca, uszkadzając linie zasilania. Byłem wtedy sam w windzie, która pociemniała i utknęła między piętrami.

Natychmiast włączyła się słaba lampka awaryjna. Naciskałem czerwony przycisk alarmu, póki baterie nie wyczerpały się i dzwonek nie umilkł. Potem drżałem już tylko w koszulce z L.A., skulony w kącie małego, srebrnego pokoju, patrząc, jak oddech paruje mi w powietrzu.

Nie było tam niczego poza mną. Mimo wszystko jednak czułem się pewnie i bezpiecznie. Wkrótce ktoś się zjawi i otworzy drzwi. W końcu ktoś mnie wypuści, i wiedziałem, że niedługo wrócę do domu.

Szkło, śnieg i jabłka

Nie wiem, czym dokładnie jest. Nikt z nas tego nie wie. Przychodząc na świat, zabiła matkę, ale to nie wystarczy, by wyjaśnić, czym się stała.

Twierdzą, że jestem mądra, lecz daleko mi do prawdziwej mądrości, przewidziałam bowiem tylko urywki tego, co się zdarzyło – zastygłe chwile, uchwycone w kałużach i w zimnym szkle mego zwierciadła. Gdybym była naprawdę mądra, nie próbowałabym zmienić tego, co ujrzałam. Gdybym była mądra, zabiłabym się, nim ją spotkałam, zanim jeszcze usidliłam jego.

Mądra wiedźma, tak mnie nazywali. Całe życie oglądałam w snach jego twarz; szesnaście lat marzeń, nim w końcu pewnego ranka zatrzymał konia przy moście i spytał, jak mam na imię. Pomógł mi wsiąść na wysokiego wierzchowca i odjechaliśmy razem do mej małej chaty. Wtulałam twarz w złoto jego włosów. Zażądał tego, co miałam najcenniejsze; oto królewskie prawo.

W blasku poranka jego broda była miedzianoczerwona i poznałam go – nie jako króla, gdyż nie znałam się na królach, lecz jako mego kochanka. Wziął ode mnie wszystko, czego zapragnął; takie jest prawo królów; lecz powrócił następnego dnia i kolejnej nocy – czerwona broda, złote włosy, oczy niebieskie niczym letnie niebo, opalona skóra barwy dojrzałej pszenicy.

Jego córka była jeszcze dzieckiem; gdy przybyłam do zamku, miała zaledwie pięć lat. W jej komnacie na wieży wisiał portret zmarłej matki: wysokiej kobiety o włosach koloru drewna i orzechowych oczach. Zupełnie nie przypominała swojej bladej córki.

Dziewczynka nie jadła z nami.

Nie wiem, gdzie się pożywiała.

Miałam własne komnaty. Mój mąż, król, także. Kiedy mnie pragnął, posyłał po mnie, a ja szłam do niego, by dać mu rozkosz i samej zaznać z nim rozkoszy.

Pewnej nocy, wiele miesięcy po tym, gdy sprowadził mnie do zamku, przyszła do mojej komnaty. Miała wtedy sześć lat. Wyszywałam właśnie w blasku lampy, mrużąc podrażnione dymem i słabym światłem oczy. Gdy uniosłam wzrok, stała przede mną.

– Księżniczko?

Nie odpowiedziała. Oczy miała czarne jak węgle, czarne jak jej włosy, usta czerwieniejsze niż krew. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Nawet w słabym blasku lampy jej zęby wydały mi się ostre.

– Co robisz tak daleko od swoich pokojów?

– Jestem głodna – odparła jak zwyczajne dziecko.

Była zima i czasy świeżego jedzenia odeszły wraz ze słońcem i ciepłem, jednakże z powały mojej komnaty zwieszały się łańcuchy wydrążonych i wysuszonych jabłek. Zdjęłam dla niej jedno.

– Proszę.

Jesień to czas suszenia, konserwowania, czas zbierania jabłek i wytapiania gęsiego smalcu.

Zima to czas głodu, śniegu i śmierci, a także zimowego święta, kiedy wcieramy gęsi smalec w skórę całej świni, nadzianej jesiennymi jabłkami, po czym pieczemy ją w piecu bądź na rożnie i podczas uczyt dzielimy się chrupkim mięsiwem.

Wzięła ode mnie suszone jabłko i zaczęła przeżuwać je ostrymi żółtymi zębami.

– Dobrze?

Kiwnęła głową.

Zawsze lękałam się małej księżniczki, lecz w tym momencie poczułam do niej sympatię i łagodnie pogładziłam palcami policzek. Spojrzała na mnie z uśmiechem – rzadko się uśmiechała – po czym zatopiła zęby u podstawy mego kciuka, we wzgórek Wenery, głęboko, aż do krwi.

Zaczęłam krzyczeć z bólu i zaskoczenia, ona jednak spojrzała na mnie i umilkłam.

Mała księżniczka przycisnęła wargi do mej dłoni i zaczęła lizać, ssać i pić. Gdy skończyła, opuściła komnatę. Na mych oczach rana, którą mi zadała, zaczęła się zamykać, zablizniać, zrastać. Następnego dnia pozostała tylko stara blizna, zupełnie jakbym w dzieciństwie zacięła się kozikiem.

Księżniczka zamroziła mnie, opanowała, zawładnęła mną. To mnie przeraziło bardziej niż krew, którą się karmiła. Po owej nocy zaczęłam o zmroku zamykać drzwi komnaty, blokując je dębową żerdzią. Kazałam też kowalowi wykuć żelazne pręty i umieścić w oknach sypialni.

Mój mąż, moja miłość, mój król, coraz rzadziej po mnie posyłał, a kiedy do niego przychodziłam, był oszołomiony, niespokojny, zagubiony. Nie miał już sił kochać się tak jak przystało mężczyźnie i nie pozwalał mi zaspokajać się ustami. Gdy raz spróbowałam, wzdrygnął się gwałtownie i wybuchnął płaczem. Odsunęłam głowę i mocno przytuliłam go do siebie, póki nie umilkł i zasnął jak dziecko.

Kiedy spał, przesuwałam palcami po jego skórze. Pokrywały ją dziesiątki starych blizn, nie pamiętałam jednak, by w okresie zalotów miał jakiegokolwiek blizny, poza jedną na boku, w miejscu gdzie w młodości zranił go dzik.

Wkrótce stał się cieniem mężczyzny, którego poznałam i pokochałam przy moście. Pod skórą sterczały mu błękitnobiałe kości. Byłam z nim aż do końca. Ręce miał zimne jak kamień, oczy zasnułe mgłą, jego włosy i broda zmatowiały i zbladły. Zmarł bez rozgrzeszenia, od stóp do głów pokryty małymi starymi bliznami.

Prawie nic nie ważył. Ziemia była zamrożona i nie mogliśmy wykopać mu grobu, toteż usypaliśmy nad ciałem kamienny stos, pomnik jego pamięci, tego bowiem, co z niego zostało, właściwie nie trzeba było nawet strzec przed głodem zwierząt i ptaków.

Tak zostałam królową.

Byłam wówczas młoda i niemądra – minęło osiemnaście lat, odkąd pierwszy raz ujrzałamienne światło – toteż nie uczyniłam tego, co zrobiłabym teraz.

Gdyby to działo się dzisiaj, także kazałabym wyciąć jej serce, ale potem poleciłabym odrąbać głowę, ręce i nogi, i poćwiartować. Następnie patrzyłabym, jak na rynku kat rozgrzewa miechem do białości ognisko i po kolei wrzuca fragmenty jej ciała do ognia. Wokół rynku rozstawiłabym łuczników, którzy zastrzeliliby każdego ptaka, bądź zwierzę, które zbliżyłoby się do płomieni, kruka czy psa, jastrzębia czy szczura. I nie odwróciłabym wzroku, póki księżniczka nie zamieniłaby się w popiół, a łagodny powiew wiatru rozrzuciłby ją niczym śnieg.

Nie zrobiłam tego jednak, a wszyscy płacimy za nasze błędy.

Powiadają, że zostałam oszukana, że w istocie nie było to jej serce, ale serce zwierzęcia – może jelenia, a może dzika. Mówią tak i myślą się.

Niektórzy też powtarzają (lecz to jej kłamstwo, nie moje), że dostałam serce i je zjadłam. Kłamstwa i półprawdy padają niczym śnieg, okrywając rzeczy, które pamiętam, które sama oglądałam. Kraina nie do poznania po śnieżycy – oto, jak odmieniła moje życie.

Gdy mój ukochany, a jej ojciec, umierał, na jego udach, mosznie i członku widniały blizny.

Nie poszłam z nimi. Zabrali ją za dnia, kiedy spała i była słaba. Zaprowadzili w głąb lasu, a potem rozerwali jej bluzkę, wycięli serce i, sądząc, że umarła, porzucili ciało w rowie, puszczy na żer.

Las to mroczne miejsce, granica wielu królestw; nikt nie poważyłby się twierdzić, że ma nad nim władzę. W lesie mieszkają banici, zbójcy i wilki. Można jechać przez puszcze dziesięć dni i nie ujrzeć żywego ducha; cały czas jednak śledzić nas będą czyjeś oczy.

Przynieśli mi jej serce. Wiedziałam, że należy do niej – żadne serce maciory bądź sarny nie biłoby i pulsowało nadal, mimo iż zostało wyrwane z piersi.

Zabrałam je do mej komnaty.

Nie zjadłam go, lecz powiesiłam u powały nad łóżkiem, na kawałku sznurka, na który nawlekłam główki czosnku i jagody jarzębiny, pomarańczowoczerwone niczym pierś rudzika.

Na dworze padał śnieg, zasypując odciski stóp moich łowczych i drobne ciało, spoczywające w lesie.

Poleciłam kowalowi usunąć kraty z moich okien. Każdego popołudnia, pod koniec krótkiego zimowego dnia, wracałam do siebie i wyglądałam przez okno w stronę lasu, póki nie zapadł zmrok.

Jak już wspominałam, w lesie żyli ludzie. Niektórzy z nich wychodzili z niego podczas wiosennego targu: chciwi, dzicy, niebezpieczni ludzie. Miewali zniekształcone ciała – karły, garbaci, małoludy; albo wielkie zęby i puste oczy idiotów; bądź też palce płaskie niczym płetwy albo szczytce krabów. Każdego roku opuszczali swą puszcze, przybywając na wiosenny targ, organizowany tuż po roztopach.

Jako młoda dziewczyna pracowałam na targu i wówczas leśni ludzie mnie przerażali. Przepowiadałam przyszłość, spoglądając w głąb nieruchomej wody, a później, gdy byłam już starsza, w dysk polerowanego szkła, z jednej strony powleczony srebrem – dar kupca, którego zbłąkanego konia odnalazłam, zerkając w kałużę inkaustu.

Handlarze na targu także bali się leśnych ludzi. Przybijali swoje towary gwoździami do nagich desek kramów – zarówno kawałki piernika, jak i skórzane pasy przymocowywano do drewna wielkimi metalowymi hakami. Twierdzili, że gdyby tego nie robili, leśni ludzie porywaliby ich towary i uciekali, pogryzając skradzione pierniki i wymachując wokół pasami.

Leśni ludzie mieli jednak pieniądze: kilka monet, czasami zaśniedziałych ze starości bądź od długiego przechowywania w ziemi, z twarzami na rewersach, których nie potrafił rozpoznać nawet najstarszy z nas. Mieli też różne rzeczy na wymianę, i tak targi trwały, służąc wyrzutkom i karłom oraz rabusiom (jeśli zachowywali się roztropnie), żerującym na jakże rzadkich przybyszach z krain za lasem, na Cyganach i jeleniach (to ostatnie stanowiło poważne przestępstwo. Jelenie należały do królowej).

Lata miały powoli, a moi ludzie twierdzili, że rządzą nimi mądrze. Serce wciąż wisiało nad moim łóżkiem, pulsując łagodnie każdej nocy. Jeśli ktokolwiek opłakiwał dziecko, nie zauważyłam tego; nawet w tamtych czasach była przerażającą istotą i ludzie uważali, że powinni się cieszyć z jej zniknięcia.

Po jednym wiosennym targu następował kolejny: w sumie pięć, a każdy smutniejszy, biedniejszy, mizerniejszy niż poprzedni. Z każdym rokiem pojawiała się coraz mniej leśnych

ludzi. Ci, którzy przybywali, sprawiali wrażenie pokornych i niespokojnych. Kramarze przestali przybijać towary do desek. W piątym zaś roku z puszczy wynurzyła się jedynie garstka ludzi – grupka małych włochatych karłów i nikt ponadto.

Niedługo po tym przybył do mnie mistrz targu wraz ze swym giermkim. Znałam go przelotnie z czasów, nim zostałam królową.

– Nie przychodzę do ciebie jako do mej królowej – oznajmił.

Nie odpowiedziałam. Słuchałam.

– Przybywam, bo jesteś mądra – ciągnął dalej. – Gdy byłeś dzieckiem, znalazłaś zbłąkanego żrebaka, spoglądając w kałużę inkaustu; później, jako dziewczę, wpatrując się w swoje zwierciadło, znalazłaś zagubione dziecko, która zanedo oddaliło się od matki. Znasz wiele sekretów i potrafisz znajdować rzeczy ukryte przed innymi. Moja królowo – spytał – cóż takiego niszczy leśny lud? Za rok wiosenny targ w ogóle się nie odbędzie. Przybysze z innych królestw stają się coraz rzadsi, a leśny lud niemal zniknął. Jeszcze jeden taki rok i zaczniemy umierać z głodu.

Poleciłam służącej, by przyniosła mi zwierciadło. Było bardzo skromne – posrebrzony szklany dysk, który owijałam w sarnią skórę i przechowywałam w skrzyni w mej komnacie.

Wręczyli mi je, a ja zajrzałam do środka.

Miała dwanaście lat; nie była już dzieckiem. Jej skóra pozostała blada, oczy i włosy czarne jak węgle, usta krwistoczerwone. Wciąż okrywał ją strój, w którym po raz ostatni opuściła zamek – koszula, spódnica – choć ubranie było już zniszczone i wiele razy naprawiane. Narzuciła na nie skórzany płaszcz; zamiast butów jej maleńkie stopy spowijały skórzane worki, przewiązane rzemieniami.

Stała w lesie, za drzewem.

Gdy tak patrzyłam, oczami umysłu ujrzałam, jak przebiega i przemyka między drzewami niczym zwierzę: nietoperz bądź wilk. Szła czymś śladem.

To był mnich. Miał na sobie habit, jego bose stwardniałe stopy pokrywały strupy. Niestrzyżona broda opadała na pierś. Tonsurę porastały krótkie włosy.

Obserwowała go zza drzew. W końcu zatrzymał się na noc i zaczął rozpałać ognisko, układając gałęzie i używając na rozpałkę gniazda rudzika. W szacie ukrywał krzesiwo; uderzył nim teraz, póki z kamienia nie trysnęły skry i nie zatliły się na hubce. W gnieździe, które znalazł, leżały dwa jajka. Zjadł je na surowo. Marny posiłek jak dla tak rosnącego mężczyzny.

Siedział przy ogniu, gdy wynurzyła się z kryjówek. Przycupnęła po drugiej stronie ogniska, spoglądając na niego. Uśmiechnął się szeroko, jakby od dawna nie oglądał innej ludzkiej istoty, i gestem wezwał ją do siebie.

Wstała i okrążyła ognisko, po czym zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Pogrzebał w szacie i wyciągnął monetę – mały miedziak. Rzucił go jej. Złapała pieniążek, przytaknęła i podeszła. Rozwiązał okalający pas sznur; habit rozchylił się, odsłaniając ciało włochate jak u niedźwiedzia. Pchnęła go na porośniętą mchem ziemię. Jedną jej dłoń popęzła niczym pająk ku płataninie włosów i zacisnęła się wokół jego męskości, druga musnęła lewy sutek. Zamknął oczy, wsuwając wielką dłoń pod jej spódnicę. A ona pochyliła głowę ku pieszczonemu sutkowi. Jej gładka biała skóra kontrastowała z włochatym brązem męskiego ciała.

Zatopiła zęby głęboko w jego piersi. Oczy mnicha otworzyły się, a potem znów zamknęły, gdy zaczęła pić.

Dosiadła go, nie przerywając posiłku. Gdy to uczyniła, pomiędzy jej nóg zaczął sączyć się gęsty czarny płyn...

– Wiesz, co nie dopuszcza podróżnych do naszego miasta? Co dzieje się z leśnymi ludźmi? – spytał mistrz targu.

Zakryłam zwierciadło kawałkiem skóry i odparłam, że osobiście dopilnuję, by las znów stał się bezpieczny.

Musiałam to zrobić, choć mnie przerażała. Byłam królową.

Niemądra kobieta poszłaby pewnie do lasu i spróbowała schwytać tę istotę, ja jednak raz okazałam się już naiwna i nie zamierzałam powtarzać mego błędu.

Spędziłam wiele czasu nad starymi księgami. Rozmawiałam z Cygankami (które przybywały do naszego kraju przez góry na południu i trzymały się z daleka od puszczy na północy i zachodzie).

Przygotowywałam się i gromadziłam potrzebne rzeczy, a gdy nadeszły pierwsze śniegi, byłam gotowa.

Stałam naga pod gołym niebem na szczycie najwyższej wieży zamku. Lodowaty wiatr owiewał me ciało, na ramionach, udach i piersiach wystąpiła gęsia skórka. Miałam w dłoni srebrną miskę i koszyk, do którego włożyłam srebrny nóż, srebrną szpilkę, szczypcę, szarą szatę i trzy zielone jabłka.

Wyjęłam je i stanęłam bez ruchu, naga na szczycie wieży; bezbronna wobec nocnego nieba i wiatru. Gdyby jakikolwiek mężczyzna ujrzał mnie w tej chwili, kazałabym wypalić mu oczy; nikt jednak mnie nie podglądał. Po niebie przepływały chmury, odsłaniając i zasłaniając malejący księżyc.

Ujęłam w dłoń srebrny nóż i rozciąłam lewe przedramię – raz, drugi, trzeci. Krew ściekała do miski; w blasku księżyca, miast czerwona, była zupełnie czarna.

Dodałam do niej proszek z wiszącej na szyi fiołki. Był brązowy, sporządzony z suszonych ziół, skóry ropuchy i kilku innych rzeczy. Zagęścił krew, zapobiegając jej krzepnięciu.

Potem kolejno wzięłam jabłka i lekko nakłułam ich skórki srebrną szpilką. Następnie umieściłam je w srebrnej misce i zostawiłam. Pierwsze płatki śniegu owej zimy zaczęły padać powoli na mą skórę, a także na jabłka i krew.

Gdy jutrzienka rozjaśniła niebo, okryłam się szarym płaszczem i wyjęłam z miski czerwone jabłka, przekładając je do koszyka srebrnymi szczypcami i uważając, by ich nie dotknąć. W misce nie pozostało nic z mojej krwi i brązowego proszku, nic poza cienką warstwą czarnego osadu, jakby śniedzi.

Zakopałam miskę w ziemi. Potem rzuciłam urok na jabłka (tak jak kiedyś, kilka lat wcześniej, przy moście, rzuciłam urok na samą siebie), aby wydały się bez wątpienia najcudowniejszymi owocami na świecie. Ich szkarłatna skórka miała ciepłą barwę świeżej krwi.

Naciągnęłam kaptur szaty nisko na twarz. Zebrałam naręczę wstążek i ozdób do włosów, ułożyłam je na jabłkach w trzciniowym koszyku i samotnie ruszyłam w głąb lasu, póki nie dotarłam do jej siedziby: wysokiej ściany z piaskowca, podziurawionej siecią głębokich jaskiń.

Wokół skalnej ściany leżały głazy i rosły drzewa. Wędrowałam wśród nich bezszelestnie, uważając, by nie poruszyć żadnego liścia ani gałązki. W końcu znalazłam bezpieczną kryjówkę i zaczęłam czekać. Po kilku godzinach z wylotu jaskini wygramoliła się grupa karłów – paskudnych, wykrzywionych, małych, włochatych ludzi, dawnych mieszkańców tego kraju. Obecnie rzadko się ich widuje.

Wkrótce zniknęli w lesie. Żaden z nich mnie nie dostrzegł, choć jeden z nich przystanął, by wysikać się pod głazem, za którym się ukryłam.

Czekałam. Nikt więcej nie wyszedł.

Podeszłam do wylotu jaskini i zawołałam „Halo?” trzęsącym się starczym głosem. Blizna na moim wzgórkach Wenery zaczęła boleć i pulsować, gdy ona zbliżyła się ku mnie, wychodząc z ciemności – naga i samotna.

Miała teraz trzynaście lat. Moja pasierbica. Żadna skaza nie naruszała idealnej bieli jej skóry, prócz jaskrawej blizny na lewej piersi, w miejscu, gdzie dawno temu wyrwano jej serce.

Wewnętrzna powierzchnia ud pokrywała plamy mokrej czerni.

Spojrzała w moją twarz, ukrytą pod kapturem. W jej oczach lśnił głód.

– Wstążki, mości panno – odezwałam się jęklonie. – Śliczne wstążki do włosów...

Uśmiechnęła się i wezwała mnie gestem. Szarpnięcie; blizna na dłoni ciągnęła mnie ku niej. Zrobiłam to, co zaplanowałam, lecz uczyniłam to szybciej, niż miałam zamiar. Upuściłam koszyk i wrzasnęłam niczym tchórzliwa stara handlarka, którą udawałam, po czym uciekłam.

Mój szary płaszcz miał barwę lasu. Byłam szybka; nie doścignęła mnie.

Wróciłam do zamku.

Nie widziałam tego na własne oczy. Wyobraźmy sobie jednak dziewczynę, która powraca do jaskini, wściekła i wygłodniała, i znajduje na ziemi porzucony koszyk.

Co wtedy zrobiła?

Lubię myśleć, że najpierw zaczęła bawić się wstążkami, wplatać je w kruczoczarne włosy, okręcać wokół bladej twarzy i smukłej talii.

A potem, wiedzona ciekawością, odsunęła skrawek materiału, by sprawdzić, co kryje się w środku, i ujrzała czerwone, jakże czerwone jabłka.

Pachniały rzecz jasna jak jabłka, oprócz tego jednak pachniały krwią. A ona była głodna. Wyobrażam sobie, jak podnosi jabłko, tuli je do policzka, czuje chłodną gładką skórę...

A potem otwiera usta i wgryza się głęboko...

Kiedy dotarłam do mojej komnaty, serce wiszące z belki w suficie wśród jabłek, szynki i suszonych kiełbas przestało bić. Wisiało nieruchome, nie zdradzając śladów życia, a ja znów poczułam się bezpieczna.

Tej zimy śniegi były wysokie i głębokie. Stopniały później niż zwykle. Gdy nadeszła wiosna, wszyscy czuliśmy głód.

Wiosenny targ tego roku okazał się nieco ruchliwszy. Leśni ludzie, choć nieliczni, przybyli, podobnie jak podróżni z krain za lasem.

Mali włoszacy ludzie z leśnej jaskini także zjawili się na nim i zaczęli skupywać kawałki szkła, odłamki kryształu i kwarcu. Płacili za nie srebrnymi monetami – bez wątpienia pamiątkami po ofiarach mej pasierbicy. Gdy wśród mieszkańców miasta rozeszła się wieść, co kupują, wszyscy rozbiegli się do domów i przynieśli swe szczęśliwe kryształy, a kilka osób nawet całe szklane tafle.

Pomyślałam przelotnie, czy nie kazać zabić karłów, lecz w końcu nie zrobiłam tego. Póki jej serce wisiało milczące, nieruchome i zimne na belce w mej komnacie, byłam bezpieczna, podobnie jak leśny lud i mieszkańcy miasta.

Nadeszły moje dwudzieste piąte urodziny i minęły już dwie zimy od dnia, w którym moja pasierbica zjadła zatruty owoc, gdy w zamku zjawił się książę. Był wysoki, bardzo wysoki, miał zimne zielone oczy i smagłą skórę mieszkańców kraju za górami.

Towarzyszył mu niewielki orszak, dość duży, by go bronić, dość mały, aby inny monarcha – na przykład ja – nie uznał go za potencjalne zagrożenie.

Byłam bardzo praktyczna. Pomyślałam o przymierzu naszych krain, o królestwie sięgającym od lasu aż po morze na południu; pomyślałam o moim złotowłosym brodatym kochanku,

martwym od ośmiu lat, i nocą poszłam do sypialni księcia.

Nie jestem niewiniątkiem, choć mój nieżyjący mąż i niegdyś król był naprawdę moim pierwszym mężczyzną, nieważne, co powiadają.

Z początku książę sprawiał wrażenie podnieconego. Poleciał, bym zdjęła koszulę i stanęła przy otwartym oknie, daleko od ognia, póki ma skóra nie stała się lodowata. Następnie poprosił, abym położyła się na plecach z rękoma splecionymi na piersiach i szeroko otwartymi oczami, patrzącymi prosto w sufit. Miałam się nie ruszać i starać się jak najmniej oddychać. Błagałam, żebym milczała. Rozłożył mi nogi.

A potem wszedł we mnie.

I gdy zagłębił się w moje ciało, poczułam, jak me biodra unoszą się i jak poruszam się w tym samym rytmie, pchnięcie za pchnięcie, suw za suw. Jęknęłam. Nie mogłam się powstrzymać.

Jego męskość wysunęła się ze mnie. Sięgnęłam ku niej i dotknęłam. Była mała, śliska.

– Proszę – rzekł cicho. – Nie możesz się ruszać ani nic mówić. Po prostu leż na kamieniach, taka zimna i taka piękna.

Spróbowałam, ale siła, która poruszała jego męskość, już umknęła. Niedługo potem opuściłam komnatę księcia. W uszach dźwięczały mi jego przekleństwa i jęki.

Wyjechał następnego dnia wczesnym rankiem wraz z całą swoją świtą. Wkrótce zagłębili się w lesie.

Wyobrażam sobie napięcie i frustrację w jego lędźwiach, u podstawy męskości. Widzę blade usta, zaciśnięte z całej siły, orszak jadący przez las i w końcu zatrzymujący się przed kurhanem ze szkła i kryształu, pod którym leży moja pasierbica. Taka blada. Taka zimna. Naga pod szkłem, młoda i martwa.

Wydaje mi się, że niemal czuję nagłą twardość w jego kroku i falę żądz, która ogarnęła go na jej widok, słyszę modły mamrotane pod nosem w podzięcie za szczęście, które go spotkało. Wyobrażam sobie, jak negocjuje z włóchatymi karłami – proponuje im złoto i korzenie w zamian za piękne ciało pod kryształowym kurhanem.

Czy chętnie przyjęli jego złoto? A może spojrzeli na konnych wojowników, uzbrojonych w ostre miecze i włócznie, i zrozumieli, że nie mają wyjścia?

Nie wiem, nie było mnie tam; nie patrzyłam. Pozostaje mi tylko wyobraźnia.

Ręce, odrzucające bryły szkła i kwarcu z jej zimnego ciała. Dłonie gładzące lekko zimny policzek, przesuwanie lodowatą ręką, uradowane tym, że ciało jest wciąż świeże i miękkie.

Czy posiadał ją tam, na miejscu, na oczach ich wszystkich? A może, nim jej dosiadł, kazał przenieść ciało w ukryty zakątek?

Nie wiem.

Czy wytrząsnął jabłko z jej gardła? Czy też jej oczy otwarły się powoli, gdy pchnięciem wszedł w jej zimne ciało, a wówczas jej usta, owe czerwone usta rozchyliły się, ostre żółte zęby zacisnęły na smagłej skórze jego szyi, i krew, a z nią życie, spłynęła do jej gardła zmywając kęs jabłka, a wraz z nim moją truciznę?

Mogę sobie tylko wyobrażać. Wiem jedynie, że ocknęłam się w nocy i ujrzałam, że jej serce znów bije i pulsuje. Na moją twarz ściekały krople słonej krwi. Usiadłam. Ręka piekła mnie i bolała, jakbym uderzyła się kamieniem w podstawę kciuka.

Nagle rozległo się walenie do drzwi. Bałam się, ale jestem królową, nie okazuję strachu. Otwarłam.

Najpierw do mojej komnaty wkroczyli jego ludzie i stanęli wokół mnie, uzbrojeni w ostre miecze i długie włócznie.

Potem wszedł on i splunął mi w twarz.

W końcu i ona przekroczyła próg, jak wtedy, gdy niedawno zostałam królową, a ona była zaledwie sześciolatnim dzieckiem. Nie zmieniła się. Nie tak naprawdę.

Pociągnęła sznur, na którym wisiało jej serce. Po kolei ściągnęła z niego owoce jarzębiny i główkę czosnku – kompletnie wyschnięte po tych wszystkich latach. W końcu ujęła w dłoń własne bijące serce – takie małe, nie większe niż u kozy czy młodej niedźwiedzicy – a ono wezbrało świeżą krwią.

Paznokcie musiała mieć ostre jak kawałki szkła; otwarła nimi swą pierś, tnąc dokładnie wzdłuż szkarłatnej blizny. W jej piersi ziała bezkrwista rana. Raz jeden polizała serce – krew popłynęła jej po palcach – i wepchnęła je sobie głęboko w ciało.

Widziałam, jak to robi. Widziałam, jak ponownie zamyka ranę. Na moich oczach szkarłatna blizna zaczęła blednąć.

Księżę przez moment sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Objął ją ramieniem i stali tak razem, czekając.

Pozostała zimna, na jej ustach wciąż rozkwitał kwiat śmierci, i jego żądza nie zmałała.

Oznajmili, że się pobiorą i królestwa istotnie się połączą. Powiedzieli, że będę z nimi w dzień ich ślubu.

Zaczyna się robić gorąco.

Opowiadali o mnie jak najgorsze rzeczy, wiele kłamstw doprawionych odrobiną smakowitej prawdy.

Wrzucono mnie skrepowaną do małej kamiennej celi pod zamkiem. Tkwiłam tam całą jesień. Dziś wyciągnięto mnie z niej; zdarli ze mnie szmaty, zmyli brud, a potem ogolili głowę i lędźwie i natarli skórę gęsim smalcem.

Padał śnieg, gdy ponieśli mnie – dwóch mężczyzn za każdą rękę, dwóch mężczyzn za każdą nogę – nagą, zziębniętą i bezbronną poprzez zimowy tłum, aż do pieca.

Moja pasierbica stała tam wraz ze swoim księciem. Patrzyła na moje ponizienie, lecz nie odezwała się ani słowem.

Gdy wepchnęli mnie do środka, drwiąc i naśmiewając się, ujrzałam, jak płatek śniegu osiada na jej białym policzku i pozostaje tam nietknięty.

Zamknęli za mną drzwi pieca. Robi się tu coraz goręcej. Na zewnątrz ludzie śpiewają, wiwatują i walą kijami w ściany pieca.

Ona nie śmiała się ani nie drwiła; milczała. Nie obrzucała mnie wyzwiskami ani nie odwróciła wzroku. Patrzyła na mnie. Przez moment ujrzałam siebie samą, odbitą w jej oczach.

Nie będę krzyczeć. Nie dam im tej satysfakcji. Mogą dostać ciało, lecz moja dusza i historia należą do mnie i umrą wraz ze mną.

Gęsi smalec zaczyna się topić, połyskuje na mej skórze. Nie wydam z siebie żadnego dźwięku. Nie będę więcej o tym myśleć.

Zamiast tego pomyślę o płatku śniegu na jej policzku.

O jej czarnych jak węgle włosach, ustach czerwieńszych niż krew i skórze, białej jak śnieżka.

Tytuł oryginału:

Smoke and Mirrors: Short fictions and illusions

Copyright © 1988 by Neil Gaiman

Copyright for the Polish translation © 2012 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki: Irek Konior

Skład i łamanie własne

ISBN 978-83-7480-312-0

Wydanie IV

Wydawcy:

Nowa Proza sp. z o.o.

ul. F. Znanieckiego 16a m. 9, 03-980 Warszawa

tel. 22 251 03 71

www.nowaproza.eu

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Konwersja i edycja publikacji



